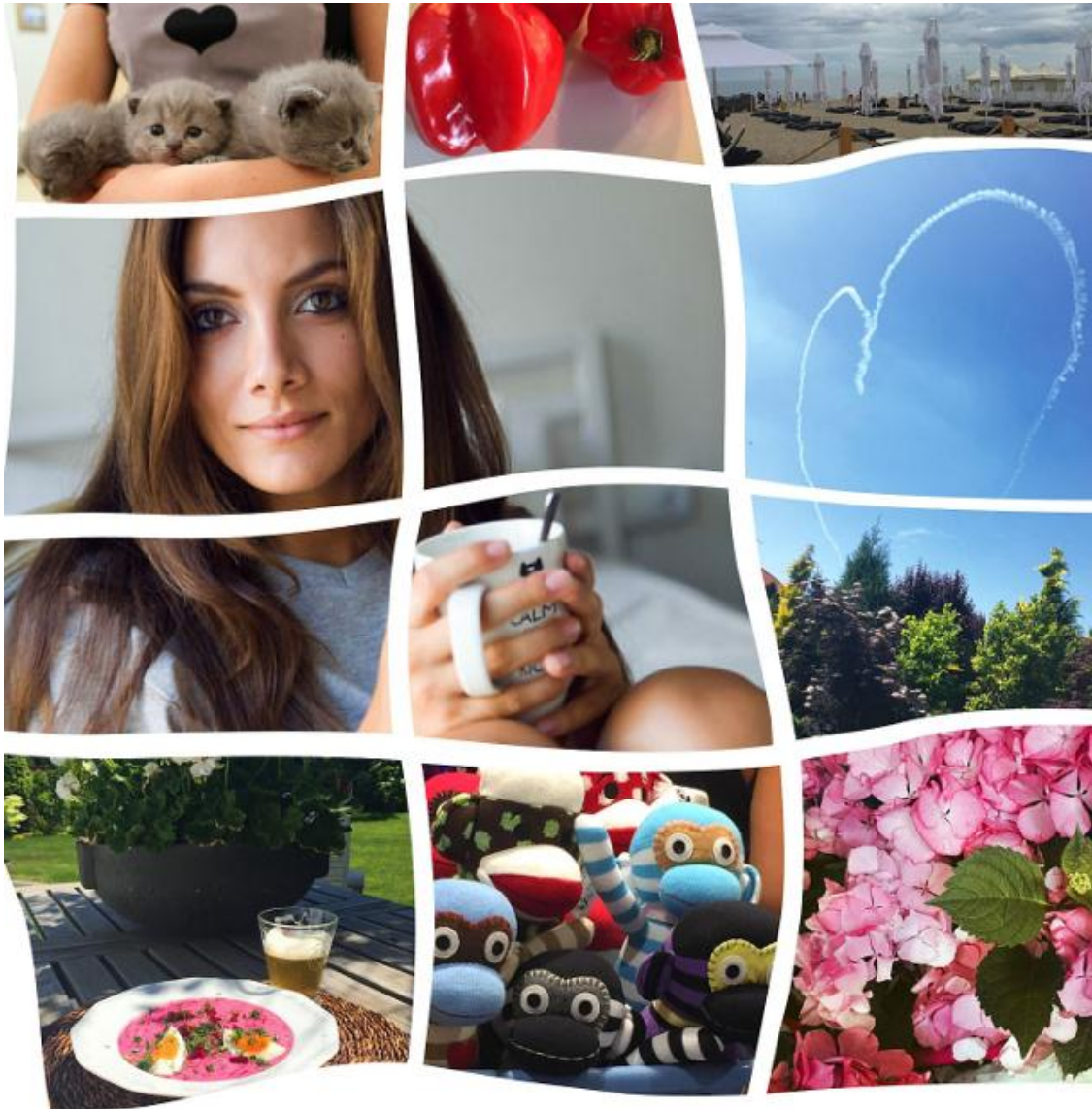


Nina Majewska-Brown

# JAK SIĘ NIĘ ZAKOCHAĆ

Dalsze losy bohaterki powieści Wakacje





Nina Majewska-Brown

# JAK SIĘ NIĘ ZAKOCHAĆ

Dalsze losy bohaterki powieści Wakacje



*Nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę  
pokazuje właściwą godzinę.*

*Pobladła teściowa skulona na siedzeniu pasażera głośno sapie, z trudem łapiąc oddech. Jednocześnie – dorzynając resztki nadziei – stale niczym mantrę powtarza te same słowa: co to będzie, jak Roberta zabraknie, co zrobi z domem, przecież nawet nie wie, gdzie są rachunki, i jeszcze w dodatku pewnie odejdzie pani do pomocy.*

*Galopada jej pesymistycznych przewidywań rujnuje wyobrażenie o idealnej symbiozie i małżeństwie teściów. Okazuje się, że jedno „ja” jest bardziej wyraziste, krzykliwe i samolubne od drugiego, choć prawdę mówiąc, przecież tego drugiego „ja” nie znam za dobrze.*

*Pani Aleksandra zachowuje się tak, jakby mąż właśnie poszedł na herbatkę do Abrahama i z łoskotem zatrzasnął za sobą drzwi. Obawiam się, że jej panika gęstą pajęczyną strachów i bezradności może opaść na moje życie, choć przecież dotychczas pani Ola prawie w nim nie uczestniczyła. Mądry, opiekuńczy i kochany Wojtek nie wpadł na pomysł ponownego telefonicznego kontaktu z matką, o przerwaniu urlopu nie wspominając. Zarządził tylko, by: *Matka na bieżąco go informowała, a gdyby czegoś potrzebowała – ma dzwonić.* Nie wiem, czego by w tej chwili mogła nie potrzebować, bo patrząc na jej rozdygotaną postać, mam wrażenie, że sygnał odjeżdżającej karetki przeciął jej cichą i bezpieczną egzystencję. Co oczywiście nie zmienia faktu, że wysłuchuję opowieści o tym, że:*

*– Wojtuś jest taki zmęczony! Boże, jak ten urlop był mu potrzebny! Przecież nie dzieje się nic takiego, ojciec jest pod opieką lekarzy, więc dobrze, że nie przyjedzie.*

*Hmm, pomijając to, że teść jest właśnie reanimowany w karetce i przez ostatnie minuty to wbiega do raję, to z niego wybiega, to rzeczywiście nic więcej się nie wydarzyło.*

- Ale przecież teść jest poważnie chory!*
- No i co z tego? I tak by mu nie pomógł. Doktorem nie jest!*
- Tak, ale...*
- Nina, czy ty nawet w takiej chwili nie możesz odpuścić? Przecież damy sobie radę.*

Tak, właśnie widzę. Dochodzę jednak do wniosku, że to nie pora na dyskusje, więc ustępliwie milczę.

Nie wiem, dlaczego to ja, po latach, gdy państwo Braunowie z zadziwiającą konsekwencją od fundamentów demolowali nasze relacje, mam teraz być tą osobą, która zapobiegnie życiowej katastrofie. Zaciskam szczęki i uświadamiam sobie, że choć nie łączy mnie z nimi subtelna nić pozytywnych emocji, spełniam swój moralny obowiązek.

Teściowa zdaje się nie zauważać mojego skonfundowania i wpatrzona w ponury obraz starych zaniedbanych kamienic ciągnie:

– Wojtek jest taki oddany! Zawsze każdemu pomaga, a o nas dba szczególnie. Gdy przychodzi, zawsze ma dla mnie czekoladki, wiesz, te Wedla, które od lat jem rano. Myślę wtedy o tym moim dziecku i przypominam sobie, jaki był malutki. Wiesz, jak się urodził, to od razu wiedziałam, że będzie kimś. Miał taką mądrą twarzyczkę.

Zastanawiam się, jakie oblicze po narodzinach zaprezentował Bartosz – drugi syn, do niedawna mój mąż. Zapewne zawinięty w tetrową pieluchę nie przedstawiał się tak godnie i inteligentnie.

– A jakie ma teściowa najmiłsze wspomnienie związane z Bartkiem?

– A wiesz, że się nie zastanawiałam. No ale, Panie Boże, ocal jego duszę, Bartka już nie ma. Wiesz, to takie przykre, został mi tylko jeden syn... – I gwałtowna wolta myśli. – Jakby co, to przecież Wojtek przyjedzie na pogrzeb.

– Halo! Teść jeszcze nie umarł.

– Tak, tak, ale w naszym wieku to nic pewnego. Nie wiadomo, co to będzie – powtarza w zamyśleniu, przygryzając nowiutkim implantem dolną wargę. – Mam przecucie, że to może być koniec. – Głośno wciąga powietrze i przykłada do oczu wymiętą jednorazową chusteczkę. – Jak to człowiek nie wie, co go czeka. A taki był zdrowy!

– Jest!

– No przecież jest chory!

– Ale jest, w sensie ogólnym jest.

– Tak, jeszcze. Jednak nie wiadomo, co to będzie.

– No właśnie, skupmy się na teraźniejszości i na tym, co możemy zrobić.

– Lekarzem nie jesteś, nic nie wymyślisz...

– Przecież nie będę teścia diagnozowała, ale trzeba się dowiedzieć, co i jak, i przede wszystkim znaleźć lekarza, który się nim zaopiekuje, a przynajmniej wyjaśni, co oznaczają stawiane diagnozy i jakie są rokowania. Może teściowa zna jakiegoś kardiologa?

– Oczywiście! – Pani Ola wyraźnie się ożywia. – W naszym gronie jest kilku lekarzy, i to samych profesorów. Tadeusz jest kardiologiem.

– A w którym szpitalu pracuje?

– Dziecko... – Po raz pierwszy staję się dzieckiem pani Aleksandry, co za zaskoczenie, po latach małżeństwa z Bartkiem. – Co ty mówisz? Przecież on ma osiemdziesiąt dwa lata i od dawna jest na emeryturze!

– Czyli jednak nie znamy nikogo, kto mógłby nam pomóc.

– To ty nie znasz!

Jezu! Oszaleję. Wiozę bezradną wiekową istotę, która zamiast okazać choć minimalną wdzięczność, oddaje się uszczypliwym połajankom. I mimo że czyjeś prawdziwe oblicze poznaje się tylko w skrajnych sytuacjach, niezmiennie te nowe twarze zawsze mnie zaskakują. Z drugiej strony, wielu się dziwi, gdy zaczynamy zachowywać się tak jak oni. Podejrzewam, że gdybym to ja zdobyła się na takie niemiłe uwagi, starsza pani śmiertelnie by się obraziła.

Wjeżdżam za karetką na plac przed szpitalem i równie szybko przegoniona przez ochroniarza wyjeżdżam. Okazuje się, że w połowie pusty parking jest zarezerwowany dla lekarzy i pracowników, natomiast pacjenci muszą parkować poza terenem szpitala. Cieszę się, że moim jedynym zmartwieniem jest podupadła na duchu teściowa, a nie na przykład teściowa o zdrowym duchu, za to ze złamaną nogą, którą musiałabym transportować przez kilkaset metrów z płatnego parkingu na sąsiedniej ulicze.

Okazuje się, że – tak, jak podejrzewałam – okolice uliczki otabliczkowane są informacjami o bramach wjazdowych, groźbie odholowania czy zwykłymi zakazami postoju, a parking strzeżony jest zapchany do granic możliwości.

Po dwudziestu minutach krążenia nadal nie mam pomysłu, gdzie mogłabym się podziać, więc zawracam, wysadzam teściową przed

szpitalnym szlabanem i ponawiam próbę znalezienia wolnego miejsca. Wreszcie dostrzegam młodą dziewczynę, z nogą zabandażowaną aż po pachwinę, podpieraną prawdopodobnie przez narzeczonego, która usiłuje zmieścić usztywnioną kończynę w zielonej corsie. Po wielokrotnych próbach i skomplikowanych manewrach wreszcie zatraskują drzwi i odjeżdżają.

Z niemałym trudem wmontowuję się w niewielką lukę między samochodami i biegnę pod budkę strażnika, przed którą zostawiłam teściową. Rozglądam się i z przerażeniem dostrzegam, że pani Ola zniknęła.

– Nie widział pan starszej pani? Miała tu na mnie czekać.

– Pani, tu prawie same starsze panie wchodzą, nie zwracam na nie uwagi. A w co była ubrana?

Nie mam pojęcia. Mimo że od godziny nie odstępowałyśmy się na krok, nie pamiętam, co miała na sobie. Na szczęście przypominam sobie, że teściowa właśnie zakończyła kolejną fryzjerską rewolucję i ma włosy bardziej rude i płomienne niż młoda marchewka. Nieustannie eksperymentuje z ich długością i kolorem, zupełnie jakby nie mogła się zdecydować, w jakiej fryzurze będzie dobrze wyglądać w trumnie.

– Niewysoka, z krótkimi rudymi włosami...

– A, ta! Stała tu jakiś czas bardzo niezadowolona i stale powtarzała: co to będzie, co to będzie.

– To z pewnością ona! Wie pan, dokąd poszła?

– Tam.

Ręką spowitą w czarny materiał nieprzemakalnej kurtki pokazuje wejście do szpitala lub równie dobrze izby przyjęć czy barku.

– Ale gdzie tam?

– Pani, niech mi pani głowy nie zawraca! Nie pilnuję tu ludzi, tylko samochodów. – Wkurzony obraca się w kierunku stojącego przed szlabanem forda i wykrzykuje: – Czytać nie umie? Przecież pisze, że nie ma wjazdu! – I pod nosem mruczy: – Co za głupie, prymitywne ludzisko.

Głupie nie głupie, z pewnością równie mocno wytrącone z równowagi jak ja. Wściekła na teściową udaję się w najbardziej w moim odczuciu prawdopodobne miejsce – na izbę przyjęć. Ale oczywiście tam pani Oli nie ma. Nie ma jej również w barku ani w holu

głównym. Nie odbiera komórki.

Wreszcie dochodzę do wniosku, że w dupie mam to, gdzie polazła, raczej powinnam zainteresować się tym, co się dzieje z teściem. Ze zdziwieniem dowiaduję się, że nie ma go na izbie przyjęć, trafił bezpośrednio na oddział kardiologiczny. Przy okazji wypełniam z pomocą pielęgniarki dokumenty, niestety tylko w zakresie podstawowych danych, bo oczywiście o przebytych chorobach i takich tam nic nie wiem.

Jako kontaktowy podaję numer telefonu teściowej, Wojtka i mój – małym druczkiem, tak na wszelki wypadek. Trochę mnie to zaskakuje, ale miła młoda pielęgniarka tłumaczy, że pierwsze otrzymane z karetki wyniki badań, w tym zapis EKG, zakwalifikowały teścia do natychmiastowej interwencji chirurgicznej, cokolwiek to znaczy.

Zielona szpitalna wykładzina, tandetne krzesła zapełnione ludźmi i bardzo powoli mijające minuty zapowiadają długi wieczór. Ponieważ muszę czekać i nic tu po mnie, ponownie ruszam na obchód szpitala w poszukiwaniu pani Aleksandry.

Wreszcie znajduję ją rozmodloną na starym drewnianym klęczniku obitym bordowym aksamitem, tuż przed ołtarzem szpitalnej kaplicy. Nie wiem, jak znalazła to miejsce, ale podejrzewam, że ją przywołało, tak by nie musiała podejmować żadnych decyzji i nie słyszeć być może trudnej i przerażającej prawdy o stanie teścia.

– Wszędzie teściowej szukałam...

Niewiarygodna jest różnica światów i rzeczywistości zaprojektowanych w ramach tego samego budynku. Przechodząc przez próg, zamieniam zieloną wykładzinę na brązowe kafle, a nieprzyjemny chemiczny zapach środków czystości na ciężki aromat kadzidła. Mimo że teściowa jest jedyną modlącą się tu osobą i tylko jej spokój zaburzam, mam wrażenie, że rujnę coś ulotnie mistycznego.

Szybko jednak wybudzam się z tego uduchowionego stanu, pani Ola bowiem w ogóle nie reaguje na moje słowa. W pierwszej chwili myślę, że mnie nie usłyszała, więc zadaję skądinąd głupie pytanie:

– Co teściowa tu robi?

Zamiast odpowiedzi słyszę głośnie:

– Pst.



Niecierpliwe machanie dłonią daje mi do zrozumienia, że przeszkadzam. Szlag mnie trafia, bo nie dość, że wlokłam ją przez całe miasto, przeszukałam cały szpital, gdy mi zniknęła, to teraz mam czekać, aż odklepie kolejne dziesiątki różańca. Myślałam, że przyjechałyśmy się dowiedzieć, co z teściem, a nie się modlić! Po drodze minęłyśmy ze dwa kościoły, więc może trzeba było w którymś zostać.

Głośno rzucam:

– Idę na kardiologię. – I nie oglądając się za siebie, kolejny raz zanurzam się w opary środków do dezynfekcji.

W zasadzie nie wiem, co mam robić. Teść jest operowany, prawdopodobnie po zabiegu nie będzie z nim kontaktu, więc poza rozmową z lekarzem niewiele mogę. Po drodze na oddział, a w zasadzie do jego przedsionka, w szpitalnym sklepiku kupuję sok, paczkę herbatników i dwie małe butelki wody mineralnej z myślą o tym, że zostawię je na szpitalnym stoliku.

Siadam na tym samym krześle co poprzednio i bezmyślnie obserwuję czekających. Obok mnie dwie starsze panie, każda z laseczką i w czapce na głowie, toczą dziwny słowny pojedynek. Najwyraźniej drewniana laska jest skrępowana głośnymi pytaniami białej ortopedycznej kuli i niechętnie udziela odpowiedzi.

– Pani też tu? Pamiętam panią z poprzednich wizyt.

– Tak?

– Tak, widziałam panią kilka razy. Też pani chodzi do doktora Kapczyńskiego?

– Tak.

– Widzi pani. Ja piętnaście lat, nie, w marcu będzie siedemnaście, jak się u niego lecę. A pani?

– Z osiem.

– I co, zadowolona pani?

– Tak.

– A co pani jest? Serce?

Chryste, jeszcze chwila i poznam całą historię choroby zahaczającą o bliższą i dalszą rodzinę.

– Tak, jestem po zawale.

– Pani patrzy, ja też. W dwa tysiące pierwszym. Mam rozrusznik.

Jakoś tak się żyje powoli, ale ochoty na nic już nie ma.

– Tak, ma pani rację, to już nie to samo.

O dziwo, drewniana laska łaskawie zgadza się z białą.

– Jak byłam w tym, no, jak tam, szpitalu wojewódzkim, to wie pani, dziwili się, że mam wycięte zastawki.

– Jak to wycięte, chyba tak nie można?

– Pani kochana, jak nie można, skoro ja tak mam? – Ortopedyczna kula z oburzenia aż czerwienieje.

– No, nie wiem.

Drewniana laska nie podejmuje dyskusji i na chwilę zapada cisza. Niestety na bardzo krótką chwilę, bo ortopedyczna kula nie odpuszcza.

– A ta blondyna to lekarka?

Rozglądam się z zaciekawieniem, o kim mowa, i dostrzegam filigranową młodziutką dziewczynę w białym fartuchu.

– Eee, chyba nie. To już by była przesada, żeby dzieci leczyły?

Drewniana laska wykazuje nadzwyczajne zainteresowanie personelem medycznym i odkleja się od własnych myśli, rozglądając się na wszystkie strony.

– Co to się porobiło... Mówię pani, coraz gorzej się dzieje.

Pewnie, że gorzej, bo z perspektywy siedemdziesięciu lat nawet trzydziestolatki stają się gówniarami. Ku konsternacji obu pań okazuje się, że to faktycznie lekarka, bo po chwili otwiera drzwi gabinetu po lewej stronie i głośno pyta:

– Kto z państwa do mnie?

– Pani słyszała? Toto leczy, a nie wygląda. Da pani wiarę?

– No nie. I jak tu takiej zaufać? Dziwię się, że ludzie do niej chodzą.

– Co mają robić, biedne ludziska. Mówię pani, co to się porobiło... I jak tu chorować? Jak mnie cięli, to zamiast w poprzek, to wzdłuż jakoś, tyle mi blizn porobili, szkoda gadać. A i tak się męczę, powietrza nie ma jak złapać. – Ortopedyczna kula głośno sapie i dalej peroruje: – Ale to wszystko długo trwa. Pani kochana, przecież ja czasu nie mam. Wie pani, ja już taka sprawna nie jestem, zanim się człowiek ubierze, rozbierze, te rajstopy naciągnie, porozciągane to wszystko, z córką powinnam przyjść, ale w Anglii siedzi i człowiek musi sobie sam radzić.

A pani dzieci ma?

- Tak, córkę, też w Anglii.
- Patrz pani, jaki to los, tak człowiek na stare lata sam został.
- Tak, co zrobić? Trzeba jakoś dawać sobie radę. Ale żal jest.
- O tak, tak.

Energicznie otwierają się drzwi po prawej stronie i łysiejący lekarz głośno woła:

– Pani Czerniak?

Z krzesła na końcu korytarza podnosi się około pięćdziesięcioletnia kobieta w czerwonej chustce na głowie, spod której wypada kaskada kasztanowych loków, co budzi żywe zainteresowanie obu lasek i komentarz ortopedycznej:

– Czerniak. Phi. Jak można się tak nazywać?

– No widzi pani, głupota jakaś, czego to ludzie nie wymyślą? Moja szwagierka to na czerniaka umarła... ale żeby takie nazwisko?

– I jeszcze ta chustka, żeby w czymś takim na głowie przyjść do lekarza, za grosz szacunku.

– Kochana, czasy się zmieniły...

– O tak, tak.

Obie zgodnie kiwają głowami i głośno wzdychają.

– A pani to wierzy w te doktory?

– A pani nie?

– I tak, i nie. Moja znajoma to do takiej jednej chodzi, co ją bioprondami leczy.

– Co pani powie?

Drewniana laska wyraźnie się ożywia i spija każde słowo z pomarszczonych i mocno wygiętych ku dołowi ust drugiej.

– A do kogo chodzi?

– A żebym to pamiętała.

– A ta znajoma jak się nazywa?

– Ta istna? No też nie pamiętam.

– Powiedz pani, co to się człowiekowi z głową porobiło.

– No widzi pani. Chodzi człowiek koło komina i nie wie, co się w świecie dzieje.

– A i emerytury nie starcza. Dzieciom się trochę da, wnukom coś

doloży, a młode to nawet nie zajrzy. Przykro, nie ma co.

Nie jest mi dane dowiedzieć się nic więcej, bo szklane mleczne drzwi energicznie się otwierają i pojawia się wysoki, szczupły lekarz z kolorową chustą na głowie. Nie patrzy na nikogo, więc zaraz podbiegam do niego, żeby nie zniknął w kolejnym labiryncie gabinetów.

– Przepraszam, nazywam się Nina Braun, czy wie pan coś o moim teściu?

– A dzień dobry, myślałem, że nie ma nikogo z rodziny.

Przystaje na chwilę i bystrymi oczami lustruje moją postać, jakby miał zamiar wyczytać z niej coś więcej na temat naszych rodzinnych relacji.

– Ach, jesteśmy, teściowa modli się w kaplicy. Czy coś już wiadomo?

– Pani teść przeszedł rozległy zawał, konieczny był zabieg, ale jego stan jest stabilny. Jest po koronarografii...

– Co to oznacza?

– Niech się pani tak nie stresuje, został zakwalifikowany do zabiegu pomostowania aortalno-wieńcowego, czyli by-passów.

Niewiele z tego rozumiem, ale podświadomie czuję, że jest grubo.

– O rany.

– Nie ma się czym przejmować, zrobimy wszystkie badania, zabieg, wyślemy pani teścia do sanatorium i będzie jak nowy.

– Proszę to powiedzieć teściowej...

– No cóż, gdybym mógł się jeszcze na coś przydać, to mam dzisiaj dyżur, więc proszę się nie krępować.

– Możemy go zobaczyć?

– Raczej nie ma takiej możliwości, ale proszę się nie martwić, jest w dobrych rękach.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znika lekarz, a na jego miejscu, jak królik z kapelusza, wyskakuje teściowa.

– I co? Coś już wiadomo? Żyje?

– Żyje, jest po zabiegu.

– O Boże, a tak się bałam, tak się bałam...

– Czeka go jeszcze operacja by-passów, ale to dopiero po wykonaniu wszystkich badań.

– Jak ty mówisz o ojcu? Co za „go”? Szacunku nie masz.

Nie mam pojęcia, o co chodzi, dopiero po chwili dociera do mnie, że użyłam zaimka, który powinnam zamienić na jaśnie pan, szanowny teść czy pan Robert, zupełnie jakbym owym „go” odbierała mu całą wyższość, światowość i honor. Normalnie miałabym ochotę nią potrząsnąć, jak butelką z truskawkowym syropem na kaszel, ale myślę, że syrop lepiej by zrozumiał moje intencje niż pani Ola.

– Halo! Przypominam, że to nie jest mój ojciec! Czego teściowa oczekuje, że jak będę tytułować teścia? Wyluzujmy trochę, przecież to nie ma żadnego znaczenia. Nie uważa teściowa, że cały ten nasz układ jest wystarczająco popieprzony i jedno „go” nie pograży nas bardziej?

– Jak ty się wyrażasz?

– Tak jak mam ochotę.

– A gdzie szacunek?

– Wszędzie! Nie możemy zobaczyć teścia, więc pytanie, co robimy. Może odwiozę teściową do domu, bo nic tu po nas.

– Możesz.

– OK.

Zaciskam szczęki i w myślach dziękuję za łaskawe przyzwolenie.

Jedziemy w milczeniu tą samą trasą, mijając te same dwa kościoły, z tą różnicą, że teraz droga wydaje się dłuższa. Kurtuazyjnie pytam, czy mogę jeszcze w czymś pomóc, czy ma w domu wszystko, i dowiaduję się, że niczego nie potrzebuje, bo już dzwoniła do swojego grona przyjaciół i jej pomogą. W jednej chwili z opoki staję się zbędnym elementem, co właściwie powinno mnie wkurzyć, a tymczasem czuję zwyczajną ulgę, że mogę przekazać pałeczkę komuś innemu.

Cieszę się niezmiernie, tym bardziej że w progu jej domu witają nas dwie zapłakane stare przyjaciółki teściowej, które kojarzę z urodzinowej herbatki w ogrodzie. Na ich widok teściowa uderza w spazmy. Cichaczem się wycofuję i wykończona wracam do siebie.

Jest ciemno, ponuro i nijak. Opustoszałe ulice ukazują cały bałagan i zaniedbanie miasta. Żółte światła latarni odbijają się w mokrych, wygładzonych kocich łbach, na których moja honda nierówno podskakuje, jakby miała kaszel. O dziwo, nawet lubię tę nocną ciszę i wyludnienie.

Otwieram bramę i parkuję pod prowizoryczną wiatą. Zabieram zakupy, które zrobiłam dla teścia, po chwili zastanowienia jednak zostawiam je w bagażniku. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem wyczerpana i poirytowana. Do tego stopnia, że na przekór organizmowi pewnie nie będę mogła zasnąć.

Kurczę, że też akurat teraz Wojtek musiał wyjechać na urlop! Nie potrafię, nie mam ochoty i nie czuję się na siłach pocieszać teściową, która coraz bardziej doprowadza mnie do szału. Wszystko to sprawia, że czuję się jak granat pozbawiony zawlecзки, w dodatku mam masę własnych problemów na głowie i nie jestem gotowa na kolejną szpitalną traumę.

Chociaż cieszę się z zainteresowania, jakie wykazało tak zwane grono, jestem pełna obaw, że zamiast wlać w starszą panią otuchę, opowieściami o krewnych i dalszych znajomych po zawałach, dysfunkcjach i chorobach, o błędach lekarskich nie wspominając, raczej doprowadzi ją do jeszcze większego rozstroju nerwowego.

W domu panuje cisza. Wszyscy śpią, łącznie z kukułką w zegarze Klary, którą uspiłam na dłuższy, bliżej nieokreślony czas, zdejmując jeden z ciężarków w kształcie szyszek zwisających na metalowych łańcuszkach.

Mam ochotę delektować się niezmaconym spokojem, tak rzadkim w tym miejscu, a natarczywe jak dotąd zmęczenie przestaje mną szarpać. Zrzucam z siebie śmierdzące szpitalem rzeczy, wchodzę pod prysznic i pozwalam, by gorąca woda jeszcze bardziej ukoiliła tę straszną część dnia. Wkładam cienki, puszysty dres i wsuwam stopy we włochate grube skarpety.

Dziś zasłużyłam na coś szczególnego, więc wyjmuję z lodówki nie wiadomo kiedy odkorkowane białe wino i nalewam odrobinę złocistego płynu do wysokiego kieliszka. Wślizguję się pod koc na kanapie, w który zwykle wieczorem zawija się Klara, i czuję, jak powoli opadają emocje.

Zwietrzałe wino smakuje ohydnie, więc tylko bawię się kieliszkiem, rozmyślając, jak bardzo nienawidzę szpitali, smrodu środków do dezynfekcji, zielonego linoleum, tej niezmiennej atmosfery nieuświęconego sanktuarium, gdzie choroba wszystkich zrównuje,

a lekarzom się wydaje, że władają życiem innych i mają więcej praw niż ich pacjenci. Gdzie mówi się szeptem i mimo opóźnień, długich kolejek, bólu nie narzeka, a jeśli już, to tylko cichaczem i trochę pod nosem, by – broń Boże – nie usłyszał żaden lekarz, bo co by to było! Pewnie gorzej by nas potraktował, czegoś tam nie zrobił, nie zapisał, nie dał zwolnienia, choć i tak go nie może dać.

Uwikłani w emocje i strach pozwalamy, by traktowano nas przedmiotowo, wychodząc z założenia, że awanturujący się i domagający swoich praw pacjent może trafić na czarną listę tych, którzy, nierzadko, chwytają wodze naszego życia. Twarze zamieniamy na numerki. Człowieka na kartotekę i wyniki badań. Nie rozumiemy, co do nas mówią i co oznaczają diagnozy. Im mniej się uśmiechamy i im bardziej stajemy się potulni, tym mniej wiemy. Oczywiście są lekarze wyjątkowi i ich oddziały są przyjaznym miejscem, jednak zakorzeniony od lat strach otumania i znieczula racjonalizm w umysłach pacjentów.

Im dłużej o tym myślę, tym dalej zaczynam sięgać pamięcią, by wreszcie głową w dół runąć w czarną studnię wspomnień z Jaśkiem i Bartkiem w rolach głównych. Po chwili czuję się zupełnie tak jak w dniu, kiedy wydarzył się wypadek. Niemal słyszę gwar La Rambli, pisk hamulców, i nie mogę powstrzymać łez, które spływają mi po policzkach. W obawie, że obudzę dzieci, usiłuję się opanować, ale tęsknota jest tak wielka, że nieświadomie zaczynam głośno szlochać, niemal skowycząc jak bity pies.

Choć rozum każe mi przestać, podpowiadając, że postawię na nogi cały dom, emocje wygrywają. Rozklejam się na dobre i... nie muszę długo czekać, by na schodach pojawiła się rozczochrana, zaspana i wystraszona Anka.

– Pani Nino, co się stało? Pan Robert umarł?

– Nie, no co ty.

Patrzy na mnie skonfundowana, nie rozumiejąc powodu moich łez.

– Boże, to dlaczego pani płacze?

– Myślałam o Jaśku, Bartku. Szpital mi o wszystkim przypomniał.

Tak bardzo tęsknię... – Nie zważając na nic, głośno wycieram nos w kolejną jednorazową chusteczkę i rzucam ją na stosik pomiętych kulek leżących pod kanapą. – Szpital przywołał chwile, o których tak bardzo

chciałam zapomnieć. Wiesz...

Nie jestem w stanie mówić, niewypowiedziane słowa więzną w gardle, poza tym zdaję sobie sprawę, że mimo szczerych chęci Ania nie potrafi tego zrozumieć, bo ten żal, strach, rozpacz trzeba poczuć samemu, przepracować je, wierząc, że kiedyś ta praca przyniesie efekt w postaci zrozumienia, choć doskonale wiemy, że to się nigdy nie stanie.

Ania nie oczekuje ciągu dalszego, siada nieopodal w fotelu i zwyczajnie milczy, a ja jestem jej wdzięczna. Za ciszę, brak pytań i głupiego gadania, że wie, jak to jest. Wreszcie ostatni raz smarkam w chusteczkę, która już nie wchłonie ani jednej dodatkowej kropli wilgoci, i powoli się uspokajam. Oczy mnie pieką niemiłosiernie, coraz gwałtowniej przeganiając zmęczenie.

– OK. Już – informuję, zupełnie jakbym dokonała jakiegoś odkrycia czy rozpoczęła nową erę.

– Nareszcie. Lepiej pani?

– Chyba tak. Co u dzieci?

– Wszystko dobrze. Klara przeczytała Mariannie książeczkę o zajączku, a w zasadzie osiem zdań, które złożyły się na całą opowieść, ale mała i tak była zachwycona.

– Żartujesz?

Czyżby w mojej córce kielkowały nowe uczucia do Maryśki, której tak bardzo nie lubiła? Co prawda dziewczynki spędzają ze sobą coraz więcej czasu, jednak nic ich przyjaźni i wzajemnej tolerancji jest bardzo cienka i niespodziewanie się rwie z byle powodu, prowadząc do kłótni i sprzeczek.

– Serio. Też byłam zaskoczona. Chyba zaczynają traktować się jak siostry.

– Oby! Też mi się tak wydaje, ale te ich przepychanki doprowadzają mnie do szału.

– Dzieciaki tak mają, nie trzeba się tym przejmować.

– A jak mały?

– Jak zwykle: kupa, siku, jeść. Coraz dłużej bawi się grzechotkami i sam siada.

– Tak, widziałam, wczoraj jak boja na wodzie walczył z kocykiem, który wkopał sobie pod pupę i przeszkadzał mu w manewrach.



– Kiedy siedzi, wygląda jak mały Budda, zupełnie jakby ktoś na rączkach i nóżkach zawiązał mu mnóstwo żyłek, które powbijały się w skórę i zrobiły z Antosia prawdziwego ludzika Michelina.

– Klara była jeszcze grubsza.

– Niemożliwe.

– A jednak. Wiesz, chciałam ci powiedzieć, że cieszę się, że z nami jesteś.

– No właśnie... – Anka spuszcza wzrok i zaczyna się jąkać. – Bo widzi pani, tak przy okazji, zresztą sama nie wiem...

Czuję, jak skóra cierpnie mi na karku, a jednocześnie zaczynam się pocić, bo podświadomie wiem, że za chwilę usłyszę coś, czego słyszeć nie dość, że nie chcę, to jeszcze nie jestem na to gotowa. Dlaczego akurat teraz?

– Skoro już rozmawiamy...

– Taaak? – Przeciągam to słowo, jakbym chciała odsunąć od siebie niewygodną myśl.

– Postanowiłam wrócić do nauki i od października rozpocząć studia.

Boże, co za ulga, już myślałam, że chce odejść, choć z drugiej strony to jakby to samo.

– Świetnie! Superpomysł, cieszę się, że do tego dojrzałaś.

Po migotliwej chwili optymizmu włącza się czerwona ostrzegawcza lampka i rozsądek bierze górę, bo przecież studia Anki równają się mojej osobistej katastrofie. Jak ja teraz ogarnę dom, kto się zajmie dziećmi? Poszukiwanie nowej opiekunki, rezygnacja z pracy, z której zrezygnować nie mogę... cholera jasna, a było tak dobrze! I choć się uśmiecham, czuję, jak wszystko się we mnie kotłuje, i chociaż oczywiście jestem zainteresowana jej marzeniami, dalece bardziej interesuje mnie mój własny plan.

– A co chcesz studiować?

– No właśnie to jest problem, bo jeszcze nie podjęłam decyzji. Myślałam o bibliotekoznawstwie albo filologii klasycznej... może logistyka. – Anka prezentuje cały wachlarz kierunków, które nijak mają się do siebie, jej możliwości i zainteresowań, o perspektywie znalezienia pracy nie wspominając.

– Idziesz szeroko.

– Bo nie wiem, co chciałabym robić. Mama by chciała, żebym została lekarzem albo prawnikiem, ale przecież nawet się nie dostanę. Może bibliotekoznawstwo byłoby OK?

– Oszalałaś, co będziesz po czymś takim robić?

Anka nadyma się, zupełnie jakbym dała jej klapsa, nieco odsuwa, mocniej wciskając się w poduszkę, i z zaciętrzewieniem uderza najbardziej banalnym argumentem:

– Słyszałam, że to przyjemne studia.

– Owszem, ale przecież nie znajdziesz pracy!

– Nie to jest najważniejsze. – Boże, jakbym słyszała Klarę perorującą o wyższości truskawkowego lizaka nad bułką z szynką. – Myślę przede wszystkim o samodoskonaleniu i rozwoju osobistym.

Zdumiewające, jak szybko zmienia się słownictwo człowieka, który myśli o wyższym wykształceniu w kategoriach karateki zdobywającego kolejny pas.

– To lepiej idź do psychologa, dowiesz się o sobie więcej, niż grzebiąc w zakurzonych książkach, a będzie taniej i szybciej. Chcesz studiować dla samej idei studiowania czy po to, by móc w życiu robić coś ciekawego?

– To i to. – Naburmuszona Anka patrzy na mnie zranionym wzrokiem. – Niepotrzebnie pani powiedziałam. – Podnosi się z kanapy i sięga po pusty kieliszek.

– Ania, nie wygłupiaj się, przecież nie chcę cię urazić, tylko tak trochę rozkminiam temat. Chodź, pogadamy.

– Nie mam ochoty.

Anka zachowuje się jak nafochana nastolatka, do której nie trafiają żadne argumenty. Nerwowo kręci kieliszkiem ósemki w powietrzu i tylko czekam, kiedy delikatne szkło rozprysnie się na deskach podłogi.

– Kochana, no, nie patrz tak na mnie. Traktuję cię jak córkę i może dlatego trochę włożę między wódkę i zakąskę. Jest tyle fajnych kierunków. Naprawdę cieszę się, że chcesz studiować i się rozwijać, ale może warto się zastanowić, jaki kierunek otworzy ci drzwi do kariery, kasy, domu z ogródkiem, samozadowolenia...

Nie do końca przekonana Anka zapada się ponownie w fotel

i skubie nitkę wystającą z poduszki, co doprowadza mnie do szału, bo to jedna z trzech ostatnich, które tak bardzo lubię i która zapewne, podobnie jak poprzednie, popruje się tak, że nie da się jej zszyć.

– No nie wiem. Myślę, że pani mnie nie rozumie.

– Możliwe, przecież nie siedzę w twojej głowie! Jeśli biblioteka jest twoim wymarzonym miejscem pracy, to dobry wybór.

Kolejny raz okazuje się, że cisza i spokój, które miały być tylko moim udziałem, zmieniły się w pełen napięcia czas. Spędzamy go na egzystencjalnej dyskusji – Anka pełna nadziei i optymizmu, ja przepełniona obawami i poczuciem opuszczenia. Wreszcie Ania dochodzi do konstruktywnego wniosku, że powinna zgłębiać technologie żywienia, tym bardziej że od tygodni skrupulatnie liczy każdą pochłoniętą kalorię. Bo Ania nie je, tylko chłonie. Mam wrażenie, że przez te swoje owsianki i wafle ryżowe nie dość, że jest wiecznie głodna, to jeszcze mocno poirytowana.

Im dalej w noc, a właściwie im bliżej poranka, tym bardziej czuję, że mój starannie poukładany plan coraz bardziej się rozpada i powinnam szukać zielonej tabliczki z napisem „wyjście awaryjne”. Czyli jak tylko zadzwoni budzik, obdzwonić okoliczne przedszkola, by w jednym z nich ulokować Mariannę, i zastanowić się nad żłobkiem dla Antosia, bo na kolejną opiekunkę zdecydowanie mnie nie stać.

Kilka godzin i parę krótkich telefonów później odkrywam, że w żadnej z bliższych i nieco dalszych placówek nie ma wolnych miejsc, poza przedszkolem prowadzonym przez zakonnice, z którego właśnie odeszło – ponoć z powodu przeprowadzki rodziców na drugi koniec Polski – jedno z dzieci.

Rzucam się jak pstrąg na muchę i łapię na przynętę obietnic, że to miejsce oferuje dzieciom coś więcej niż nocniczki, klocki, miniłóżeczka i mikrohabity. Mam nadzieję, że tym czymś nie są kolorowe koraliki spięte w dziesiątki małych różańców, i po chwili staję przed drzwiami budynku sąsiadującego z wielkim, starym ceglany kościołem pod wezwaniem Maryi Matki Pięknej Miłości. Nazwa jakby trafiona w punkt, choć nie wiem, co wiedzą o dzieciach kobiety, które nigdy własnych nie posiadały. Cóż, może tym razem znajomość teorii wystarczy.

Drzwi otwiera blada, pozbawiona blasku zakonnica, w nieokreślonym wieku, za to z doskonale obrysowanymi kilogramami, które szczelnie wypełniają jej znoszony szary habit.

Początkowa euforia ustępuje pokorze i nieśmiałości. Nie jestem pewna, czy to za sprawą ciszy, habitu czy wielkiego krucyfiks wisiącego na ścianie między korkowymi tablicami pełnymi kolorowych rysunków, ale czuję się niepewnie, zupełnie jakbym przekroczyła próg nieznaną mi świątyni.

Głupkowate uczucie, bo przecież to tylko kobieta odziana w nieco inną suknię niż ja, z welonem na głowie zamiast trwałej ondulacji i efektownego balejażu. Automatycznie zastanawiam się, jak powinnam się przywitać i jak brzmi chrześcijańskie pozdrowienie pasujące do okoliczności. Wszystko, co mogę sobie przypomnieć, wydaje mi się staromodne i może trochę ośmieszające dla mnie, a mając do wyboru „niech będzie pochwalony” i staropolskie „szczęść Boże”, wybieram to drugie.

– Szczęść Boże.

Chyba trafiłam w dziesiątkę, bo przez zadumane i pozbawione wyrazu oblicze stojącej przede mną kobiety przepływa niemal niewidoczna fala emocji burząca skupienie, a bladoszare oczy spoglądają na mnie z ciekawością.

Nie wiem, dlaczego spojrzenie niemal wyblakłych oczu budzi uporczywe skojarzenie z demonem, więc kulę się jeszcze bardziej i w myślach krzyczę na siebie, że chyba mnie pogięło i natychmiast mam zacząć się zachowywać jak dojrzała ponadczterdziestoletnia kobieta, a nie stojąca nad grobem starowinka, której duchowa egzystencja zależy tylko i wyłącznie od żarliwej modlitwy siostry zakonnej!

– Szczęść Boże. Słucham?

– Rozmawialiśmy dziś przez telefon o wolnym miejscu w przedszkolu...

– Ach, to nie ze mną pani rozmawiała, tylko z siostrą Rafaelą. Proszę za mną, zaprowadzę panią.

Przepuszcza mnie przed sobą i zamyka za nami grube sosnowe drzwi w kolorze naturalnym, z wyraźnie wypisanymi kredą krzywymi literami K + M + B 2016. Gdy byłam dzieckiem, przez analogię

zapisków na ścianach szkolnych toalet,  $A + B = WM$ , myślałam, że to bardziej zaawansowana symbolika miłości wyznawanej w domach tak oznaczonych, i obiecywałam sobie, że też tak opiszę drzwi do dorosłości i własnej rodziny.

Pamiętam rozczarowanie, gdy na religii ksiądz nie dość, że dokonał dokładnej wiwisekcji owego zapisu, to jeszcze zrobił z tego kartkówkę, co sprawiło, że gryzmoły w toaletach i te wyskrobane cyrkłami na zielonych szkolnych ławkach wydały mi się bardziej przyjazne i znaczące.

Siostra Rafaela okazuje się bardzo sympatyczną, nieco wycofaną mniej więcej trzydziestolatką. Zdumiewające, że kobiety pozbawione makijażu, modnych fryzur i ciuchów jednocześnie pozbywają się wieku, a czasami nawet płci, stając się szarą, zazwyczaj przezroczystą zagadką dla płci przeciwnej, której nikt nie zamierza rozwiązywać.

Z siostrą Rafaelą jest podobnie. Wydaje się ulotna przez swą delikatność, powolność i cicho wypowiedane kwestie. Pochylam się w jej stronę coraz mocniej, bo mam wrażenie, że jej słowa mnie omijają, i aura mistycyzmu ustępuje lekkiej irytacji. Mimo wszystko jednak kobieta zaskakuje mnie swoim urokiem, habitem w szaro-białą kratkę i życzliwym uśmiechem, który rozładowuje napięcie. Najwyraźniej dostrzega mój niepokój i podenerwowanie.

– Widzę, że dziwi panią mój strój, ale tak jest przyjaźniej dla dzieci.

Siedzę na lichym, chwiejącym się krześle vis à vis starego dębowego biurka i słucham kolejnych objaśnień dotyczących tego miejsca. Otrzymuję listę niezbędnych rzeczy: od papci i szczoteczki poczynając, przez poduszkę i kocyk, a na plastelinie kończąc. Następnie pada propozycja obejrzenia placówki: sal, placu zabaw, łazienek z mikrokibelkami i takimiż umywalkami. Rodzi się we mnie poczucie – mimo ohydnej beżowo-popielatej wykładziny w duże kwiaty – że to bardzo przyjazne miejsce. Okazuje się też, że siostry prowadzą coś w rodzaju żłobka, i zapisując Mariannę, mogłabym zostawiać na kilka godzin dziennie Antosia, co wydaje mi się bardziej niż kuszące.

Dziwna mieszanka poczucia słuszności wyboru i zarazem przyparcia do muru sprawia, że podpisuję umowę oraz jakieś

oświadczenia, by od przyszłego poniedziałku życie moich dzieci stało się bardziej instytucjonalne i interesujące. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wsiadam do samochodu w przekonaniu, że los nareszcie się do mnie uśmiecha, przybija piątkę i jest po mojej stronie. Jestem tak ukontentowana, że przed odpaleniem silnika sięgam do schowka po butelkę wody mineralnej i pozwalam sobie na chwilę odprężenia. Czuję, jak zimny płyn spływa do żołądka, a zadowolenie rozsiada mi się na kolanach i leniwie przeciąga. Przyglądam się kudłatemu psu sikającemu pod najbliższą furtką i mam wrażenie, że życie zaczyna się układać tak, jak powinno, a Anka może zacząć te swoje studia, nawet w wersji dziennej i dwufakultetowej.

Gdy dzwoni schowana w torebce komórka, jestem tak przestraszona sygnałem trąb – Klara znowu grzebała w ustawieniach i zmieniła melodyjkę – że oblewam się wodą i wyglądam, jakbym popuściła.

– Cholera. – mruczę do siebie i wolną ręką gmeram w torebce leżącej na siedzeniu pasażera. Jasny gwint, jeszcze jej mi brakowało. Moja siora z precyzją szwajcarskiego zegarka zawsze wie, kiedy wbić się nie w porę i miejsce. Pokusa nieodebrania przegrywa ze świadomością, że Zośka nie odpuści i będzie się dobijać do skutku, wydzwanając do knajpy, do domu i Klary. – Halo.

– No cześć, kochana.

Ta „kochana” i radość w głosie kompletnie zbijają mnie z pantafelku, bo ostatnio rozstała się ze mną raczej w złości, i sprawiają, że staję się czujna. Złe przeczucia tarמושą mną na wszystkie strony, bo jej nagłe zmiany frontów, nastrojów i pomysłów na życie niezmiennie wprowadzają mnie w konsternację i muszę przyznać, że przy jej poziomie fantazji i odrealnienia coraz to nowe koncepcje z piekła rodem znacznie zwiększają dystans między nami. Postanawiam nie ułatwiać sprawy i czekam na kolejną rewelację, jedną z tych, jakie mi regularnie serwuje przy każdej formie kontaktu.

– Cześć – rzucam niechętnie, czując, jak serce zaczyna z lekka przyspieszać.

– No co nic nie mówisz?!

– Przecież to ty do mnie dzwonisz.

– Aha, no tak, widzisz, chciałam cię zaprosić na ślub, w sobotę za dwa tygodnie.

– Twój?

– A niby czyj?

W sumie nie mogę odmówić jej logiki, przecież nie zaprasza mnie jako osoby towarzyszącej, to raczej oczywiste.

– O, gratuluję! A z kim, jeśli można wiedzieć, zwiążesz się tym szczególnym węzłem?

Zastanawiam się, czy tym razem trafiła na złotołańcuchowego Zdzisia czy może Adasia – intelektualistę z baru obok, od lat na odwyku przeplatany okresami bezrobocia.

– No jak to z kim? Z Kazimierzem! Kazik jest wspaniały, zresztą sama zobaczysz. Trochę starszy, ale z jaką klasą. To co, przyjedziesz?

Znając upodobania siostry, w cichości dopowiadam, że chyba bardziej z kasą niż z klasą, ale taktownie milczę. Zresztą jestem zaskoczona pomysłem Zośki na ślub z gościem, którego pewnie dopiero co poznała w jakimś klubie. Pamiętam przecież nieszczęśnika, z którym do nas niedawno przyjechała.

Nie mam ochoty na imprezę, ale z drugiej strony myślę, że może być to jedno z najbardziej egzotycznych wydarzeń w moim życiu, a znając gust Zośki, niewątpliwie będzie to spektakularne wydarzenie towarzyskie. Oczywiście ciekawość bierze górę nad rozsądkiem i zamiast się zastanowić i bełkotać coś o planach i powiadomieniu w ostatniej chwili, jak pierwsza naiwniaczka przyjmuję zaproszenie. Przecież na dobrą sprawę to moja jedyna krewna.

– Świetnie. Przyjęcie będzie w sobotę siedemnastego w restauracji Dzikie Ogier, o czternastej. Bądź punktualnie. Aha, i nie kupuj kwiatów, tylko losy na loterię, i prezentu też nie, bo wiesz, teraz będziemy podróżować, więc przydadzą się pieniądze...

Nim się zastanowię, ile wypada włożyć do koperty, dowiaduję się, że koleżanki dają po pięćset, ale rodzina to minimum tysiąc, a skoro jestem siostrą, no to sama rozumiem... bo przecież ponoszą koszty, a jeszcze musi coś zostać...

Cholera! Czuję się, jakbym właśnie oberwała kopytem ogiera w głowę. Znowu dałam się podejść jak idiotka, a moja asertywność

poszła się pobujać na dalekim spacerze. Jezu, jak łatwo mnie wykorzystać. Mimo to jak automat obiecuję, że oczywiście się pojawię, i nawet jestem skłonna włożyć coś białego, skoro wszyscy mają być na biało, ale jednocześnie dochodzę do radosnego wniosku, że pieniądze są jednak ulotne, więc kupię Zośce coś z porcelany, tak na zawsze, najlepiej do ewentualnego kompletowania. Może nawet uda się zdobyć coś z ogierem w tle, a poza tym przecież nie skonsumuję mielonych i rosółu za pięćset, a tym bardziej tysiąc złotych.

Nic jednak nie jest w stanie zagłuszyć radości dnia i myśli o tym, że potrafię zorganizować życie rodzinne, choć oczywiście trudno o rodzinie mówić. Ta myśl nasuwa kolejną: czy będę potrafiła się z kimś związać, czy poczuję potrzebę oparcia się na dłużej na męskim ramieniu?

Jestem sparaliżowana samym pomysłem związania z kimś życia i tkwiąc w stanie zaimpregnowania na miłość, odpowiadam sobie: nie, nie, nie. Przede wszystkim nie wyobrażam sobie wpuszczenia obcego faceta do domu, ba, choćby pokazania mu, jak mieszkam, zrujnowania moich przyzwyczajęń, rytuałów, moich wolnych chwil. Prania jego brudnych gaci i konieczności przygotowywania bardziej mięsnych obiadów.

O wspólnym spaniu nie wspominając. A pokazanie się choćby częściowo nago?! Nawet przy zgaszonym świetle natknąłby się na niekoniecznie jędrną skórę, no, chyba że sam miałby jeszcze bardziej sflaczałą, ale to zapewne byłoby jednoznaczne z peselem rozpoczynającym się trójką, w najlepszym wypadku czwórka, podpiętym pod sztuczną szczękę, a na to zdecydowanie nie jestem gotowa.

I do tego prawdopodobne sesje drzemek po obiedzie, oglądania meczów i durnych filmów akcji. No i oczywiście facet w mniej więcej moim wieku zapewne ciągnie za sobą stado naburmuszonych nastolatków i kontakt z byłą żoną. Dzieci mam po kokardę i nie zniosłabym kolejnej dwójki, trójki, choćby jednego więcej w salonie na kanapie. W żadnym razie.

Brak męża jest niewątpliwie dotkliwą przypadłością, jednak absolutnie nikt mnie nie namówi na nowy związek. Zresztą gdzie bym miała kogoś poznać? W barze, na dyskotecie, na którą mam alergię



i która upośledza umysłowo i emocjonalnie, pogrążając ciało w letargu, podczas gdy wszyscy oczekują, że właśnie będę radośnie podskakiwać?

Może książkowo i jak dobra tradycja nakazuje – rozejrzeć się za mężem koleżanki? Tylko której? Moje znajome raczej nie posiadają obiektów wartych pożądania. Zresztą kalendarz imprez, przyczepiony na drzwiach lodówki kolorowymi magnesami, od śmierci Bartka i Jaśka jest z miesiąca na miesiąc coraz skromniejszy. Daje mi to poczucie, że na własnej skórze doświadczam procesu powolnego odstawiania samotnej znajomej od towarzystwa. Oczywiście nie dotyczy to przyjaciół, choć spoglądając na wariatkę Magdę i jej coraz młodszych partnerów, nie powinnam się obawiać, że poznam kogokolwiek.

Mięta i Pieprz witają mnie smrodem spalenizny, który kłębami wydobywa się z zaplecza kuchni.

– Chryste Panie, co tu tak śmierdzi?

– Maciek przypalił steka.

– Jak można spalić stek?

Okazuje się, że nowy kucharz może spalić i przypalić wszystko, od czosnku, przez mięso, na wodzie kończąc. Wyjątkowo nieogarnięty młodzieniec miewa chwile uniesień, podczas których nie tylko zaskakuje nowymi kulinarnymi pomysłami, ale również wyszukanym i estetycznym sposobem podania potraw. Jednak na co dzień wymaga nadzoru kogoś myślącego.

– Otwórzcie okna.

– Ale jest zimno.

– I co z tego? Lepszy chłód niż smród!

Jestem wściekła. Knajpa jest zupełnie pusta, a ulice miasta wyglądają tak, jakby mieszkańcy wyjechali na wakacje i zapomnieli wrócić. Aż się boję zajrzeć do kasy. Nie mam co analizować obrotu ostatnich dni, bo w zasadzie go nie było.

Dopada mnie strach, bo jeszcze tydzień–dwa takiego stanu rzeczy i będę mogła zamknąć interes. To, co kilka miesięcy temu było sukcesem, odeszło cichą ulicą wraz z ludźmi wyjeżdżającymi na serię idiotycznych długich weekendów, w dodatku skąpanych w deszczu. W zasadzie też bym nosa z domu nie wychylała, gdyby nie obowiązki i nadzieja na jakiś zarobek.

Obawiam się, że nadszedł jednak czas pomyśleć o innym źródle pieniędzy. Mam czterdzieści kilka lat i po raz kolejny muszę zaczynać wszystko od nowa, podczas gdy moi rówieśnicy odcinają kupony. Nie mam siły.

Strach otula mnie niczym futro z norek i czuję, że zaczynam się dusić. Życie osobiste przestało istnieć. Dom przestał być. A ja muszę nadal trwać, karmiąc i wychowując stadko dzieciaków. Ponoć los daje nam tyle, ile jesteśmy w stanie udźwignąć, tylko nie wiem, jak wpadł na pomysł, że jestem kulturystką, i obarczył mnie tym wszystkim. Czuję się stara jak dąb Bartek i równie niepotrzebna, rozpadająca się powoli na kawałki.

Rozleniwione kelnerki wiszą na drewnianym barze, dotrzymując towarzystwa przekwitłym fioletowym hiacyntom, które równie smutno zwisają na stertę pogniecionych serwetek i wydzielają niezachęcający mdły aromat.

- Dziewczyny, weźcie się do roboty, przecież trzeba tu posprzątać.
- Jest czysto.
- Gdzie? Bo raczej nie tutaj!
- No, stoły przetarłyśmy.
- Świetnie, ale jak widzicie, są tu jeszcze parapety, bar, podłoga.
- Ja nie mam zamiaru sprzątać, nie najęłam się na sprzątaczkę, tylko na kelnerkę.

Zatrzymuję się w pół kroku i wytrzeszczam oczy na Iwonę, która zaledwie dwa tygodnie temu, z CV w ręku i walizką pod pachą, z niepewną miną błagała o pracę.

– Macie sprzątać swoje stanowisko pracy, czyli miejsce, które obsługujecie, zresztą zachęcam do zapoznania się z piątym paragrafem umowy.

- Ale tam nie było nic o podłogach.
- Ten punkt umowy traktuje nie tylko o podłogach, ale i o całej reszcie, więc dalej, działamy.
- Już pani powiedziałam: jestem kelnerką i sprzątać nie będę.
- Nie rozumiesz, że to jest polecenie służbowe?
- Nie będzie mi pani rozkazywać.
- Pewnie, że nie. Proszę o wykonanie swoich obowiązków, czy to

zbyt dużo? Jeśli jest brudno, żaden klient tu nie usiądzie i nie zostawi ci napiwku, czyli nie zarobisz dodatkowych pieniędzy.

Mam nadzieję, że ta podana wprost idea dotrze do zakutego, ufarbowanego na czarno łba, ale tak się nie dzieje. Iwona wzrusza ramionami i oświadcza, że nie musi tu pracować. Jej złote okrągłe kolczyki chwieją się jak wahadełko bioenergoterapeuty.

– Oczywiście, że nie musisz.

– I nie zamierzam!

Nim zrozumie, co się dzieje, biegnie na zaplecze i po chwili wypada zza baru z dużą sztruksową torbą na ramieniu. Mija mnie, nawet nie zaszczycając spojrzeniem, i wychodzi na pustą ulicę. Osłupiałe spoglądamy za nią, nie pojmując, co się wydarzyło. Dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że mam o jednego pracownika mniej.

Miesiąc temu dostałabym ataku paniki, teraz jednak przyjmuję to spokojnie, dostrzegając raczej łut szczęścia w mojej finansowej sytuacji – jedna pensja mniej, jeden ZUS mniej, jedna pretensja mniej.

– To może ja zacznę sprzątać.

Marta przynosi z zaplecza koszyk ze ściereczkami i płynami do czyszczenia i w milczeniu zaczyna ścierać kurze. Wyrzucam doniczkę z hiacyntami i zabieram się do czyszczenia baru. W zasadzie muszę się przekopać przez sterty drobiazgów upchniętych w każdej pustej przestrzeni: karteczki w szufladach, stare paragony, których nie zabrali klienci, obleśne gumki do włosów z resztą kłaków na metalowych złączkach, kalekie długopisy z popękkanymi obudowami... a gdy natrafiam na resztkę bułki, robi mi się słabo i nie mogę uwierzyć, że w czasie mojej czterodniowej nieobecności można było doprowadzić to miejsce do takiego stanu. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak wyglądałaby knajpa po dwutygodniowych wakacjach moich czy Magdy.

I wcale nie chodzi o jakiś głupi Sanepid i jego iluzoryczne, poprzedzone pismem kontrole, tylko o całą resztę. Ma być jak w domu, moim domu, a nie tym wynajmowanym przez jakąś Iwonkę.

Przejściowym miejscem, o które nie trzeba dbać, bo nie jest nasze.

Spędzam w knajpie pół dnia, obsługując nielicznych klientów, i wracam niezadowolona do domu. Jestem psychicznie i fizycznie wyczerpana, a radosny nastrój poranka zniknął gdzieś po drodze.

Jak automat wykonuję kolejne domowe obowiązki: kolacja dla dzieci, wysłuchanie nowinek dziewczyn, kąpiel Antosia, bajki, całusy, kolejna pralka prania i nareszcie własne łóżko, do którego wpadam jak kamień w kałużę i twardo zasypiam.

No i stało się. Zaspałam. W zasadzie nadal nie rozumiem, jak mogłam nie usłyszeć budzika, ale najwyraźniej jego ciche wibrowanie, które teoretycznie zapobiega zerwaniu Toniego z łóżeczka, nie przebiło się przez serię męczących snów.

Zrywam się z paniką i bijącym sercem, niczym wyskakujący z okopów żołnierz. Dopadam do pokoju Klary i szarpnię ją za ramię, zmuszając nieprzytomne dziecko do wstania.

– Klara, szybko, zasnęliśmy.

– A dlaczego?

Mała zadaje idiotyczne pytanie, jednocześnie wwiercając się głębiej pod różową kołderkę w jeszcze bardziej różowe serduszka.

– Jezu, nie wiem, nie słyszałam budzika. Jesteśmy spóźnione.

Naciągam na zaspane stworzenie bieliznę, granatowe rajstopy i wełnianą niebieską sukienkę i w poczuciu małej wygranej biegnę do łazienki, gdzie zaczyna się jednak poranna irracjonalna walka.

– Mamo, ja nie lubię tej sukienki.

– Klara, nie ma czasu, przecież ładnie w niej wyglądasz.

Młoda, ze szczoteczką do zębów w ręku, stoi nieporuszona przy umywalce i upiera się przy swoim. Jej oleiste ruchy doprowadzają mnie do szału.

– Nie pójdę do szkoły w tym czymś, wyglądam jak głupek.

Smagam ją spojrzeniem i lekko popycham w stronę ręcznika.

– Boże, dziecko, co ty opowiadasz! Myj zęby!

Ruch szczoteczki w dół, jeszcze powolniejszy w górę, znowu ślimacze tempo w dół i leniwe w górę. Nie wiem, jak Klara to robi, że mimo kilku ruchów jej usta wypełniają się różową pianą, która oczywiście nie przeszkadza jej w artykułowaniu kolejnych pretensji.

– Ja cię w ogóle nie obchodzę.

Czerwone policzki wypluwają fontanny piany, która niczym pośniegowe błoto okleja wypolerowaną wczoraj powierzchnię lustra.

– Oczywiście, że mnie obchodzisz, dlatego zawożę cię do szkoły,

kupuję wszystko, czego potrzebujesz...

– No właśnie. Wcale nie pytasz mnie, co chcę nosić.

Kolejna seria piany ląduje tym razem na moim białym T-shircie, pstrząc go abstrakcyjnym różowym wzorkiem.

Jestem bliska szału, jednocześnie zastanawiam się, czy zdążę zmienić bluzkę (dochodzę do jednego słusznego wniosku, że nie), utrzymać szczoteczkę do zębów w ustach i nie trzasnąć małej.

– To w czym chcesz iść? – bełkoczę z ustami pełnymi piany.

– Może w džinsach i tej koszuli od cioci.

– Nie wymyślaj! Albo ta sukienka, albo granatowa.

– Jesteś okropna! Wiesz?

Cholera, wiem! I co z tego! Za chwilę zadzwoni dzwonek na pierwszą lekcję, a my, zamiast się zbierać, toczyliśmy bój o jakieś krynoliny. Jak mała niezgrabnie nakładam warstwę pierwszego z brzegu pudru, na wytuszowanie rzęs nie ma już czasu. Wypycham małą do jej pokoju, wywlekam obrażone dziecko z błękitu i nadziewam na nią sztywną granatową sukienkę, dar od teściowej, który sterczy na Klarze we wszystkie możliwe strony, obnażając chude jak patyki nogi z wystającymi kulkami kolan pośrodku.

Zbiegam do kuchni, potykając się o śpiącą na stopniach Ziętę, która za nic ma mój wyścig z czasem, i szykuję kanapki do szkoły. Wciskam Klarze do ręki bułkę z masłem i szynką, śniadaniówkę upycham w bocznej kieszonce plecaka. Wsuwam stopy w czarne rozdeptane emu, pozwalając, by nogawki piżamy luźno na nich zwisały, a na biały T-shirt narzucam cienką puchową kurtkę. Do szkoły jest kawałek, szkoda więc tracić cenne minuty na zmianę ciuchów, skoro po powrocie i tak mam zamiar z powrotem walnąć się w ciepłutkie łóżko. Ruszamy.

Oddycham głośno i nierówno, usiłując ukoić nerwy. Wszystko się we mnie trzęsie, a w dodatku z tylnego siedzenia zalewają mnie kolejne fale niezadowolenia rozczochranego stworzenia, które chce być traktowane jak księżniczka, a zachowuje się jak rozkapryszony bachor.

– Nie lubię tej szynki!

Bułka z wystającym kawałkiem wędliny niespodziewanie pojawia się tuż koło mojego prawego oka, co sprawia, że puszcza mi nerwy.

- Przestań wreszcie marudzić! Zrobiłam ci bułkę z szynką drobiową, którą jesz każdego dnia.
- No ale ona wygląda inaczej.
- Wygląda dokładnie tak samo. Mam się zatrzymać i cię nakarmić? Czy wolisz, żebym poprosiła o to wychowawczynię?
- Okropna jesteś!
- To zamień sobie matkę na lepszą!
- A żebyś wiedziała!

Mam ochotę wysiąść i nastrzelać jej w ten chudy zadek, ale zaciskam zęby i w milczeniu, pokonując kolejne garby na brukowanej ulicy, gnam w kierunku szkoły.

Jak na złość, tuż za pierwszym skrzyżowaniem wpadamy w korek i wlecemy się za żółtą koparką, której ze względu na ciąg samochodów jadących w przeciwną stronę nie możemy wyprzedzić. Żółty złom z powolną gracją damy opuszczającej bal nie spieszy się; osiągając prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę i wydając serię głośnych klekotów, staje się źródłem korka.

Przemieszczamy się w ślimaczym tempie, coraz bardziej złe. Rozgrzanych do czerwoności ofiar koparki jest najwyraźniej więcej, bo co rusz słyszę wycie silnika i obserwuję nieudaną próbę przesunięcia się w rzędzie samochodów, podejmowaną przez kierowców za mną albo przede mną. Wreszcie żółta landara skręca w boczną uliczkę i możemy nabrać lekkiego rozpędu, co nie zmienia faktu, że jesteśmy spóźnione co najmniej dwadzieścia minut!

Wysadzam Klarę z jej ponurą miną tuż przed głównym wejściem do szkoły. Mała zamiast biec, wlecze się jak pies na szczepienie. Spoglądam na nią ze złością i nie mogę odgadnąć, czy to za sprawą sukienki, czy raczej nastroju, wygląda jakoś inaczej niż zazwyczaj. Wreszcie dociera do mnie, że nie ma ze sobą plecaka! Opuszczam boczną szybę i drę się jak opętana, nie zważając na to, że mogą mnie usłyszeć nauczyciele siedzący w pokoju nauczycielskim, którego otwarte okna wychodzą na ulicę.

– Klara! Plecak!

Mała zawraca i sunie jak na zwolnionych obrotach w stronę samochodu.

– Podasz?

Rozglądam się po wnętrzu, ale cholernego plecaka nigdzie nie ma.

– A gdzie go włożyłaś?

– Ja?

– No ty, a kto?

– Myślałam, że ty go zabrałaś!

Okazuje się, że tobolek pełen książek i kanapek został w domu.

Cholera jasna!

– Jak mogłaś nie zabrać plecaka?!

– Myślałam, że ty go masz!

– To nie trzeba myśleć, tylko sprawdzić.

Wiem, że jestem niesprawiedliwa, ale nerwy w jakiś dziwny sposób potrzęsają moim mózgiem, sprawiając, że z ust wydobywają się słowa, których nie chciałabym usłyszeć.

– Przecież ty go zawsze bierzesz!

– Czy to ja chodzę z nim do szkoły?

– No, nie, ale zawsze zabierasz.

Mała z uporem powtarza tę prawdę, która jednak nie koi moich nerwów.

Kurwa, kurwa, kurwa! To tyle na temat drzemki po powrocie.

– OK. Leć na lekcję, zaraz go przywiozę.

Wściekła zawracam i gnam do domu. Wyłączam wyjące radio, ucinając w pół słowa radosne *Bo jak nie my, to kto...*, skupiam się na ponurych myślach i na tym, jak nerwy potrafią odstraszyć sen. Pokonuję trasę jak automat. Gdyby ktoś zapytał, co widziałam albo czy w ogóle coś widziałam, byłabym pewna, że nie zarejestrowałam nic. Uliczka, skrzyżowanie, znajoma wielka kałuża po prawej stronie, tuż obok wyrwanego krawężnika, jeden garb, za chwilę kolejny... Jest jednak coś, co wytrąca mnie z zamyślenia.

Tuż za ostatnimi parkowymi drzewami, na szutrowej bocznej drodze dostrzegam znajomy koparkowy kształt, który najwyraźniej zmierza w dzikim tempie trzydziestu kilometrów na godzinę w kierunku drogi głównej, zapewne żeby wbić się tuż przed moją maskę.

Przyspieszam, jednak żółte cholerstwo albo mnie nie dostrzega, albo jest tak przyssane do obranej trajektorii jazdy, że nie zważając na

nic i na nikogo, zajżdża mi drogę i bezpardonowo ładuje się przed przedni zderzak. Gwałtownie hamuję i w tym momencie czuję silne uderzenie w tył samochodu. Zamieram. Co się dzieje? Wreszcie dociera do mnie, że właśnie ktoś próbował mnie staranować, a po kolejnej niesamowicie długiej chwili zdaję sobie sprawę, co to oznacza.

Będę musiała wysiąść z auta w rozpaczliwie czerwonej piżamie w zieloną kratkę i pozwolić, by połowa rodziców ze szkoły i sąsiadów, zwalniających z ciekawością w oczach, dokładnie się przyjrzała deseniowi na moich nogawkach oraz pogiętej karoserii. Cholera! Gorzej być nie może.

Spoglądam w lusterko i okazuje się, że może!

W tylną klapę wbił się radiowóz! Chryste Panie, czy mam dokumenty?

Udaję otępiałą i zszokowaną, by jak najbardziej odwlec moment, gdy będę musiała opuścić samochód, a jednocześnie uświadamiam sobie, że żółta kupa blachy coraz bardziej się oddala i zaraz zniknie na horyzoncie.

Gdy słyszę pukanie w boczną szybę, podskakuję przestraszona.

– Nic się pani nie stało?

Rumiana twarz policjanta, niemal przyciśnięta do szyby, nie wyraża żadnych emocji, co stresuje mnie jeszcze bardziej. Obawiam się, że za chwilę okażę się winną incydentu, a z logiką policjantów i ich oceną sytuacji nie wygram.

– Chyba nie – odpowiadam potulnie, zastanawiając się, czy to już ten moment. Każe mi wysiąść?

– Proszę zjechać na pobocze i nie wysiadać z samochodu. Zaraz do pani wrócimy.

Proszę, a jednak nie! Jaki mądry człowiek.

Grzecznie odpalam silnik, kulam się na żwirowe pobocze i zatrzymuję tuż przed starym bukiem, na którym ktoś powiesił misternie rzeźbioną w kawałku drewna figurkę Matki Boskiej. Ktoś inny przyozdobił całość sztucznymi, mocno wyblakłymi czerwonymi różami, nadając jej groteskowy odpustowy image. Przejeżdżam tędy każdego dnia i nigdy nie zwróciłam uwagi na to nieco abstrakcyjne – na zabudowanym wieżowcami osiedlu – zjawisko. Wydaje się zupełnie



nierealne, ale i tak na ten widok odruchowo proszę wszystkich świętych o wsparcie!

Skonfundowana patrzę, jak pogruchotany radiowóz, ze zbitym reflektorem i wygiętą maską, która sprawia, że duży srebrny VW wydaje się groźniejszy niż w rzeczywistości, włącza niebieskiego koguta i gna przed siebie. Po co?

Po dłuższej chwili wraca i parkuje na poboczu tuż obok mnie, wzbijając tumany kurzu, z pasażerem na tylnym siedzeniu. Młody koleś, z zaokrąglonym brzuchem i grzywką przyciętą na pazia, przypominający raczej dzieciaka niż mężczyznę, który dosięga stopami do pedałów samochodu, spogląda na mnie beznamietnie, jakby nie rozumiał, z jakiej paki siedzi na tylnym siedzeniu zakratowanego aresztu na kółkach. Teraz zostaje poproszona o podejście.

Po chwili ja i moja pomięta piżama zasiadamy vis à vis rozbawionych przedstawicieli prawa, którzy wymieniają ironiczne, porozumiewawcze spojrzenia. Dzieli nas niewielki stolik, na którym piętrzą się papiery i bloczek z mandatami. Czuję się jak w przyczepie kempingowej, z tą różnicą, że zamiast pod wygodne łóżko upycham nogi pod twardą kanapę, na której zapewne zasiadał niejeden przestępca. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to jakiś groteskowy sen i zaraz budzik przeniesie mnie do innej rzeczywistości.

– Dokumenty proszę.

Szczęśliwie w puchówce znajduję portfel, a w nim wszystko, co potrzeba. W tym czasie drugi policjant zwraca się do kierowcy koparki:

– Czy wie pan, dlaczego pana zatrzymaliśmy?

– No właśnie nie. Możecie mi to z łaski swojej wytłumaczyć?

Spokojnie siedzi, z nogami wyciągniętymi przed siebie, zupełnie jakby został zaproszony do pubu na piwo z podwójną pianką i to nie z policjantami, lecz długonogą blondynką, która ma na niego ochotę. Dłubie małym palcem w uchu i potrząsa głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej jakąś błyskotliwą myśl.

– Włączał się pan do ruchu z drogi podporządkowanej i wymusił pierwszeństwo.

– Panie władzo. Pan mnie obraża! Ja niczego nie wymuszam. Na nikim! Porządny obywatel jestem! A ta tu kłamie!

– To się okaże. Dokumenty proszę.

Nagle wyciągnięte nogi w rozprutych brudnych butach wędrują pod siedzisko i niemal dostrzegam, jak pośladki młodzieńca się zwierają. Z zaskoczeniem obserwuję, że ruchy ciała nie są skoordynowane z mimiką twarzy, która w bezczelny sposób usiłuje powiedzieć: odwalcie się wszyscy.

I... nic się nie dzieje. Chłopak nawet nie udaje, że czegoś szuka, tylko upiera się, że nic nie zrobił, krzyżuje ręce i chowa dłonie pod pachami. Wełniany, znoszony sweter w granatowo-szare paski, z licznymi małymi dziurami, opina się niefortunnie na brzuchu, podkreślając jego krągłą kubaturę.

– Ta tu kłamie, naopowiadała wam jakichś bzdur. Ja jej nawet nie widziałem!

– No i w tym właśnie jest problem. Dokumenty proszę!

Policjant coraz groźniej spogląda na chłopaka, przez co ja również zaczynam czuć się niepewnie i uświadamiam sobie, że piżama w kratkę przestaje być moim największym problemem.

– Ma pan dokumenty czy nie? Ta pani nic nie musiała mówić, wszystko jest nagrane, zaraz panu pokażę.

– Co mi pan tu będzie pokazywał! Nic nie zrobiłem!

– I tu się pan myli. Dokumenty!

Jednocześnie policjant odtwarza nagranie i jak na zwolnionym filmie z R w prawym górnym narożniku oglądam znajome obrazy. Jak dziecko przed pierwszą spowiedzią analizuję przy tym swoje zachowanie i zastanawiam się, z jaką prędkością jechałam i czy zostanę ukarana, czy jednak nie.

– No i co? – pyta coraz bardziej poirytowany policjant. Stuka długopisem w blat stolika, co doprowadza mnie do szału i sprawia, że mam ochotę wyrwać mu go z ręki.

– Nic! Nie przyznaję się do winy!

– Ostatni raz proszę o dokumenty albo pojedziemy na komisariat.

Jeszcze tego mi brakuje. Ja i moja piżama na komisariacie.

Chłopak grzebie leniwie po kieszeniach, choć zapewne wie, że i tak nic w nich nie znajdzie. Jest jak zawodowy pokerzysta, bo po niedogolonej twarzy nie przemyka nawet cień emocji.

– Zapomniałem – mówi beznamiętnie, jakby nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

Zazdroszczę mu opanowania, bo mimo logicznej analizy niepokój trzęsie mnie w środku. Zawsze w takich okolicznościach wystarczał telefon do Bartka, który rzucał wszystko i pojawiał się niczym rycerz na białym rumaku obok przebitej opony, pustego baku czy zarysowanej karoserii. W zasadzie, chyba poza Magdą i namolnym Heniem, dostawcą ziół i warzyw do knajpy, który zawsze i wszędzie oferuje mi pomoc, nie mogłabym do nikogo zadzwonić. To kolejna chwila, która uświadamia mi, jak bardzo jestem zdana na siebie.

– Imię, nazwisko, pesel.

– Mariusz Trąbka, 95060734432.

Policjant ze spokojem wklepuje dane, nadyma policzki, wydmuchuje powietrze, stopą wybija jakiś abstrakcyjny rytm, sprawiając wrażenie, że doskonale się bawi.

– Trzy miesiące temu odebrano panu prawo jazdy.

– No, niby tak, ale ja tu tylko kawałek jechałem.

– Drogą publiczną. Spowodował pan wypadek.

– Niczego nie spowodowałem.

Pan władza zachowuje się jak profesor od fizyki w moim liceum. Węszy, przysłuchuje się, bez mrugnięcia okiem wysłuchuje tłumaczeń, a na koniec, tuż przed dzwonkiem, z satysfakcją wstawia jedynekę. Wreszcie zabiera się do mnie. Bierze dokumenty, obraca je w palcach, coś tam zapisuje, o nic nie pytając, każe nam dmuchać w alkomat. Okazuje się, że młody człowiek jest pod wpływem, choć oczywiście twierdzi, że nie pił.

– Nic dzisiaj nie piłem! Macie to zepsute!

– A wczoraj?

– Co wczoraj?

– Pił pan coś?

– No, wczoraj tak.

– A co?

– Połówkę ze Zdzisiem.

– No to dzieląc ją na pół, nieźle pan popił.

– Jakie pół?! Zdzisiu jest abstynentem. Na odwyku. Rozumie pan?

Pan rozumie lepiej, więcej i wyraźniej, w przeciwieństwie do brzuchatego kolesia, do którego, zdaje się, nic nie dociera.

Zwracają mi dokumenty, wręczają oświadczenie odnośnie do stłuczki i mogę zabrać swoją piżamę do domu.

Wracam wyczerpana, zmęczona, upokorzona brakiem makijażu i strojem. Gdy pomyślę, że stałam na poboczu jak ostatnia guła, machając co rusz komuś ze znajomych, robi mi się słabo. Od dziś będę wychodzić z domu tylko w takim stroju, w jakim mogłabym się pokazać byłemu facetowi. Uczesana, z makijażem na tip-top i w czymś, co mnie nie poniży.

Jestem zła na siebie. Nie mam ochoty na drzemkę, o zawożeniu plecaka Klarze do szkoły nie ma mowy, bo za dwie godziny i tak kończy lekcje. Zamieniam nocny strój na granatowe džinsy i kolejny raz rozpoczynam dzień, tym razem od zakupów na bazarze i wycieczki do knajpy.

Codzienny kierat odrywa mnie od myślenia o przyszłości, zresztą boję się jakiegokolwiek projektu, który wykracza poza dwadzieścia cztery godziny. Ponoć strach przed niepowodzeniem nie powinien powstrzymywać przed wejściem do gry, ale w sytuacji, gdy nie mogę odnaleźć się na planszy, trudno planować cokolwiek.

Teść, po rozległym zawale i operacji, jest w trakcie wstępnej szpitalnej rehabilitacji i czeka na wolne miejsce w pobliskim sanatorium dla zawałowców. Dla odmiany teściowej nic nie potrafi wytrącić ze stanu dramatyzowania i bezradności. Wszystko i wszystkich widzi w czarnych barwach, podejrzewając o próbę wykorzystania jej dobroci, o majątku nie wspominając, więc jakakolwiek pomoc oferowana przez GRONO jest odtrącana. Wojtek nadal jest zajęty i pochłonięty swoimi sprawami, w moim odczuciu praca wciąga go jeszcze bardziej niż dotychczas.

Zupełnie nie mogę pojąć, czym zasłużyłam na zainteresowanie pani Oli i jej liczne telefony, w których informuje mnie o stanie zdrowia teścia, niezmiennym od dobrych kilkunastu dni, o swoich podejrzeniach, codziennych sprawach i o tym, co zjadła na obiad. Wojtkowi oczywiście nie ma odwagi zwracać głowy – jak to określa – banałami, mnie natomiast może!

Jest ósma rano i właśnie odebrałam kolejny telefon od pani Aleksandry.

– Jesteś w domu?

Wszystkie ostrzegawcze lampki rozbłyskują i coraz gwałtowniej pulsują jasnym światłem.

– Tak, ale zaraz wychodzę.

– To świetnie, będę za dwadzieścia minut.

– Jak mówiłam, zaraz jadę do księgowej.

– Nie przejmuj się, nie zabiorę ci dużo czasu.

– No tak, tylko...

Telefoniczne pip, pip, pip odpala w mojej głowie karabin wyzwick i obelg, tak że lufa rozgrzewa się do czerwoności, a mnie wcale nie jest przez to lepiej, choć puchnę z dumy, że nie wyrzucam ich wrzaskiem w przestrzeń. Postanawiam niczym się nie przejmować: stertą brudnych naczyń w kuchni, kotami kurzu na podłodze i do wczorajszego rana bladoporóżowymi paznokciami, z których właśnie odpada lakier i które mam zamiar pomalować. Może wreszcie do kobiety dotrze, że ja również mam coś więcej do zrobienia niż wysłuchiwanie jej opowieści o życiu przed i po dzieciach, z mężem i ewentualnie bez niego...

Maluję paznokcie najbardziej agresywną czerwienią, jaką znajduję w szufladzie, macham dłońmi w nadziei, że to przyspieszy ich wyschnięcie. Na chwilę wkładam ręce do zamrażarki – ponoć to pomaga – i wreszcie najdelikatniej jak potrafię sięgam po segregatory. Rozkładam na kuchennym stole teczkę z fakturami, siadam na krześle z jedną nogą podwiniętą pod pupę i tak powyginana usiłuję uporządkować dokumenty przed wizytą u księgowej.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio piłam herbatę, teraz jednak dopada mnie ochota na mocną czarną, z cytryną i suszoną żurawiną. Wkładam do szerokiego kubka metalowy koszyczek, wsypuję kilka liści Earl Grey i pozwalam, by napar nabrał mocy i aromatu, a w tym czasie segreguję papiery, opisuję wydatki i zastanawiam się, jak mogłam tyle wydać i skąd miałam tyle pieniędzy, tym bardziej że zestawienie z tym samym miesiącem minionego roku wykazuje spadek obrotów aż o piętnaście procent. Oczywiście już wtedy nie napawało mnie to optymizmem, jednak było obojętne o tyle, o ile dokładał się do domowego budżetu

Bartek.

Gdy wstaję, by sięgnąć po herbatę, rozlega się uporczywy dzwonek, powtarzany w serii krótkich dźwięków. Automatycznie dołącza do niego jednolity w mocy i natężeniu wrzask obudzonego Antosia i głos zaspanej Anki.

– Tosik, już idę, nie płacz.

Rumor na górze nie przeszkadza osobie przyssanej do białego guzika dzwonka ponownie go wcisnąć i mocno przytrzymać.

Cholera.

Wyglądam przez okno i dostrzegam teściową w jasnym, prostym płaszczu, za to z fantazyjnym wielkim jaskrawoczerwonym szalem pełnym nitek i supełków, stojącą przed furką. Oczywiście brama jak co rano jest otwarta na oścież, jednak pani Aleksandra z godnością księżnej musi przejść pod bluszczem oplatającym metalową konstrukcję furki.

Zrezygnowana podchodzę do domofonu i jego cichym brzęczeniem pozwalam pani Oli przekroczyć próg domu.

– No co tak długo? Czekam i czekam.

– Dzień dobry. – Patrząc na nią, mam coraz więcej wątpliwości, czy taki znowu dobry. Chciałabym powiedzieć, że też miło teściową widzieć, ale jakoś mi to nie wychodzi.

Wyplątująca się z nadmiaru czerwonej tkaniny pani Aleksandra nie dostrzega, albo nie chce dostrzec, sarkazmu w moim głosie.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zajęta.

– W zasadzie jestem. Jak wspomniałam, muszę zaraz jechać do księgowej.

– Nie przesadzaj, przecież to może poczekać, a ja oczywiście nie zajmę ci dużo czasu, no chyba że mam już sobie pójść.

Mam ochotę rzucić się jej do rysującej się na chudej szyi aorty. Zawsze powtarzam, że bycie miłym dla innych jest największą rozkoszą, jaką można zafundować duszy. Tym razem jednak moja dusza pozostanie niedopieczona, bo za cholerę nie potrafię wykrzesać z siebie ciepłego słowa. Jej obraźliwa uprzejmość, deptanie moich potrzeb i kompletne ignorowanie mnie i moich planów doprowadza mnie do szału. Przełykam gulę wraz z kolejnym przekleństwem i zamiast podać teściowej płaszczyk, mówię spokojnie:

- Napije się teściowa czegoś?
- No, skoro nalegasz, to może napiję się herbaty. Zielonej.
- Oczywiście.

Wyjmuję z szuflady kolejny metalowy koszyczek, napełniam poskręcany listkami herbatki sencha z dodatkiem truskawek i żurawiny i stawiam przed teściową.

– A nie masz jakiejś porządnej w torebce, takie fafoły mi dajesz? Poza tym dlaczego nie zagotowałaś wody? Wiesz, że nie lubię zimnej.

Wdech i wydech. Tylko spokojnie. Wyraźnie czuję, że przekroczyłam strefę psychicznego komfortu i zaraz przeżyję tryskający jadem orgazm. Nim zdążę wybuchnąć, w kuchennych drzwiach pojawia się Ania z czerwonym od płaczu Antosiem.

– O, dzień dobry.

Zdziwiona odruchowo cofa się o krok, mocniej ściskając małego. Teściowa nie odpowiada, ba, nawet nie zaszczycą ich spojrzeniem.

– Przyszliśmy tylko po biszkopty i wodę.

– Podać ci czy dasz radę?

– Mogłabym prosić o pomoc?

– Jasne.

Ochoczo wstaję, pozwalając umysłowi i oczom na chwilę uwolnić się od wpatrzonej w papiery na stole pani Oli. Wyjmuję z szafki pod oknem żółtą torebkę z okrągłymi ciasteczkami, wciskam do rąk Ani kubek-niekapek z wodą i mentalnie wypycham ich z kuchni, choć mam wrażenie, że sami bez mojej pomocy mają ochotę na ewakuację. Tymczasem zastygła w bezruchu teściowa nie spuszcza wzroku ze stolika.

– Jak można wydać w miesiącu siedemset złotych na same wędliny? I ty się dziwisz, że masz problemy finansowe. My z ojcem, jak nie mamy, to znaczy jak nie mieliśmy, to nie kupowaliśmy. Bardzo prosta filozofia, którą ci szczerze polecam. Zresztą zapytaj Wojtka, on ci może powiedzieć, jak oszczędzać.

Trwam w osłupieniu. Jedyne, czego mogę sobie teraz oszczędzić, to podejście do sejfu, wyjęcie gnata i zastrzelenie jej. Jak, kurwa, mam myśleć o oszczędzaniu, skoro ledwo wiązę koniec z końcem?!

Pani Ola zdaje się nie dostrzegać furii w moich oczach, która łapie

ją za wychudzoną, niegdyś zapewne łabędzią, a dziś przypominającą raczej sflaczały członek szyję i mocno zaciska na niej palce.

Te minuty całkowicie zdemolowały kiełkującą przyjazną relację, która pojawiła się w naszym życiu wraz z małą Marysią. Nie wiem, jak skończyłaby się ta rozmowa, gdyby nie świadomość, że morderstwo jest surowo karane, a wizja oglądania do końca życia czarnych metalowych krat i spania na twardej pryczy do mnie nie przemawia.

Usiłuję za to uspokoić rozstrojone struny głosowe, podczas gdy niewzruszona pani Ola kontynuuje:

– Nawet myśleliśmy z ojcem, żeby ci jakoś pomóc, ale w tej sytuacji...

– Nie ma żadnej sytuacji! To nie są moje domowe rachunki, tylko firmowe faktury, które nie wiem jakim prawem teściowa przegląda. A jeśli chodzi o pomoc i wsparcie, to serdecznie dziękuję. Nie wiem, czy teściowa zauważyła, ale byli tu przed chwilą Ania z Tosiem.

Mam złudną nadzieję, że naprowadzę ją na refleksję, że nie przywitała się z wnukiem, ona jednak tego nie dostrzega i dalej nawija w tej samej partyturze wyrzutów odnośnie do wychowania, pracy, obowiązków.

– No właśnie, nie powiedział mi dzień dobry. Nie wiem, jak ty wychowujesz te dzieci. Za życia Bartka coś takiego było nie do pomyślenia.

– Nic nie powiedział, bo jeszcze nie mówi. Nie wiem, co myślała teściowa, gdy żył Bartek, o jego wkładzie w wychowanie dzieci, bo jakoś nie zdarzyło się, by teściowa się w cokolwiek zaangażowała i mogła nas obserwować, a tym bardziej oceniać.

– Proszę cię, nie wyjeżdżaj mi tu z czymś takim i nie zmieniaj tematu.

– Jakiego znowu tematu?

– Że sobie nie radzisz finansowo i jesteś nieobliczalna w wydawaniu pieniędzy. Proszę bardzo... – Podsuwa mi pod nos kolejną fakturę z Makro, opiewającą na dziewięćset pięćdziesiąt siedem złotych, osiemnaście groszy, i upierścienionym palcem puka w rubryczkę pierwszą, pozycja druga, triumfalnie ogłaszając: – Wołowina sześćset osiem złotych i do tego... – Jej palec wędruje kilka pozycji w dół,



pomijając piętnaście kilogramów ziemniaków krajowych za złotych jedenaście brutto, pięć kilogramów buraków za siedem złotych i kapusty kiszonej, dziesięć kilo, za dwadzieścia dziewięć, by zatrzymać się tuż powyżej cebuli, dziesięć kilo, siedemnaście złotych, na linijce: boczek, którego trzy kilogramy to wartość stu siedemdziesięciu trzech złotych, dziesięciu groszy. – Trzy kilo boczku za dwieście złotych! Po co ci tyle boczku?!

– Do nacierania się po kąpeli zamiast balsamem! – syczę głośno przez zęby i zamaszystym ruchem zgarniam faktury na kupkę, zapominając, ile czasu zabrało mi ich segregowanie.

Nie wiem, jakim prawem ta kobieta poucza mnie jak swoje pięcioletnie niesforne dziecko. Obawiam się, że świadomość starości i nieuchronnego przemijania, zrodzona za sprawą choroby teścia, wyzwoliła w niej resztki pokładów złości i wszechwiedzy, skrywane może nie skrzętnie, ale jednak niedopuszczane do głosu przy każdej nadarzającej się okazji, by teraz niepowstrzymaną falą wylewały się bulgotem z jej ust.

– Czemu zawdzięczam wizytę? – pytam rzeczowo.

– Jak to, o co ty pytasz, dziecko? Robert jedzie do sanatorium! Jestem załamana!

– Ale co ja mam z tym wspólnego i dlaczego to teściową załamuje?

– No jak to? Przecież oni się tam nim nie zajmą! A zresztą powinien wreszcie wrócić do domu, jest tyle rzeczy do zrobienia.

– Ale teść jeszcze nie powinien się przemęczać.

– Jakie tam przemęczenie! Trochę papierów do przejrzania i tyłu znajomych, którzy chcą się z nim zobaczyć. Przecież na piątek wieczór zaprosiłam mecenasostwo i doktorową Kneedel.

– Teść powinien odpoczywać, a nie imprezować.

– O czym ty mówisz? Partyjka brydża, dobre cygaro i odrobina koniaczku to żadna impreza. To oburzające, w jaki sposób o nas myślisz. To nie są tacy znajomi jak ci twoi: hałaśliwi, żłopiący wino, i jeszcze te idiotyczne tańce.

No proszę. Właśnie się dowiedziałam, że imprezuję ze stadem uzależnionych od alkoholu baranów, a zamiast salonu mamy do dyspozycji śmierdzącą moczem bramę. Nawet nie próbuję tłumaczyć, że

cygara i alkohol (w jakiegokolwiek postaci) to nie są najszcześniejsze akcesoria do rehabilitacji, ale wytrącona z równowagi milczę.

– Może porozmawiasz z ojcem?

Uprzejmie przypominam, że teść jednak nie jest moim ojcem, a nasze relacje są dalekie od rodzicielskich, ale nie robi to na niej wrażenia. Jest rozpędzona jak walec i z podobną precyzją zrównuje z ziemią wszystko, co miało szansę zmienić nasze stosunki.

– A poza tym co miałabym powiedzieć? Moim zdaniem sanatorium to znakomite miejsce, żeby się do końca wykurować. Teść będzie miał nie tylko opiekę, ale pewnie też indywidualny program ćwiczeń. Nie sądzę, żeby w domu można stworzyć takie warunki.

– Wybacz, ale jeśli nie zauważyłaś, dla mnie nie ma żadnych przeszkód, pieniądze nie grają roli, a warunki, jakie mamy, są lepsze niż w jakimkolwiek ośrodku.

Och, to zauważyłam aż nazbyt dokładnie. Teściowa pierdylion razy zapuściła się za kolczasty drut graniczny, trując wszystko, co zastała po drugiej stronie. Podejrzewam, że do jej natapirowanej rudej głowy nie da rady wnikać myśl, że nie zawsze za pieniądze można wszystko zdobyć.

– I te kobiety. Przecież to jakieś nieszczęście...

– Jakie kobiety?

– Jak to jakie? Sanitariuszki.

W tym momencie mam wizję szpitala polowego z rozkładanymi łózkami i siostrami zakonnymi w białych habitach, z niemożliwie wielkimi welonami poskładanymi jak origami. Nie do końca jestem pewna, czy o takie coś chodziło.

– Co z nimi? Nie bardzo rozumiem.

– Jak to co? Jeżdżą po tych sanatoriach i szpitalach tylko po to, żeby poderwać czyjegoś męża. Babska wstrętne. Nie dość, że stare toto, to jeszcze nieprzyzwoite.

I tu cię mam. Zwyczajnie się boisz, żeby ktoś nie sprzątnął ci Robercika przed nosa! Nie wierzę własnym uszom. Wydawało mi się, że teściowa jest ostatnią osobą, która mogłaby nosić w sobie choć promil zazdrości o inną kobietę. Z drugiej strony, nie wyobrażam sobie teścia zastawiającego romantyczne sidła. Ale może jest w ich przeszłości coś,

co sprawia, że owa zazdrość kielkuje jak cebula w ciemności, wyciskając niepokój.

– Chyba teściowa przesadza. Ludzie nie jeżdżą w takie miejsca, żeby romansować, tylko żeby się leczyć.

– A co ty tam wiesz.

Zapewne niewiele, więc tym bardziej nie rozumiem, dlaczego miałabym być powiernicą i negocjatorką w sanatoryjnej kwestii.

– To co, porozmawiasz?

– Raczej nie, bo uważam, że rehabilitacja po każdym urazie, zwłaszcza tak poważnym, jest potrzebna, i nie lekceważyłabym wartości pobytu w sanatorium. Zresztą teść ma chyba wielkie szczęście, że znalazło się dla niego miejsce, bo z tego, co wiem, ludzie latami czekają na turnus.

– Ale Robert tak się cieszy.

– No to chyba dobrze?

– Wcale nie! Mówi, że darowali mu drugie życie, że ma zamiar ze wszystkiego korzystać, ze wszystkiego!

– Dopóki nie zacznie skakać na bungee, chyba nic mu nie grozi.

– Nie, o to jestem spokojna. Ale jak zacznie skakać z kwiatka na kwiatek, to co wtedy?

– Przecież nie teść...

– Oj, nie znasz facetów, słuchaj, co mówię. Jeszcze wspomnisz moje słowa! To porozmawiasz z nim?

– Proszę mnie w to nie mieszać, nie chcę się wtrącać.

– Jak zwykle nie można na ciebie liczyć.

– Przykro mi, nie tym razem. Może porozmawia teściowa z Wojtkiem.

– Już ty Wojtka w to nie mieszaj! Zresztą on myśli tak jak ty.

A poza tym powiem ci w sekrecie, że właśnie kupili psa i muszą się nim zajmować.

– Świetnie, a jakiego?

– A czy ja wiem? Grzywacza japońskiego czy coś takiego.

– Pewnie chińskiego.

– Być może, wabi się Myfylis.

– Ślicznie – mówię głośno, a w duchu dodaję, że jak na nazwę

nowej choroby wenerycznej rzeczywiście dość gustownie. Myfyliś, syfilis, jak rodzeństwo!

Zapewne pies jest rasowy i słono kosztował, więc powinnam wykazać zrozumienie, że większą atencją darzy się psa i jego rzadką grzywkę niż rodzzonego ojca, który jest gratis, używany i – jak pokazują ostatnie dni – całkiem dobrze się regeneruje.

Choć proszę, pierwszy raz, odkąd się poznaliśmy, zgadzamy się w jakiejś kwestii. Wściekła teściowa wyładowuje całą złość na kubku z herbatą, który z nadmierną energią odstawia, aż płyn pryska na stertę niedostatecznie daleko odłożonych faktur, po czym podnosi swoje chude, wciśnięte w czarną wełnianą sukienkę ciało. Nie zaszczyca mnie nawet spojrzeniem i rusza w kierunku korytarza.

Podaję jej płaszcz, który wrywa jednym szarpnięciem, i po chwili mocuje się z niesfornym rękawem i rozprutą podszewką. W pierwszym odruchu mam ochotę jej pomóc, jednak zasklepiona w złości pozwalam jej przez dłuższą chwilę szamotać się z tkaniną. Wreszcie ręce trafiają w odpowiednie otwory i poły płaszcz zaczyna się ze sobą schodzić, spięte wielkimi guzikami pod samą szyję.

Czerwony szalik krzyczy z wieszaka, że chce iść razem ze swoją panią, jednak ona zajęta paskiem torebki zdaje się tego nie dostrzegać i po chwili dla odmiany mocuje się z zamkiem w drzwiach, mówię więc:

- Otwarte.
- Co otwarte?
- Drzwi.
- Dlaczego nie powiesz od razu?
- Nie pytała teściowa.
- Phi.

Czarna lakierowana szpilka z lekko wygiętym na zewnątrz obcasem ląduje na progu, a ja lituję się nad splątanym szalikiem, a w zasadzie nad sobą, bo nie chcę mieć w domu nic, co przypominałoby mi dzisiejszą wizytę, więc mówię:

- Jeszcze szal.

Zatrzymuję ją w pół kroku i zmuszam, by na mnie spojrzała.

- Aha.

Ze złością i energią, o którą bym jej – zwłaszcza w ostatnich

dniach – nie podejrzewała, sięga po szalik, obraca się na pięcie i wychodzi. W sumie jestem rozbawiona zachowaniem starszej pani i wołam:

– Do widzenia! Też było miło teściową widzieć.

Nawet się nie odwraca, tylko podnosi dłoń i jakby kiwa. Wpatruję się z zainteresowaniem, ile dostrzegę palców, ale środkowemu zgrabnie towarzyszy pozostała czwórka, więc może nie jest aż tak źle.

Niestety po każdej wizycie teściowej jestem zde gustowana. Zazwyczaj trzaska furką dokładnie po tym, jak z pełną finezją mnie obraziła. Z chwilą gdy szerzej otworzyłam drzwi przed teściami, pani Ola uznała, że jest to jednoznaczne z dopuszczeniem jej do wszelkich naszych kłopotów i radości. I w zasadzie tak by było, gdyby nie drepczące z nią porady, przesady i doświadczenie, którymi za wszelką cenę usiłuje obdarzyć naszą piątkę, nie zważając na potrzeby i oczekiwania innych. Jej natarczywość i nieomyślność sprawiają, że zataczamy szerokie koło i spotkanie po spotkaniu, telefon po telefonie oddalamy się od siebie. Im bardziej ona się angażuje, tym bardziej ja usiłuję jej unikać. Z każdym dniem coraz bardziej zbliżamy się do punktu wyjścia, który pewnie znowu stanie się punktem zapalnym naszych relacji. Szkoda. Zaczęłam się łudzić, że poznam namiastkę rodzicielskiej troski i bliskości.

Zamykam drzwi i wlokę się do kuchni. Głośno wzdycham na widok kupki ochlapanych faktur, które na nowo domagają się segregacji i uwagi. Zamiast się do nich zabrać, dzwonię do księgowej i przekładam spotkanie na następny tydzień. Odechciało mi się wszystkiego, matematycznej koncentracji zwłaszcza.

Dochodzę do wniosku, że raczej powinnam się skupić na jutrzejszym dniu i planach posłania dzieci po raz pierwszy do przedszkola.

Marianna na wieść o przedszkolu na przemian cieszy się i wpada w panikę.

– A będą tam inne dzieci?

– Tak, kochanie, będzie dużo innych dzieci, poznasz nowe koleżanki i kolegów.

– A jak mi się nie spodobają?

I tak od kilku godzin. I jak jej wytłumaczyć, że będzie miała swój mały gang, w którym może nawet odegrać rolę herszta?

Zamiast udzielić odpowiedzi, zastanawiam się, kiedy moje dziecko zaczęło tak ładnie, całymi zdaniami mówić. Łapię się na tym, że myślę o małej *moje dziecko*. Przecież tak niewiele czasu minęło od śmierci Joanny i pojawienia się Marysi w naszym domu, a ja już nie wyobrażam sobie, by tego człowieczka z nami nie było.

Zresztą równie mocno jak ja związała się z małą Klara i po krótkim, acz intensywnym okresie niechęci między dziewczynkami panuje pełna symbioza. Antoś powoli, niczym jemioła do konara starego drzewa, przyczepia się do dziewczynek ze swoimi plastikowymi samochodzikami i kolorowymi klockami. Kwestia przedszkola zajmuje go jak palma kokosowa Eskimos; poddaje się nasilonym ruchom w domu z pełną pokorą i rezygnacją. Wyczuwając, że na chwilę przestaje być obiektem naszego największego zainteresowania, co rusz głośnym wrzaskiem na pograniczu płaczu zwraca na siebie uwagę.

Nie miałam pojęcia, a w zasadzie już zapomniałam, że przygotowanie dziecka do przedszkola pochłania tyle samo czasu i emocji co pakowanie rodziny na wakacje. Okazuje się, że papcie Marianny są za małe, czego wcześniej nie zauważyłam, bo mała non stop zasuwa po domu na bosaka albo w grubych wełnianych skarpetkach. Poduszkę i kocyk potrzebne na godzinę codziennego leżakowania, które zaniesiemy siostrze, oczywiście mamy uszykowane, ale za cholere nie pasuje na nie żadna z powłoczek. Szczoteczka do zębów co prawda przytula się do pasty, ale gdzieś się zapodział biały kubeczek w motylki, w którym obie powinny mieszkać.

Po przewróceniu domu do góry nogami wreszcie znajduję go wciśniętego w szufladę biurka Klary, między plakatowymi farbami i plasteliną. Nosi ślady używania i taplania się w kolorowych farbkach, które mimo szorowania cifem nie chcą zniknąć.

Oszołomiona sytuacją pakuję dziewczyny do samochodu i pędzę do outletu na końcu miasta. Nurkujemy między regałami i po dwóch godzinach triumfalnie wrzucamy kolejne siatki do bagażnika. Okazuje się, że to najdroższe papcie i fartuszek, jakie kiedykolwiek kupiłam, bo do paragonu dorzuciłam niepotrzebnie kilka skądinąd potrzebnych

rzeczy i w sklepach, zamiast pięćdziesięciu złotych, zostawiłam kilka stów, a po powrocie do domu i tak się okazało, że nie mamy wymaganej w wyprawce plasteliny. Kichać na nią.

Ponieważ poranek zacznie się dla dzieci wcześniej niż dotychczas, postanawiam położyć je spać zdecydowanie szybciej niż zazwyczaj. O dwudziestej mają być w łózkach. Howgh!

Wieczór, wydłużając cienie, skrada się skrajem lasu i pokonując płot, przesuwa się po trawniku w stronę domu, w którym zamiast coraz większego wyciszenia panuje pełen napięcia jazgot. Dzieci wyczuły, jaki mi przyświeca cel, i robią wszystko, by go zniweczyć.

Nawet mały Antoś wygina się węgorem i niemal wypada Ani z rąk. Marysia wyrzuca z siebie egzystencjalne pytania z szybkością maszyny do popcornu wypluwającej kolejne ziarna, a Klara po raz setny zastanawia się, zasięgając mojej opinii, czy może iść do szkoły w tej (tu następuje prezentacja wyciągniętej z szafy kolejnej sztuki odzieży) bluzce, sukience etc. Gdy zyskuje aprobatę, gwałtownie zmienia zdanie i proponuje inny zestaw.

- Przestań wreszcie grzebać w szafie i na coś się zdecyduj.
- Widzisz, że nie mogę.
- Niestety widzę. Możesz mi powiedzieć, po co się tak stroisz?
- No jak to, przecież jutro jest Dzień Kobiet.
- I co z tego?
- Muszę ładnie wyglądać.
- Zawsze ładnie wyglądasz.
- Zawsze to mówisz, a ja już ci nie wierzę.
- Bo za często to powtarzam?

Klara wzrusza ramionami, a moim oczom ukazuje się czarna letnia tiulowa sukienka, którą kupiliśmy na pogrzeb Jaśka i taty. Wspomnienia zaczynają we mnie buzować, rodząc złość na małą i jej pomysł. Na myśl, że omija ich tak ważne wydarzenie jak pierwsze dni przedszkola, z żalu robi mi się niedobrze. Wiem, że poruszone przez córkę struny jeszcze długo będą we mnie drgały, wyzwalając kolejne fale smutku. Tymczasem muszę posklejać słowa i zamaskować to, co się we mnie dzieje.

- Klara, oszalałaś? Przecież jest za zimno na tę sukienkę.

– To włożę sweterek.

– Świetny pomysł, tylko że to nie będzie dobrze wyglądać, a przecież chcesz tego dnia być najładniejsza.

Ha! Proszę, jaka jestem sprytna.

– No to ja już nie wiem, w co mam się ubrać.

– Chodź, razem coś wybierzemy.

– Nie, ja sama. Poczekaj.

– Nie, razem.

Spryt najwyraźniej przespał ostatnią godzinę, pozostając na parterze, i teraz pokazał mi środkowy palec. Zamiast zająć się stylizacją córki na dzień ósmego marca, nieświadoma nierównej walki Klary z garderobą spokojnie smarowałam masłem kolejne bułki i kromki, a tymczasem pod białą szafą na różowo-szarym dywanie leży niemal wszystko, co udało się małej zdjąć z wieszaka, ściągnąć z półek czy wygrzebać z szuflady. Na drążku wisi tylko biała galowa szkolna bluzka.

Cholera jasna, i kto to ma posprzątać? Tłuste pytanie retoryczne rozsiada się na stercie pogniecionych bluzek i sukienek, kiwając na mnie palcem.

– Klara, coś ty narobiła?

– No, szukałam rzeczy...

– Widzę, ale dlaczego zrobiłaś taki potworny bałagan?

Wyciągam ze sterty jej pierwszą kolorową bluzkę koszulową, która wygląda, jakbym właśnie wyszarpała ją psu z gardła, i odkładam na coraz szybciej rosnącą kupkę rzeczy do ponownego prasowania. Głośno wzdycham, co zamiast współczucia i słowa przepraszam budzi w Klarze agresora.

– Znowu jesteś na mnie zła.

– Nie jestem, tylko przysporzyłaś mi roboty!

– To nie wzdychaj tak.

– Jak?

– No tak obrażalsko.

Teraz już jestem nie tylko zła, czuję, jak wściekłość zaczyna obnażać kły. Metodą pani psycholog przełączam emocje na racjonalny umysł i zaczynam się zastanawiać, ile jest dwa tysiące siedemdziesiąt osiem podzielone przez cztery. Początkowo trybiki nie chcą zaskoczyć,



jednak w miarę wysiłku przyspieszają i kręcą się bez pierwotnego zgrzytu.

Mój umysł, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odparowuje i po chwili jestem w stanie – zamiast eksplozji trotylu – zademonstrować opanowanie i zapytać, na co się decydujemy. Po ilości falbanek na podłodze wnioskuje, że dzinsy raczej nie wchodzi w rachubę.

– To co, którą sukienkę chcesz włożyć? – Wyciągam przed siebie dwie małe kiecki, jedną białą w granatowe serduszka z różowym wstążkowym paskiem i drugą czerwoną w biało-granatowy wzorek.

Mała z politowaniem oświadcza, że żadną.

– Widzisz, nie znasz się. Ta jest zbyt smutna – to o czerwonej – a ta zbyt dziecinna – to o tej w serduszka.

– W takim razie może granatowa?

– Oszalałaś? Nie ubiorę się jak na apel.

– No to sama nie wiem. A ty co proponujesz?

– Bo ja wiem? Jakbym wiedziała, tobym cię nie pytała.

Wreszcie wybór pada na sukienkę w biało-niebiesko-granatową kratkę i białe wełniane rajstopki. Chryste, nareszcie mogę się zająć kolacją i odhaczyć jeden z wieczornych dramatów. Już chcę wyjść, gdy dopada mnie ciche pytanie:

– A pożyczysz mi swoje koronkowe majtki?

Zatrzymuję się w pół kroku i czuję, jak mój umysł mieli te słowa i nie jest w stanie ich przetworzyć.

– Po co ci moje figi?

– No, jutro jest Dzień Kobiet. – Mała powtarza to z naciskiem, spoglądając na mnie jak na kosmitę.

– I?

Patrzy na mnie tak, że w końcu zaczynam się czuć nieswojo.

– Nadal nie rozumiem. Będziesz komuś prezentować bieliznę?

– No, Asia pokazywała majtki Marcinowi, więc pomyślałam, że może jutro Andrzej – wielka tygodniowa miłość – mnie też poprosi.

Oszłomienie wali mnie z liścia w twarz i wycofuje się do korytarza.

– Czyś ty oszalała?! Nikomu się nie pokazuje majtek, a zwłaszcza obcym osobom! I w dodatku chłopakom! I choć Andrzej może kiedyś

będzie twoim mężem, to na razie jeszcze nim nie jest!

– Ale przecież to nic takiego...

– Widziałaś, żebym ja komuś pokazywała majtki?

– No, nie. Ale Asia...

Mała spuszcza głowę i sądząc po cichych westchnieniach, zaraz się rozpłacze. Jak mam polemizować z dziewięcioletnią mentorką córki? Tego jeszcze nie wiem.

– Widzisz, kochanie, są kobiety i damy. Damy się nie spieszą. Nie pokazują bielizny. Nie biegają za chłopakami, to chłopcy się za nimi uganiają. Myślę, że raczej chcesz być damą niż kimś, kto musi pokazywać gacie, żeby sobą zainteresować.

Klara niechętnie przyznaje mi rację i na kupce rzeczy uszykowanych na jutrzejszy poranek ładują jej bawełniane majtki obszyte czerwoną gumką.

– Pani Nino, dać dzieciom kolację?! – dobiega z dołu.

– Tak, proszę. Daj Antosiewi witaminy.

Klara człapie do kuchni, pozostawiając mnie ze stertą rzeczy do prasowania, która sprawia, że absolutnie nie czuję się damą, lecz zwykłą pomocą domową. Wiecznie dokądś biegnę, nie mam czasu dla siebie, nie mówiąc o przyjaciółkach, a zmęczenie maluje coraz ciemniejsze kręgi pod moimi oczami. Tak bardzo bym chciała, żeby ktoś, poza Heniem hodowcą ziół, się mną zachwycił, powiedział, że mi pomoże, że dam radę... Chciałabym poczuć słodycz pocałunku i zapach wody kolońskiej, niemal archetypicznej woni, jaką zawsze wydzielala skóra Bartka.

Uświadamiam sobie, że myślenie o mężczyźnie jest dla mnie jednoznaczne z myśleniem o Bartku. To jego mi brakuje, to za nim tak bardzo tęsknię. Czas wymazuje z pamięci zdradę i liczne kłamstwa, a idealizuje te ciche, spokojne dni, które spędziliśmy razem.

Na myśl o innym, bądź co bądź obcym facecie w łóżku robi mi się niedobrze, a świadomość, że w dzikim tańcu bębna pralki miałyby się splatać moje i jego skarpetki, sprawia, że gwałtownie trzeźwieję, i rola tylko kobiety, a nie damy, zdecydowanie mnie satysfakcjonuje.

W kuchni panuje cisza zapowiadająca kolejną burzę. Marianna wymazana nutellą ma tylko pozornie spokojną buzię, bo po jej mimowolnych grymasach widzę, jak bardzo jest spięta. Gdy podchodzę

od tyłu i ją przytulam, jej naprężone do granic możliwości ciało nie poddaje się pieszczocie. Antoś dla odmiany wygląda jak dziecko, które właśnie się obudziło, a nie zmierzające do spania. Anka też jakoś zagubiona kręci się po kuchni, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– A wy co tacy spięci? Coś się stało?

– Niby nic, ale od jutra wszystko będzie inaczej, już nie będę pani tak potrzebna.

– Anka, czyś ty oszalała? Oczywiście, że będziesz potrzebna. Po prostu przed południem będziesz miała więcej czasu dla siebie.

– Klara mówiła, że szuka pani innej opiekunki.

Patrzę gniewnie na córkę, która w skupieniu grzebie paluchem w talerzu pełnym okruszków bułki, jakby poszukiwała perły w małży.

– Klara, coś ty naopowiadała?

– Sama mówiłaś, że szukasz kogoś, kto się zajmie...

– Kiedy to słyszałaś?

– No, jak rozmawiałaś wczoraj rano przez telefon z...

– Klara, do diaska, czy ty nie wiesz, że nie podsłuchuje się rozmów?

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko powiedz, co nagadałaś Ani.

– No, że szukasz opiekunki.

– Szukam kogoś, kto się zajmie restauracją! Nie wami. Widzisz, co się dzieje, jak się plotkuje? Jak mogłaś?

– Chciałam dobrze. Chciałam ostrzec Anię.

– Przed kim, przede mną?

Klara kuli się w sobie, a Anka zachowuje się jak nadmuchiwany helem balonik.

– To nie chce mnie pani zwolnić?

– Czyście powariowały? Oczywiście, że nie.

Ulgę widać nawet na buźce Marianny, a nadmiar napięcia, które grubą warstwą osiadło w kuchni, ulatuje.

*Poranek budzi cały dom. Dla mnie oznacza to pobudkę wcześniejszą o dwadzieścia minut i przygotowanie większej niż zazwyczaj porcji kanapek. Klara bez marudzenia i koronkowych majtek pojawia się w kuchni, Anka zajmuje się Antosiem, a ja walczę z Marianną, której grube nóżki nie chcą się zmieścić w czerwonych rajstopkach, a przed nami jeszcze akcja sukienka ze stadem guziczków, których właściwie się nie rozpina, a które – by ułatwić poranną krzątanie – dziewczynki skrupulatnie poodpinały. Wreszcie zapinam suwak na plecach i możemy pakować się do samochodu.*

*Wyglądamy, jakbyśmy ruszały na wakacyjną przygodę, a nie do oddalonego o dwie przecznice przedszkola. Bagażnik wypełniają siaty z pościelą, papciami i artykułami biurowymi, choć to szumna nazwa dla kredek, brulionów kolorowego papieru i tektury.*

*Docieramy grubo przed czasem, jak na spanikowanych i nieznających kilkugodzinnej przyszłości nowicjuszy przystało. Drzwi otwiera nam siostra Rozalia, która prowadzi grupę trzylatków, cała w uśmiechach i szarym fartuszku w groszki. Bardziej przypomina sanitariuszkę z lazaretu, brak jej tylko motylkowego sztywnego czepka, niż przedszkolankę. Jestem miło zaskoczona, że choć Marysia cofa się o krok i usiłuje się za mną schować, siostra przykuca i próbuje się przywitać.*

*– Cześć, jestem siostra Rozalia, a ty?*

*Mała mocniej ściska moją nogę i jeszcze bardziej stara się ukryć, co w zasadzie, za sprawą mojego grubego uda, prawie jej się udaje. Wreszcie lekko wypchnięta pozwala się chwycić Rozalii za rączkę i wszyscy razem, ja z Tosiem na biodrze, wędrujemy obejrzyć salę i poznać pozostałe dzieci. O dziwo, Marysia na widok maluchów i zabawek zaczyna się czuć swobodnie i już po chwili zabawa pochłania ją całkowicie.*

*– Cześć, Marianna, ja już sobie pójdę, ale wrócę po ciebie za kilka godzin. OK?*

*Mała podbiega, daje mi buziaka i godząc się na wszystko, znika za*

blatem plastikowej zielonej kuchni pełnej garnków i garnuszków.

Niestety z Antosiem nie idzie tak łatwo. Po pierwsze, nie daje się oderwać od mojego swetra, po drugie, nie wiem, czy pod wpływem stresu, przypadku czy dużej liczby innych dzieci wali w pieluchę wielką śmierdzącą kupę.

Siostra Rafaela usiłuje mnie przekonać, że poradzi sobie z przewinięciem małego, a ja jak idiotka upieram się, że to raczej moja rola. W końcu rozum każe mi się uspokoić i ocenić jakoś zabiegów pielęgnacyjnych siostry, po czym nabieram pewności, że słusznie robię, zostawiając moje najmłodsze dziecko w rękach zakonnic.

Gdy mijam obrośniętą zimozieloną hederą furkę, uświadamiam sobie, że zamiast tańczyć ze szczęścia, czuję dziwną, przytłaczającą pustkę. Zastanawiam się, czy pojechać do domu czy raczej do pracy. Wygrywa oczywiście opcja pierwsza. Muszę się przekonać, a w zasadzie przypomnieć sobie, jak to jest mieć wolny czas. Tylko dla siebie!

Leżę na kanapie i nic nie muszę. Od kilkunastu minut tkwię w zupełnie obcym mi stanie braku konieczności wykonywania jakichkolwiek ruchów. Ze zdziwieniem odkrywam, że przyzwyczajone do wiecznego napięcia i stresu zarówno ciało, jak i umysł zupełnie nie potrafią poradzić sobie z zawieszeniem ponad obowiązkami.

Dotychczas przytulne, wypełnione miękką gąbką poduszki sofy, która zajmuje niemal cały niezbyt przestronny salon, po kwadransie przetaczania się z boku na bok okazują się nie dość wygodne, a przyzwyczajone do galopady myśli natarczywie usiłują zwrócić na siebie uwagę.

Zniechęcona wstaję tylko po to, by zaparzyć w niewielkim dzbanuszkuzieloną herbatę z dodatkiem skórki cytrynowej, i ponownie opadam na mebel, który zdążyły już zająć kociaki. Sięgam po pilota i przerzucam kolejne programy w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłabym zawiesić oko.

Oczywiście wszędzie królują przyciężkie wiadomości ze świata, przepełnione informacjami o kolejnych zamachach, planach terrorystów i obawach społeczeństwa, przetykane skwierczącymi przebłyskami fantazji nowego rządu, który autorsko interpretując konstytucję, ma zamiar wykreować nowy porządek w państwie, no i wreszcie prognoza

pogody.

Po dłuższej chwili dochodzę do wniosku, że nie zrelaksuję się ani przy odkrywaniu kolejnych tajemnic Trzeciej Rzeszy, ani podczas analizy cyklu rozrodczego płetwała błękitnego, i sięgam po telefon.

– Halo.

Zaspany głos przyjaciółki sprawia, że przestraszona zerkam na stary zegar ścienny, sprawdzając, czy przypadkiem nie jest zbyt wcześnie na towarzyskie zaczepki. Leniwa wskazówka niemrawo zmierza ku godzinie dziesiątej.

– No halo! To ja! A ty co? Śpisz jeszcze?

– Zwariowałaś? Wróciłam z jogi i teraz medytuję.

– A... a o czym tak medytujesz?

– No, no! Przestań się nabijać!

– Ale musisz sama przyznać, że tak na zdrowy rozum to jednak nieźle cię poszurało. Narzekasz, że na nic nie masz czasu, a siedzisz i zastanawiasz się nie wiadomo nad czym.

– Nad niczym się nie zastanawiam... tylko rozwijam swoją duchowość.

– Tak, tak, głaszczesz aurę i przez to stajesz się zdecydowanie lepszym człowiekiem.

– Jak masz mnie wnerwiać, to lepiej nie dzwoń!

– OK, przecież wiesz, że sama chętnie bym plasnęła na tyłek i wyginała ciało w jakieś lotosy, przy okazji docierając do jądra jaźni.

– To nie gadaj, tylko zacznij działać.

– Tak, łatwo ci mówić. Dzieci, praca, dom...

– Stara śpiewka. Nie marudź. A właściwie co teraz robisz?

Ze zdziwieniem konstatuje, że w zasadzie to samo co Magda, z tą różnicą, że nie towarzyszy mi ideologiczna oprawa i kanapa jest zdecydowanie wygodniejsza niż niebieska mata na twardej dębowej podłodze w domu mojej przyjaciółki.

– Nic nie robię.

– W sensie...

– No nic, tak po prostu.

– Nie poszłaś do roboty? A gdzie masz dzieciaki?

– W przedszkolu.

– Żartujesz?

– Nie. Właśnie dzisiaj zaczęły nowy rozdział w swoim życiu.

Marysia w grupie trzy- i czterolatków dołączyła do grona muchomorków, a Toni dzielnie walnął swojego pierwszego klocka w żłobku. Nie pytaj o to, jak się nazywają maluchy, bo jeszcze do tego nie doszłam.

– Nie boisz się, że coś się stanie?

– Jakbym miała tak myśleć, tobym się z domu nie mogła ruszyć.

– No widzisz, masz czas na ćwiczenia!

– Nie wiem, czy na ćwiczenia, ale obiecałam sobie, że nareszcie choć trochę oderwę się od codzienności i zrobię coś dla siebie.

– No i co zrobiłaś?

– Właśnie z tym jest pewien kłopot... nic. Kulam się po kolejnych meblach w salonie i nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Próbowалаm czytać, oglądać telewizję, stoczyłam wewnętrzną walkę, by nie rzucić się do kosza z praniem, i dochodzę do wniosku, że nie nadaję się do takiego nicnierobienia.

– Oj tam, oj tam. Przesadzasz jak zwykle. Jak chcesz, to przyjadę po ciebie i wyskoczmy na miasto.

– Czy to oznacza, że muszę się zwlec, w coś ubrać i umalować?

– Jeśli nie chcesz wyglądać jak ofiara gwałtu, to raczej tak. Kurde, coś ty się zrobiła taka marudna? Rusz dupę, będę za godzinę!

Do ciężkiej cholery. Czy ja – w opinii znajomych, pracowników, rodziny, a nawet fryzjerki – nie mam prawa do marudzenia? Do odgrywania bardziej bezradnej i poszukującej opieki niż w rzeczywistości, w myśl filozofii: ja taka słaba mała kobietka, a pan taki duży, silny mężczyzna...? Tak bardzo brakuje mi tego, żeby ktoś się mną zaopiekował i choć troszkę porozpieszczał. Tymczasem została mi przypisana rola tarana, który rozbija bariery powstałe z najgorszych i najtrudniejszych emocji i strachów.

Podczas gdy usiłuję wrzucić wsteczny, a w zasadzie postać chwilę na neutralu, moja przyjaciółka zasuwa na piątym biegu, nie bacząc na modę i opinię innych. Czerpie z życia pełnymi garściami, przekonując wszystkich, że jej image dorastającej dziewczyny doskonale koresponduje z wiekiem i doświadczeniem życiowym.

Mariaż zamożnej pani w średnim wieku z utlenioną nastolatką w zbyt krótkiej spódniczce obnażającej brzuch i wysokie partie ud zupełnie nie jest w moim stylu. Nie potrafię również poddać się procesowi odmładzania i maltretowania ciała igłami i skalpelami, któremu z lubością za chore pieniądze oddaje się Magda. Jej kości policzkowe zaczynają przypominać połówki wciśniętych pod skórę mandarynek, a do tego naturalnie pełne usta regularnie zwiększają rozmiary pod strzykawką ponoć najlepszego chirurga w mieście.

Na dodatek Magi zamieniła dojrzałych facetów na młodzieńców, którzy mogliby być jej synami, i związała się z babyboym Pawełkiem, skutecznie drenującym jej karty kredytowe i utwierdzającym ją w przekonaniu o słuszności podejmowanych decyzji. Do tego stopnia, że w ostatnią sobotę, pieczętując miłość, wryli na swoich nadgarstkach w jakimś podejrzanym studiu tatuażu dwa żenująco koślawe obrazki: Magi czerwone serce z dziurką na kluczyk podpisane gotycką czcionką: Pablo, a jej chłopak (brzmi dziwnie w odniesieniu do niemal nastolatka) klucz stosownie sygnowany imieniem wybranki. Myślałam, że zemdleję, gdy zaprezentowali mi dzieło szalonego artysty, albo raczej artysty na haju, krzyczące bardziej niż obraz Munka. Przy okazji szczegółowo omówili, na których częściach ciała w najbliższej przyszłości mają przysiąc kolejne odpustowe dzieła sztuki.

Czekam na próbę przerobienia burzy blond włosów na dredy i zamianę garderoby z jedwabnej na ekologiczny len. Od kilku tygodni mam wrażenie, że nie tylko ciało Magdy, ale również jej polechtany endorfinami umysł powyginał się nie w te strony, co trzeba, bo zaproponowała „dziecku” wspólne zamieszkanie.

Nim sfinalizuję filozoficzne rozmyślenia, nie potrafiąc jednak wysnuć konstruktywnych wniosków, przed domem zatrzymuje się taksówka i z niemałym trudem wydostaje się z niej teściowa. Kurczę. Wzdycham niezadowolona z powodu kolejnej niezapowiedzianej wizyty i zbiegam na dół otworzyć drzwi.

– Nineczko, jak dobrze, że jesteś.

Konsekwencją rozległego zawału teścia są opasane by-passami serce i wybudzony ze starczej demencji umysł, który zdał sobie sprawę z ponownych narodzin i za wszelką cenę usiłuje wykorzystać wszystko,



co niesie życie, co zaowocowało również depresją teściowej i naszymi nowymi relacjami.

Od trzech tygodni, czyli od dnia, gdy gnałam do szpitala za karetką pogotowia, pchana rozpaczą pani Oli i własnym strachem, teściowie odkryli we mnie człowieka. Niestety, jak się okazało po serii rozmów – na krótko. Przestałam być dziewczuchą, tą czy żoną ich syna, gładko przechodząc namaszczenie na Ninę, sporadycznie Nineczkę.

– Witam, proszę wejść.

Nadal jak tylko się da manewruję formą bezosobową. Ukrywam rozczarowanie wizytą nie w porę, przepuszczam teściową przodem i człapię do salonu.

– Wychodzisz?

– Tak, właśnie czekam na koleżankę.

– A dzieci? Co z dziećmi?

Jej natrętna troska, podszyta dydaktycznym smrodkiem, niezmiennie budzi we mnie agresję. Po tylu latach chyba już żadna z nas nie potrafi oddzielić złośliwości od troski, zainteresowania od wścibstwa, ponadto wypowiedziane innym tonem te same słowa być może nie budziłyby takich emocji.

– W przedszkolu, żłobku i szkole.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, co się może wydarzyć w takich miejscach? Masz pewność, że się tam nimi zajmą?

– Nic im nie będzie, ale chyba nie dlatego – i tu chciałoby się rzec „mamo”, ale wypunktowuję tylko ciszę i dodaję: – się widzimy?

– Poczęstujesz mnie herbatą?

Odpowiadam, że oczywiście, a w duchu przeklinam się za to, że otworzyłam drzwi, bo skoro na stół wjedzie herbata, to wizyta raczej nie zamknie się w paru chwilach, a przecież za kilka minut pojawi się Magda.

– Wyobraź sobie, że ojca jednak przenoszą.

– Przenoszą? Gdzie? Na inny oddział? Coś się stało?

– Na jaki tam oddział... do sanatorium!

– To chyba dobrze.

– Wcale nie dobrze! Co ja teraz zrobię?

– Ale co teściowa chce zrobić? Nie rozumiem.

– No jak to? Przecież nie będzie go miesiąc, a z tego, co mówiła Zula, no wiesz, ta z naszego grona, to kobiety tam jeżdżą tylko po to, by poderwać facetów.

O rany, tylko nie to! Wracamy do tematu?

– Nie sędzę, żeby teść dał się komuś poderwać.

– Nigdy nie wiadomo.

To fakt: nie wiadomo, co staruszkowi, który zdaje sobie sprawę, że to pewnie jego ostatni zryw, strzeli do głowy. Ponoć im głowa bardziej siwieje, tym dupa mocniej szaleje, ale raczej nie ta po by-passach i ledwo trzymająca się rozklekotanego ciała.

– Więc co teściowa zamierza?

– Myślałam, żeby do niego pojechać.

– W odwiedziny?

– Nie, zamieszkać z nim w pokoju. Przecież ja też jestem sterana życiem, to i sanatorium mi się należy.

– No pewnie tak – mówię. – Tylko że najpierw trzeba napisać podanie, potem muszą je rozpatrzyć, a następnie czeka się miesiącami. Obawiam się, że tak z marszu nic się nie da załatwić.

– Z naszymi pieniędzmi się da, nie zapominaj o tym. Poza tym zawsze mogę liczyć na syna, jest prawnikiem i z pewnością się tym zajmie.

Skłonność do fantazjowania i łatwowierność kroczą przed panią Olą, niosąc sztandar dumy i wyższości.

Oczywiście. Przez cały okres naszej znajomości nic tylko słyszę o pieniądzach: za mało zarabiasz. Bez sensu pracować u kogoś! Załóż własną firmę... i moje ulubione: Wojtek taki zmyślny, zarobił już pierwszy milion i na wszystko go stać. Starsza pani zapomina jednak, że od rodziców dostał dwa miliony i jeden się jakoś na drodze nietrafionych inwestycji zagubił. Pani Ola znowu toczy walkę z płaszczem, właściwie prochowcem, który śmierdzi naftaliną tak, że sam mógłby robić za pułapkę na mole, choć aktualnie stał się zasadzką na właścicielkę. Po chwili obie jesteśmy zaplątane w szal i rękawy, zupełnie jakby palto miało ich z pięć.

Nagle z łomotem otwierają się drzwi i do mieszkania wpada radosna jak szczypiorek na wiosnę Magda. Teściowa i ja podskakujemy

ze strachu.

– O, dzień dobry. – Magda w swojej krótkiej czerwonej sukience, która na szczęście zakrywa brzuch, za to odkrywa bardzo dużo na dole, grzechocząc tysiącem kolorowych bransoletek, jak zwykle wnosi do domu huragan energii. – A co tu tak śmierdzi?

Wzrokiem – niczym Michał Anioł paluchem Boga Adamowi – usiłuję jej przekazać, że podąża złą drogą. Jednak Madzia nie jest nastawiona na odbiór jakichkolwiek komunikatów.

– No wali jak nie wiem co! Coś ty tu robiła?

Niespokojna teściowa wąskim nosem wciąga powietrze i niczym kiper wino ocenia mieszaninę gazów unoszących się w korytarzyku.

– Rzeczywiście, musisz tu przewietrzyć. To ja wam nie przeszkadzam. Do widzenia pani.

– Do widzenia.

Magi podnosi rękę i radośnie macha starszej pani na pożegnanie, odsłaniając przy okazji koronkowy brzeg pończochy. Teściowa z dezaprobatą spogląda na najbliższą mi kobietę na ziemi, coś tam mruczy pod nosem i powoli sunie w kierunku furtki oraz nadal czekającej taksówki.

– Czyś ty oszalała? Przecież pokazywałam ci, że to ona tak wali.

– Jezu, ale czym?

– Jak to czym? Przedwojenny dom ma przedwojenne zasady. Kulki na mole, ocet zamiast domestosa, wosk do podłóg i pękatego dębowego kredensu. Jedynym powiewem nowości, notabene darem od Wojtka, są piorące kasztany, przez co wszystkie jej niegdyś śnieżnobiałe bluzki są żółtawe. Wyobraź sobie chatę, w której wszędzie są porozstawiane garnuszki wypełnione dziwnymi cieciami i miksturami mającymi coś pochłaniać albo czemuś zapobiec.

– Nie, naprawdę? W dzisiejszych czasach?

– A jednak. Coś ty na siebie włożyła?

– A co, nie podoba ci się? Prezent od Pawła.

– Kobieto, wyglądasz koszmarnie, jak gąsienica przed przepoczwarceniem. I jeszcze te czarne włosy? Gdzieś ty się tak urządziła?

– Pablo mówi, że teraz wyglądam jak ognista Hiszpanka.

– Dla mnie jak matka tej Hiszpanki. No, ale co kto lubi...

– Właśnie. Lepiej zobacz, jak ty wyglądasz. Siwki stanęły ci na głowie niczym pluton egzekucyjny. Ty się w ogóle malujesz?

– A jak myślisz? Nie mam zamiaru walić po oczach makijażem. Napijesz się kawy?

– Tak, ale w mieście! Zbieraj się, jedziemy.

Mimo oporów daję się zapakować na skórzane siedzenie jej nowego samochodu, którego zapach najprawdopodobniej jest niczym najskuteczniejszy afrodyzjak dla Pawełka. Okazuje się, że dzisiejszym punktem kulminacyjnym nie jest pobliskie centrum handlowe, tylko spa w niewielkim lesie pod miastem.

– Magda, jesteś pewna?

– Tak, kochana! Ja stawiam. Dostałam w sklepie bon na dwa marokańskie masaże.

Jedną ręką trzymając kierownicę, nerwowo grzebie w przepastnym worze udającym stylową torebkę, w którym zmieściła całą górę śmieci, od zasmarkanych chusteczek, przez bilety na autobus (od kiedy ona jeździ autobusem?), po rachunki i paragony. Wreszcie triumfalnie wyciąga elegancką, błyszczącą kopertę ze złotym logo. Voilà!

Spa mieści się w starym klimatycznym dworku z drewna i cegieł, w którym mimo wiosny pali się w kominku. Aromat – nie wiem czego, ale najwyraźniej czegoś stanowiącego źródło dobrego nastroju – pieści wszystkie zmysły. Właśnie dochodzę do wniosku, że taka aromaterapia jest dla mnie wystarczającym wypoczynkiem i siedzenie tu w fotelu w kącie byłoby spełnieniem moich marzeń, gdy głośna jak zwykle Magi woła, żebym podeszła do recepcjonistki.

– To dla ciebie.

Wręcza mi mały, miękki, biały pakunek, jakoś nieprzypominający prezentu, z którego mogłabym się ucieszyć.

– Co to?

– Szlafrok, czepek i takie tam. Musisz tu zostawić torebkę i telefon.

– Telefon?

– Taka jest zasada! Pełen relaks, czas nie istnieje, a przynajmniej go nie liczymy.

Nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł, ale nie mam odwagi

się sprzeciwić. Dzieci są w dobrych rękach, knajpa nie do końca, ale może faktycznie przyda mi się wejście w inną czasoprzestrzeń?

W wielkiej, wyłożonej jasną włochatą wykładziną kabinie, pełnej luster i drewnianych stylizowanych wieszaków, rozrywam paczuszkę i moim oczom ukazują się jednorazowe majtki, klapki, szlafrok i czepek. Białe stringi o paskudnych gumowych tasiemkach, z wysokim, ale bardzo wąskim trójkątem z włókniny, która niemal przykrywa pępek, za to dziwnymi falami układa się na podołku, tak że dokładnie mogę obejrzeć to, co powinnam zakryć.

Dzięki Ci, Panie, że natchnąłeś mnie wczoraj swoją mądrością i wcisnąłeś do ręki maszynkę do golenia i krem do depilacji. W jaskrawym świetle wszystkie niedoskonałości skóry: popękane naczynka, przebarwienia i zmarszczki, stają się jeszcze bardziej widoczne, nie mówiąc o ogólnej bladości. Wyglądam jak oskubany kurczak, który czeka na opalenie spirytusem. Przyglądam się sobie z rozpaczą, która sprawia, że od razu mogłabym wykupić nie jeden masaż, lecz cały pakiet zabiegów na wszystko.

Chryste Panie, co się z człowiekiem porobiło! Podchodzę krok bliżej i w szklanej tafli kontempluję swoją twarz. Naciągam dłońmi skórę za uszami, w kierunku nasady włosów, jednym gestem likwidując nadmiar na podbródku. Jedyne ratunek to zrobienie kitki z luźnej skóry gdzieś z tyłu głowy. Gdy puszczam, zdziwiona skóra wraca na miejsce, lekko drży i ponownie przyjmuje wygląd pogniecionej mapy w wersji 3D, z licznymi dolinami, wąwozami i kraterami, poprzecinanej gęstą siatką zmarszczek niczym dróg prowadzących donikąd.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób pobyt w tym miejscu ma mi poprawić samopoczucie i spowodować, że znowu poczuje się piękna. Jedyne, co osiągnęli, to wpędzenie mnie w czarną rozpacz i przekonanie, że w takim stanie nie mogę się nikomu pokazywać, a już jakiemuś facetowi w szczególności.

Wkładam jednorazowy stanik (był w komplecik z stringami), dzięki któremu moje niewielkie piersi zupełnie znikają, przymierzam czepek i w tym stroju bardziej pasuję do turnusu w psychiatryku niż do spa. Ciaśniej owijam się szlafrokiem i w idiotycznych jednorazowych klapkach powinnam być gotowa na przygodę, a nie jestem. Mam tylko

nadzieję, że dbają tu o dyskrecję i nie spotkam nikogo znajomego na korytarzu.

Są w życiu chwile, w których ciepło myśli się o porośniętej mchem ziemiance w ogrodzie babci, w której można się zaszyć i nigdy nie wychodzić. Niepewnie uchylam drzwi prowadzące na wewnętrzny, równie pluszowy jak kabina korytarz i nim zdążę się rozejrzeć, wpadam na zadowoloną z siebie Magi, w takim samym idiotycznym wdzianku. Zniecierpliwiona pogania mnie, żebym się ruszyła. Gdy spoglądam na długi korytarz pełen ludzi, w dodatku niektórych ubranych normalnie (nie wiem, jak ich tu wpuścili, może załatwiła to jakaś tajemnicza dopłata), mam w sobie tyle zapału co kobyła ciągnąca pod górę wóz z węglem.

– Idziesz?

Niemal dostrzegam rysy na cierpliwości Magdy, więc biorę oddech i ruszam w świat luksusu, wypoczynku i relaksu.

– Najpierw sauna, potem peeling i na końcu masaż. Jesteśmy w prawdziwym marokańskim hammamie i będą nas obsługiwać prawdziwe Marokanki!

Nie wiem, jak można przepikować kawałek Maroka do polskiego dworku, ale uprzejmie milczę, czując tylko, że mój wypoczynkowy nastrój lekko ewoluuje w kierunku paniki.

– Świetnie. A ile nam to zajmie?

– Tu o czasie nie rozmawiamy.

– Tak, wiem, ale muszę odebrać dzieci, więc tak w przybliżeniu...

– Jakies dwie i pół, trzy godziny.

– Aha.

Oddycham z ulgą, analizując w głowie grafik Klary, i pozwalam się nieść atmosferze relaksu, która gwałtownie się ulatnia, gdy tylko wchodzimy do wyłożonej kamieniami łaźni.

Unosząca się para dosłownie zatyka mi usta i nos i czuję się, jakbym tonęła. Później jest jeszcze gorzej, bo kobieta, która została nam przydzielona, każe nam się rozebrać. Za wszelką cenę usiłuję ocalić żalotne pofałdowane stringi, ale dowiaduję się, że tak absolutnie nie wolno, bo coś tam może się odparzyć, i mimo że jesteśmy tylko we trójkę, skrępowanie szturcha mnie po żebrach.

Wreszcie stoimy nagie pod prysznicem, z którego leci coraz chłodniejsza woda, i choć jest mi coraz zimniej, nie mam odwagi się odezwać i zapytać, czy tak ma być. Nie mogę oderwać wzroku od krągłych, pięknych i przede wszystkim nowych piersi Magdy. Nigdzie nie dostrzegam blizn, są cudowne! Wyglądają rewelacyjnie. Może też powinnam sobie takie zrobić? Zaczynam kochać chirurgów i ich skalpele. Na miejscu faceta nie wypuszczałabym takich piersi z rąk.

Moje rozmyślenia przerywa ledwo mówiąca po polsku Marokanka, choć do końca nie jestem przekonana co do jej pochodzenia, bo jak na mój gust ma zbyt skośne oczy.

– Teraz będę was myć.

W pierwszej chwili nie dociera do mnie ten komunikat, ale wkrótce rozumiem jego znaczenie. W ręce kosmetyczki zamiast miękkiej, puszystej gąbki ląduje szorstka rękawica pokryta płataniną twardych nitok, taka sama, jakiej używam do szorowania przypalonych garów.

Namydlona breją, która okazuje się pochodzącym prosto z Maroka rarytasem w świecie kosmetycznym, czyli dziwnie pachnącym czarnym mydłem, produktem ubocznym procesu produkcyjnego sławnego oleju arganowego, stoję jak więzień przed procesem dezynfekcji.

Dotychczas myślałam, że zabiegi w spa to synonim łagodności, czułości i delikatności, tymczasem czarnowłose stworzenie szarpie mną na wszystkie strony. Szoruje plecy, nogi, kolana, nawet podnosi mi rękę, by wyszorować pachy, a gdy coraz bardziej się obniża, jestem przerażona, że zaraz zostanę przypadkiem obrzezana tą cholerną rękawicą.

Nie wiem, czy kiedykolwiek z równą zawziętością szorowałam psa, który wytarzał się w gównie. Magda, która z radosną miną przyglądała się ablucjom, nagle przestaje się uśmiechać, bo właśnie szara maź trafia na jej dopiero co ułożone u fryzjera włosy.

Wreszcie koniec. Tak myślę, a jednak nie. Na naszych głowach lądują po dwa wiadra wody zaczerpniętej z kamiennej wanny, która wcześniej umknęła mojej uwagi. Nie jest nam dane wyjść z szoku i niemal przestajemy się widzieć z powodu coraz większych kłębow pary, gdy lądujemy na gorących kamiennych ławach. Sauna się zaczyna.

Po chwili czuję, że nie mam czym oddychać, a wszystkie pory

skóry otwarły się tak, że wszelkie zaskórniki z krzykiem same z niej uciekają. Mam dosyć. Czuję się, jakbym tonęła, a na horyzoncie nie pojawia się koło ratunkowe. Ponoć czas tu nie gra roli, ale bardzo chciałabym wiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa. Nawet nie możemy rozmawiać, łapiąc powietrze jak wyrzucone na brzeg ryby.

Jestem bardziej zmęczona niż po całym dniu pracy, z tą różnicą, że tu za takie upodlenie się płaci. Poddaję się. Wstaję i już chcę wołać o pomoc, gdy drzwi się otwierają i pojawia się w nich nasza opiekunka. Nigdy nie cieszyłam się tak bardzo na widok obcej kobiety. Mam ochotę ją przytulić i wyściskać.

Po splukaniu zimną wodą pozwala nam włożyć jednorazową bieliznę, którą nawlekam na siebie z wielkim entuzjazmem, byle tylko jak najszybciej się stąd wydostać.

- Ja pierdołę, Magda, co to było?
- Odpoczęłaś?
- Jaja sobie robisz?! Jestem wykończona.
- Trzeba było wyciszyć umysł i się odprężyć.
- Jaki umysł?! Ja walczyłam o życie!
- Nie przesadzaj. Idziemy dalej.

Owo „dalej” nie jest znowu tak daleko, bo zaledwie kilka metrów obok, w wielkiej, pustej, przyciemnianej sali przedzielonej półprzezroczystymi, lekko powiewającymi pasami materiału. Za jednym z nich czekają na nas dwa wygodne ni to łóżka, ni to leżaki, a obok na stoliku filiżanki i dzbanek z jakimś napojem, który mamy bardzo powoli saczyć. Napój szczęśliwie okazuje się herbatą, nawet niezłą, a ja mam coraz większą ochotę na drzemkę. Chyba na tym właśnie polega relaks.

- Często tu bywasz?
- Czasami. Nie znam lepszego peelingu.
- Fakt. Nigdy nikt nie zdarł ze mnie tyle naskórka.
- Musimy to częściej powtarzać.

Nie jestem przekonana, ale dla świętego spokoju się zgadzam. Muzyka i aromat cytryn są tak ulotne, że zastanawiam się, czy kiedykolwiek czułam się równie wyciszona. Chyba nie, no, może w łonie matki, ale to było stosunkowo dawno i niewiele pamiętam.

Czas sobie płynie, ktoś zajmuje się moimi dziećmi, nie myślę



o pracy, mój umysł się wyłącza, cholera, nawet nie wiedziałam, że można nie myśleć. Jakże ten stan się różni od tego na kanapie. Trzeba przyznać, że Magda umie wydawać pieniądze.

Czas płynie i płynie, nic się nie dzieje, a ja zaczynam się początkowo lekko, a po chwili poważnie niepokoić. Może o nas zapomnieli? Unoszę powoli powieki i dyskretnie poszukuję wzrokiem kogoś z obsługi. Oczywiście nikogo nie ma.

Fontanna pośrodku wypluwa z siebie niespiesznie kolejne strumyki wody, które do niedawna wydawały mi się rajska muzyką, a teraz przypominają ciekący zlew. Aromatyzowane świece stają się zbyt wonne, a zapach orientального kadzidła nie do zniesienia.

– Magda, śpisz?

– Yhm.

Przyjaciółka nawet się nie porusza, a ja mam ochotę walnąć ją poduszką, na której się opieram.

– Tu nic się nie dzieje.

– O to właśnie chodzi.

– No tak, ale ile można tak leżeć?

– W nieskończoność. Coś ty taka nerwowa?

– No, wiesz, nie mogę się doczekać masażu. – W obawie przed kolejnym ochrzanem gładko podpieram się kłamstwem, tym bardziej że już nie tylko się nudzę, ale w dodatku zaczynam myśleć o dzieciakach, konieczności ich odebrania i o tym, co zrobię na obiad.

– Aha.

Magi lekko się unosi i dzwoni jakimś małym dzwoneczkiem, który cały czas spokojnie leżał na stoliku. Jak na zawołanie wyrasta przed nami kosmetyczka. Że też nie dostrzegłam go wcześniej.

– Tak?

– Jesteśmy gotowe na masaż.

– Zapraszam.

Przechodzimy do kolejnego pomieszczenia, z dwoma drewnianymi łózkami do masażu pośrodku. Pozbywamy się kokonów z ręczników na głowie, odwieszamy szlafroki i kładziemy się na białych ręcznikach wysokich i wąskich łóżek. W obawie, że spadnę, mocniej wciskam twarz w przeznaczony do tego otwór i jest mi wszystko jedno, co się wydarzy

i jak źle wyglądają moje pośladki przyodziane jedynie w jednorazową cieką tasiemkę. Byle szybciej to wszystko się zaczęło i skończyło.

Oczywiście kosmetyczka się nie spieszy. Pewnie dostaje kasę za godziny, a nie liczbę wykonanych zabiegów, więc powoli podgrzewa olejek, jeszcze wolniej rozprowadza go po łydkach, ślimaczymi, posuwistymi i spokojnymi ruchami rozciąga moje mięśnie, masuje przyczepy mięśniowe, przyszczypuje skórę.

– Yhm, jak dobrze.

Magda jęczy z rozkoszy na łóżku obok, ja tymczasem przyglądam się wysuszonej skórze nóg masażystki. Gdy przechodzi do masażu ud, wiem, z którego paznokcia odprysnął jej czerwony lakier.

– Ma pani bardzo spięte mięśnie.

– Tak, wiem.

Wciska mi mocniej pięść w nasadę uda, a ja jęczę, bynajmniej nie z rozkoszy, tylko z bólu. Jak, do cholery, mam nie być spięta, skoro nie wiem, która jest godzina i czy zdążę do przedszkola.

– Rozluźniamy nogę.

Nie wiem, co to dokładnie znaczy, ale staram się jak mogę i w rezultacie jeszcze bardziej usztywniam.

– Luźno, kochana, luźno.

– No przecież tak robię.

– Nie robisz. Musisz być tak rozluźniona, że jak puszcę twoją stopę, to ona opadnie, nie trzymaj jej w powietrzu.

– A, rozumiem.

Hura, jestem bogatsza o jedną umiejętność. Czy wypada powiedzieć, że odrywa się jej koralik na pasku w prawym bucie? Usiłuję się przesunąć i zobaczyć, jakie klapki ma masażystka obok, ale nie dość, że nic nie widzę, to jeszcze zostaję przywołana do porządku.

– Niewygodnie pani?

– Wygodnie, wszystko OK.

Przewracam się na plecy i teraz po wyglądzie chmur za małym oknem i ich coraz głębszej szarości usiłuję określić, która to może być godzina.

– Przestań się tak szamotać.

– Sorry.

– Pomyśl o czymś przyjemnym – radzi Magda.

– Niby o czym?

– Nie wiem, nie siedzę w twojej głowie.

Fakt. Zaczynam intensywnie myśleć, niestety głównie znowu o tym, co przygotować na obiad. W lodówce mam resztkę ziemniaków, więc może jakieś kluseczki. Hm, ale czy mam w domu choć jedno jajko? A może lepiej naleśniki?

– I o czym myślisz?

Niespodziewanym pytaniem Magda wytrąca mnie z planowania popołudnia. Głupio powiedzieć, że o nabiale, więc konfabuluje:

– Zastanawiam się, co jeszcze się wydarzy w moim życiu.

– Myśl o czymś lżejszym.

Właśnie myślę! Obiad ma mniejszy kaliber, ale oczywiście nie mogę tego głośno powiedzieć.

– Niby o czym?

– Zastanawiałaś się, czy poznasz jeszcze faceta?

– Trochę...

– I co?

Chryste, przecież przysłuchują się nam obce kobiety, a ja mam się wywnętrzać?

– Nic. Raczej nie wyobrażam sobie kogoś obcego w domu.

– Przecież nie będzie obcy.

– Na początku będzie.

– Chcesz być sama do końca życia?

– Jakoś mi to nie przeszkadza.

– Dzieciaki się wyprowadzą, a ty?

– Nic, dobrze mi ze sobą, dobrze jest, jak jest, nie szukam przygód.

– Nie myślę o przygodzie, tylko o kimś na stałe.

– Przestań. No a ty? Paweł to tak na poważnie?

– Raczej tak. Przy nim czuję się młoda i potrzebna.

– No, niewątpliwie, jesteś jak matka: pierzesz, gotujesz i za wszystko płacisz.

– Dlaczego tak to oceniasz?!

– Magda, a jak inaczej mam na to spojrzeć?

– Że się zakochałam.

– OK. A jesteś pewna, że z jego strony to też miłość, a nie przygoda?

– Tak deklaruje.

– Deklaruje? Czy on w ogóle sprawdzał w słowniku, co oznacza to słowo? Obietnice obietnicami, ale... nie gniewaj się, spójrz na siebie, mimo ciuchów, tatuażu i nowej fryzury młodsza nie będziesz.

Masażystka nareszcie zaczyna rozmasowywać mi prawy bark. Ugniata go z całej siły, tak że palce jej stóp się unoszą, koralik się chwieje, a ja nareszcie czuję, że moje mięśnie tają pod jej dotykiem. Ciało w magiczny sposób się rozluźnia, zupełnie jakby ktoś rozplątywał sznurki oplatające kręgosłup.

– Myślałam o tym, ale nie potrafię ocenić tego obiektywnie. Nina, ja naprawdę się w nim zakochałam, mam motyle w brzuchu. Rozumiesz?

– Ja, jak go widzę, to mam w brzuchu rozwścieczony rój os. Sorry, że to mówię, ale jakoś mu nie ufam. Z drugiej strony, rozumiem cię, tylko uważaj na siebie. Niestety nie wierzę w takie związki.

– Sama nie wiem... Ale myślisz, że nie rozglądałam się wśród dojrzałych facetów? I co? Wszyscy są zajęci albo chętni na numerek, żeby sobie udowodnić, że jeszcze mogą.

– Przesadzasz.

– Wcale nie! Rozglądałaś się? Dostrzegasz kogoś, kto mógłby cię zainteresować? Albo inaczej: spotkałaś kogoś, kto zainteresowałby się tobą? Myślisz, że to proste?

– Pewnie nie.

– Jesteś wykształcona, masz dom, dzieci, doświadczenie życiowe, zawodowe i jakie tam sobie życzysz, a i tak przegrywasz z byle durną dwudziestolatką. Staje obok ciebie i przestajesz istnieć. Robisz się niewidzialna.

– Mnie to nie przeszkadza.

– A powinno! Tak jest skonstruowany świat i dlatego, nawet jeśli Paweł za chwilę mnie zostawi, to, co przeżyję, będzie moje.

– No, tylko że twoje są również tatuaże, fryzury etc. Chyba musisz bardziej uważać na te inwestycje. Brakuje ci tylko kolczyka w nosie.

– A wiesz, że o tym myślałam?

– Chyba cię pogięło.

Nie słyszę odpowiedzi, bo masażystka zabrała się do stóp i mocno ugniatając wszelkie receptory, wyciska mi z oczu łzy. Boże, jak to boli!

– Proszę leżeć spokojnie.

– Jak mam leżeć spokojnie, kiedy mi pani wciska palce w kości.

– Powoli kończymy. Proszę odwrócić się ponownie na brzuch i odgarnąć włosy.

– Ale po co?

– Wymasuję pani głowę.

Chcę zapytać, ile czasu jej to zajmie, ale w zasadzie nie ma to znaczenia, bo przecież i tak nie mam przy sobie zegarka. Nie wiem, która jest godzina, i wcale nie czuję się z tym dobrze.

Dzieci pewnie już nie mogą się doczekać powrotu do domu. Klara za chwilę ma zajęcia plastyczne na końcu osiedla, a ja muszę zrobić zakupy. Przez to całe spa zapomniałam o zakupach!

– Proszę się nie kręcić.

Jak mam się nie wiercić, skoro rzeczy do zrobienia ustawiają się do mnie w kolejce.

Nareszcie! Koniec. Wracam do kabiny, żeby się przebrać i sprawdzić, o ile lepiej wyglądam po paru godzinach ugniatania, nawilżania i masowania.

Oniemiałam. Z lustra spogląda na mnie blada twarz, pozbawiona resztek makijażu, oczywiście poza plamami tuszu do rzęs pod prawym okiem. Skóra się świeci, jakbym wpadła w słoik smalcu, a włosy pod wpływem olejku arganowego sterczą jak siano ze snopka. Nie wierzę. Jak mam w tym stanie odebrać dzieci?

Ubieram się i przekopuję torebkę w poszukiwaniu gumki do włosów. A makijaż? Nie zabrałam ani tuszu, ani pudru. Co teraz?

– Magda, Magda! – Łomoczę do drzwi, za którymi moja przyjaciółka wraca do realnego świata. – Masz jakieś kosmetyki?

– Jasne, co chcesz?

– Wszystko, przecież nie mogę się tak pokazać w przedszkolu.

Wymanikiurowaną ręką podaje mi dużą brązową kosmetyczkę, a ja uświadamiam sobie, że przed nami jeszcze zabieg arganowy na dłonie. Nie, nie dam rady.

Magda oczywiście wygląda idealnie. Perfekcyjny makijaż,

nieskazitelnie wyprasowana sukienka, szpilki. A ja co? Dżinsy, T-shirt. Może faktycznie powinnam zrobić dla siebie coś więcej niż tylko farbowanie włosów w łazience na piętrze?

Cholera. Cholera. Cholera. Jest szesnasta piętnaście. Jak to się stało? W optymistycznej wersji dojadę do przedszkola tuż przed jego zamknięciem!

– Magda, sorry, ale rezygnuję z zabiegu na dłonie. Nie zdążę do przedszkola.

– Nie zrobisz mi tego!

– Obawiam się, że nie mam wyjścia. Siostry zaraz zaczynają te swoje modlitwy i rytuały, muszę lecieć. Przepraszam cię, kochana, i dziękuję za cudowny dzień.

– No, skoro musisz.

Widzę w jej oczach błysk i domyślam się, że po moim wyjściu zafunduje sobie jeszcze pedicure albo coś w tym stylu.

Nareszcie pojawia się przede mną drewniany płot z gęstych, zaostrzonych desek pomalowanych tak, że przypominają kolorowe kredki wystające z piórnika. Dopadam sosnowych drzwi tuż przed siedemnastą, ze skrzyknięciem ze strachu żołądkiem i wyrzutami sumienia, które całą watahą truchają obok.

Nie czuję się wypoczęta ani zrelaksowana. Trzygodzinny zabieg gładkim ślizgiem przeciągnął się do ponad czterech godzin. Jedno spojrzenie na zegarek sprawiło, że wszystkie mięśnie ponownie się spięły... i to tyle na temat rozluźniania.

– Jestem! Przepraszam, że tak późno, ale coś mi wypadło.

– Nic nie szkodzi, my się tu ładnie bawimy. Prawda, Marysiu?

Mała wkleja się we mnie, ale jej buzia promienieje zadowoleniem. Antoś dla odmiany zasnął i w takim stanie daje się załadować do fotelika na tylnym siedzeniu samochodu. Wracamy do domu, w którym dziewczyny czekają z obiadem. Boże, jak ja kocham pomysłowość Ani, która nie tylko odebrała Klarę ze szkoły, ale jeszcze usmażyła górę kotletów schabowych.

Mój wypoczynkowy dzień okazał się taki sam jak wszystkie, z tą różnicą, że tym razem zmęczył mnie relaks. Zasypiam w poczuciu winy, że pozwoliłam sobie na zbyt długie lenistwo.



Kolejne dni upstrzone są problemami jak osiedlowy balkon gołębimi kupami. Teściowa serwuje mi huśtawkę nastrojów. Najgorsze w dyskusjach z nią jest to, że nie uznaje racji innych i w żaden sposób nie daje się przestawić na nowy tryb. Do tego stała się encyklopedią wszelkich schorzeń, a profesor Google rozwiewa wszelkie jej wątpliwości, podpowiadając kuriozalne rozwiązania.

Zdiagnozowała teścia, podsuwając lekarzom wachlarz remediów, z cieciorką i nacięciem na ramieniu, a nawet przystawianiem pijawek włącznie, do tego odkryła u siebie stan zapalny nerek, łuszczycę i anemię. Zgodnie ze znalezioną w internecie recepturą zafundowała sobie detoks połączony z odkwaszaniem organizmu, co zaowocowało zgubieniem pięciu kilogramów i utratą przytomności w piątym dniu diety.

Kuracja sprawiła, że stała się jeszcze bardziej zaszuszone, niezadowolona, nadwrażliwa, a w moim odczuciu pojawiły się u niej pierwsze objawy regularnej depresji. Po jej licznych telefonach, konsultacjach i pomysłach jestem na skraju szaleństwa graniczącego z pewnością, że jeszcze trochę, a sama zaczęła się leczyć psychiatrycznie. Zapracowany Wojtek nie ma czasu na wysłuchiwanie historii o znikającym pieprzyku, który w dziwny sposób staje się coraz bledszy, choć przecież był na nadgarstku od zawsze.

– Wyobrażasz sobie?

– Ale co?

Przyciskając komórkę policzkiem do ramienia, wycieram bawełnianą ściereczką kolejny kieliszek, sprawdzając pod światło, czy nie zostały smugi, i wysłuchuję tyrady o dziwnych zjawiskach na skórze. Aż ciśnie mi się na usta odpowiedź, że rodzimy się bez znamion i bez nich umieramy, ale litościwie milczę.

– No, nie wiem, czytałam, że rzadka odmiana czerniaka daje taki obraz.

– To może warto pójść do specjalisty?

– A żebyś wiedziała. Ewa z naszego grona już mnie umówiła.



– To świetnie. Trzymam kciuki i powodzenia.

Odkładam telefon na parapet i zabieram się do mycia przypalonego gara, gdy dzwoni znowu.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że to może być genetyczne i powinnaś przebadać dzieci.

– Tak, pomyślę o tym. Dziękuję.

– Nie ma co myśleć. Tu trzeba działać! Umówię cię na wizytę.

– Bardzo dziękuję, ale poradzimy sobie sami.

– No nie wiem.

– Ale ja wiem. Do widzenia.

Los najwyraźniej drwi ze mnie. Kobieta przez całe moje małżeństwo z Bartem, sumując telefony do mnie i do niego, nie zadzwoniła tyle razy co w tym miesiącu. Gdy udaję, że nie słyszę komórki, dzwoni na stacjonarny i seriami nagrywa kolejne nowinki ze świata szpitali i podejrzanych gabinetów medycyny naturalnej, obdzwaniana wszystkich wokół z pytaniem, dlaczego nie odbieram.

Wczoraj zaserwowała mi wykład z genetyki na temat dziedziczenia cech po rodzicach.

– Wiesz, zawsze myślałam, że jak jestem owocem miłości blond taty i blond mamy – niewątpliwie musiała to być wielka i toksyczna miłość, skoro jej owocem jest ktoś taki jak ona – to powinienam mieć jasne włosy. A tu nic z tego, okazuje się, że mam ciemne po babci Jadwidze.

– To chyba nie ma znaczenia, bo aktualnie wszystkie włosy – fuj, myślę również o tych tam... – ma teściowa rude.

– No tak, ale całe życie mnie to męczyło.

– No proszę, a wystarczyło tylko się dowiedzieć albo poczytać. – Nie mogę sobie darować złośliwości.

– To teraz już wiesz, jakie włosy będzie miał Antoś. Takie jak ja. Dziedziczy się po dziadkach.

Wyobrażam sobie jej natapirowane rude pazurki na głowie Antosia i jest to straszna wizja. Dziś dla odmiany dowiaduję się, że zrobiłam błąd, bo dzieci jednak powinno się karmić piersią do trzeciego, czwartego roku życia.

– To już chyba mamy za sobą.

Przecież nie wrócę po miesiącach do karmienia! Dlaczego w ogóle daję się wciągać w takie rozmowy? Musiałam kompletnie zgłupieć!

– Uważam, że powinnaś wiedzieć.

– A wie teściowa, kogo pewna Klara wśród alpejskich wiosek do czwartego roku życia karmiła piersią?

– Kogo? Nie mam pojęcia.

– Małego Adolfa.

– Jakiego znowu Adolfa? Nie kojarzę.

– A o Hitlerze teściowa słyszała?

– Bezczelna jesteś.

– Usiłuję tylko wykazać, że to nie zawsze wychodzi na zdrowie.

I do tego teść, który zawał potraktował jak drugą szansę, drugie życie i skok na główkę po przygodę. Na wyjazd do sanatorium przygotowywał się jak na egzotyczne wakacje. Sterty koszul, swetrów i spodni w kancik.

Ponieważ Wojtek nadal jest zajęty karierą i wychowywaniem pieska, to mi przypadł zaszczyt odwiezienia szacownego teścia do sanatorium. Na widok waliz i pokrowców na garnitury trudno mi uwierzyć, że jedziemy tylko dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od domu i że będę w stanie zapakować tyle rzeczy do bagażnika.

Zaniepokojona całą sytuacją teściowa, z nową odmianą globusa i zimnym żelowym okładem na czole, zostaje w domu. Oczywiście żegna nas całą serią rad i ostrzeżeń. O braniu leków. Swetrze. Czapce.

– Uważaj, kogo zapoznajesz!

W podtekście: żeby to nie była kobieta.

– Nie opowiadaj o sobie zbyt dużo! A gdzie schowasz pieniądze?

– Ola, daj spokój, poradzę sobie.

– Już to widzę. Ubieraj się ciepło, bo twoja prostata nie znosi przewiewów.

Nie wiem, czy razem z wiatrem miałyby odfrunąć, ale wolę się nie dowiadywać, bo zaczniemy od anatomicznego rysu, przez objawy, a na statystykach zgonów skończymy.

– Dam sobie radę.

– Wzięłaś latarkę?

– Latarkę? A po co?

– Jak to po co? A w nocy jak siusiu pójdiesz? Przecież nie trafisz.

Myślę, że sanatoria, zwłaszcza po dotacjach unijnych, już jakiś czas temu zrezygnowały z wychodków na podwórku, jednak starsza pani nie daje za wygraną i dopytuje o kapcie, ciepłe skarpety, a na końcu wręcza nieprzezroczystą, lekko wytartą torbę reklamową z nadrukiem choinki.

– Masz, prawie zapomniałam.

– A co to jest, Oleńko?

– Papier toaletowy. Przyznaj, że nie pomyślałeś.

Triumf wygładza zmarszczki na jej przejętej twarzy i rumieni policzki. Teść, potulnie jak siedmiolatek przed pierwszymi koloniami, przyjmuje grad porad i upomnień i wreszcie możemy wsiąść do samochodu.

Gdy tylko trzaskamy drzwiami, szybkim krokiem podchodzi do nas pani Ola, stuka w szybę od strony teścia, pochyla się i mimo otwartego okna głośno krzyczy, zupełnie jakby usiłowała przekrzyczeć ryk silników odrzutowca:

– Jak tylko Wojtek będzie miał czas i załatwi mi miejsce, to wiesz, że od razu przyjeżdżam...

Jedziemy w milczeniu, które jest dla mnie niezrozumiałe i nie wiem, czy wynika z okoliczności, zamyślenia czy niechęci. Od czasu zawału, mimo kilku moich wizyt na oddziale, o charakterze raczej aprowizacyjnym: dostawa soku, zakup skarpet etc., nie wymieniliśmy wielu uwag.

Miasto jak zwykle o tej porze jest zapchane. Wszyscy się spieszą, denerwują, a nocny przymrozek sprawił, że jadą wolniej niż zwykle. Obawiam się, że ciężące mi milczenie może się przedłużyć. Zakorkowane arterie miasta są jak schorowane serce teścia, z tą różnicą, że to ostatnie udało się połatać i porobić objazdy, a tu nie ma możliwości skrócenia drogi. Do kolejnego skrzyżowania wlecemy się, jakby powietrze zmieniło się w kisiel: mozolnie i powoli. Oczywiście jesteśmy ostatnim samochodem, któremu nie udaje się przejechać na zielonym świetle, i znowu stajemy.

– Co się tu dzieje? – Nieświadomie głośno komentuję korek, co jednak prowokuje pana Roberta do rozmowy.

– A mówiłem, żeby zamieszkać na wsi, ale Ola nie chciała. No i proszę, co teraz mamy? Za moich czasów to było...

Hasło „za moich czasów” automatycznie mnie wyłącza, tym razem jednak robię wyjątek i wysłuchuję, jak to się jeździło pomarańczowym zaporozcem wśród beżowych i nijakich syren.

– Rondo to było w mieście jedno i jakoś człowiek dawał radę. Każdy kogoś przepuszczał. I powoli wszystko szło.

Trudno oczekiwać od starej warszawki, żeby zasuwała z prędkością ferrari, a ponieważ tajniki motoryzacji są mi obce, kieruję rozmowę na temat powszechnie lubiany, na którym każdy porządny Polak, podobnie jak na polityce, zna się najlepiej, czyli na zdrowie.

– A przed tym zawałem to nie czuł teść, że coś się dzieje, nic teścia wcześniej nie bolało?

– No, czułem się nie najlepiej.

– To dlaczego nie poszedł teść do lekarza?

– Początkowo bolało tylko trochę i sporadycznie, nie myślałem o bólu. Potem coraz częściej, a na koniec o niczym innym już nie mogłem myśleć i wreszcie poszedłem do lekarza. No i okazało się, że jest za późno.

– Fatalnie. Dlaczego teść nie badał się wcześniej?

– A bałem się, że powiedzą mi, że mam raka.

– No faktycznie, lepiej mieć zawał.

– Ja do konowałów chodzić nie lubię. Zapisał mi taki jeden jakies proszki, ale nie zdążyłem ich wykupić, bo to się stało.

– Dobrze, że mamy to już za sobą.

– Ból był niesamowity, nie chciałbym drugi raz tego przeżywać.

– No to najwyższy czas zabrać się za siebie.

– Tak. Zdecydowanie. Powiem ci, że już w szpitalu się zastanawiałem, gdzie z Olą możemy wyjechać, żeby odpocząć. Może Kuba?

– Raczej myślałam o diecie i ćwiczeniach.

– Ach, o tym nie pomyślałem.

– Zresztą chyba powinien teść trochę zwolnić.

– A gdzież tam. Zwolnić, dobre sobie. Całe życie harowałem, żeby nikomu niczego nie brakowało, to teraz coś mi się należy.

Ciekawe, że najprostsze odpowiedzi leżą najdalej i że starszy pan nie ma skłonności do refleksji. Słuchając Tracy Chapman, szukamy drogi do ośrodka, bo w GPS-ie oczywiście go nie ma.

Okazuje się, że sanatorium to nowoczesny budynek nad jeziorem przy niewielkim lesie. Jestem zdumiona panującą tu ciszą i eksplozją zieleni, która mimo wczesnej wiosny wydaje się bardziej radosna niż w mieście.

Już z daleka widać przechadzających się parami pacjentów. Najwyraźniej większość przyjechała z partnerami, co mnie dziwi, bo przecież teściowa nie miała możliwości przebywać z teściem choćby podczas weekendu.

W holu wita nas korpulentna recepcjonistka w średnim wieku, z energiczną fryzurą podskakujących loków i w okularach tak grubych, że jej wielkie oczy wydają się przyklejone do szkieł. Sprawia upiorne wrażenie. Jej piskliwy głos tnie powietrze jak brzytwa i nawet pan Robert niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę.

- Słucham pana.
- Yyy... skierowali mnie tu ze szpitala.
- Nazwisko.
- Robert Braun.
- Skierowanie.

Tembr głosu i rozkazujący ton sprawiają, że teść gubi hart ducha. W jego głowie najwyraźniej przestają się obracać trybiki, więc wyjmuję mu z ręki kopertę z wynikami badań i skierowaniem ze szpitala.

– Proszę.

Oczywiście nie mam co liczyć na „dziękuję” i wszystko to powoduje, że czuję się jak w wehikule czasu, który przeniósł mnie w lata osiemdziesiąte, w świat Barei.

- Choruje?
- Yyy... w zasadzie to nie, miałem tylko zawał.
- Nadciśnienie?
- Nie za duże.
- Cukrzyca?
- Ale tylko trochę...
- Co trochę? Jest czy nie?

- No, jest, ale wyniki nie są najgorsze.
- Co mi pan tu o wynikach... Jakies inne dolegliwości?
- Nie, raczej nie.
- Kręgosłup nie boli?
- No, boli, ale wie pani, jak to jest.
- Nie wiem, bo mnie nie boli. Leki na stałe przyjmuje?
- No tak.
- A dokładnie co?
- Pani, skąd mam wiedzieć, żona mi daje. Rano takie dwie żółte, jedna duża czerwona, a wieczorem...
- Czyś pan oszalał, co mam wpisać w kartę? Kolory? Ćwiczy?
- Ale co ćwiczy?
- No przecież nie grę na gitarze. Ćwiczy pan? Gra w piłkę?

Cokolwiek?

- Rower.
  - Jestem zdumiona, ale tylko przez chwilę.
  - Świetnie, jeździ pan na rowerze. – Odhacza z zadowoleniem rubryczkę na samym dole karty.
  - Tak nie do końca. Kupiłem na jesieni i planuję jeździć.
  - Czyli zero wysiłku. Niedobrze.
  - Coś mi grozi?
  - Wszystko panu zagraża, ale już my tu pana postawimy na nogi.
- Zobaczy pan. Spacery, zabiegi, gimnastyka. A co z dietą?
- Yyy...
  - Ma pan jakies zalecenia? Można by co nieco zgubić, kochanieńki.

Wymownie patrzy na opięty cienkim sweterkiem w romby brzuch pana Roberta, który w okolicach pępka rozciągnął romb do wielkiego prostokąta i wystaje ponad pasek spodni. Mimo choroby i pobytu w szpitalu teść niewiele zrzucił z wagi, za to sporo z głowy i teraz jego czaszka wyraźnie prześwituje przez zaczesane do tyłu siwe włosy.

Nie jestem bezpośrednim uczestnikiem, więc bardzo mnie bawi cała ta sytuacja i degradacja teścia z domorośłego generała do szpitalnego szeregowca. Swoją drogą budynek i meble są nowoczesne, ale obsługa nadal stoi jedną nogą w poprzedniej epoce.

- Prostata?
- A o co chodzi?
- Jak to o co? Przerośnięta? Częściej sika?
- Trochę tak, ale jakby co, mam latarkę.

Po raz pierwszy przyklejone do okularów oczy nieruchomieją i wpatrują się w osłupieniu w spoconego ze stresu teścia.

- A po co latarka? To już lepiej nocnik było wziąć.
- No, żeby w nocy, żona mi dała...
- A co, myśli, że u nas światła nie ma?
- No, nie, ja tylko...
- Moczenie nocne?

Teść purpurowieje i kuli się w sobie.

- No wie pani...
- Wiem, już ja swoje wiem. Przychodzi taki, zdrowy niby i zaradny, a potem okazuje się, że zapaskudza łóżko w nocy albo wlecze za sobą jakąś padaczkę czy alzheimera. Śpi dobrze?

- Tak, chyba tak.
- Nie wie, czy tak czy nie?

Obawiam się, że teść już nic nie wie. Gdyby wróciła do pytania o imię i nazwisko, pewnie musiałby sprawdzić w dowodzie.

Recepcjonistka paznokciem pomalowanym różowym perłowym lakierem wodzi po długiej liście, po czym zaczyna grzebać w szufladzie pod blatem.

Wreszcie otrzymujemy klucz do dwuosobowego pokoju i możemy wjechać windą na pierwsze piętro. Choć niebieskie linoleum tłumi nasze kroki, budzimy spore zainteresowanie wśród pacjentów, którzy niby przypadkiem wychylając się z kolejnych pokoi, przyglądają się nam z zaciekawieniem.

Pokój teścia jest ostatnim po lewej stronie korytarza, vis à vis niewielkiej świetlicy, w której przy dwóch stolikach osiem osób w najlepsze gra w karty. Odrywają się od woskowanych kartoników i przyglądają naszemu zagubieniu.

Przez uchylone drzwi widać białą pościel na łóżku i kawałek stolika. Zostawiamy walizy przed drzwiami i uprzedzając pukaniem ewentualnego lokatora, wchodzimy.

Jeden z mężczyzn siedzących przy karcianym stoliku w głębi świetlicy wstaje i szurając nogami, podchodzi do nas. Wygląda jak podstarzały Al Capone. Czarna koszula z podwiniętymi rękawami, biały krawat, spodnie w kancik z deseniem w biały prążek i świecące się jak psu jaja spiczaste buty. Brakuje tylko białej panamy z czarną wstążką.

– Państwo do kogo?

Spogląda na toboły, więc raczej nie powinien sądzić, że wpadliśmy z kawałkiem ciasta w odwiedzinę, tylko że któreś z nas ma zamiar tu zamieszkać.

– Teść został przydzielony do tego pokoju.

– A, to witam szanownego pana. Marian jestem. Kolejarz.

Podaje panu Robertowi porośniętą długimi czarnymi włosami żyłastą dłoń, której mroczny wygląd pogłębia wytatuowana wielka czarna kotwica. Z drugiej ręki kokietuje nas piersiasta syrena, której długie loki wiją się wokół przedramienia. Teść niechętnie ściska podaną dłoń i na nikogo nie zważając, ładuje się do pokoju. Pan Marian, jakby ocknął się ze złego snu, szura butami i pochyla się w moją stronę.

Wyciąga rękę, a gdy podaję mu dłoń, wysoko unosi ją do lekko zaślinionych ust, w których uchowało się sześć górnych zębów, a w żuchwie brakuje prawej jedyńki. Robi mi się niedobrze. Całuje z namaszczeniem moją rękę i spod powiek i opadającej wyżelowanej długiej grzywy cedzi przez resztki uzębienia:

– Witam szanowną panią. Co sprowadza taką piękność w nasze skromne progi?

Cholera. Musi być nieźle nafaszerowany lekami. Nie wiem, co tu dają ludziom, ale wszyscy faceci powinni to zażywać każdego dnia.

– Dzień dobry. Przywiozłam teścia.

Usiłuję oswobodzić dłoń, ale uścisk Mariana jest zadziwiająco silny.

– Może zostanie pani na herbatce?

– Raczej nie, dziękuję.

– Nalegam i zapraszam.

Wchodzimy do niewielkiego pokoju przypominającego szpitalną salę, z tą różnicą, że zamiast zapachu leków przez otwarte okno wpycha się do środka aromat lasu i świergot ptaków. Oba łóżka są starannie



zaścielone, a przy jednym z nich stoi zawalony szpargałami stolik. Piętrzą się na nim książki, krzyżówki i gazety, ułożone w równe stosiki. Na wierzchu leży etui z okularami i telefon komórkowy. Panuje tu nieskazitelny porządek. Taszcze za sobą opasłą walizkę i długi, wypłowiały pokrowiec pełen metalowych wieszaków z koszulami, który płacze mi się między nogami. Podejrzewam, że to opakowanie po jakiejś balowej kreacji pani Oli, pamiętające czasy balów i koktajli z PRL-u. Z wysiłkiem, za to z pomocą pana Mariana, rzucam wszystko na pobliskie łóżko.

– Bardzo proszę. Myślę, że teraz teść sobie sam poradzi.

– No, ale myślałem...

Rozgląda się bezradnie po pokoju, zupełnie jak dziecko w krainie nieznanych wcześniej zabawek. Chryste, chyba nie oczekuje, że zacznę go rozpakowywać. Nie wyobrażam sobie, żebym miała rozkładać skarpety i gatki teścia po szufladach!

– Przynajmniej będzie miał teść zajęcie.

– No, nie wiem.

Dla nieprzekonanego pana Roberta, przyzwyczajonego do pełnej obsługi, może to jednak stanowić spore wyzwanie. Wzruszam ramionami, rozwieszając koszule w szafie.

– Ja ci, chłopie, pomogę. Nic się nie martw. Damy radę. Zresztą Mariolka się wszystkim zajmie. O, tu jest twoje łóżeczko, tam twój stoliczek, a łazieneczka po prawej. Wieszaczek jeden zająłem, ale zostały jeszcze dwa.

Marian jest w swoim żywiole. Otwiera kolejne szafki, serwuje szkolenie z obsługi rzeczy najważniejszej, czyli pilota, i prowadzi do ciasnej łazienki z przycupniętym w kącie kibelkiem i przestronną kabiną prysznicową, która zajmuje prawie całe pomieszczenie. Konstatuję, że przezroczyste, wprawione w biały plastik szyby są czystsze niż u mnie w domu.

Opowieści towarzyszą zdrobnienia, co nasuwa mi skojarzenie z pewnym umysłowym defektem osoby, której tłumaczy zawiłości mieszkaniowe.

– Czysto tu macie.

– A żebyś, kochanieńka, wiedziała. Mariolka o mnie dba, że palce

lizać.

– A kim jest pani Mariola? Sprzątaczką?

– Broń cię Panie Boże. Nie obrażaj mi tu, dziecko, Mariolki! To moja – tu pochyła się ku mnie i konspiracyjnym szeptem dodaje: – przyjaciółka.

Proszę, jakie to szczęście w nieszczęściu, żeby tak zsynchronizować zawały i jednocześnie trafić na oddział. Podobno ludzie żyjący w zgodnym związku splatają się taką więzią, że są w stanie to samo odczuwać i przeżywać.

Gdy byłam w trzeciej klasie liceum, kuzynka babci i jej mąż, choć spali w dwóch sypialniach, po sześćdziesięciu trzech latach małżeństwa odeszli z tego świata tej samej nocy. Było to szokiem dla rodziny i automatycznym zaproszeniem do domu prokuratury, która intensywnie zainteresowała się możliwością popełnienia mordu na biednych staruszkach przez kogoś ze spadkobierców. Białym proszkiem zapaprano wszystkie antyki i stojące na nich bibeloty, wyhamowując chęć natychmiastowego przejęcia mieszkania przez kuzynkę Dominikę, która na odkurzacz reaguje tak jak ja na pająka.

Oczywiście śledztwo nic nie wykazało, ale jak napsuli krwi rodzinie, wiemy tylko my. Od owej nocy bowiem każdy spoglądał na innych bykiem, zastanawiając się, kto byłby zdolny do perfidnej zbrodni i – co mnie najbardziej zajmowało – jak można by doprowadzić do uśpienia kogoś na zawsze.

W wyniku oględzin znaleziono w kredensie, pod stertą wykrochmalonych obrusów, stary zardzewiały pistolet wuja, z którym prawdopodobnie wraz z armią Andersa przemaszerował przez pół świata, co otworzyło drzwi do wytoczenia rodzinie kolejnej sprawy i ponownego przeszukania mieszkania.

Pamiętam, jak ze skrytki w spiżarni wynosiłyśmy puszki mielonek i słoiki masła orzechowego datowane na wczesne lata pięćdziesiąte, pochodzące z amerykańskich darów. Okazało się, że wujostwo miało szczególny dar chomikowania wszystkiego i niedzielenia się z nikim.

Z zamyślenia wyrywa mnie głośne pukanie do drzwi, w których po chwili pojawia się przystojna blondynka z wielkim, spiętym czarną plastikową klamrą kokiem i w minisukience w panterkę, która ciasno

opina ciało, eksponując pasek stanika, wałek pod nim i gumkę majtek niżej. Jej skóra przybrała – zapewne za sprawą tanich samoopalaczy – nienaturalny odcień marchewki, nadając całej postaci wygląd wyblakłej Mulatki.

– O, dzień dobry.

Szczupła ręka, ze złotym pierścieniem na każdym palcu i perłowymi białymi paznokciami spiłowanymi w kształt migdału, wystrzeliwuje w stronę teścia, który cofa się przed nią, jakby chciał uniknąć ugodzenia nożem.

– Mariola jestem.

– Yyy... Robert.

Teść pożera wzrokiem stojącą przed nim siedemdziesięciolatkę i bezwstydnie lustruje każdy centymetr jej ciała. W zestawieniu z beżową teściową ta wygląda jak dzika, gotowa na polowanie kocica.

Umalowane powieki, ozdobione przyklejanymi rzęsami, poruszają się coraz szybciej, głos nabiera miękkiej, aksamitnej barwy i spojrzenie co rusz ucieka w bok.

– Widzę, że jesteś nowy.

– Tak, właśnie przyjechałem.

– Och, co za pech, bo my tu już wszyscy sparowani jesteśmy. No, może z wyjątkiem Janki, ale ona stale leży i źle słyszy, więc się nie liczy.

Niczym lis skrada się do niej Marian i obejmuje w wąskiej talii.

– Moja królowa. Właśnie się chwaliłem, jak o mnie dbasz.

Cmoka panterę w czoło i poklepuje obwisły pośladek. Nie jestem pewna, czy mi się to nie przywidziało, ale sądząc po rechocie Mariolki, raczej nie.

– Oj ty, ty!

Szczypie go w policzek i jak niesfornym dzieciakiem potrząsa w prawo i lewo pokrytym zmarszczkami fałdem skóry, który kiedyś był policzkiem, a teraz jest wklęśnięciem w twarzy.

Nie wiem, kto jest bardziej zdziwiony: ja czy teść. Ale ja przynajmniej nie wpatruję się w nich z otwartymi ustami.

Podczas gdy teść szamocze się między łazienką a zawartością szafy, pani Mariola wykorzystuje chwilę zamieszania i wyciąga

z kieszeni różowy telefon komórkowy. Zakłada zawieszony na złotym łańcuszku okulary, oddala komórkę na długość ramienia i wpatruje się w nią jak pijak w denaturat.

– Marianku, pomóż mi, proszę, z tym telefonem. No nic tu nie umiem zrobić. Dzieci zrobiły mi prezent, chyba najgorszy z możliwych.

– A z czym masz, słońce ty moje, problem?

– Tyle tu tych klawiszy. Powiedz mi, gdzie ja mam kontakty.

– A, kontakty? – Marian zsuwa okulary na czubek nosa i swoim wzrokiem wpatruje się w niezbyt wielką, połyskującą perłą i złotem klawiaturę. – Dziecko ty moje, jak to gdzie? No patrz, tutaj. – Wciska przycisk w górnym prawym rogu, spogląda zdumiony i oświadcza: – Hmm... jednak nie. Gdzie to może być? – Przegląda szereg cyferek przemieszanych z ikonkami zielonych i czerwonych słuchawek, wciska dżojstik pośrodku i oznajmia triumfalnie: – Tutaj!

– Pokaż.

Mariolka i jej wydatny biust pochylają się nad telefonem i uważnie śledzą drogę skostniałego palca wskazującego z wypolerowanym, odbijającym światło paznokciem.

– Tu masz wszystko. Naciskasz i masz.

– Rzeczywiście. A powiedz mi, jak tu znaleźć numer do córki.

– Słońce, wszystko masz ułożone w alfabetycznym porządku.

– Ja nie mam tu nic alfabetycznie.

– Ależ masz, zobacz!

– Niemożliwe. – Mariola zagląda Marianowi przez ramię i ze zdziwieniem konstatuje, że faktycznie wszystko jest uporządkowane zgodnie z kolejnością następujących po sobie literek. – Nie do wiary, że też ja nie wiedziałam.

– No to teraz już wiesz.

– Ale kto mi to poukładał?

Marian, podobnie jak ja, spogląda na nią osłupiały, nie do końca chyba wierząc w to, co słyszy. Opanowuje jednak narastający wewnętrzny dygot i by nie wybuchnąć, podchodzi do firanki i poprawia doskonale symetryczne fałdy.

– Program w telefonie.

– Co ty powiesz. Czego to ludzie nie wymyślą. A wiesz, że ja nie

muszę w tym aparacie się rozłączać, jak kończę rozmowę?

– Niemożliwe.

– Naprawdę.

– A jak kończysz rozmawiać, to co robisz?

– Nic. Zamykam klapkę i już. Patrz.

Zadowolone „słoneczko” z głośnym kliknięciem demonstruje składanie różowej klapki. Perłowa klawiatura znika, a na twarzy Mariolki maluje się zwycięski, pełen dumy uśmiech.

– Przecież właśnie w ten sposób kończysz rozmowę. Zamknięcie klapki ją kończy!

– A co ty tam wiesz? Mówię ci, że nie rozłączam.

Bliski apopleksji Marian chwytą się kurczowo parapetu. Kłykcie mu bieleją, a twarz zalewa purpura. Zaczynam się o niego obawiać, ale właśnie w tej chwili otwierają się drzwi łazienki i wytacza się z niej teść, który niespokojnie pyta, co go ominęło. W obawie, że cała procedura zostanie powtórzona, wybiegam przed szereg i zapewniam, że nic, absolutnie nic.

Wreszcie pod pretekstem zwiedzenia obiektu uwalniamy się od dziwacznej pary i idziemy obejrzeć siłownię, basen i sale rehabilitacyjne. Słońce świeci coraz intensywniej i zaprasza na wiklinowe fotele rozstawione na wielkim betonowym tarasie.

Z pobliskiego baru samoobsługowego przynoszę dwie filiżanki herbaty. Nie sądziłam, że się tak poczuję, ale jest mi dobrze i miło. Czuję, że odpoczywam, i narzucony obowiązek dostarczenia teścia do sanatorium zmienia się w małą przyjemność.

Za płotem domu mam niby taki sam las i takie same ptaki, ale tu wszystko: powietrze, trawa, cisza, wydają się pełniejsze. Może za sprawą tego, że przez chwilę nie myślę o niczym.

– O, tu jesteście.

Na krzesłach obok lądują Mariolka, a za nią Marian.

– Dobra herbatka?

– Tak. Jak najbardziej.

– Zostanie pani do wieczora?

– Nie, raczej nie.

– Szkoda, tańce będą.

Kusi mnie jak piórko kota, licząc, że dam się ponieść parkietowi.  
Niedoczekanie.

– Nie, dziękuję, nie tańczę.

– Oj, przy mnie zaczniesz!

– Mój Marianek to prawdziwy król parkietu, musisz to zobaczyć.

Tańczy nawet break dance!

Przyznam, że to kusząca propozycja. Nie wyobrażam sobie pozbawionego synchronizacji ruchów staruszka wyginającego śmiało ciało, ale najwyraźniej mam ograniczoną wyobraźnię. Panika na twarzy teścia kładzie się coraz głębszym cieniem i podejrzewam, że będzie szukał u mnie wsparcia.

– Może dasz się namówić?

Czy to oznacza, że zobaczę osławione fajfy? Cóż, raz w życiu można sobie pozwolić na coś dziwnego. Uprzedzam Anię, że będę w domu później, i idę na samotny spacer po lesie.

Uwielbiam zapach ziemi. Przystaję i mocno wciągam powietrze. Pozwalam, by najmniejsze i najdalsze pęcherzyki płucne zachłysnęły się nim choć na chwilę. Ma w sobie moc, która sprawia, że życie wydaje się piękniejsze niż w rzeczywistości. Wilgoć mchu, zapach trawy, lasu. Jeszcze raz głęboko wdycham nową porcję aromatu i wypuszczam ustami. Czuję, jak moje płuca zwiększają objętość i każda komórka ciała cieszy się na nową dawkę tlenu.

Zapinam cienką puchówkę i powoli zagłębiam się między drzewa. Zazwyczaj boję się samotnych spacerów po lesie, ale świadomość, że wielu pacjentów po nim chodzi, dodaje mi odwagi. Czuję się lekka jak bąbelki szampana. Skręcam w prawo, obchodzę małą sadzawkę i już chcę wracać, gdy moich uszu dobiega głośnie sapanie.

Strach przysiadła mi na ramieniu. Chowam się za szerokim pniem otoczonym gęstymi krzakami i nasłuchuję. Jednocześnie usiłuję zmusić nogi do biegu w stronę budynku, jednak rozum i ciekawość sprawiają, że zamieram w pół kroku i cicho wołam:

– Halo, jest tu ktoś?

Panuje całkowita cisza. Nagle budzi się we mnie niepokój, że może któryś z kuracjuszy źle się poczuł i potrzebuje pomocy. Logiczne: głośno sapał, a teraz pewnie bez przytomności leży i dogorywa. Podrywam się

z miejsca i przedzieram przez zarośla. Cholerne krzaki jeżyn czepiają się spodni, boleśnie raniąc skórę poniżej nogawki.

– Ja pierdolę – mruczę pod nosem i ponownie głośno wołam: – Halo, jest tu ktoś?

Wreszcie wypadam na małą polankę. Pośrodku, na ledwo odbijającej się wiosenną zielenią trawie, leży brązowy koc obsyty paskudną, strzępiącą się rudą lamówką, a na nim siedzi w półnegliżu para staruszków i usiłuje zdeformowanymi reumatyzmem palcami zapiąć guziki koszul. Świadomość, na czym ich prawie nakryłam, cofa mnie ku ścianie jeżyn, jednak nie mam odwagi ponownie się w niej zanurzyć.

– O, przepraszam. Zgubiłam się.

– Nic nie szkodzi, my tylko zrobiliśmy tu sobie mały piknik.

– Jeszcze raz przepraszam. Pójdę już. Nie będę przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz.

Starszy pan z trudem się podnosi i niezdarnie upycha róg błękitnej koszuli w dresowych czarnych spodniach. Nie jest mi dane zastanowić się nad zgrzytem odzieżowego zestawu, bo z przeciwległej ściany lasu wyłania się kolejna parka najwyraźniej chętna na małe pitu-pitu.

– O, co za niespodzianka!

Rozpoznaję w nich Mariolkę i Mariana. Idą ku mnie, trzymając się za ręce niczym nastolatki, a ja chyba wołałabym spotkać stado wilkołaków niż dwie miziające się w lesie pary siedemdziesięciolatków.

– Pani też tutaj?

– Yyy, tak. Wybrałam się na spacer.

– Sama? Oj, to niebezpieczne, trzeba było poprosić kogoś do towarzystwa.

– Nie, dziękuję, wołałam przejść się sama.

Wycofuję się rakiem w kierunku ścieżki, którą dostrzegłam w brzezynie, i ruszam przed siebie. Krążę po lesie jeszcze chwilę, przekonując się, że z dobrodziejstwa krzakoterapii korzystają liczni kuracjusze, nawet ci, którzy przez partnerów zostali tu dopchnięci na wózkach inwalidzkich.

Jak się okazuje, krzakoterapia ma kilka poziomów zaawansowania, od ostrożnych całusków, by nie szczepić się sztucznymi szczękami, przez

przitulanki, po bardziej wzniosłe doznania, z porządnym seksem w tle.

Starsi państwo wracają do pokojów dotlenieni, zadowoleni i pełni wigoru, by przygotować się do obiadu, a po małej drzemce nastrajając ciało do herbatki o piątej po południu.

Dołączam do Mariana i Marioli i razem ruszamy do pokoju, w którym spodziewamy się zastać teścia. Tymczasem starszy pan zniknął, pozostawiając po sobie gęstą chmurę ciężkich piżmowych perfum.

Znajduję go wpatzonego w oczy okołopięćdziesięcioletniej brunetki, która co rusz ucieka wzrokiem, po czym znowu kokieteryjnie zagląda w głąb rozświetlonych źrenic pana Roberta.

Powoli podchodzę i ze zdumieniem słyszę, że teść jest wdowcem! Nic nie wiem na temat tego, że teściowa dołączyła do grona aniołów, więc z tym większym zainteresowaniem przysłuchuję się rozmowie.

– Bardzo mi przykro.

Usta kobiety, pokryte grubą warstwą błyszczycy, otoczone gęstą siateczką drobnych zmarszczek, wykrzywiają się w smutnego rogalika. Pociągnięte czarnym tuszem rzęsy otaczają płonącą nadzieją oczy.

– Tak się porobiło.

– Od dawna jesteś sam?

Teść zdaje się głęboko wierzyć w to, co mówi, bo bez wahania oświadcza:

– Od roku.

No proszę. A to nowina.

– Jak sobie radzisz?

– Jakoś człowiek musi. Nie ma wyjścia. A ty?

– Ja? Nigdy nie miałam męża, jakoś się nie złożyło.

– Taka przystojna kobieta? Na ślepych musiałaś trafić.

– Oj, nie przesadzaj.

Nie poznaję statecznego ojca Bartka! Chyba miał również zawał mózgu, skoro obcej babie opowiada takie bzdury. Przystaję z boku i w mało elegancki sposób, wytyżając słuch, przysłuchuję się rozmowie. Obawiam się, że teściowa jednak lepiej zna swojego męża, i jej obawy co do jego pobytu tutaj były uzasadnione. A gdyby była świadkiem tego spotkania, dołączyłaby do grona rekonwalescentów-zawałowców



i otrzymałaby miejsce w sanatorium bez szczególnych starań.

Ręka kobiety w geście współczucia dotyka pomarszczonej, z wyraźnie widoczną pod zwiotczałą skórą grubą żyłą dłoni teścia, której ten nie cofa, tylko oddaje uścisk.

– Będziesz na potańcówce?

– Raczej nie tańczę.

– To zacznij, jeszcze dużo ci się od życia należy.

– Nie jestem pewien.

Teść niespodziewanie odwraca się w stronę drzwi i nasze spojrzenia się krzyżują.

– O, Nina.

– Już jestem.

Starsi państwo gwałtownie prostują się na krzesłach i udają, że perorowali o wyższości rosółu nad żurkiem.

– Musisz spróbować. Koniecznie – niby kończy myśl brunetka.

– Basiu, poznaj, proszę, to moja synowa Nina. Nina, to pani Basia, moja dawna znajoma.

Zachowują się jak przyłapano na mazaniu pisakami po białej ścianie przedszkolaki.

– My tu tylko tak sobie opowiadamy. Czy ty przypadkiem, dziecko, nie musisz wracać do domu?

Po tym, co zobaczyłam, jestem pewna, że mam jeszcze sporo wolnego czasu, i absolutnie nie wybieram się w drogę powrotną. Nie mogę przepuścić okazji, by zobaczyć świat, do którego za kilka lat najprawdopodobniej dołączę.

Jak spod ziemi wyrasta Marian, tym razem w białej rozpiętej pod szyją koszuli z poluzowanym czarnym krawatem i z podwójną porcją żelu na głowie.

– A wy co, gołąbeczki? Nie szykujecie się?

– Na co?

– Zaraz będziemy sobie tycali.

– Czyli?

Marian wykonuje niesynchroniczne ruchy, naśladując street dance, co wypada żenująco. Mam wrażenie, że kolana wyskoczą mu ze stawów i nigdy nie odnajdą rzepki, a ręce niesłuchające właściciela falują mi

przed nosem. Syrena na przedramieniu wykonuje dziki taniec, a jej rybi ogon co rusz przepływa mi przed oczami.

– Tyc, tyc, tara ta ta, tyc, tyc, tara ta ta.

Patrzę oniemiała i uświadamiam sobie, że to nie żart. Jednak coś musi w tym wszystkim być, bo faktycznie im bliżej siedemnastej, tym bardziej pacjenci się ożywiają, prezentując coraz bardziej eleganckie stroje.

Zostaję.

Odświeżam się w pokoju teścia, delikatnie spryskuję nadgarstki owocowymi perfumami i schodzę do głównej sali. Okazuje się, że mimo niepoprawianego od rana makijażu jestem najbardziej rozchwytywaną kobietą na parkiecie.

Znalazłam się w raju. Jestem najmłodsza, no, może nie najchudsza, ale za to na najwyższym obcasie i wszyscy faceci chcą ze mną zatańczyć. W całym życiu nie usłyszałam tylu komplementów i ciepłych słów co tego jednego wieczoru, ba, jednej godziny!

Alkohol z butelek w papierowych szarych torebkach i srebrnych piersiówek leje się szerokim strumieniem pod stolikami. Najciężej chorzy odrzucają kule i wirują na parkiecie, kobiety po wszczepieniu endoprotezy, podparte na jednej kuli, dają się prowadzić w środek tańczących.

Rehabilitacja parkietowa okazuje się o wiele skuteczniejsza od biczów wodnych i kąpeli borowinowych.

Wysztafirowani panowie zasiadają na wytartych krzesłach pod ścianą. Zaczesane sztywne siwe włosy błyszczą od brylantyny, wyciągnięte z walizek koszule noszące ślady po złożeniu mocno wcisnęli w spodnie w kancik i byстрыm wzrokiem wypatrują ofiar po drugiej stronie pomieszczenia.

Dawno nie widziałam tylu sukienek w panterkę, różnią się między sobą tylko odcieniem i wielkością lamparcich cętek. Uniesione wysoko głowy na wyciągniętych szyjach z trudem dźwigają natapirowane koki, a grzechot bransoletek miesza się z bitem wydobywającym się z dwóch wielkich głośników ustawionych w kątach sali.

Niezastąpiony i niezatapialny Krzysztof Krawczyk i jego *Parostatek* porywają wszystkich do wspólnego węża, który radosnym

slalomem krąży między stolami, wypada do holu i w równych podskokach wraca pod scenę, by już po chwili zamienić się w trzy wirujące koncentryczne okręgi. Każdy porusza się w innym kierunku i jestem pełna podziwu dla ich zgrania i synchronizacji.

Wirtuozem towarzyskich zabaw i wodzirejem jest oczywiście Marian. Jakżeby inaczej! Teraz właśnie niemal wyrywa mikrofon z rąk prowadzącego imprezę młodego człowieka i zapowiada nadchodzącą serię dedykacji.

– A teraz specjalnie dla pani Asi od zaurozonego Jana *Ona tańczy dla mnie...* Kochani, zapraszam do kółeczka.

Pan Zdzisiu, wyglądający na stu pięćdziesięciolatka, który raczej powinien trzepać poduszkę w trumnie i zastanawiać się, z której strony ją położyć, nie może się ode mnie odkleić. Lata i papierosy zrobiły z niego maleńką żywą mumię, z której ktoś właśnie zerwał bandaż. Sięga mi mniej więcej do szyi, co zapewne stanowi luksusową pozycję do zaglądania w dekolt podczas wolnego tańca, który mi właśnie zaproponował, a który wlecze się kolejnymi zwrotkami w nieskończoność.

Ostrza laserowych lamp tną powietrze, oświetlając trupio blade, wymęczone szpitalem twarze kuracjuszy. Sanatorium wieczorną porą zamienia się w dyskotekę, z tą tylko różnicą, że tu pod ścianami stoją plastikowe laski, a nie nieskorzy do podrygów nastolatkowie.

Fenomenalne jest to, że tańczą wszyscy! Dosłownie. Nawet recepcjonistka z wylupiastymi oczami dołączyła do grona pięciu kobiet, które symulują taniec na rurze, wijąc się wokół dwóch filarów.

– I co, podoba się?

Marian pojawia się w towarzystwie Mariolki i oboje, objęci, podrygują w rytm melodii. Wyjmuję komórkę z zamiarem zrobienia zdjęcia, nim jednak podniosę aparat, ruda, gruba kobieta w czarnej wirującej za nią sukni chwyta mnie za nadgarstek i syczy:

– Tu nie wolno robić zdjęć!

– Yyy, nie wiedziałam.

– To już wiesz.

– Ale dlaczego?

Mariola patrzy na mnie z politowaniem.

– Jak to dlaczego? Wiesz, my tu mamy swoje pary, ale w domu też ktoś został.

Dopiero teraz dociera do mnie, że to w zasadzie jedna wielka randka pod przykrywką powrotu do zdrowia po ciężkiej chorobie.

– Często jeździcie do sanatorium?

– Jak się da. Ja mógłbym tu zamieszkać. Parkuję mercedesa pod płotem i miesiąc go nie ruszam!

– To ty masz mercedesa? – Oczy Marioli skrzą się jak prawdziwe brylanty i w miarę jak do szarych komórek dociera impuls z uszu, przybywa im karatów. – Nic nie mówiłeś.

– A co tu mówić?

– Przewieziesz mnie?

– Ciebie, motylku, zawsze. Możemy skoczyć do Ciechocinka. Tam to dopiero jest impreza, fajfy zaczynają się o trzeciej.

Wydawało mi się, że nie o takich zabiegach myśli lekarz rodzinny, wypisując skierowanie, ale pewnie jeszcze żaden z nich nie tańczył w rytm disco polo o czwartej po południu.

Teść, początkowo nieśmiało, potem coraz odważniej wiruje z Basią wśród innych par. Szeroko rozkłada ręce i niczym Tewje Mleczarz ze *Skrzypka na dachu* usiłuje wprawić w falujący ruch zdeformowane otyłością ciało. Jednocześnie lekko ugina nogi, co dopełnia groteskowego obrazu.

Na dworze robi się ciemno, towarzystwo jest coraz głośniejsze, a kolejne wężyki coraz mniej stabilne. Głośne śmiechy wybijają się ponad *Cztery osiemnastki w moim samochodzie* i dochodzę do wniosku, że to chwila, by zebrać się do wyjazdu.

Wszędzie szukam teścia, który rozplątał się w powietrzu jak kamfora, więc postanawiam wycofać się po angielsku i idę do pokoju po kurtkę.

W świetlicy na piętrze siedzi pan Robert z koleżanką; głaszcząc się po rękach, opartych na stoliku, prawią sobie komplementy.

– Nic się nie zmieniłaś.

– Ty też.

Patrząc w osłupieniu na grubego, łysawego teścia i zastanawiam się, jak można opowiadać takie bzdury. Przecież w ciągu czterdziestu lat

zmieniło się w nich wszystko, od ciał i ciuchów po charaktery. Jednak jakaś magiczna nić niegdyś łącząca te dwie istoty nie została zerwana.

– To niezwykle, że się spotkaliśmy. Powiedz, gdzie teraz mieszkasz. Ciągle w tym wielkim rodzinnym domu?

– Tak.

– Niesamowite! Wyobraź sobie, że kilka miesięcy temu kupiłam mieszkanie ulicę obok, w tych nowych zielonych blokach. Nawet kiedyś o tobie myślałam.

Teść głośno przetyka ślinę i za wszelką cenę usiłuje ukryć malującą się na twarzy panikę.

– Skoro teraz jesteś sam, to możemy od czasu do czasu się spotkać. Z przyjemnością dam się zaprosić, chętnie zobaczę, co zmieniłeś w mieszkaniu. Masz jeszcze te wielkie obrazy?

Starszy pan coraz gwałtowniej wierci się na krześle, obmyślając fortel, który zniechęci ochoczą Basię.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Wiesz, lepiej nie burzyć starych wspomnień i mieć w pamięci miejsca takie, jakimi były.

– Co ty opowiadasz?

– Poza tym mam psy, które gryzą.

– No to je zamkniesz.

– Yyy, no tak.

Twarz pana Roberta przypomina domowy zakwas buraczany i zachodzi poważna obawa, że zaraz dostanie zapaści.

– Ty coś kręcisz.

Stojąc za nimi w drzwiach, bawię się jak w najlepszym kabarecie.

– Bo wiesz, moja żona tak trochę umarła.

– Jak można trochę umrzeć?

Oszołomiona Basia pochyla się na krześle i nic nie rozumiejąc z tego stękania, czeka na wyjaśnienie. Ja też.

– Wiesz, ona choruje.

– A kto w naszym wieku nie choruje? Ale mnie nastraszyłeś. Miała wylew, tak? Jest przykuta do łóżka? Patrz, a w młodości wydawała się taka twarda.

O, nawet nie wiesz jak bardzo. Myślę, że teść też zdaje sobie z tego sprawę, bo płacze się jeszcze mocniej.

– No, nie do końca.

– Alzheimer? Parkinson? Powiedz wreszcie.

– Ani to, ani to. W zasadzie to jest zupełnie zdrowa.

– Więc czemu opowiadałeś, że jesteś wdowcem?

Barbara podnosi się, by odejść ze swoją dumą pod rękę, ale pan Robert chwytą ją za ramię i usiłuje zatrzymać.

– Przepraszam. Nie chciałem cię okłamywać, tak jakoś wyszło. – Przymyka jej dłoń do policzka i z nabożeństwem całuje. – Nie chciałem ci mówić, bo wiesz, ostatnio nam się nie układa. Myślimy o rozwodzie.

No proszę, kolejna rewelacja. W jedno popołudnie teść zmienił status z męża na wdowca, a następnie prawie rozwodnika.

– Mogłeś powiedzieć otwarcie.

– Jakoś nie wyszło.

– A powiedz, dlaczego wam się nie układa. Problemy w łóżku?

Życie seksualne teściów interesuje mnie tak samo jak życie seksualne żyraf w naszym zoo, więc głośnym chrząknięciem zwracam na siebie uwagę.

Odskakują od siebie jak dwa magnesy o tych samych ładunkach. Łomot dochodzący z dołu niesie się dziwną falą kakofonii dźwięków, tracąc jakikolwiek rytm i sens.

– Chciałam się pożegnać.

– Już jedziesz?

– W zasadzie trochę się zasiedziałam. Miło było panią poznać.

Ściskam jej rękę, a teściowi kiwam głową, życząc dobrej zabawy. Nie wątpię, że tak będzie, bo pan Robert zachowuje się jak dzieciak w małym gaju, nurkujący w morzu kolorowych plastikowych kulek.

Wracam drogą przez ciemny las i podświadomie boję się, co się czai wśród drzew. I choć na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nic tam nie ma, wyobraźnia pracuje pełną parą. Obok zboczeńców, mordercy czy jakiejś innej zjawy najbardziej obawiam się gnającego na oślep dzika. Dlatego kolejne korzenie wystające z piaszczystej ścieżki omijam w ślimaczym tempie. Łuna miasta widoczna na horyzoncie wydaje się odległa i niepokojąca. Przywołuje mnie do rzeczywistości, nakazując

porzucenie frywolnych myśli na rzecz problemów, które ponownie zalewają umysł.

Przysposobienie dziecka nie jest w naszym kraju łatwym procesem. Procedura ciągnie się miesiącami i nadal nie widać końca. W dodatku mała przywlokła z przedszkola pierwszy katar, który zahaczył o nos Klary i – co bardziej niepokojące – Antosia.

Optymizm pobytu Marianny pierwszego dnia w przedszkolu ustąpił porannej hysterii, która rozpoczyna się przed drzwiami, a według siostry kończy zaraz po zamknięciu ich za mną. Mała lawiruje między moją miłością, złością, współczuciem i bezradnością. Ponoć wystarczy przetrwać kilka pierwszych dni. Jednak nie wiem, czy jestem na to gotowa i czy zniosę jej płacz. Oby. Tymczasem każde takie pożegnanie sprawia, że mam ochotę po nią wrócić i ponownie oddać pod opiekę Ani.

Anka oszalała na punkcie nauki. Co prawda do roku akademickiego jeszcze daleko, ale zapisała się na kurs angielskiego i teraz cały dom oklejony jest żółtymi i zielonymi karteczkami ze słówkami, formułami gramatycznymi i idiomami.

Codzienna karuzela kręci się coraz szybciej, coraz dalej wyrzucając w powietrze metalowe krzeselko, na którym siedzę, a jakiś zły duch napędza ją jeszcze bardziej. Z drugiej strony, powtarzam sobie, że zawsze może być gorzej, więc oby tylko nic nie uległo zmianie.

Cisza i ciemność panujące w mieszkaniu kołyszają mnie do snu już od progu. Biorę gorącą kąpiel i zaglądam do pokoju Ani, która ślęczy nad słownikiem.

– Co robisz?

– Uczę się. Jakoś nie miałam czasu w ciągu dnia, więc teraz nadrabiam.

– Wszystko dobrze?

– Poza tym, że Klara przyszła do domu z małym kociakiem, to tak.

– Co ty pleciesz? Z jakim kociakiem? Mam nadzieję, że ją pogoniłaś!

– Znalazła maleństwo na środku chodnika.

Ania wstaje z krzesła, a na podłogę spada koc, którym przykrywała bose stopy. Lampa na biurku rzuca płamę przyjemnego ciepłego światła. Porozkładane książki i zeszyty zachęcają, by się nimi zaopiekować,

cofnąć się w czasie o dwadzieścia kilka lat i wrócić na uczelnię.

W zasadzie chętnie bym się przepikowała do tych czasów, gdy obok zaliczenia największym problemem był nowy ciuch, adres imprezy i budki z tanim jedzeniem. Teraz problemem jest nawet mały kociak, który wbił się na chatę podczas mojej nieobecności.

– To trzeba go było zostawić, pewnie matka go teraz szuka.

– Niech to pani powie Klarze. W dodatku jest taki mały, że musiałam go karmić strzykawką.

– Gdzie go macie?

– Klara zabrała go do siebie, bo Ziuta i Cymbał oszalały. Mam wrażenie, że zaczęły na niego polować.

– Nie dziwię się.

Skradam się na palcach po schodach do pokoju małej i już pod drzwiami słyszę ciche popiskiwanie. Gdy otwieram drzwi, gaśnie lampka nocna przy łóżku, a szelest wykrochmalonej pościeli zdradza, że jej właścicielka nie śpi.

– Klara, co ty robisz? – syczę w ciemność, do której źrenice dopiero się adaptują, więc przez chwilę nic nie widzę.

Cisza.

– Klara, masz mnie za idiotkę? Przecież wiem, że nie śpisz!

– OK. Nie mogę zasnąć.

– Chyba znam powód tej bezsenności.

Ze stojącego obok łóżka pudełka po butach wyłożonego moim najdelikatniejszym ręcznikiem do wycierania twarzy spoglądają na mnie dwa małe świecące czarne minipunkciki. Przez chwilę przyglądamy się sobie z zaciekawieniem, aż wreszcie z małego kociego gardelka wydobywa się głośny pisk.

– Jaki on maleńki. – Biorę szarą, puchatą kuleczkę, która wbija mi się mocno w rękę dwudziestoma małymi ostrymi pazurkami. – Gdzie go znalazłaś?

– Na chodniku przy domu.

– Musiał się zgubić.

Klara się ożywia, siada po turecku na łóżku i zaczyna negocjacje:

– Możemy go zatrzymać? Proszę, proszę, proszę!

– Nie sędzę. Jest taki maleńki, że go nie wykarmimy. On



potrzebuje mamy.

– Ale nie ma mamy.

– Gdzieś ją ma. Jutro damy ogłoszenie i potem będziemy się martwić, co dalej.

– Mam nadzieję, że mama się jednak nie znajdzie.

– A ja liczę na coś zupełnie przeciwnego.

– No powiedz, że jest śliczny.

Nie mogę nie przyznać małej racji. Jasnoszara kulka zabawnie wiosłuje tylną łapką, z nadzieją, że sięgnie uszka i zdoła się podrapać. Jednak proporcje ciała nie pozwalają na taki manewr, więc drapię małego po główce. Poddaje się pieszczocie z cichutkim mruzeniem, wyciągając się do przodu.

– Wygląda na rasowego.

– Naprawdę?

– Przypomina brytyjczyka.

– No coś ty! Ale numer!

– Tym bardziej jestem pewna, że komuś zginął.

– A gdzie jest Brytia?

– Słucham?

– Gdzie jest Brytia, bo mówiłaś, że z niej pochodzi.

Jezu. Czego uczą te dzieci w szkole?

– Brytyjczyk! Kojarzysz Wielką Brytanię? Słyszałaś o czymś takim?

– Aha!

Mała doznaje olśnienia, a kociak zaczyna piszczeć coraz gwałtowniej.

– Obawiam się, że jest głodny.

– Ale jadł ze mną kolację.

– Maluchy jedzą co chwilę, więc wychowanie takiej mrówki jest naprawdę bardzo trudne. Boję się, że możemy temu nie podołać.

– I umrze?

– Może nawet umrzeć.

– To straszne.

Wiem, jakie to straszne i jak strasznie będę żałować, że akurat moja córka napatoczyła się na bezradne zwierzątko.

Zabieram je ze sobą do kuchni. Ziuta i Cymbał, groźnie pomrukując, nie spuszczają ze mnie oczu. Gdy stawiam pudełko na kuchennym blacie, jedno z nich się zapomina i wskakuje tuż obok.

– Cymbał! Uciekaj! Co ty robisz?!

Kocur niechętnie daje się przegonić, jednak nie ma zamiaru odejść.

Napełniam mlekiem leżącą w zlewie strzykawkę i usiłuję kropla po kropli wlać je do małego pyszczka. Manewruję strzykawką, kotem, kartonikiem. Mokry jest kot, ja, podłoga i blat, mam poplamione spodnie, a malec dalej się wygina, nie pozwalając się nakarmić.

Mam ochotę rzucić to w cholere, gdy wreszcie znajduję ką, pod którym jestem w stanie wlać do małego gardła trochę cieczy. Wreszcie myję mu pyszczek, biorę prysznic i zamykam się z Antosiem i kociakiem w sypialni. Malec zasypia w pół chwiejnego kroku i zwija się w kłębuszek w najdalszym kącie kartonowego mieszkania. Oddycham z ulgą i zapadam w głęboki sen.

Nie wiem, ile czasu udaje mi się przespać, ale budzę się w absolutnym zaskoczeniu z powodu dźwięków dobywających się spod łóżka. Kulka wytoczyła się z legowiska i na nienawykłych do wędrowania łapkach dotarła głęboko pod nie. Oczywiście nie ma pomysłu, jak zawrócić, więc na wszelki wypadek głośno miauczy.

Kładę się na podłodze i usiłuję dosięgnąć kociaka, który na mój widok jeszcze dalej wchodzi w ciemność. Z drugiej strony materaca mam do niego równie daleko. Kot piszczy coraz głośniejsze, Antoś kręci się w łóżeczku, a ja się zastanawiam, jak wydobyć malucha.

Jedynym rozwiązaniem wydaje się użycie kija do mopa, który wcisnęłam w najdalszy kąt garażu. Zbiegam na dół, przy okazji włączam alarm, który stawia na nogi Ankę i pół osiedla, przeciskam się koło brudnej hondy, zbierając białą koszulą nocną grubą warstwę kurzu, i wreszcie wracam do sypialni.

Kot jak gdyby nigdy nic siedzi w pudełku, patrzy na mnie zdziwiony i w regularnych odstępach przypomina, jak bardzo jest głodny. Powtarzam manewry z próbą podania mu mleka, znowu myję, układam do snu i... znowu walczę ze zwierzakiem pod łóżkiem. O poranku jestem wykończona, za to kociątko wydaje się bardzo zadowolone ze stołówki, którą mu zafundowałam. Marianna nie może

oderwać od niego oczu.

Po tym, jak z czułością chwyciła go jak moką gąbkę w wannie, pozwalam jej dotykać go tylko jednym paluszkiem. Antoś nie do końca wie, o co chodzi, ale wyciągniętą rączką pokazuje zwierzaka, wołając:

– To, to, to.

Skrada się we mnie obawa, że do rybki, kociaków i kanarka dołączy kolejny domownik. Jeszcze tylko brakuje jakiegoś faceta, który zacznie się rozpychać na i tak już zaludnionej i zazwierzęconej kanapie.

– Przestań wrzeszczeć! – mimowolnie sama krzyczę do słuchawki.

– Bo co?

– Bo nie rozumiem nic z tego, co mówisz!

– To powtórzę! Jeśli myślisz, że starzy zapiszą ci dom, to się mylisz! Nic z tego! Rozumiesz? Nie myśl sobie, że jesteś taka cwana!

– Wojciech, jeśli chcesz ze mną konstruktywnie porozmawiać, to przestań się wydzierać.

– Nie pouczaj mnie! Brylant matki też już sobie przywłaszczyłaś!

– Jaki brylant?

– Nie udawaj głupszej, niż jesteś.

– Nie mam pojęcia o żadnym brylancie. Odwal się ode mnie.

– To dlaczego matka nie może go znaleźć?

– Bo go zgubiła?

Dlaczego to ja muszę podsuwać najbardziej logiczne i proste odpowiedzi wybitnemu panu mecenasowi?

– Akurat. Ukradłaś go.

– Rozumiem, że masz świadomość, że tego typu pomówienia są karalne.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z kodeksem. Ma się znaleźć do końca tygodnia, bo sobie inaczej pogadamy.

– Powodzenia.

Wyobrażam sobie, jak pluje do słuchawki, siedząc przy wielkim dębowym biurku, które nabył na jakiejś internetowej aukcji jako antyk w idealnym stanie z kancelarii senatora czy kogoś równie ważnego, a który okazał się antycznym wielopoziomowym i wielopokoleniowym domem dla zamieszkujących go korników, o czym zapomniano nadmienić w ogłoszeniu.

- Myślisz, że pojedziesz do szpitala z wizytą i to wystarczy?
- Nie wyrywałam się. Mogłeś to sam załatwić.
- Ja pracuję! Zarabiam! Rozumiesz?
- Niestety nie rozumiem.
- I nie zrozumiesz, to nie twoja liga. Żałosna jesteś.

Nie sposób się z nim nie zgodzić. Jestem żalosna, bo gdybym taka nie była, nie dałabym się emocjonalnie porobić teściom i teraz ich po części obsługiwać.

- Gwoli informacji, teść już nie leży w szpitalu.
- Ha! To co? Teraz będziesz latać do niego do domu, tak? Taki masz plan?
- Nie, bo tam też go nie ma.

Cisza. Podejrzewam, że szwagier się zastanawia, czy właśnie została mu oszczędzona informacja o śmierci tatusia i pominięto go przy zapraszaniu na pogrzeb, jednak odzyskuje rezon i dalej wrzeszczy:

- Co ty opowiadasz? To niby gdzie jest?
- Zadzwoń do matki, to się dowiesz.

Rozłączam się, co najpewniej wścieka go jeszcze bardziej, tymczasem ja jestem tak poruszona rozmową, że serce wali mi jak oszalałe, a w ustach zasycha.

Jaki brylant? Co prawda widziałam na serdecznym palcu teściowej jakieś stosunkowo duże świecidełko, ale nawet nie wpadłam na to, by analizować, czy to wyrób syntetyczny, czy wygrzebana w skale połyskująca odmiana węgla.

Co mnie to obchodzi?

Dom?

Nie chcę ich domu! Dotychczas nie byli w stanie dać mi żadnej spośród rzeczy dla mnie deficytowych: czasu, rodzicielskiej miłości, akceptacji, zainteresowania wnukami, miłych, swobodnych chwil przy stole. Zupełnie nie rozumiem pomysłu Wojciecha, że nagle mogliby mieć ochotę obdarować mnie rodową posiadłością. Co za bzdura!

Dla świętego spokoju postanawiam jeszcze bardziej ograniczyć kontakt z państwem Braun, tak by nikt nie mógł mi nic zarzucić.

Rozedrgana idę zaparzyć duże espresso, z nadzieją, że mocny napój z kawałkiem czekolady wyciszy emocje.

Niestety kawa sprawiła, że poza trzęsączką jest mi niedobrze, a muszę się zbierać do knajpy, bo nowo przyjeta kelnerka czeka na mnie z dokumentami i – mam nadzieję – zapalem, by dowiedzieć się czegoś o pracy.

Od czasu, gdy wrzuciłam na siebie kolejne dwa kilogramy, których ciężaru szczęśliwie nie czuję, lecz odnajduję przy każdej próbie dopięcia dżinsów, stałam się miłośniczką sukienek, zwłaszcza tych o workowatym kroju.

Z serii dresowych wdzianek w różnych odcieniach szarości wybieram wersję najjaśniejszą, do tego wyciągam z szuflady żółte szpilki i jestem gotowa do wyjścia. Ciepła wiosna nareszcie pozwoliła się wyswobodzić ze znienawidzonych ciasnych rajstop.

Stukam obcasami po drewnianej podłodze Mięty i Pieprzu. Ten dźwięk włącza alarm na zapleczu, bo nagle zza kotary wyłania się roześmiana Marta z, jak się domyślam, nową kelnerką.

Sala jest zupełnie pusta, na stołach leżą przekrzywione podkładki, wszystko wygląda nieporządnie i przypadkowo. W dodatku muzyka włączona jest niemal na cały regulator.

– Co tu się dzieje? Co to za dyskoteka?  
– Nikogo nie było, więc pomyśleliśmy...  
– Konkretnie kto pomyślał?  
– Kucharze.  
– To nie trzeba było myśleć, tylko zastosować się do zasad.  
– No, ale...  
– Nie ma żadnego ale. Poza tym jakim prawem włączacie disco polo, skoro wyraźnie określiłam, jaka muzyka ma lecieć? Taki łomot nikogo nie zachęci.

– Przepraszam.

Marta robi krok do tyłu i chyba faktycznie jest jej przykro, nowa natomiast stoi hardo wyprostowana na wściekle kolorowych koturnach paskudnych butów, które nawet nie stały koło skóry. Wbija we mnie wzrok z taką intensywnością, że prawie przygotowuję się do odpowiedzi na pytanie rekrutacyjne. Przymykam na chwilę oczy i wiem, że nie chcę jej w moim zespole, a z każdą sekundą mur wyrastający między nami staje się coraz większy.

– Pani na rozmowę o pracę?

– Tak.

– Proszę usiąść.

Rozsiada się wygodnie na krześle, zakłada nogę na nogę, opiera łokcie na drewnianym stole i podpira dłońmi swą pustą główkę. Rzuca mi powłóczyście spojrzenie, zupełnie jakbyśmy się spotkały na pierwszej randce, i swobodnie zagaduje:

– No to słucham.

Zwariowałam. Kto tu do kogo przyszedł i po co? Usiłuję nie dać po sobie poznać, jakiego doznałam wstrząsu, spotykając się z przedstawicielką pokolenia X, a może już Y.

– To ja będę pani słuchać. Proszę o CV.

– Wysłałam mailem, więc nie widziałam potrzeby, żeby je jeszcze przynosić.

WRRR!!!

Mam ochotę ją wyprosić, ale zaczyna mnie intrygować jej brak zahamowań.

– Proszę, opowiedz coś o sobie.

– A co chciałaby pani wiedzieć?

– Na początek imię i nazwisko.

– Róża Windur.

– Gdzie pracowałaś? Jaką szkołę skończyłaś?

– W czerwcu kończę studia.

– Jakie?

– Historię.

Spogląda na mnie z wyższością wróbla nad ziarnem pszenicy i wyraźnie oczekuje aplauzu.

– A gdzie pracowałaś?

– Miałam praktyki w trzech firmach, a potem otrzymałam dwie propozycje pracy, ale ich nie przyjął.

– Dlaczego?

Cholera, ja nie mogłam wybierać w ofertach, ani po studiach, ani tym bardziej w trakcie. Może laska nie jest taka głupia, na jaką wygląda?

– Wie pani, ja jestem z innego pokolenia. Poprzedni szefowie narzucali mi swoją wizję i nie chcieli słuchać, że to samo można zrobić

inaczej, lepiej. My, młodzi, mamy nowe spojrzenie na życie.

– Aha.

Zdecydowanie to coś dla mnie! Kelnerka, z którą mam polemizować na temat konieczności uprzątnięcia stolika.

– Wie pani, rodzice zawsze z nami dyskutowali i liczyli się z naszym zdaniem. Tak się wychowywaliśmy. – Teatralnie rozkłada ręce i wzrusza ramionami. – I tak samo chcielibyśmy być traktowani w pracy. Po partnersku.

– Po partnersku, powiadasz. OK. Co myślisz o myciu podłogi?

– O, na to mnie pani nie namówi. Nie jestem sprzątaczką.

– A jak sobie wyobrażasz pracę kelnerki?

– Zwyczajnie.

– Czyli jak?

– Podawanie karty, przynoszenie dań i zbieranie pieniędzy.

Napiwków pani nie zabiera, prawda?

– Nie, napiwki są dla was. A w czym jesteś najlepsza? Co umiesz robić najlepiej?

– W jakim sensie?

– W każdym. Co umiesz najlepiej robić w domu, pracy, szkole.

Jesteś mistrzynią w...

Jej puste oczy spoglądają na mnie niepewnie, jakby przeczuwały zasadzkę nie do obejścia. Obawiam się, że mogę usłyszeć, że loda, i w zasadzie niewiele się mylę, bo z jej ust pada:

– W tańcu.

– Świetnie. A jakim?

– No, na dyskotece. Jestem niesamowita. Chce pani zobaczyć?

– Nie, nie, dziękuję. Do zadań kelnerki należy również sprzątanie stolików, składanie serwetek i pilnowanie porządku na barze.

– Nie rozumiem, nie macie tu sprzątaczek? Ja nie tracę czasu na takie przyziemne czynności.

– Wiesz, to wszystko jest interesujące. Ta twoja filozofia i partnerstwo, ja jednak poszukuję reprezentanta moich przekonań i zasad, a nie negocjatora między klientem a kuchnią. Więc dziękuję, że przyszedłeś, ale nie dam ci pracy.

Róża wędnie w oczach i spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Spotkałam się z kimś, kto bardziej mnie przekonuje.

– Ale proszę pani! Jeszcze mnie pani nie poznała.

I nie chcę poznawać, nigdy! – dodaję w myślach, uśmiecham się jednak miło i staram się powściągnąć emocje.

– Przykro mi.

Młoda wstaje, opiera wyprostowane ręce na blacie, pochyła się tak, że czuję na twarzy jej oddech przesycony papierosowym dymem.

– Czy ma pani świadomość, że to jest dyskryminacja?

– Nie wydaje mi się...

– Jeszcze pani zobaczy.

Na razie widzę jej falujące pośladki opięte czerwoną bawełnianą tkaniną. Szarpie za drzwi wejściowe, a gdy jest już na ulicy i usiłuje przebiec na drugą stronę, jej noga zsuwa się z krawężnika.

– Auu.

Upada z hukiem na chodnik i... rozsypuje się na kawałki. Zaczyna płakać, krzyczeć, wołać pomocy. Pewnie powinnam wyjść przed knajpę i zacząć partnerską rozmowę na temat tego, czy jej pomóc, czy może jednak nie powinnam się wtrącać.

Niechętnie wychodzę na zewnątrz.

– Zrobiłaś sobie coś?

Siedzi na swoim chudym tyłku tuż obok białej psiej kupy i patrzy na mnie ze złością.

– Nie widzi pani?

– Nie jestem pewna. Usiłuję po partnersku się dowiedzieć, czy potrzebna ci jakaś pomoc.

– Chyba skręciłam nogę.

Podaję Róży rękę i pomagam wstać. Następnie podpieram ją i pomagam wejść do restauracji. Marta podaje jej swoje ramię i tak holujemy nieszczęsne stworzenie do najbliższego stolika. Ponieważ nie pozwala zdjąć sobie buta, układamy jej nogę na sąsiednim krześle i dzwoniczmy po pogotowie, które za kilka minut powinno do nas dojechać.

Ofiara koturnów prosi o szklankę wody, wyciąga telefon i wybiera numer.



Jakże jestem zdziwiona, gdy okazuje się, że zamiast do rodziców dzwoni pod sto dwanaście.

– Halo, policja? Mówi Róża Windur. Uległam wypadkowi. Nie, nie samochodowemu. W restauracji Mięta i Pieprz.

Odwracam się gwałtownie i spoglądam na nią w lekkim szoku. Kurwa, jak to w restauracji? Przecież na ulicy przed restauracją, a nie wewnątrz. Gówniara patrzy na mnie wyzywająco, uśmiech rozkwita na zbyt mocno umalowanej twarzy i wzrokiem pokazuje mi środkowy palec.

Mam ochotę wywlec ją za kitę z powrotem na ulicę i trzepnąć w rynsztok, no, przynajmniej rowek na deszczówkę, gdy przed witryną pojawia się karetka. Sanitariusze w odblaskowych czerwonych strojach podchodzą do młodej i pochylają się nad jej nogą. Róża jęczy, piszczy i wylewa strugi łez. Wygląda na dzieciaka, którego miałoby się ochotę pogłaskać po głowie i przytulić, i nie mogę wprost uwierzyć, że diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach, tym razem jej charakteru.

Po chwili do widowiska dołącza dwóch policjantów.

– Dostaliśmy wezwanie.

– To ja dzwoniłam. – Młoda gwałtownie ociera łzy, poprawia się na krześle, prostuje i bez mrugnięcia okiem referuje: – Byłam u tej pani na rozmowie w sprawie pracy. I nie dość, że jej nie dostałam, to jeszcze tu, o, tu na progu, pewnie był polany jakimś olejem czy czymś, bo tu – wodzi ręką po stolikach – nie jest najczystiej, się potknęłam, poślizgnęłam i boleśnie upadłam. No i proszę. Mam złamaną nogę, otartą rękę i złamane dwa tipsy.

– Rozumiem, że się pani przewróciła.

– Tak. I upadłam.

Tak jakby można było się przewrócić bez upadania. Róża szarżuje naprawdę jak byk na płachtę toreadora, wzbijając kłęby kłamliwego pyłu.

– Będę się domagała odszkodowania i zadośćuczynienia.

Co za szczęście, że nie wpadłam na pomysł podpisania z nią umowy i że od samego progu mnie do siebie zniechęciła!

Policjanci przysiadają przy stoliku obok, spisują zeznania, a zirytowani ratownicy stoją nieopodal. Ja oczywiście również jestem

proszona o opowiedzenie, jak to wyglądało z mojej perspektywy, a gdy się okazuje, że nasze historie są rozbieżne, jeden z funkcjonariuszy pyta o świadków.

– Czy ktoś może to potwierdzić? Są jacyś świadkowie?

Marta kręci głową i oświadcza, że w chwili zdarzenia była na zapleczu. Róża spogląda na mnie z satysfakcją i mówi:

– Ha, słowo przeciwko słowu. Na pewno znajdzie się ktoś, kto potwierdzi moją wersję, a poza tym pani miała motyw.

– Że niby jaki?

– Zemścić się?

– Że co? – jąkam się jak idiotka.

– Bo nie chciałam podjąć pracy.

– Przecież to ja cię nie przyjąłam.

– Nie wydaje mi się.

Policjanci wstają i oświadcniają, że wyjaśnimy sobie wszystko podczas postępowania albo w sądzie. W sądzie! Jeszcze tego mi brakuje!

Nagle doznaję olśnienia.

– Przepraszam, jeszcze jedno: na budynku jest kamera, może zechcą panowie przejrzeć nagranie?

Mina gówniary jest bezcenna, a ja mimochodem, udając strach, pytam:

– Składanie fałszywych zeznań jest karalne, prawda?

Teraz wojowniczką pokolenia X zaczyna naprawdę szlochać. Glut wisi jej z nosa, ja odsuwam jednak na bok pojemnik z serwetkami. Ciekawe, w jaki sposób zacnie partnerować wkurzonemu policjantowi i co wynegocjuje.

Ten wydaje się nieugięty, w niewielkim czarnym notesie spisuje z jej dowodu dane, zapisuje numer telefonu i zdecydowanym tonem komunikuje, że niebawem się z nią skontaktują. Młoda kuli się w sobie. Tymczasem znużeni sanitariusze czynią swoją powinność i pomagają dziewczynie dojść do karetki. Wygląda to tak, jakby wlekli ją za sobą po ciężkim wypadku.

Cwaniara właśnie zalicza jedną z życiowych porażek. Pytanie tylko, czy jest w stanie właśnie w ten sposób zinterpretować to, co się wydarzyło, czy spłynie to po niej jak po kaczce. Mam nadzieję, że było

to jednak pouczające doświadczenie, które zapamięta na całe życie.

Obracam się na pięcie i wchodzę na zaplecze. Zaraz pora lunchu i mam nadzieję, że zaleje nas fala gości. Tymczasem okazuje się, że ziemniaki nawet nie zaczęły się gotować, schabowe są bez panierki, a surówka buraczana w bulwach, o zimnej zupie nie wspominając. Kucharz łązi jak marionetka poruszana przez pijanego lalkarza. Nie wiem, czy pożar byłby w stanie zagęścić jego ruchy, ale z pewnością wizja gości za jakiś kwadrans nie robi na nim wrażenia.

– Pozostałe rzeczy masz gotowe?

– Prawie.

– Czyli?

– Nie do końca, ale szefowa się nie denerwuje, zrobi się.

– Nie mam wątpliwości, że się zrobi, tylko kiedy?! Ostatnio goście na zupę czekali trzydzieści minut! Trzydzieści.

– No wie pani? Ja pod taką presją nie będę pracował! – Zdejmuje fartuch i rzuca go na pełen mąki i jakiegoś ciasta blat. – A poza tym ma pani tylko jeden rodzaj soli! W porządnym kuchniach jest co najmniej pięć! Pięć! Rozumie pani? To się nie może udać.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pod jego przywództwem z pewnością.

– Wypłatę proszę.

– Wypłata zgodnie z umową jest po dziesiątym, więc zgłoś się w odpowiednim czasie. A teraz podpisz wypowiedzenie.

– Nic, kurwa, nie będę podpisywał.

– Jak wolisz.

Sięgam po listę obecności, sprawdzam dzisiejszą datę i z ulgą odnajduję jego podpis w stosownej rubryce.

– Wpiszę ci w świadectwie porzucenie pracy.

– Mam to w dupie.

Wychodzi, trzaskając drzwiami, a ja, o dziwo, nie czuję nawet złości. Już nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Nie pozostaje mi nic innego, jak zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

Kroję ziemniaki na ćwiartki i ponownie zalewam wodą, tym razem wrzątkiem. Sięgam po dwie metalowe miski, do jednej wsypuję opakowanie tartej bułki, do drugiej rozbijam dziesięć jajek i szybkim

kolistym ruchem mieszam. Na największej patelni, jaką mamy, roztapiam kostkę smalcu, dodaję przekrojony na pół ząbek czosnku i zaczynam smażyć kotlety. Podczas gdy pierwsza partia mięsa skwierczy na tłuszczu, wrzucam do robota buraki i ucieram na drobne wiórki.

Pracuję jak automat.

Pieprzę, solę, dosypuję cukru, wyciskam cytrynę na talerzyk, wyławiam pestki i dodaję do buraczków. Wreszcie wydaję pierwsze dania, a narastający na sali gwar budzi nadzieję, że kryzys mamy już za sobą i klienci zaczną nas częściej odwiedzać.

W kuchni pachnie czosnkiem, majerankiem i dobrym jedzeniem. Gotowanie tak mnie nakręca, że postanawiam wrzucić do marynaty kupione raniutko trzy wielkie filety z indyka na jutrzejsze danie dnia – pieczeń z indyka w sosie śmietanowym.

Musztarda miesza się z miodem, utartymi w moździerzu ziołami, pieprzem, solą, podlewam to wszystko odrobiną oleju rzepakowego i octu. Powolnymi ruchami drewnianej łyżki łączę wszystkie składniki i po spróbowaniu dorzucam łyżkę czarnuszki.

Otwieram lodówkę. Okazuje się, że warzywa mieszają się z serami, na półkach panuje misz-masz, a z trzech filetów został jeden. Zaglądam do zamrażarki, ale tu też nie znajduję mięsa. Cholera, gdzie mógł je wsadzić? W garnkach jest pusto.

– Marta!

Wystraszona pojawia się po chwili w drzwiach i pewnie zastanawia, co tym razem mi nie pasuje.

– Słuchaj, nie wiesz przypadkiem, gdzie może być indyk?

– W lodówce?

– No właśnie tam go nie ma. Zajrzyj, może leży na wierzchu, a ja zwyczajnie nie widzę.

Marta posłusznie zagłębia się w chłodnym wnętrzu, coś tam przekłada, grzebie i wreszcie zaczerwieniona z wysiłku się prostuje.

– Nie ma.

– No właśnie. Nie wiesz, co się stało?

Marta kręci się niespokojnie i unika mojego wzroku; domyślam się, że wie więcej, niż chce powiedzieć.

– Czyli ktoś go ukradł.

Cisza.

– Marta, powiedz, jeśli coś wiesz. To kucharz?

Dziewczyna kiwa głową i wreszcie wyrzuca z siebie:

– Nic nie mówiłam, bo on twierdził, że pani o wszystkim wie i macie taki układ, że w części rozlicza się z nim pani jedzeniem.

– Coś ty? To nieprawda!

Co za piękna bajeczka. Jak można komuś wciskać taki kit, a z drugiej strony – trzeba być niezwykle naiwnym, żeby w coś takiego uwierzyć.

– Dużo tego było?

– Raczej...

– Od dawna?

– Prawie od początku.

– Chryste, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Przecież myślałam, że pani wie.

Okazuje się, że nie wiem również o tym, że koleś dorobił klucze, że się spóźniał i pod koniec pracy potrafił wypić kilka piw.

Podejrzewam, że to tylko jedna z tajemnic, które skrywa to miejsce.

– Powinnam jeszcze o czymś wiedzieć?

Marta kręci głową, a do mnie dociera, że w zasadzie jesteśmy jedynymi pracownikami knajpy. Jak to się stało, że nie zorientowałam się, że jest tak źle?

– Co teraz będzie?

– Jak to co? – Udaję optymizm i staram się sprawiać wrażenie, że wszystko mam poukładane, choć jelita wibrują w wygrywany paniką rytm. – Rano stawiamy się w pracy. Ja gotuję, ty podajesz. Ograniczamy kartę, robimy proste, ale smaczne potrawy i szukamy kucharza.

– Znowu?

– Raczej nie mamy wyjścia.

Dzień bulgocze między kotletami, surówkami i kawami. Robi się ciemno i bardzo późno, gdy wreszcie udaje mi się wszystko posprzątać i pozamykać.

Światła na skrzyżowaniach mrugają pomarańczowo, ulice są prawie puste i gdyby nie drzenie szyn wprowadzanych w rezonans przez

hałaśliwe tramwaje, panowałaby cisza. Pierwsze krople deszczu przysiadają na szybie. Włączam wycieraczki i przyglądam się, jak woda się rozpryskuje i spływa po karoserii.

Jestem zmęczona, ale zadowolona z tego, ile dzisiaj zrobiłam. Mam świadomość, że w żaden sposób nie dałabym rady pracować tak dzień w dzień. Poza tym moje umiejętności nie wykraczają poza domową kuchnię, określaną zazwyczaj czterema porcjami. Jestem w stanie co prawda urozmaicić cotygodniowy jadłospis dzieciom, ale nie potrafię robić tego każdego dnia i to w dodatku w trzech wersjach.

Gdy mijam kolejne skrzyżowania i zbliżam się do domu, coraz mocniej kielkuje we mnie myśl, że powinnam zapisać się na jakiś kurs kulinarny i jednak poznać kuchnię od profesjonalnej strony.

Jak zwykle podskakuję na sygnał dzwonka. Magda. Wciskam guzik na kierownicy i momentalnie rozbijam się myślami na jej tyradzie.

– Kobieto, gdzie ty jesteś? Dzwoniłam pięć razy w ciągu dnia, potem do domu, tam też cię nie ma, jak byś nie wiedziała. Wiesz, że jest środek nocy...

– Magda! Halo, przestań się nakręcać! Byłam w pracy, nie słyszałam komórki. Teraz jadę do chaty. Coś się stało?

– Wszystko!

– To znaczy?

– Nakryłam Pawła z wytatuowaną dziunią w moim łóżku!

– Boże, przestań.

W głosie przyjaciółki nie słyszę bólu, ze słuchawki wylewa się raczej wściekłość.

– Nic nie mów. Nie zniosę kolejnego kazania i tekstów „a nie mówiłam”.

– Nie zamierzam, ale...

– Żadnego ale. Cholerny gówniarz. Kupowałam mu wszystko, co chciał, wszędzie zabierałam, a tu coś takiego.

– Nie zapominaj o wytatuowanym sercu!

– Kurwa, nie mogę na nie patrzeć. Jak mogło mi tak odpierdolić?!

Stara baba, a dała się podejść.

– Pokolenie X.

– Co ty pleciesz?

– Nowa młodzież, której wszystko się należy, która nic nie musi, ale wszystko może, z którą się negocjuje i nie wywiera presji.

– Bredzisz.

– Może, ale zastanów się sama.

– Nie mam się nad czym zastanawiać. Skreśliłam go z listy.

– Nie poznaję cię!

– Możesz być dumna z koleżanki.

Faktycznie nie poznaję Magi. Przy poprzednim rozstaniu wpadła w histerię, otarła się o kliniczną depresję i pomysł zamieszkania na południu Włoch, nie dało się jej nic wytłumaczyć ani pocieszyć.

– Jestem dumna.

– Muszę tylko gnojka spakować, a w zasadzie wypieprzyć jego ciuchy przez okno. Chcesz się zabawić? Mam dobrego schłodzonego szampana.

– Czemu nie?

Spoglądam w lusterko wsteczne, rzucam okiem przed siebie i zawracam na linii ciągłej. Mam szczęście, bo nie dostrzegam za sobą niebieskiego koguta. Jedną ręką trzymając kierownicę, drugą wystukuję sms do Anki.

Ania, nie czekajcie na mnie, Magda ma kłopot, przenocuję u niej.

Po chwili komórka cicho pika i wyświetla odpowiedź:

U nas wszystko OK, dzieci śpią, do jutra.

Wjeżdżam w boczną uliczkę prowadzącą do domu Magi i parkuję na podjeździe. Wszystkie latarnie są wyłączone, a jedynym jasnym punktem jest jej dom. We wszystkich pokojach palą się lampy, a przez otwarte okno salonu sączy się cicha muzyka. Na krzakach pod oknami leży pełno ciuchów, książek i dupereli. Kolejne, wyrzucane przez okno, dołączają do bałaganu w ogrodzie. Właśnie tuż obok mojej głowy przelatuje trampek, gdy Magda wychyla się, by sprawdzić siłę rażenia pocisku, i dostrzega moją skuloną postać.

Podnosi rękę i machając, wskazuje na drzwi.

– Nareszcie jesteście!

Całuje mnie w policzek, a jej jedwabiste włosy łaskoczą mnie w nos. Pachnie olejkiem migdałowym i mandarynkami. Nie wygląda na sponiewieraną nieudanym romanssem kobietę, raczej na kogoś, kto

znowu odwiedził spa.

– Coś ty taka radosna?

– Chodź do kuchni.

Porzucam szpilki na wycieracze i bosy tupam za Magi.

– Tadam! Moët! – Wciska mi do ręki wysoki kieliszek napełniony przyjemnie musującym różowawym płynem i wznosi toast: – Za wolność.

Upijam łyk i nadal nie mogę zrozumieć, co się dzieje.

– Jakoś się nie martwisz.

– Dobrze się stało. Tak ostatnio sobie pomyślałam, że jednak nie dostaję od niego tego, co bym chciała.

– A co chciałaś?

– No, nie wiem, ale na pewno nie to, co proponował.

– Aha, to bardzo filozoficzne.

– Słuchaj, on się niczym nie interesował.

– Przecież mówiłaś, że bawi go to, co ciebie.

– A tam, bawi. O zainteresowaniach mówię. Wiesz, że nigdy nie słuchał Perfectu, o Depeszach nie mówiąc.

– O, to słabo, jak z takim defektem budować związek!

Ironia spływa po mnie i rozlewa się kałużą wokół stóp.

– Myśl sobie, co chcesz, ale Paweł nie dostrzegłby sztuki, nawet gdyby okraciem usiadła mu na twarzy.

– Jakoś wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– Byłam zauroczona. Na końcu przeszkadzało mi nawet to, jak podczas śniadania napieprzał łyżeczką w jajko na miękko.

– Chyba zamroczona. A jak robiłaś ten idiotyczny tatuaż, to nawet nieprzytomna.

– Nie bądź złośliwa, raczej pomyśl, jak mam się tego pozbyć!

– Patrz – wodzę palcem po jej ręce – gdyby tu dodać trochę koloru, kilka kresek... miałybyś zarąbistego smoka.

– Cha, cha, cha.

Wyrywa rękę, przy okazji rozchlapując szampana na biały dywan. Różowy płyn z bąbelkami powoli wsiąka w materiał, delikatnie musując na powierzchni i tworząc sporą nieregularną plamę.

– Polałaś dywan, będzie plama. Masz jakąś ścierkę?



– Pieprzyć plamę. Chodź, trochę sobie porzucamy, zostało jeszcze kilka kłopotów.

Nigdy tego nie robiłam, więc zastanawiam się, jakie to uczucie ciskać przez okno czyjeś ciuchy. Podnoszę z podłogi trampki, chyba do kompletu z tym, który przeleciał mi przed twarzą, i z całej siły rzucam nim przed siebie.

Gdy rozlega się głośny brzęk szkła, a but w szklanym granulacie ląduje nam pod nogami, nie wiemy, co się stało.

– Co jest? – To najbardziej inteligentne pytanie, jakie jestem w stanie wykrztusić.

– Nie mam pojęcia. Skąd tyle szkła?

– Chyba coś się zbiło.

Musimy być wstawione, bo dopiero po chwili dociera do nas, że okienna rama jest pozbawiona szyby.

– Rany, Magda, przepraszam.

– Ty nawet nie potrafisz porządnie kołesia wywalić z chaty.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro. Zapłacę za szklarza.

– Nie przesadzaj. Zaciągnę roletę, a jutro wszystkim się zajmę.

Taszczy my resztę rzeczy Pawełka do okna na drugiej ścianie sypialni i hurtem wyrzucamy wszystko, co nam wpadnie w ręce.

W efekcie na trawniku ląduje również ozdobna poduszka, po którą schodzimy wężykiem, chichrając się jak dzieciaki.

– Co teraz?

– Jajecznicą?

– Zgłupiałaś? Pytam, co będziesz robić.

– Nie wiem.

Magda wzrusza ramionami. Mości się w fotelu, podciągając nogi tak, by wreszcie przerzucić je nad podłokietnikiem. Idę za jej przykładem i czuję się całkowicie wyluzowana. Jeszcze nie niepokoi mnie myśl, że jutro skoro świt zadzwoni budzik.

– To może pomożesz mi w knajpie...

– A coś się dzieje?

Opowiadam jej o poznanej przedstawicielce generacji X, o kradzieży i o tym, że muszę się jednak bardziej zaangażować.

Wegetujemy na miękkich meblach tak długo, że czwartek zamienia się

w piątek. Wreszcie zwlekamy się i zbieramy do spania.

W pokoju gościnnym nadal na łóżku leży moja pościel, a w szafce nocnej znajduję jedwabną koszulkę nocną, gwiazdkowy prezent od Magi.

Nim przyłożę głowę do poduszki, powieki same mi się zamykają i zapadam w głęboki sen. Śni mi się pożar restauracji, którą ktoś oblał benzyną i podpalił. We śnie jestem bezradna, sparaliżowana strachem, i gdy jedna z belek spada na mnie i przygniata swoim ciężarem, czuję, że zaczynam się dusić. Ktoś mnie szarpie.

– Hej, nie słyszysz, że twój budzik wariuje?

Otwieram oczy, patrzę na pochylającą się nade mną Magdę i nie mogę dojść, co ja tu robię. Wreszcie dociera do mnie, że miałam otworzyć restaurację. Dzięki naiwnemu optymizmowi udaje mi się nawlec na tyłek przymałe spodnie Magi i jej biały T-shirt.

Chwilę później oddaję się misterium powolnego przecierania pomidorów ugotowanych wczoraj na zupę. Nim na zegarze pojawi się bałwanek i dwie oponki, leżą przede mną dwa ciasta, na ladzie piętrzy się sterta bułek z zielonym ogórkiem i kiełkami, a ja mam czas, by sięgnąć po jeden z przezroczystych kubeczków z puddingiem z nasion chia i ciepłym musem malinowym.

Przymykam powieki i delektuję się kuleczkami nasion przypominającymi wielkością i konsystencją kawior, które konkurują ze słodyczą owoców. Czuję na sobie czyjś wzrok i gwałtownie otwieram oczy. Przyciśnięty do witryny stoi nasz dostawca Henio z drewnianą skrzynką pełną mięty, bazylii, rozmarynu. Zielone, dorodne zioła wpraszają się same do kuchni.

Otwieram drzwi i wpuszczam go do środka.

– Witam.

– Cześć. Przyniosłem zioła. – Stawia pakunek na najbliższym stole, zaciera ręce i rozgląda się po sali. – Cicho tu jakoś, sama jesteś?

– Tak, wczoraj pożegnałam się z kucharzem.

– To słabo.

– Nie jest tak źle, daję radę.

– Skoro tak mówisz, ale gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń.

– Bardzo ci dziękuję. Doceniam.

– A tak przy okazji, zmieniłaś zdanie?

Spogląda na mnie przenikliwie, wciskając dłonie w tylne kieszenie dżinsów. Podciągnięte rękawy kurtki obnażają silne, opalone ręce porwane licznymi bliznami, podobno pamiątka po wypadku na motorze.

– W jakiej kwestii?

– Dasz się zaprosić na kolację?

Boże, znowu wracamy do wielokrotnie przerabianego tematu. Jak mam spławić tego skądinąd sympatycznego gościa, skoro nie dociera do niego to, co powtarzam od tygodni? Błędem było przejście na ty, bo rozochocony Henryk potraktował to jako grę wstępną do dalszej znajomości.

– Nie zaczynaj. Wiesz, że nic z tego nie będzie.

– Zobaczysz, jeszcze cię w sobie rozkocham.

– Wątpię.

– Daj mi trochę czasu.

Podchodzę do lady i pod pretekstem włączenia muzyki staję za kontuarem. Daje mi on poczucie jako takiego bezpieczeństwa, a blat pomiędzy nami buduje dodatkowy dystans.

– Nic ci nie dam, bo naprawdę nie jestem zainteresowana.

– Wiem, że jeszcze nie jesteś gotowa, ale ja poczekam.

– Proszę cię, nie czekaj, znajdź sobie kogoś.

– Wiem, że na ciebie nie zasługuję, i może lepiej dla ciebie będzie, jak się wycofam, tylko że nie potrafię tego zrobić.

– Nie krępuj się, ja się nie obrażę, wręcz będę zadowolona. – Śmieję się, a w duszy szukam kolejnych argumentów, które zakończyłyby tę dziwną i niewygodną rozmowę.

– Wiesz, że nie mógłbym tego zrobić.

Adrenalina wali mi w skroń i wiem, że to moment, w którym powinnam zmienić taktykę i przepoczwarzyć się z miłej panienki w trolla.

– Nie jestem zainteresowana żadnym facetem. Rozumiesz? Więc proszę, daj mi spokój. Nie chcę już wracać do tego tematu.

– Wszystkie tak mówicie.

– Nie wiem, co mówią wszystkie, ale jestem pewna, że nigdy z tobą nie będę.

– No, jeszcze zobaczymy.

Odwraca się zły i zachowuje jak ranne zwierzę. Zaczynam się go zwyczajnie obawiać i dlatego na pierwszym miejscu listy rzeczy do zrobienia zapisuję: znaleźć nowego dostawcę ziół.

Z ulgą dostrzegam na szarej elewacji cień Marty, który się zatrzymuje i po chwili dołącza do zdecydowanie większej ciemnej plamy. Domyślam się, że to Henryk.

– Dzień dobry.

– Cześć, Marta. Widziałam, że rozmawiałaś z Henrykiem, chciał coś konkretnego?

– Nie, nic, kazał mi tylko na panią uważać.

Przez kręgosłup przebiega mi zimny dreszcz. Obawiam się, że nie miał na myśli zwykłego uważania, tylko uprzejme pilnowanie. Czy powinnam czuć się zaszczuta? Może jeszcze nie, ale jeśli jego awanse się nasilą, mogę mieć problem. Mam ochotę walnąć głową w ścianę i nakrzyczeć na siebie.

Na szczęście mamy sporo gości, łącznie z wizytą pielgrzymki kościelnych weteranów pod wodzą młodego gapowatego dominikanina w niegdyś białym habicie, który na każde pytanie ma jedną odpowiedź: nie wiem.

– Proszę ojca, to co, zostajemy?

– Nie wiem. Jak chcecie.

Szczęśliwie chcą.

– Przyjemnie tu, może zjemy od razu obiad?

– Nie wiem. Jak coś wybieriecie, to możemy zostać.

– A do której mamy czas?

– Nie wiem, jakąś godzinę, może półtorej?

Starsi państwo ochoczo zasiadają do stołu i biorą się do studiowania kart. I tu zaczynają się pierwsze schody, bo kilka osób nie ma albo nie może znaleźć okularów do czytania. Więc jedni czytają drugim, robi się rwetes i zamieszanie, a w dodatku kilkoro ma problem ze słuchem i domaga się powtórzenia. I gdy już się wydaje, że może być tylko łatwiej, okazuje się, że wcale nie, bo połowa nazw jest dla nich niezrozumiała.

Korpulentna, ruchliwa kobiecina w brązowej sukience

i z ufarbowanymi na fioletowo siwymi włosami (swoją drogą nadal nie rozumiem, jak to się dzieje, że przekraczając pewną granicę wieku i elegancji, należy przefarbować się na bakłażana) macha na mnie niecierpliwie, uciszając przy tym pozostałych.

– Cicho! Pani nam tu wszystko wytłumaczy.

O dziwo, starsi państwo są karni i poddają się sugestii koleżanki.

– Chodź no tu, kochanieńka, i wytłumacz, co tu macie.

Staję obok niej i pochylam się nad kartą.

– W czym mogę pomóc?

– Co to jest fondue?

– Surowe kawałki polędwicy albo drobiu, które nabija się na specjalne widelczyki i smaży na oleju albo gotuje w rosole.

– Jak to? – Oburzenie unosi jej wydatny biust, który dziwnym trafem przy wydechu nie opada. Muszę się dowiedzieć, jak to się robi. – Podajecie surowe mięso? Przecież można się pochorować, nie, tego nie weźmiemy – stwierdza kategorycznie, a szum aprobaty niczym fala na meczu piłkarskim przetacza się nad stołem. Domyślam się, jakie padnie kolejne pytanie. I się nie mylę. Palec łąduje na pozycji numer trzy. – Kisz! – wykrzykuje triumfalnie. – Co to znowu za wynalazek?

Wciągam głęboko powietrze, bo coraz bardziej czuję się jak niegrzeczna, odpytywana przy tablicy dziewczynka z warkoczykami.

– Rodzaj placka z serem, boczkiem i szpinakiem.

– Boczek, mówisz, toż to tłuste jak jasny gwint, a my przecież uważamy na cholesterol, prawda, kochani?

Jej perlisty śmiech góruje nad rechotem pozostałych gości, którzy trzęsą się i przytakują.

– A w takim razie co nam powiesz o tażdzinie?

– Serwujemy delikatną cielećcinę z warzywami, pieczoną w tradycyjnym marokańskim glinianym naczyniu.

– A co to za warzywa?

Podejrzewam, że zawiodę wszystkich, nie wspominając o kapuście i burakach, jednak dzielnie brnę dalej, zaczynając optymistycznie od marchewki.

– Kawałki marchewki, papryki – jeszcze nie jest najgorzej, bo dopiero dochodzimy do clou – czarne oliwki...

Nie muszę kończyć, bo grono się krzywi i połowa głośno oświadcza, że nie lubi oliwek, a pozostali nie trawią papryki, jeden z desperatów zaś rubasznie przyznaje, że ma po niej wiatry. I to jakie!

Na szczęście karta nie jest zbyt długa, więc po wspólnej naradzie dwanaście osób zamawia schabowego z ziemniakami i buraczkami, tylko jedna odważna babcia decyduje się na łososia.

I gdy już zbieram karty i z nadzieją kieruję się na zaplecze, do akcji wkracza dominikanin.

– Kochani, przypominam, że dzisiaj jest piątek.

Wszystko się we mnie przewraca za sprawą durnego zakonnika, który nie ma zamiaru zastosować się do zniesionego nakazu piątkowego postu.

– Ale przecież słyszałam, że post w piątek został zniesiony!

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Patrząc na grubo ciosaną twarz, domyślam się, że trociny w jego głowie tylko sporadycznie układają się w zwoje, którym jest coś wiadome.

Ponownie rozdaję karty i tym razem usiłuję rozwiać wątpliwości co do świeżości pstrąga. Na myśl o tym, że w pstrągu może jednak trafić się ość, niestety nie zawsze wszystkie daje się usunąć, skłaniam się ku sugestii, że może łosoś jest świeższy, czytaj: bezpieczniejszy.

Wreszcie wszyscy zgodnie zamawiają łososia. Uff.

Wrzucam kawałki ryby na blachę i wstawiam do piekarnika. Gorące ziemniaki parują w garnku, a buraczki też powoli się grzeją na wielkiej patelni. W ramach czekadełka podaję małe miseczki ze śledziem i ćwiartką ciemnego chleba, co wywołuje kolejne zamieszanie i kakofonię opinii i uwag.

– Przecież my tego nie zamawialiśmy!

– To ma być łosoś?!

– Halina, patrz no, to łosoś? Nie ma buraków, miały być buraki.

Bez buraków nie jem.

– Strasznie małe porcje tu dają. Dwadzieścia złotych za takie coś?

– Nie, to śledź! Mówię wam, to śledź.

– A to ja nie jem, bo potem tak mi się chce pić! A jak człowiek pije, to do toalety często musi, zresztą w moim wieku i z moją prostatą...

Dzielnie podejmuję decyzję, że jednak nie jestem gotowa wysłuchiwać historii o przeroście gruczołu krokowego, i staram się przekrzyczeć towarzystwo.

– Przepraszam!

Cholera, nikt mnie nie słyszy, więc nabieram powietrza i ponownie wyrzucam z siebie:

– Przepraszam! – akurat w chwili, gdy zapada cisza, więc wychodzi przeraźliwie głośno.

– A ta co się tak drze?

Dziadek siedzący na samym końcu stołu w kaszkiecie na głowie patrzy na mnie karcącym wzrokiem.

– Przepraszam – powtarzam kolejny raz – chciałam tylko powiedzieć, że to po prostu czekadełko.

– Dziecko, powtórz, bo ja tu nic nie słyszę.

– Taki gratisowy poczęstunek od firmy.

– Czyli darmo?

– Tak, tak. Smacznego.

– A to świetnie!

Rozlega się skrobanie widelców po szkle i mlaskanie, pochrząkiwanie i siorbanie. Starsi państwo są uroczy w swojej lekkiej nieporadności.

Wreszcie wnosimy z Martą talerze z daniem głównym i kolejny raz uzupełniamy napoje w szklankach. Łosoś smakuje wszystkim, herbatka od firmy jeszcze bardziej. Okazuje się, że gotuję jak matka jegomościa z długimi, zadziwiająco gęstymi siwymi włosami zaczesanymi na plecy.

Płacą, wychodzą, a ja radośnie wkładam naczynia do zmywarki, zastanawiając się, czy powinnam dać na mszę, żeby ściągnąć więcej pątników, czy wystarczy wieczorna żarliwa modlitwa.

W całym tym zamieszaniu zapomniałam, że jutro jest najważniejszy dzień w życiu mojej siostry, do którego się nie przygotowałam: nie mam ani sukienki, ani prezentu. Z tym ostatnim będzie najmniejszy problem, bo stosowny sklep z porcelaną mam prawie po drodze do domu, jednak jedyna biała suknia, jaka wisi w mojej szafie, jest kreacją ślubną, w którą, po pierwsze, zdecydowanie się nie zmieszczę, po drugie, nie da się odpruć z tyłka wielkiej rosochatej

kokardy z grubych fałd materiału.

Jedyne, co jak zwykle w takich okolicznościach mi pozostaje, to przepastna garderoba Magdy, która kryje wszelkiego rodzaju odzież we wszystkich możliwych krojach, materiałach i kolorach. Zamykam lokal godzinę wcześniej i gnam jak w dym do Magi.

W połowie drogi przypominam sobie, że przecież mogę do niej zadzwonić i poprosić, żeby wygrzebała coś odpowiedniego.

– Jesteś w chacie?

– A co?

– Kurde, zapomniałam, że jutro mam ten ślub...

– I pewnie nie masz sukienki.

– Skąd wiesz?

– Trochę cię znam. Jestem. Za ile będziesz?

– Pięć minut.

Garderoba Magdy, mimo pozbycia się z niej sporej ilości rzeczy należących do Pawełka – oceniając po liczbie połamanych krzewów pod domem – i tak jest zapchana po brzegi.

Wyciągamy z zakamarków trzy jasne sukienki, dwie białe, jedną kremową, przy czym okazuje się, że ta, która najbardziej mi się podoba, ma wielką żółtą plamę na biodrze, a w drugą na pewno nie wejdę.

Jestem coraz bardziej niespokojna, bo jeśli w tę ostatnią się nie wcisnę, nie mam szans na ubranie się zgodnie z sugestią na zaproszeniu.

Nie jest najgorzej. Hura! Dopięłam się i czuję swobodnie w czymś, co jest połączeniem szlafroka z suknią balową. Cudownie. Ciężka jedwabna tkanina idealnie układa się na moim ciele, maskując nadmiar kilogramów i mankamenty figury. Jeszcze kilka chwil temu nie wierzyłam, że jest to możliwe. A jednak.

Kolejny raz docieram do domu, gdy dzieci już śpią. Ania się uczy, a popiskiwanie małej szarej kulki tym razem dobiegają spod kuchennej rzeźbionej szafki na wino.

Dzieci widziałam tylko przez chwilę, gdy odbierałam je ze szkoły i z przedszkola. Co prawda zjedliśmy wspólny obiad, ale trudno mówić o zacieśnianiu więzi. Zaglądam do ich ciemnych pokoi, poprawiam kolorowe kołderki i obiecuję sobie, że to ostatni raz. Nawet gdybym z powodu braku kucharza miała zamienić restaurację na śniadaniarnię



z wczesnym lunchem, zrobię to!

Staję przed lustrem i zmywam z twarzy nieliczne ślady makijażu. Nie jestem pewna, czy fluid zmienił kolor, czy zwyczajnie spłynął wśród parujących garów. Skórę mam szarą, coraz mocniej pomarszczoną, a pod oczami wyraźne ziemiste wory. Zdecydowanie nie prezentuję formy wyjściowej, raczej zejściową. A jedyne grono, w którym mogę czuć się piękna i swobodna, jest niedowidzące, przygłuche, mocno starsze i na wymarcu. Bez sensu nakładam grubą warstwę maski, która nawet pracując całą noc, nie będzie w stanie uczynić cudu, i zmęczona zapadam się w pościeli.

Metalowe resoraki, którymi uwielbia bawić się Klara, zaparkowały rzędem pod poduszką i teraz uwierają mnie w głowę. Odkładam je na stolik nocny, na którym zamieszkała rodzina kucyków Pony. Najwyraźniej ktoś też posilał się w łóżku, bo twarde okruszki boleśnie wbijają mi się w skórę. Wiem, że nie zasnę, więc resztką świadomej woli trzepię prześcieradło, pozwalając, by śmieci swobodnie spadły na parkiet. Pewnie wdepnę w nie o poranku, przeklinając swoje lenistwo.

Sobota. Ślub.

Poranek budzi się pełen słońca i wigoru, który kompletnie mi się nie udziela, bo jedyna biała sukienka, jaką posiadam, właśnie została przez Antka upačkana sokiem jabłkowym. Dzielnie zapieram płamę, suszarką suszę tkaninę, która domaga się prasowania, i wreszcie, jak zwykle w lekkim niedoczasie, za to z dużym bukietem białych tulipanów, opadam na siedzenie kierowcy mojej specjalnie na tę okoliczność umytej hondy.

Kładę wiązankę na tylnym siedzeniu i w tym momencie przypomina mi się, że zamiast kwiatów miałam młodemu wręczyć losy na loterię. Cholera jasna. Nie mam pojęcia, gdzie jest najbliższy punkt Lotto, a tym bardziej co mam w nim kupić. Szczęśliwie wpadam na pomysł obejrzenia elewacji najbliższych sklepów spożywczych z nadzieją na znalezienie stosownego neonu.

Uff. Żabka poza wachlarzem alkoholi ma wszystko, czego mi w tej chwili najbardziej brakuje. Nabywam garść najbardziej kolorowych zdrapek, dziesięć zakładów dużego lotka i automatycznie zaczynam mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, nie kupując losów z tymi

samymi numerami dla siebie. Myśl, że młoda mogłaby zgarnąć główną wygraną w obliczu mojej finansowej katastrofy, staje się nieznośna, lecz wbija się w mój mózg zbyt późno, bo już dawno ruszyłam spod sklepu. Z drugiej strony pocieszam się statystyką i świadomością, że trafienie szóstki jest równie prawdopodobne jak trafienie przez piorun.

Nieco uspokojona przejeżdżam przez całe nie wiedzieć dlaczego w sobotę aż tak zapchane miasto, ale im dalej od domu, tym bardziej się niepokoję. Bynajmniej nie uroczystością, tylko pomysłem Magdy, który z zapalem wdrożyliśmy w życie, zapraszając na ślub osobę mnie towarzyszącą.

Nie chcąc młodej dawać satysfakcji, że posadzi mnie samą, najpewniej przy stole dla dzieci i starych panien, przystałam na propozycję przyjaciółki, by zorganizować mi partnera w postaci naszego dawnego znajomego, którego pamiętam z imprez studenckich i hucznych domówek u Magi. Teraz zmierzam w kierunku skrzyżowania, na którym się umówiliśmy.

Olaf, w granatowym garniturze, stoi sztywny jak kij podtrzymujący krzak pomidora i nerwowo się rozgląda. Wreszcie mnie dostrzega, wesoło macha, a ja mam coraz większe wątpliwości, czy to był dobry pomysł.

- Cześć, Olo! Coś ty taki czarny, miało być na biało!
- Cholera, zapomniałem! Co teraz?
- Chyba już nic, musimy jechać, bo się spóźnimy.

Z Olafem zawsze jest zabawnie, bo jak nie wpadnie w jakieś tarapaty, to one wpadną na niego, a gafy przyciąga jak gruszka osę. Zawsze się lubiliśmy i swego czasu razem z Bartoszem zaliczyliśmy sporo imprez. Potem nasze drogi się rozeszły, znowu zeszyły na chwilę, ubarwione romansiem z Magdą, ich rozstaniem i powrotami, by po raz kolejny zagubić się na mapie naszych karier zawodowych i wyjazdu Ola do Stanów. Kilka tygodni temu Olaf ponownie pojawił się w mieście za sprawą firmowych zobowiązań.

Siedzimy w samochodzie i nie odzywamy się do siebie. Muzyka wyje i głośne bity przyjemnie drażnią uszy. Olo jest jedną z tych nielicznych osób, z którymi miło się milczy, co nie znaczy, że jakoś bardzo poszukuję z nim kontaktu. Wręcz przeciwnie, po doświadczeniu

z Henrykiem raczej będę ostrożna i zdystansowana.

GPS gubi drogę i mimo że zbliżamy się do miejsca, gdzie ma się odbyć uroczystość, pozostaje ślepy. Nie potrafi zlokalizować niczego, co ma w nazwie „ogier”, a droga, którą podążamy, według niego nie istnieje. Wyświetla co prawda coraz rzadszą sieć granatowych znaczków z trupią czaszką stworzoną z noża i widelca, ale poza Bambińskim Dworem, Różanym Zajazdem i Barem u Jadwigi nie rozpoznaje adresu, który co rusz usiłuję wbić w zapytanie do pokładowego komputera.

– Słuchaj, musimy kogoś zapytać o drogę, bo w życiu tego nie znajdziemy.

– Nie ma takiej potrzeby, przecież mamy mapkę.

Podsuwa mi pod nos kserokopię kserokopii czegoś, co pierwotnie z pewnością było mapą, a teraz przypomina raczej zamazaną siatkę prześwitujących tu i ówdzie żył na mojej dłoni.

– Rozumiesz coś z tego? – pytam pełna podziwu i zaczynam się czuć bezpiecznie. Nareszcie mogę się na kogoś zdać.

– Oczywiście, wystarczy tylko znaleźć tę drogę w las – palcem pokazuje jakąś szarą plamę – a potem tylko dwa razy skręcamy w prawo i jesteśmy. – Olo wychyla się do przodu i budzi w sobie instynkt samca alfa, który przez grubą samochodową szybę jest w stanie zwiertzyć kierunek, z jakiego dociera zapach weselnego rosołu. – To tu.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście! Spójrz sama.

Na nic nie patrzę, zdając się na jego instynkt, tylko jadę zgodnie ze wskazówkami. Z niepokojem czuję, że moja terenowa honda coraz bardziej zapada się w piasek i coraz trudniej zmusić ją do wysiłku. Podskakujemy na jakichś korzeniach, wpadamy w głębokie koleiny, tak że zaczynam się zastanawiać, czy misa olejowa jest zamontowana wystarczająco wysoko, a gdy drugi raz przejeżdżam na pełnym gazie przez rozległą kałużę, która błotnistą mazią opryskuje nawet dach, dopada mnie przekonanie, że coś tu się nie zgadza.

– Chyba błądzimy.

– Na pewno nie! Chociaż może to jednak nie był ten skręt.

Proponuję się cofnąć i spróbować jeszcze raz. Musiałaś mnie nie zrozumieć.

Oho! Włącza mi się czerwona pulsująca lampka i obawa, że kolega wcale nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy.

Wyjeżdżam na asfaltową główną drogę, którą jak na nasze zbawienie idą dwie dziewczyny z wózkiem.

– O, zobacz, tubylcy, zapytamy o drogę.

– Nie ma takiej potrzeby.

Olo zaczyna się złościć, zupełnie jakby wbudowany w głowę kompas miał decydować o mniejszej lub większej wartości mężczyzny. Funduje mi za to kolejny objazd lasu, tym razem nakazując skręcić w jeszcze gęstsze krzaki.

Po wycieczce przez las kilometr dalej, zaczynającej się od brzozowego zagajnika, po dwukrotnym przejechaniu opodal kapliczki na drzewie i tej samej cholernej kałuży, którą już zaliczyliśmy, zdanie się na instykt jakiegokolwiek faceta wydaje mi się głupotą w najczystszej formie.

Wynurzam się z lasu po dwudziestu minutach, spocona z emocji i w brudnym samochodzie. Nie wiem, po co wczoraj go myłam! Na szczęście wózek i dwie pchające go kobiety zawróciły i teraz idą w naszym kierunku... zatrzymuję się przy nich i otwieram okno.

– Wy też na ten ślub? – pyta młodsza opatulona czerwonym szalem, z równie czerwonym nosem i uszami.

– Skąd pani wie?

– Pani, co rusz ktoś tu wyjeżdża z tego lasu i pyta o Ogiera.

– Naprawdę?

Olo usiłuje wejść pod siedzenie, gdy pytam o drogę. Okazuje się, że już dawno minęliśmy drogowskaz, musimy zawrócić i dopiero po jakichś trzech kilometrach wjechać w las... tylko że po drugiej stronie drogi.

Jesteśmy haniebnie spóźnieni, ale szczęśliwie nie jako jedyni. Połowa samochodów jest równie mocno oblepiona błotem, kierujący nimi faceci mają miny niezadowolone, a wysiadające kobiety naburmuszone.

Otoczają mnie suknie balowe, plażowe i garsonki, na beton utrwalone lakierem koki, opary ciężkich perfum i aura nobliwości małomiasteczkowej elity. Na niegdyś trawiastym, teraz raczej

piaszczystym i zakurczonym parkingu zatrzymują się kolejne mercedesy i wypasione terenówki.

Parkuję mój upačkany samochód pośrodku alejki z największymi samochodami i przyglądam się, jaki jest malutki i skromny wśród tych wszystkich chromowanych kół, zestawów reflektorów na dachach i czarnych szyb. Gdy otwieram drzwi i wysiadam, beżowe lakierowane szpilki wykończone nubukiem zapadają się głęboko w piach, tak że wbite w ziemię obcasy znikają. Zamiast z gracją ruszyć przed siebie, aeruję nimi parking. Moje szpilki pasują tu jak Eskimosowi strój kąpielowy. Dojście do bagażnika po prezent jest już nie lada wyzwaniem, a co dopiero dotarcie na imprezę.

Brnę z Olem pod rękę w kierunku, który obrali pozostali goście. Mijamy drewnianą bramę, drewniane żerdzie ogrodzenia z boku, za którym biegają żrebaki, i masę mleczy wyrastających pod nogami.

Przyjemny wietrzyk owiewa twarze, delikatnie szarpiąc moją sukienką. Przy Olafie czuję się na właściwym miejscu we właściwym czasie, a mijający nas tłum jest tylko tłumem mojego dobrego samopoczucia. Cieszę się, że zgodził się ze mną przyjechać, bo czułabym się nieswojo wśród tych wszystkich par. Wsparta na jego ramieniu przyglądam się towarzyszącemu nam pochodowi.

Przed nami w wielkich kapeluszach ozdobionych kwiatami, trzymając się pod rękę, brną dwie na oko sześćdziesięcioletnie blondynki o identycznych fryzurach i w takich samych prostych sukienkach, różniących się zaledwie kolorem. Przypomina to nastoletnią modę na klonowanie stylizacji.

Nie chcę, ale w mojej głowie znowu pojawia się zamazany obraz mamy, która pewnie też nosiłaby klasyczne sukienki i upinała włosy w wystylizowany kok. Tęsknota usiłuje mną zawładnąć, a ja staram się odepchnąć ją jak najdalej. Nieświadomie ściskam mocniej ramię Olafa, który oddaje mi uścisk. Mam nadzieję, że nie traktuje tego jak przepustki do mojego świata.

– Co się dzieje?

– Nic.

– Przecież widzę.

– Patrzę na te babcie i pomyślałam o mamie, też pewnie miałyby

klasę i styl. – Głośno przelykam gulę w gardle, bo czuję, że tuż obok niej i ojca wyłania się postać Jaśka. Oczy niepokojąco zaczynają mnie piec i muszę szybko zmienić temat, by nie rozmazać makijażu falą łez. – Nie uważasz, że sporo tu ciotek? Jakoś nie widać młodych.

– A ty w ogóle widziałaś tego całego narzeczonego?

– Nie, a co? Myślisz, że to jakiś starszy jegomość?

– Może? Nie wiem, ale faktycznie tak na oko to średnia wieku przechyla się raczej w stronę siedemdziesiątki...

Krok za krokiem zbliżamy się do bliźniaczych babć i docierają do nas strzępy rozmowy.

– Kazimierzowi odbiło!

Pistacjowa na znak, że również jest tego zdania, energicznie potrząsa białym kapeluszem ozdobionym bukietem stokrotek, które zmęczone niezwykle jak na tę porę roku upałem lekko przywiędły i szarpane wietrzykiem zbierają się do odlotu.

– Widziałaś ją?

– Jeszcze nie, a ty?

– Kochana, nie dość, że widziałam, to jeszcze z nią rozmawiałam.

– Nie może być! Gdzie?

– A u Stasi na imieninach. Wyobrażasz sobie, że ją przyprowadził?

– No wiesz ty co?

– Siksa jedna.

– A to sobie Kazik na stare lata poużywa.

Ciekawe, jak bardzo stare są to lata i co to znaczy, że sobie poużywa.

– No, nie wiem, sama zobaczysz.

– Ale co?

– Nie powiem. Będziesz miała niespodziankę.

– No wiesz, Helena, nie bądź taka.

– Nie, nie. Sama zobaczysz, to się uśmiejesz.

Nie wiem, co takiego zabawnego Zośka wymyśliła tym razem. Może powinnam z nią jednak wcześniej porozmawiać, coś doradzić. Z drugiej strony, zawsze za nic miała moje mądrości, woląc własne błędy. Zupełnie nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że z dwóch najbliższych sobie istot stałyśmy się tak obce i obojętne. Gdzie

popęlniliśmy błąd?

- Faceci się żenią, bo chcą seksu, ale co ona w nim widzi?
- Może to co ty, kochana, przez te wszystkie lata.
- Proszę cię, nie bądź śmieszna.

Niebieska sukienka usiłuje przyspieszyć, pociągając za sobą pistacjową, ale nierówna ścieżka i chwasty na to nie pozwalają. Do tego nie wiadomo skąd pojawiły się natarczywe końskie muchy i zaczynają bez skrępowania nas obsiadać.

Wyglądamy jak zgraja podpitych uczestników karnawału w Wenecji, którzy w dziwnych unikach i podskokach prą radośnie naprzód. Wreszcie wyłania się przed nami... drewniany wigwam.

O co tu chodzi?

Masa białych i różowych baloników napełnionych helem unosi się nad czymś, co miało udawać indiański ratusz na prerii, dumnie wznoszący się ponad pagórkami, a przypomina raczej gmatwaninę starych desek na opał, pozbijanych byle jak, za to z ambicją wzniesienia się jak najwyżej.

Nie ma ołtarza. Nie ma kościoła. Nie ma mojej siostry! Nie widzę też nikogo, kto by pasował do mojego wyobrażenia o oblubieńcu.

Wigwam wyłożony jest białą miękką wykładziną, białymi kwiatami i tiulem, który wygląda jak przyniesione przez wiatr strzępy chmur, zahaczone na grubych drzazgach nieociosanych desek.

Zakurzone szpilki z ulgą zanurzają się w miękkiej tkaninie. Nareszcie proste podłoże pod stopami, bez chwastów i korzeni. Nad głową zamiast nieba mamy niesamowicie wielki kryształowy żyrandol, który musiał kosztować majątek. Mam nadzieję, że jego ciężar nie poskłada drewnianej konstrukcji w stertę drewna na opał.

Na licznych krzesłach wyłożonych białym lnem i przewiązanych różową wstążką zasiada nobliwe plotkujące towarzystwo. Sprawiają wrażenie poruszonych, no ale kto w takim dniu zachowuje spokój?

Siadamy z Olafem w drugim rzędzie na dwóch pustych krzesłach, tuż przy głównym przejściu. Gwar narasta. Otwieram małą torebkę, gdzie mieści się tylko komórka i odpięty od breloka samochodowy kluczyk, i klikam w komórkę. Ekran pokazuje siedemnastą czterdzieści. Miało się zacząć o piątej. O co chodzi?

– Słuchaj, która jest godzina?

Olo wyrzuca do przodu lewą dłoń i spod białego rękawa koszuli wynurza się złoty stary rolex, którego wskazówka właśnie zmienia pozycję z czterdzieści jeden na czterdzieści dwa.

– Coś się musiało stać. Może pójde jej poszukać?

– Poczekaj jeszcze chwilę, i tak nie wiesz, gdzie może być.

W zasadzie nie dość, że nie wiem, gdzie mogę ją znaleźć, to tym bardziej nie wiem, co miałabym jej powiedzieć. W dodatku moja torebka zaczyna wibrować. Zamiast Zośki na wyświetlaczu pojawia się zdjęcie teściowej. Nie wiem, co mi wpadło do głowy, żeby zrobić jej fotę w naszym ogrodzie, i to w takim zbliżeniu. Teraz, gdy odzywa się telefon i z ekranu patrzą na mnie jej przenikliwe wyblakłe oczy, przechodzą mnie dreszcze.

Olo ciągnie mnie za rękaw i głową daje znak, że powinnam się odwrócić.

W drzwiach wigwamu stoi Zośka – albo ktoś bardzo do niej podobny. Nie wiem, dlaczego zakładałam, że będzie wyglądała jak wielka, apetyczna beza, tonąc w kolejnych warstwach materiału. Tymczasem kobieta uwieszona ramienia starca wspartego na czarnej lasce zakończonej srebrną gałką w kształcie głowy konia ma na sobie obcisłą białą suknię, która mocno opina jej ogromny ciężowy brzuch, za to odsłania plecy, niemal ukazując pośladki.

Mrugam kilka razy, przymykam powieki i jeszcze raz z intensywnością sokoła wypatrującego myszy spoglądam na przedziwną parę. Nie mam wątpliwości, że to moja Zosia, tyle że w długim welonie na głowie, zdeformowana ciężą i z towarzyszącym jej grubym, powykrzywianym facetem, z nogami jak pałaki i brodawką na policzku.

Jeszcze się łudzę, że starszy pan, z brzuchem równie wielkim jak jej, z długimi, przerzedzonymi siwymi włosami spiętymi czarną gumką w kitkę i z bolo z wielkim metalowym emblematem ozdobionym niebieskim kamieniem i głową wilka, zamiast krawata, jest ojcem narzeczonego.

Skonsternowane miny pozostałych świadczą o tym, że nie jestem jedyną zszokowaną uczestniczką tej farsy.

Zośka wygląda, jakby wygrała w Lotto, a jej wielki brylantowy



pierścionek połyskuje dzikim światłem, oślepiając wszystkich. Pierwsze nuty rzewnej pieśni wyrywają nas z szoku i wszyscy wstajemy, czekając na rytualne przejście oblubieńców przez środek tej swoistej świątyni miłości.

Przed nami pojawia się ponury urzędnik stanu cywilnego, różniący się od grabarza tylko tym, że zamiast łopaty ma złoty łańcuch z orłem. Zapada cisza. Nie wiem, czy tą minutą ciszy coś czcimy, ale udziela mi się ogólna powaga.

– To ona?

Olaf najwyraźniej nie rozpoznaje w ciężarnej kobiecie wesołej piętnastolatki, którą lata temu widywał w naszym domu.

– Raczej tak.

– A to jej facet?

– Mam nadzieję, że ojciec narzeczonego. Pst.

Moja siostra, z utykającym na lewą nogę partnerem, przechodzi tuż obok nas. Rzuca mi triumfalne spojrzenie i uśmiech, który ukazuje fosforyzujące białe zęby.

Stają na środku i przez chwilę nic się nie dzieje. Nikt nie podchodzi. Nikt nie chce przejąć jej ręki, zwolnić starszego pana z obowiązku holowania przez biały dywan smarkuli w ciąży. Narastające dźwięki orkiestry ukrytej gdzieś za wigwamem zapowiadają punkt kulminacyjny, a ja... nadal nie widzę narzeczonego.

– Drodzy goście. Zebraliśmy się tutaj w tej uroczystej chwili, by połączyć związkiem małżeńskim tych oto Zofię i Kazimierza.

„Tych oto” dudni mi w uszach i nie słyszę nic więcej. Kazimierz to najwyraźniej ten zarabisty Kazik. Trzymajcie mnie. Ile on ma lat. Sto? Zocha uprawia z nim seks? Patrzę na wielki brzuch, na którym niezgrabne sznurki pseudokrawata wiszą jak fąfle u buldoga, i nie mogę wyobrazić sobie pozycji, w jakiej TO zrobili. Przyłapuję się na tych świńskich myślach i nakazuję mózgowi przestać. Skupić się na czymś innym, niestety to jest silniejsze ode mnie. Wreszcie padają słowa:

– Możecie się pocałować.

Robi mi się niedobrze.

Nie tylko ja jestem oszołomiona, bo uroczystości towarzyszy ciągły szum rozmów i uwag. Tymczasem Kazik wpija się w półotwarte

czerwone usta Zośki i zasysa ją jak kocię sutek matki. Zośka, na tyle, na ile pozwala jej zaawansowana ciąża, przegina się i oddaje namiętny pocałunek. Gruba warstwa szminki zmieniła właściciela i osiadła pod wąsem Kazimierza, jednocześnie rozmazując się na policzku Zosi.

Rodzice pewnie teraz wstają z grobu i drą włosy z głowy, robiąc sobie wyrzuty, co zrobili źle, czego nie dopilnowali.

Gdyby nie grający zespół, w pomieszczeniu panowałaby grobowa cisza. Nikt nie kwapi się pogratulować młodej parze. Mnie też się nie spieszy. Chcę się przyjrzeć gościom i nowym znajomym mojej siostry, poniekąd to od teraz też moja rodzina. Może dalsza, ale jednak.

W grzecznym rzędku ustawiają się przyjaciele Kazimierza z wachlarzami zakładów i zdrapek Lotto. Ich miny zdradzają raczej przerażenie niż radość, a co niektórzy nadal nie mogą otrząsnąć się z szoku.

Zośka spogląda na wszystkich z wysokości niebotycznych obcasów, co – zważywszy na wiek i ogólną atrofię gości – nie jest trudne. Pozieleniała skóra kobiety w pistacjowej sukience zlewa się z materiałem i zachodzi poważna obawa, że może to być pierwsza ofiara tego związku. Omiata wzrokiem brzuch Zośki, cmoka z dezaprobatą i głośno, tak by wszyscy usłyszeli, zwraca się do starszego pana:

– Kaziu, i to ci się podoba? No proszę. Kto by pomyślał? Wiesz, że zawsze życzyłam ci dobrze, tak jest i tym razem, ale sam zobaczysz, że jeszcze będziesz żałować.

Najwyraźniej nie skojarzyła, że dla faceta zawał i śmierć podczas stosunku są jak zaproszenie do rajy, a nie sądzę, by któraś z jego rówieśnic miała równie gładkie ciało jak Zosia. Podświadomie biorę jej stronę i uśmiecham się do swoich myśli. Na krótko, bo przychodzi kolej na mnie, na nas.

– I co, siostra? Kto wygrał?

Yyy. Nie wiem, czy Kazik w najmroczniejszym śnie byłby dla mnie satysfakcjonującym trofeum i czy byłabym skłonna zaangażować się w proces mający na celu ocalenie gatunku, gdybyśmy byli dwojgiem ostatnich jego przedstawicieli.

– Gratuluję. Cieszę się, że ci się powiodło.

Pochyliłam się, by cmoknąć ją w policzek, ale Zośka odsuwa się

i syczy:

– Powiodło? Ja na to zasłużyłam.

– Yyy, nie to miałam na myśli, chciałam tylko powiedzieć, że cieszę się twoim szczęściem.

– No, chyba że tak.

Nie jestem przekonana, czy właściwie zrozumiała moje intencje, ale to chyba nie ma znaczenia, bo jej wzrok wbija się w Olafa, automatycznie włączając przymykające się powieki kokietki.

– Czy my się znamy?

– Znamy, tylko że z czasów, kiedy byłaś dzieckiem. Przyjechałem z Niną. Wszystkiego dobrego.

Olo udaje, że nie zauważa jej nadstawionego policzka, i zbliża się do mnie, by uścisnąć twardą, ozdobioną złotym sygnetem z wielkim zielonym kamieniem, chropowatą dłoń Kazimierza.

– Gratuluję. I cieszę się, że dołącza pan do naszej rodziny.

Małe oczka ukryte w fałdach skóry, w oprawie grubych zrośniętych brwi wpatrują się we mnie, jakby miało to sprawić, że trybiki w mózgu szybciej się poruszają.

– Pani jest siostrą Zosi? – Ni to pyta, ni to stwierdza. Doznaje olśnienia, które idzie w parze z wielkim niedźwiadkiem i powoduje u mnie bezdech. Wreszcie uwalniam się z uścisku, a Kazik, jak dobry wujek, trzymając mnie za ramiona, odsuwa się o krok, lustruje jak klacz na targu i wreszcie cmokając, wydaje wyrok: – No, no, udałoś nam się.

Zupełnie jakby miał w tym jakiś udział. Zosia nie jest szczęśliwa z powodu zamieszania, które wywołałam.

– Musisz dołączyć do naszego stołu.

Zośka szturcha go i szepcze mu coś do ucha.

– No, no, no, już dobrze. – Poklepuje świeżo poślubioną żonę po wielkiej złotej obrączce, którą mogłabym nosić na nadgarstku zamiast bransolety. – Kochanie, to twoja jedyna rodzina, więc oczywiście usiądzie z nami. Ciotkę Jagodę się przesadzi i już.

Chyba powinnam się cieszyć z awansu, swoją drogą ciekawe, w jakim kącie miałam usiąść, ale mina Zosi wbija mnie w dywan.

– Dziękuję i w takim razie do zobaczenia.

Wychodzimy i usiłujemy wmieszać się w tłum gości, co nie jest

proste, bo z racji wieku mocno się wyróżniamy i budzimy spore zainteresowanie.

Większość eleganckich kobiet aż kipi z oburzenia, natomiast faceci najwyraźniej płoną z zazdrości. I zapewne chętnie by zrealizowali swoje recepty na viagrę. Najbliższa grupka pięciu pań, skupiona w cieniu rozłożystego drzewa, plotkuje bez skrępowania.

– Widziałaś? Ona jest w ciąży!

– To śmieszne. – Siwa jejmość z koronkowym toczkiem we włosach i w granatowej sukience w wielkie białe kropki wzrusza ramionami. Popijając szampana, przechodzi do innej grupy rozplotkowanych koków.

Kurde, skąd wytrzasnęła coś do picia? Na widok siostry nie tylko zaschło mi w ustach, ale mam ochotę się stąd zmyć.

– Wiesz, ile on będzie miał lat, jak te małe pójdą do szkoły?

– Jak to „małe”? – Czerwona garsonka z białą bluzką aż skręca się z ciekawości.

– No to ty, kochana, nic nie wiesz? Będą bliźniaki!

– Na rany Chrystusa, to się urządził!

Wszystkie wybuchają śmiechem i stukają się kieliszkami. Cholera, skąd mają tego cholernego szampana?

– No to ile będzie miał lat?

– Kochana, gdybym to ja wiedziała, w jakim wieku dzieciaki zaczynają szkołę, tobym ci powiedziała.

– Tak, tak, ci politycy to we wszystkim mieszają. Moja Estella do dziś nie wie, co zrobić z Michasiem: posyłać czy nie.

– Przestańcie gadać o sobie. Powiem wam, ile będzie miał lat, jak maluchy osiągną pełnoletność.

– Ile, ile?

– Dziewięćdziesiąt cztery.

Groszki wznoszą toast, a pozostałe hetery chichoczą.

– Myślicie, że dożyje?

– Kaziu? Pewnie. Chłop silny jak dąb.

– Taaa, był silny, ale młoda żonka nie da mu żyć. Zobaczycie. Te wszystkie wycieczki do bankomatu go wykończą.

– No, na robotną to raczej nie wygląda.

- Miecica mówiła, że nic, tylko po sklepach chodzi.
- A co innego ma robić? Konie oporządzać?
- Ale swoją drogą wiedziała dziewczucha, na kogo zagiąć parol.
- Oj, tak, tak. Patrzcie, żadnej z nas się nie udało. Nawet Bożenie.
- A na co chłop miał się złapać? Na nadmiar skóry czy

endoprotezy?

Chi, chi, chi. Salwy śmiechu zwracają na nie uwagę męskiego towarzystwa, które ochoczo do nich dołącza.

- A o czym, dziewczynki, tak tu plotkujecie?
- Nic, nic, tylko o Kaziku sobie rozmawiamy.
- Żonka niczego sobie, nie powiem, ale ta ciąża... to już nie dla mnie.

Chudy facet w słomkowym kapeluszu i białym zakurzonym garniturze obejmuje czerwoną garsonkę.

- Franiu, pamiętaj, co masz w domu, i przygód nie szukaj.
- A co ty tak na biało?
- Jak to, nie widzieliście, co napisali na zaproszeniu? Że to białe przyjęcie.

– Ach, to. Takie nowoczesne, smarkate fanaberie, nie będzie mi żadna gówniara mówiła, co mam na siebie włożyć.

- Właśnie. A zmieniając temat: nie widzieliście córki Kazia?
- Kasi? Nie.
- Słyszałam, że zerwała kontakt z ojcem.
- Dziwisz się?

Chyba nie chcę tego słuchać, choć to interesujące, że moja siostra jest czyjaś macochą. Najprawdopodobniej pasierbica jest sporo od niej starsza. Robi się coraz bardziej parno i coraz mocniej dokucza mi pragnienie. W zasadzie nie wiem, na co czekamy, bo nikt o niczym nie informuje.

Wracamy z Olafem w kierunku wigwamu. Na widok kelnera przyspieszam kroku i ciągnę Ola za sobą.

- Muszę się napić.

Nieświadome panującego napięcia i mezaliansu, jakiego są świadkami, końskie muchy tną nas coraz dotkliwiej. Wiaterek zmienił się w wiatr, który szarpie moją sukienką, co rusz odsłaniając uda.

Walczę z materiałem, jednocześnie usiłuję nie wylać wina i nie zgubić nakrycia głowy. Moje nowe szpilki są zupełnie zrujnowane i straciłam resztki nadziei, że dadzą się doczyścić. Wystroiłam się jak na bal, a trafiłam na farmę. Co ja tu robię?

– Wiesz, jeśli przez piętnaście minut nic się nie wydarzy, spadamy.

Olo przyjmuje propozycję z ulgą i wyraźnie wznosi modły, by nic się nie działo. Niestety, chwilę później na horyzoncie pojawia się najpierw tuman kurzu, a potem stylowe bryczki, powozy i kariolki. Zatrzymują się tuż przed nami. Konie niecierpliwie grzebią kopytami w ziemi, ogonami machają z podwójną energią, by przegonić gzy, a ja czuję piasek między zębami.

Państwo młodzi zasiadają w białym wolancie, bogato ozdobionym liliami i hiacyntami. Od mdłego, słodkiego zapachu kwiatów kręci mi się w głowie i jest mi niedobrze. W tej ilości ich aromat zmienia się w smród.

Nim wszystkie babcie i dziadkowie wgramolą się na kozły, ławki i kanapy, robi się coraz bardziej wietrznie i widać, że znad lasu nadciągają czarne pierzaste chmury. Koniom najwyraźniej udziela się burzowy nastrój, bo rwą do przodu. Nam oczywiście przypada dwukołowa kariolka, bardziej przypominająca złowieszczy rydwan niż pojazd weselny. Jest tak mała i wąska, że ledwo się mieścimy na skórzanej ławce, a resory ma tak twarde, że czujemy dosłownie każdy kamyczek na drodze. W obawie, że podczas rozmowy odgryziemy sobie języki, milczymy, kurczowo trzymając się burty. Z ulgą wsłuchuję się w powtarzane jak mantra słowa woźnicy:

– Już niedaleko.

Po siedemnastym powtórzeniu dochodzę do wniosku, że to bardzo względne pojęcie.

Poobijani docieramy do czegoś, co jest kombinacją staropolskiego dworu z westernowym zajazdem. Nogi mi drżą, tyłek boli, a pył zebrany po drodze kręci piruety w nosie. Mam nadzieję, że Zośka nie dostała skurczów na tych wybojach i nie zafunduje nam atrakcji dnia w postaci porodu.

– Nawet ojciec tak mi tyłka nigdy nie oklepał jak ta kolasa. – Olo krzywi się i dyskretnie rozmasowuje pośladki.

– Pomasować ci?

– Spadaj.

Szturcham go torebką i wpływam w tłumie gości do środka – restauracji? domu? – w zasadzie nadal nie rozszyfrowałam, co to za miejsce. O rany, nigdy tu nie byłam. Ba, nawet nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Stary dwór bardziej przypomina pałac z drewna, pełen antyków, poroży i starych obrazów. Zapach wosku do polerowania mebli dopełnia ekstatycznego wrażenia.

– Rany, jak tu pięknie.

Jak pchła z sierści Burka wyskakuje Zośka z pobliskich drzwi ze znaczkem kółeczka na metalowej tabliczce i z zadowoleniem zbliża się do nas.

– I co, jak wam się podoba?

– Piękne miejsce. Jak je znalazłaś?

– Nie musiałam szukać. Należy do Kazimierza, a teraz i do mnie. – Marszcząc czoło z dezaprobatą, rozgląda się po ścianach i sufitach, lekko krzywi świeżo umalowane usta i dodaje: – Nieźle, co?

Kazik gwałtownie przesuwa się na liście potencjalnie atrakcyjnych facetów do pierwszej dziesiątki. Nim ochłonę, zachwycona sobą siostra prezentuje litanię kolejnych dóbr. Im dalej brnie w te wszystkie stadniny, hektary i samochody, tym większa niechęć maluje się na twarzach przysłuchujących się gości.

– Trochę tu trzeba pozmieniać. Nie lubię staroci. Ale jak się otyнкуje i pomaluje, na przykład na słoneczną żółć, będzie całkiem spoko.

Od razu widać, że to właściwa osoba na właściwym miejscu!  
Dlaczego właśnie ona, a nie któraś z tych starszych kobiet?

– Kotku! Tu jesteś! Siadamy!

Mam nadzieję, że pan młody nie wpadnie na pomysł przenoszenia żony przez próg i nie uzupełni tradycji ludowymi zabawami po oczepinach.

Salon, a właściwie salę balową, zapełniają okrągłe ośmioosobowe stoliki. Sufit, ozdobiony malowidłami ukazującymi sceny z polowania na niedźwiedzie i dziki, idealnie wpasowuje się w nastrój i choć Kazik myśli, że jest najlepszym strzelcem, nie mam wątpliwości, że to Zośka

upolowała jelenia z największym wieńcem i teraz będzie kłusować na jego terytorium.

Kazik pociąga nas za sobą ku najważniejszemu stołowi, nie przejmując się skonsternowanymi minami pistacjowej i niebieskiej sukienki.

– Dziewczyny, przepraszam, ale zaszło jakieś nieporozumienie, tu miała siedzieć siostra Zofii, Nina, a wy macie miejsca przy stole numer trzy.

W sumie nie sugeruje to znalezienia się na końcu listy gości, jednak numer trzy okazuje się wciśniętym za filar stolikiem, przy którym siedzą dwie panie na wózkach, dwoje małych dzieci (nie widziałam ich wcześniej), a pozostałe miejsca najwyraźniej omijane są szerokim łukiem.

Zosia zdaje się triumfować, niczym Kleopatra segregująca niewolników, i zachowuje się – a przynajmniej tak jej się wydaje – jak udzielna księżna, posyłając na prawo i lewo łaskawe spojrzenia. Chyba jest nawet zadowolona z naszego sąsiedztwa, bo daje jej to możliwość zaprezentowania swojej pozycji, klasy i majątku, w który wpadła jak dwulatek w kałużę.

Kazimierz wstaje, stuka widelcem w kieliszek. Sala stopniowo cichnie, poza szumem pytań najwyraźniej głuchej jak pień, wczepionej w samojezdny balkonik starszej kobiety z różową płukanką na głowie, która nie daje się usadzić na wolnym krześle przy sąsiadującym z naszym stoliku numer dwa.

– Co mówisz? – pyta towarzysza po prawej.

– Siadaj, Janino, siadaj.

– Ale co on tak stoi? – Drżącym palcem uginającym się pod ciężarem rubinu celuje w oblubieńca.

– Będzie toast.

– A z czym?

– Co z czym?

– No ten tost to z czym?

– Janina, siadaj, zaraz zobaczysz.

– Co siadaj, co siadaj? Nie będziesz mi mówić, Stanisław, co mam robić, mam prawo mówić i robić to, co chcę.



– Oczywiście.

Łysy chudzielec z przekrzywionym tupecikiem, wielkim granatowym fularem w złote kotwice, wyglądającym, jakby miał maskować ostre objawy świnki, bawełnianą chustką ociera czoło. Niespokojnie sprawdza ułożenie sztucznych włosów, które wyglądają, jakby zebrano je spod niegolonej pachy, z niepokojem rozgląda się i nawiguje przedziałkiem z kursu ucho–ucho na kierunek nos–potylicy.

Ponowne stukanie w kieliszek i gdyby nie szamocząca się pani Janina, w całkowitej ciszy Kazik rozpocząłby przemowę:

– Kochani, dziękuję, że tak licznie zaszczyciliście nas w tym niezwykłym dla nas dniu. Szczególnie dziękuję mojej pięknej żonie.

Nie mam żadnych wątpliwości, że zakochana w Kazimierzowych dobrach Zosia dotarłaby tu i na porodowym łóżku, opatulona szpitalną koszulką związaną tasiemkami na pełnym mleka biuście.

– Dzięki tobie odzyskałem sens życia, chęć do działania, radość. Ocaliłaś mnie od samotności. I dasz mi najcudowniejsze dzieci. – Najwyraźniej wzruszony, ukradkiem ociera łzy pojawiające się w zewnętrznych kącikach oczu.

Jeszcze nie wie, że potrzeby Zośki, jej pomysły i dzieci, które niebawem powije, szczelnie wypełnią mu każdą przestrzeń i minutę.

Zośka, która niczym łania powinna wpatrywać się wilgotnymi, czarnymi, aksamitnymi oczami w źrenice nie byle jakiego samca, dłubie palcem w złożonej w finezyjną gwiazdę serwetce, jakby spodziewała się znaleźć pod nią klejnot.

– Dziękuję moim przyjaciołom, rodzinie i wszystkim przybyłym i liczę, że przyjmiecie moją młodą, śliczną żonę z otwartymi ramionami. Cieszcie się naszym szczęściem i niechaj ten dzień pozostanie niezapomniany! Zapraszam do zabawy! Stołu! Tańca! Bawcie się! – Wznosi napęczniony różowym szampanem kieliszek, delikatnie szturcha nadal wbitą w krzesło Zośkę, która chyba nie wie, czy wstać, czy siedzieć, więc na wszelki wypadek nie zmienia pozycji, i upija łyk.

Zosia, najprawdopodobniej zapominając o błogosławionym stanie, wypija do dna swoją porcję bąbelków, czym budzi na sali kolejną falę szeptów i głośnego niedowierzania.

Dzień jest jednym wielkim zaskoczeniem dla wszystkich. Gości

zadziwia moja siostra, siostrę – zasady savoir-vivre'u, Kazia – reakcja przyjaciół, a mnie szokuje wszystko. Staropolskiego przepychu dopełnia podane na wielkich półmiskach różnego rodzaju dzikie ptactwo, świniak z różną smutno wbity na metalowy pręt, za to z jabłkiem w ryjku, steki z jelenia i niekończące się zestawy sałatek. Brakuje tylko psów krążących między gośćmi, zjadających resztki i kości rzucone pod stół, by poczuć się jak na imprezie u wójta Mirmiła w towarzystwie Kajka i Kokosza. Gdyby nie powód tego spotkania, to myślę, że dla wielu byłaby to najlepsza zabawa w życiu. A najwyraźniej nie jest, sądząc po minach.

Nie cichną głosy oburzenia i zdziwienia wyborem Kazimierza, a Zosia z każdym komentarzem i złotą myślą niestety pograża się coraz bardziej, nie dostrzegając wybałuszonych oczu spoglądających na nią ze zgrozą, gdy opowiada o planowanych architektonicznych zmianach, zakupach i wycieczkach.

– Niezłą masz siostrę.

Olaf niezłe się bawi tą niezręczną sytuacją, a ja niemal zapadam się pod ziemię po kolejnej tyradzie Zosi o tym, jak to będzie regularnie na weekend zapraszać swoich przyjaciół. Nie wiem, czy ma jakichś, bo w gronie gości nie dostrzegam nikogo mniej więcej w jej wieku.

– I chyba też niezłe trafiła.

– No, facet jest w nią wpatrzony jak w kufel piwa.

– Dziwisz się? W jego wieku każda panna poniżej sześćdziesiątki byłaby zachwycająca.

– Ciekawe, skąd go wytrzasnęła.

– Możesz nie być zachwycona.

Czy chce mi powiedzieć, że przez łóżko? W zasadzie nie byłoby to wcale takie nierealne, jednak liczę na inną opowieść.

– Przestań, ty zawsze masz jakieś głupie podejrzenia.

– No to niby skąd? Raczej nie z uczelni.

– Biorąc pod uwagę, że największym naukowym sukcesem Zośki była trója na maturze z polskiego, z pewnością nie.

Kazimierz z zadowoleniem wyciera usta serwetką, pochyla się nad żoną, coś jej szeptem i oboje cicho się zaśmiewają. Mimo różnicy wieku sprawiają wrażenie, że połączyły ich nie tylko wystające brzuchy, ale coś

jeszcze. Może byłam niesprawiedliwa?

Jak zwykle ciekawość bierze górę i wypalam jak z armaty nabitej kamienną kulą:

– Jak się poznaliście?

Patrzą na siebie niepewnie. Zośka czerwienieje, a Kazimierz z sarmackim zacięciem zabiera się do opowieści, zaczynając od listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku, kiedy to został wdowcem.

– Taaak, to był smutny rok. Moja świętej pamięci Elżbieta nie dość, że była piękną kobietą, to jeszcze niezwykle mądrą i czułą. Brakowało mi jej obecności, rad, wspaniałej kuchni. Nie mogłem zapomnieć mojego szczęścia.

Myślę sobie, że to bardzo duży kontrast w stosunku do tego, co zaprezentuje mu niegotująca i niesprzątająca Zosia.

– To musiał być trudny czas.

– A żebyś wiedziała. Nic mi nie szło. I wtedy pojawiła się możliwość kupienia tej posiadłości. Za bezcen. Mówię ci, dziecko, tamte czasy już nie wrócą. Piło się gorzałę z naczelnikiem, a następnego dnia pół lasu było twoje. No i jakoś tak wyszło, że do lasu dołączyła stadnina i ten dworek. A potem...

A potem... nie wiem, co było, bo zgubiłam się w opowieściach o dewizowcach polujących na dziki, farmie lisów i futrach, z których – w przekonaniu Kazimierza – kobiety nie powinny rezygnować, a on sam z pewnością niejedno Zosi kupi, bo co tu na grzbiet włożyć, jak zima nadchodzi. O różnych gosposiach, co chciały na niego parol zagiąć, i epizodycznym związku z pistacjową suknią – Antoniną, która jednak nie okazała mu tyle serca, ile powinna.

– No a jak poznaliście się z moją siostrą? – Usiłuję przyspieszyć bieg opowieści, bo w tym tempie dojdziemy do ciast i oczepin, miniemy porę barszczu, a ja nadal niczego się nie dowiem. To znaczy dowiem się wielu rzeczy, tylko nie tych, które mnie interesują.

– Z Zosią było zupełnie inaczej.

– Taaak? – Zachęcam go, przeciągając samogłoski i kopiąc Ola pod stołem na znak, że zbliżamy się do punktu kulminacyjnego i powinien oderwać wzrok od par płasających w radosnym kółeczku

w takt piosenki *Ona tańczy dla mnie*.

– No, w lesie się poznaliśmy.

W lesie? Co moja siostra, mająca alergię na wszystko, co wiąże się z przyrodą, ekologią, naturą, robiła w lesie?

– A tak. Stała taka bezradna przy drodze, a ciemno było, choć oko wykol, to się zatrzymałem i zapytałem, czy czegoś nie potrzebuje.

– I?

– Powiedziała, że czeka na jakiegoś Waldiego czy innego czorta, to jej zaproponowałem, że możemy poczekać razem w moim samochodzie, bo ziąb był straszny, a ona tylko taką cienką sukienkę w błękitne paseczki miała na sobie i złote sandałki.

Jak to się dzieje, że faceci doskonale pamiętają, w co byliśmy ubrane podczas pierwszego spotkania, a nie mają zielonego pojęcia, odbierając płaszcz w teatralnej szatni, w jakim palcie chodzimy od trzech lat?

– I pojawił się Waldi?

– No właśnie, że nie. Wyobraź sobie, że zostawił ją samą w środku lasu. Czekaliśmy godzinę. Zresztą to wszystko było podejrzane. Zofia była taka zabawna, coś opowiadała, śmiała się, radosna jak skowronek. A te jej duże czarne oczy jakby z samych źrenic się składały, to było coś niezwykłego! Od razu się w nich zakochałem!

Mam ochotę zapytać, czy oczarowała go również aromatem palonej trawki i pojawiającymi się kolejnego dnia napadami depresji, ale Kazik, nieświadomy niczego, zwierza się dalej:

– Zabrałem ją do domu, kruszynę. Nie sposób było ją w tym lesie zostawić. Z gosposią ułożyliśmy ją w pokoju gościnnym. Biedactwo, taka była zmęczona, że spała do dwunastej następnego dnia. Już myśleliśmy, że chora jest. A jak wstała, taka była wystraszona. Stale pytała, gdzie jest, co robiła i kim jestem. No i tak już ze mną została. Maleństwo moje.

Odwraca się do małżonki, która najwyraźniej nie jest zadowolona, że stała się obiektem wspomnień. Posyła mi ponure spojrzenie, które niesie w sobie groźbę, że pewnie mnie ukatrupi, jeśli odniosę się do czegoś z opowiedzianej historii.

– Piękna opowieść – mówię ironicznie, patrząc jej prosto w oczy –

jak o zaczarowanej królownie i dzielnym rycerzu.

– No, no. Doskonale to ujęłaś. Twoje zdrowie!

Kazimierz jest zachwycony tym, jak trybik zazębia się z trybikiem, a jego życie w miarę obrotu kół nabiera barw.

Nie jest mi dane dalej rozważać, dlaczego to nie spotkał w lesie rówieśnicy, ale rozumiem, że one nie bywają na wiejskich dyskotekach, nie dają sobie wrzucać do drinków pigułki gwałtu ani nie palą skrętów.

Wychodzimy z Olem na taras. Zapada ciemna, zimna noc. Z lasu dobiega pohukiwanie sów, a gwiazdy migoczące na czystym niebie zapowiadają jeszcze większy ziąb. Czuję, jak powiewy zimnego powietrza muskają moje ciało pod sukienką, a przeszywający chłód szczypie każdy palec w zakurzonych szpilkach.

– Ale zimno.

– Chcesz marynarkę?

– Nie, dzięki, raczej wracajmy.

Salon wita nas ciepłem buchającym z kominka i wirujących na parkiecie ciał. Daję się porwać do tańca, choć zwykle tego nie robię. Olaf świetnie prowadzi, mocno trzymając moją kibić, co sprawia, że nawet ja, królowna z drewna, jakoś drobię stopami, z rzadka tylko depcząc jego czarne buty.

Ostatnią melodią przed oczepinami jest niekończące się *You are so beautiful* Joego Cockera. Przymykam oczy, nieświadomie pozwalam, by Olaf przyciągnął mnie do siebie, i rozpływam się w piosence, która zawsze towarzyszyła Bartkowi i mnie. Opieram policzek na ciemnej klapie marynarki i prawie fizycznie czuję jego obecność, zapach, znajome taneczne kroki. Niemal czuję się swobodna, wolna, piękna jak kiedyś.

– *You are so beautiful.*

Słyszę szept przy uchu, otwieram oczy i widzę uśmiechniętą twarz starego przyjaciela, a nie Bartka. Automatycznie usiłuję zwiększyć dystans między naszymi ciałami, na co niechętnie pozwala, jednocześnie obracając mną wokół własnej osi.

– Nie żartowałem.

– Olo, przestań.

– To ty przestań myśleć o sobie jak o trupie.

- Skąd wiesz?
- Patrzę, to widzę.
- Może tak ma być?
- Nie gadaj bzdur. Masz zacząć żyć dla siebie.
- Mnie już nie ma.
- Czy tego chciałby Bartek?
- Mam w dupie, czego on by chciał. Miał laskę na boku, więc raczej nieszczególnie był mną zainteresowany.
- A Jasiak?
- Co Jasiak?
- Chciałby mieć taką matkę?
- Hmm... chyba nie. Zresztą skąd mam wiedzieć? Jestem tylko trochę mniej towarzyska, trochę mniej gadatliwa, trochę mniej zadbana i trochę bardziej zapracowana, ale przecież nic więcej się nie zmieniło.
- Olo patrzy na mnie uważnie, domagając się odpowiedzi.
- I co?
- Myślisz, że aż tak się zmieniłam?
- Nie chodzi o to, że coś jest nie tak, ale nie jesteś sobą.
- Czyli?
- Czyli kobietą, której zawsze wszystko się chce, na obcasie, pełną radości.
- Olo, zmiłuj się, z czego miałabym się śmiać?
- Z drobiazgów? Z tej chwili. Wyrwałaś się z domu, uczestniczysz w niezłym teatrze, nikt nie woła „mamo”...
- Teoretycznie tak, ale jestem chyba tak zmęczona, że nic mi się nie chce.
- To niech ci się zachce!
- Marudzisz.

Na szczęście cikliwa melodia dobiega końca i możemy wrócić do stolika. Kazik siedzi rozparty na krześle. Jego grube uda nie pozwalają na spotkanie się kolan, a spuchnięte stopy okropnie rozciągają jasne skórzane mokasyny. Dyskretnie ziewa, potrząsa głową (jedna z brodawek sprawia wrażenie, jakby zaraz miała odpaść), usiłuje przegonić zmęczenie i z lubością wpatruje się w żonę wirującą niczym okrągłą Ziemia wokół Słońca. Jegomość, który poprosił ją do tańca,

wyduje się rówieśnikiem cesarza Franciszka i jedyny gwałtowny ruch, jaki jest w stanie wykonać, to wyprodukowanie kolejnych bąbelków śliny w kącikach ust. Stoi jak słup, zachwycony wijącą się wokół niego panną młodą. Muszę przyznać, że Zosia jest w nadzwyczajnej formie, a wielki brzuch dodaje jej tylko seksapilu i uroku.

Wreszcie Kazik dociera na parkiet i porywa Zośkę do walca. Obok młodych – w tym przypadku to groteskowe i absurdalne określenie – tańczy para na oko siedemdziesięciolatek. Ona w białej lnianej sukience do kolan z siwymi włosami upiętymi w misterny kok, on w białym lnianym garniturze. Zapatrzeni w siebie, wyizolowani z towarzystwa, są kwintesencją szczęścia i miłości po zapewne pięćdziesięciu latach pożycia małżeńskiego.

– Spójrz, aż miło popatrzeć. – Szturcham Ola i zmuszam do wyłuskania z tłumu na parkiecie zasklepionej we wzajemnym zachwycie pary.

– To znaczy?

– Jak to? Widzisz parę ubraną na biało?

– No, widzę. Wyglądają jak z reklamy proszku do prania.

– Przestań. Zobacz, jacy są w sobie zakochani.

– Rzeczywiście, wydają się zadowoleni.

Niespodziewanie płasający tuż obok Kazik włącza się do rozmowy:

– A pewnie, że zakochani. Bożena poznała Tadeusza rok temu w sanatorium.

– Naprawdę? – Nie potrafię ukryć rozczarowania. – Myślałam, że to szczęśliwe małżeństwo z wieloletnim stażem.

– A gdzie tam. Jak tylko Stefan umarł, to znaczy jej mąż, Bożena co roku z sanatorium albo wczasów przywozi kogoś nowego. Teraz padło na tego biedaka, choć trzeba przyznać, że uparty z niego skurczybyk i nie odpuszcza. Jak na razie utrzymał się najdłużej, już z pół roku będzie, jak tu mieszka.

– No proszę. Czyli druga młodość.

– A jak. Żebyś ty, moje dziecko, wiedziała, kogo można poznać w takim sanatorium, tobyś się nie dziwiła.

W obawie, że przyjdzie mi wysłuchać zbyt intymnych szczegółów

życia towarzyskiego w sanatoriach i kurortach (o czym zresztą mam już pewne pojęcie), robię wolnę i zmieniam temat:

– Gdzie będziecie mieszkać? Tutaj?

– Tak, z boku jest wejście do prywatnej części domu. Pokażę wam później i oczywiście zapraszam. Przecież teraz jesteśmy rodziną.

– Niby tak.

Nie wiem, co wie na temat mojej relacji z Zosią, ale wolę nie wtajemniczać go w nasze popieprzone stosunki.

– Skąd pomysł na stadninę?

Zdaje się, że pytanie otworzyło lampę, z której gramoli się zadowolony z siebie dzinn, a Kazik ożywia się jak po kroplówce z kofeiny. Kończy się melodia i przysiadamy na wiekowej kanapie pod ścianą.

– A widzisz, z miłości do koni. Piękne zwierzęta. Jak byłem w Stanach w sześćdziesiątym piątym, to trafiłem do wuja na ranczo. Miałem pomagać przy sianie, ale stajenny złamał nogę i wzięli mnie do koni.

– Fajnie. Choć ja boję się takich wielkich zwierzaków. Mogą kopnąć, ugryźć, zrzucić, ponieść. Oszalałabym w takim miejscu.

– Na początku też tak myślałem. Ale jak zaczynasz się o nie troszczyć, czesać, karmić i widzisz wdzięczność w ich oczach, nie możesz przestać tego robić.

– Nie chciałeś zostać tam na dłużej?

– Chciałem, pewnie, że chciałem. I zostałem. Z roku zrobiło się pięć lat.

– To po co wracałeś?

– Czasy były inne. Nie przedłużyli mi wizy. A w dodatku ojciec podupadł na zdrowiu i ktoś musiał się nim zająć.

– Nie masz rodzeństwa?

– Przynajmniej nic o tym nie wiem.

– A zaraziłeś Zośkę swoją pasją?

– Właściwie chyba jeszcze nie. Młoda jest, potrzebuje czasu.

Kupiłem jej w prezencie ślubnym pięknego araba czystej krwi, ale porczyła się, oświadczyła, że śmierdzi, że ona nie umie jeździć i że jak koń zdechnie, to nic jej po takim prezencie.



– Oddałeś go?

– W życiu! Jest królem stadniny. Do konia dokupiłem brylant oprawiony w białe złoto i Zosieńka już się nie gniewała.

– No, brylant jej nie zdechnie, najwyżej może go zgubić.

– Jest ubezpieczony. Dla mnie jej szczęście jest najważniejsze.

Obawiam się, że dla niej również jej szczęście jest najważniejszą rzeczą w życiu, ale uprzejmie milczę, udając, że tego nie dostrzegam.

– Zatańczysz?

Kazik z trudem dźwiga się z krzesła i choć nie mam ochoty, nie wypada odmówić. Po chwili wirujemy na środku parkietu. Mój partner wygląda komicznie w półprzysiadzie, a jego pałakowate nogi układają się w esy-floresy. Jak na swój wiek i tuszę jest całkiem sprawny, szarpie mnie w obrotach na wszystkie strony, ale w zasadzie prowadzi pewnie wśród innych par. Obrął odciążającą go, ale dla mnie zabójczą taktykę przystawiania co chwilę i nieruszania się z miejsca, za to wywijania nadgarstkiem, do którego jestem doczepiona. Obraca mną niczym baletnicą na pozytywce, co powoduje, że mój oszalały błędnik zaraz puści pawia.

Nareszcie cichnie muzyka i wodzirej ogłasza północ. Kazik odprowadza mnie do stolika, przy którym znudzony Olaf poziewuje nad szklanką gazowanej wody.

– Matko kochana, co to było? – Ubawiony częstuje mnie wodą, którą łapczywie wlewam w siebie z głośnym bulgotem. – Bawiłaś się w derwisza?

– Błędnik jeszcze mi nie wrócił na miejsce. Widziałam tylko jego co rusz znikającą mi przed oczu brodawkę. Jakiś kosmos.

– To może zatańczymy?

– Nie ma mowy, zresztą zdaje się, że przed nami oczepiny.

– Mam nadzieję, że nie w wersji folk.

Przepychając się z moimi stu sześćdziesięcioma paroma centymetrami, którym nawet wysokie szpilki nie są w stanie pomóc, by wzrokiem przebić się przez tłum, docieramy do pierwszego rzędu gapiów. Mrozi mnie widok jajek i innych akcesoriów, które niestety leżą na przykrytym białą serwetą stoliku nieopodal, przywodząc na myśl warsztat kata z niezbędnymi narzędziami tortur.

Już po chwili, gdy mimo uników różany bukiet panny młodej ląduje mi na twarzy, przekonuję się, że to był fatalny pomysł, a ciekawość jak zwykle okazała się pierwszym stopniem do piekła.

Oklaski i pohukiwania wypychają mnie na środek parkietu. Z tej perspektywy widzę tłum zadowolonych ludzi, którym uśmiechy pomnażają siateczki zmarszczek na twarzach. W akompaniamencie oklasków zawstydzona i wściekła podnoszę wysuwające się ze wstążki białe i herbaciane kwiatki. Brawa odbijają się w mojej głowie echem, tłukąc po szarych komórkach niczym perkusista na rockowym koncercie. Czyjeś dłonie wypychają mnie dalej na parkiet, gdzie czuję się jak osaczony gladiator na piaszczystej arenie, wpatrzony w klatkę z lwami.

Zośka mruga do mnie, a ja mam ochotę rzucić się jej do gardła.

– Brawo!

Uradowany Kazimierz aż rumieni się z zachwytu najprawdopodobniej w oczekiwaniu na kolejny ślub w rodzinie.

Zespół szarpie struny jak opętany, wygrywając coś na wzór fanfarów. Boże, za chwilę będę musiała ścisnąć się z jakimś staruszkiem i odbywać taniec godowy w takt jego szurających czarnych butów.

– A teraz, proszę państwa, punkt kulminacyjny. Szukamy pana młodego dla Niny! Czy ktoś jest chętny?

Podeksycytowani starsi panowie wysuwają się naprzód, coś tam między sobą szepcząc i podśmiewając się. Muzykanci znowu szaleją, stroboskopowe światła przesuwają się po lekko podpitych biesiadnikach, a ja, zawstydzona i struchlała niczym gęś przed rwaniem puchu, stoję wbita w ziemię. Tłum przede mną się zamazuje i nie jestem w stanie wyłuskać z niego żadnej przyjaznej twarzy. Olo też gdzieś przepadł.

– No, siostra, będzie się działo.

Zośkę bawi moja konsternacja i wiem, że cokolwiek się wydarzy, położy się Rejtanem, byle tylko nie pozwolić mi uciec. Mam ochotę chwycić ją za loki i potrząsnąć, ale jej stan i tłum świadków nie pozwala mi dopaść zołzy.

Najwyraźniej po raz pierwszy w życiu czuję się jak na najwyższym stopniu podium, patrząc na mnie jak na juniora, który dopiero stawia pierwsze kroki w biegach przełajowych, naznaczonych przez różnego rodzaju przeszkody.

– Uwaga, uwaga! Prosimy o skupienie. A pana młodego o odpięcie muszki.

Jakiej muszki? Kazik przecież ma na sobie bolo z największym i zapewne najcięższym emblematem, jaki kiedykolwiek widziałam, w dodatku ozdobione wielkim kamieniem. Jeśli zamierza rzucać nim w rozbawiony tłum starszych panów, to zdecydowanie wejdziemy w kategorię wesele i pogrzeb, dwa w jednym. Do tego długie paski bolo ozdobione srebrnymi wilczymi pazurami mają sporą szansę pozbawić w locie oka któregoś z amatorów tańca ze mną.

Mam ochotę zaprotestować i uprzedzić o zbliżającej się katastrofie, ale Kazik okazuje się nadzwyczaj rączy i sprawny, bo już po chwili manewrów pod brodą w jego rękę pojawia się... czarna kowbojska muszka, bardziej przypominająca kokardę na wieńcu niż element eleganckiego męskiego stroju. Przynajmniej nie waży pół kilograma i jest miękka – nie zrobi z nikogo kaleki.

– Uwaga. Raz, dwa... trzy!

Czarna wstążka leci wysoko, acz niemrawo ponad tłumem, który zbija się w ciasną gromadkę i mimo zaawansowanego wieku i kilogramów usiłuje podskakiwać. Patrząc oniemiała ze stresu i zawstydzenia wynikającego z niespodziewanego znalezienia się w centrum uwagi, jednocześnie obstawiając, komu przypadnie wątpliwy zaszczyt podeptania przez moje szpilki.

Niespodziewanie jedna z rąk wybija się ponad inne i zdecydowanym ruchem łapie kawałek materiału, budząc pomruki niezadowolenia.

– Cie pieruna, blisko byłem.

– Taaa, akurat. Gdybyś, Waldek, tak się nie pchał i nie deptał innych, to ja bym złapał. A tak żaden z nas nie skorzysta.

– Edek, chyba żartujesz, ty byś złapał?

– Matko kochana, przestańcie. Stare pryki z nas, to nawet muchy nie potrafimy złapać. Lepiej zobaczcie, kto był od nas lepszy.

– Do diaska, idę się napić.

Niepocieszony Waldemar oddala się w kierunku baru, a ja usiłuję wyłuskać spośród weselników rękę z muszką.

– Zapraszamy pana w granatowym garniturze. Tak, tak, pana.

Ogarnia mnie złe przeczucie z lekką domieszką ulgi. Olaf przeciska się przez rozbawionych ludzi i podchodzi do mnie powoli. Zakłada muszkę i delikatnie mnie obejmuje. Zaczyna się folklor i wiejska zabawa.

– Gorzko, gorzko, gorzko...

Jak psalm w kościele zgrany wokół gości powtarza wstrętny refren. Zośka niczym caryca Katarzyna siedzi na rzeźbionym krześle obok Kazia, który w niczym nie przypomina Piotra III, no, może poza tuszą i posiadaniem majątkiem, jako że nie dostrzegam w nim żadnej wrogości wobec kogokolwiek, a tym bardziej okrucieństwa. Bawią się w najlepsze i zaśmiewają niczym z cyrkowej trupy, która miała zaszczyt wystąpić przed ich obliczem.

Równie rozbawiony Olo wyjmuję z moich rąk bukiet, podaje stojącej nieopodal kobiecie i triumfalnie chwyta mnie za rękę. Miałabym ochotę trzepnąć go w ten głupi łeb, bo nie rozumiem, co jest zabawnego w tej sytuacji. Durne ludowe zwyczaje.

– No, kochana, czas na buziaka.

– Chyba zgłupiałeś?!

– Obawiam się, że nie masz wyjścia, i raczej się ciesz, że nie musisz wymieniać śliny z kimś obcym.

– Z tobą też nie mam zamiaru.

Podczas gdy szeptem wymieniamy uwagi, kółko wokół nas się zacieśnia i nie obejdzie się bez pocałunku. Jestem sparaliżowana, co niestety widać, bo złośliwym uwagom zachęcającym nas do pochylenia się ku sobie nie ma końca. Wreszcie Olaf z uśmiechem przyciąga mnie do siebie i niezdarnie całuje w okolicę prawego ucha, szepcząc:

– Uratowałem cię.

Jasne. Powinnam być mu wdzięczna, ale zalewa mnie fala zażenowania. Tłum nie odpuszcza i również muszę cmoknąć go w szorstki zarost. Przy okazji wyczuwam nutę lekkich perfum i wody po goleniu, a kołnierzyk jego koszuli z bliska wydaje się jeszcze bielszy i sztywniejszy. Choć nakazuję ciału spokój i opanowanie, czuję, jak palą mnie policzki i prawdopodobnie oblewają się purpurą. Odsuwam się od niego jak od gorącego ogniska i najchętniej uciekłabym w ką.

Jednak rozbawiony Olo łapie mnie ponownie i przytula, by pod

obstrzałem spojrzeń przyczajonego w okopach wroga zacząć powolny taniec. Mylę kroki częściej niż zwykle, depczę go i nie potrafię odgadnąć kierunku, w którym usiłuje mnie prowadzić. Czuję się jak kiepski klaun, który nieporadnością bawi widzów. A muzyka wlecze się i ciągnie w nieskończoną liczbę zwrotek i refrenów. Jak na złość nikt do nas nie dołącza i nie stwarza możliwości ukrycia się wśród innych par.

- Nie przejmuj się, damy radę.
- No, nie wiem.
- Nie damy Zosi satysfakcji.
- OK, tylko że dla mnie to nadal niezręczna sytuacja.
- Przestań, przecież cię nie podrywam, tylko ratuję z opresji, jesteśmy starzy kumple. Pamiętasz?
- Jasne.

Z ulgą daję się prowadzić w powolnym pląsie. Napięcie nieco opada, a finalnie nawet czuję przyjemność poruszania się w takt kroków kogoś, kto jest po mojej stronie. Wreszcie melodia dobiega końca i przy aplauzie możemy zejść ze sceny. Jednak nie jest nam dane dotrzeć do stolika, bo pozał się Boże wokalista wzywa wszystkich do zabawy. Nie wierzę.

Znajomi Kazia rwą się jednak na parkiet i stają w szranki. Zaczyna się niewinnie, od spaceru wokół krzeseł i przysiadaniu, gdy milknie muzyka, a wszystko nabiera rumieńców, gdy pięć wybranych przez wodzireja starszych pań ma za zadanie kolejno przynieść: krawat, trzy pary męskich butów, marynarkę.

– Proszę państwa, kibicujemy! Zostały trzy panie! I uwaga, uwaga, dwie panie, które najszybciej przyniosą staniki, wygrywają.

No i po zabawie. Trzeba być niespełna rozumu, żeby zdejmować stanik. Stoję bezpiecznie w kącie z Olem i przyglądam się popłochowi na sali. Cwaniara w sukience w groszki, najwyraźniej przygotowana do takich zabaw, gna do swojej torebki i triumfująco wyciąga z niej wielki czerwony stanik. Wywija nim nad głową, jednak stolik, przy którym siedzi, jest na tyle daleko, że kobieta w garsonce, z poszarzałą koronką w rękę, ciężko dysząc, dobiega do wodza imprezy przed nią.

Najwyraźniej po sześćdziesięciu latach użytkowania biustonosza ma się ogromną wprawę w jego zdejmowaniu, bo stojąca naprzeciwko

nas kobieta, w zielonej, pięknej luźnej sukni, po chwili manewrów wywija czarnym stanikiem i sprawia, że groszki przybiegają na metę ostatnie. Panowie z lubieżnym zachwytem wpatrują się w dwa wielkie guziki sutków rysujące się niepokojąco nisko pod zielonym materiałem.

Zastanawiam się, jakie będzie ostatnie zadanie. Mam nadzieję, że nie dostarczenie stringów. Obawiam się, że nawet dla mnie mogłoby to być zbyt wiele.

– Brawo! Kochani, zostały z nami dwie uczestniczki. Wielkie brawa dla nich.

Owacje i gwizdy jak na dobrym koncercie dowodzą, że tylko ja nie dostrzegam walorów zabawy.

– A teraz! Wygra ta pani, która pierwsza zdejmie smycz z szyi saksofonisty.

Jak na sygnał saksofonista odskakuje na bok i biegnie wzdłuż prawej ściany sali. Za nim biegną, dopingowane przez przyjaciół, dwie starszki, które ledwo doszły od bryczek do progu sali, narzekając na kolana i endoprotezy, a teraz jak Łazarz po wskrzeszeniu i odrzuceniu kul gnają za gówniarzem z saksofonem. Służba zdrowia, zamiast kierować na zabiegi wszczepienia endoprotezy, powinna organizować comiesięczne oczepiny i wesela.

Wreszcie jedna z pań dopada nieszczęśnika, zrywa z niego smycz i dumnie prezentuje trofeum. W zamian otrzymuje lodowy deser, bogato ozdobiony bitą śmietaną w aerozolu i czerwoną, najprawdopodobniej truskawkową polewą.

Brawo! Warto było!

Nim minie pierwsza euforia, po kolejnej kanonadzie dźwięków orkiestry pojawia się wisienka na torcie dla męskiej części publiczności, czyli konkurencja, w której ochoczo bierze udział nawet pan młody.

Panowie losują panie. Kulę się w sobie i usiłuję zniknąć w obawie, że moje imię również zostanie wyczytane. Tym razem jednak szczęście mnie nie opuszcza i głośne „Ninaaa” nie niesie się z głośników. Uff.

Tymczasem panie otrzymują po surowym jajku i mają za zadanie przepchnąć je przez spodnie partnera, zaczynając od lewej nogawki, tak by w całości wyszło prawą. Rozchichotani panowie rozgrzewają się niczym konie przed gonitwą, szeroko rozstawiają nogi, wbijają stopy

w parkiet i niecierpliwie przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą, chwiejąc się i sapiąc, szykują się do walki.

Z rozbawieniem patrzę na Zośkę, która skulona przy bucie męża wygląda jak śniegowa kula. Okrągły brzuch nie ułatwia jej zadania, a dekolt na plecach niebezpiecznie się rozchyła, pokazując coraz więcej ciała.

Powoli, mozolnie jajka wędrują w górę męskich nóg. Na etapie łydek odpada tylko jedna para, gdy niespodziewanie facet w tupecyku wzdryga się i woła, kiedy jajko mija strefę skarpetki i płynnym ruchem kierowane jest w stronę owłosionego kolana:

– Ale zimne!

Jajko ze stukotem upada na drewnianą podłogę i rozbija się, uwalniając przezroczystą kałużę ze zdziwionym żółtkiem pośrodku.

Mimo kiepskich relacji z siostrą rodzinna więź zarzuca laso na moim sercu. Jestem dumna, bo Zośka najwyraźniej prowadzi, choć największa pułapka przed nią. Wypchane brzuchem i czymś, co najwyraźniej robi się coraz większe, okolice rozporka stają się zasadzką dla jajka i Zosinych wysiłków. Obawiam się, że przetoczenie tu okruszka chleba byłoby sporym osiągnięciem, o jajku raczej nie ma mowy.

– Ale numer! Normalnie przedszkole!

Stojący nieco z boku Olo nie może opanować rozbawienia. Rzeczywistość i roztaczające się przed naszymi oczami obrazy są raczej żenujące, nie zabawne. Ponoć życie zatacza krąg i musi być w tym sporo prawdy, bo starsi państwo cofnęli się do dziecięcego okresu harców i chichotu, jaki wywołuje słowo seks.

– Zobacz Zośkę, nie ma szans.

– Lepiej spójrz na rozmarzoną minę Kazia. Jezu, to obrzydliwe.

Oporne jajo, które najwyraźniej żyje swoim życiem i ma wyrobiony pogląd na świat, nie pozwala sobą nijak manewrować w gatkach pana młodego. Najpierw utyka, potem się cofa, jednak wprawna ręka Zosi kula je do pozycji wyjściowej.

Zadowolony Kazik usiłuje pomóc, wciąga brzuch, co sprawia, że materiał wydaje się mniej opięty, i gdy już się wydaje, że odnieśli sukces... gwałtownie wypuszcza powietrze i rozluźnia przeponę. W panującym hałasie nie słyhać odgłosu pękającej skorupki, natomiast

mokry wykwit w okolicach przyrodzenia dowodzi poniesionej klęski.

Zośka wstaje z klęczek i w tym momencie jej twarz tężeje.

– Olo, ona chyba zemdleje.

Olaf przeciska się przez tłum i po chwili podtrzymuje słaniającą się pannę młodą. Goście są tak pochłonięci kibicowaniem, że nie dostrzegają niczego dziwnego w rozgrywającej się na ich oczach scenie.

– Zosia, co się dzieje?

– Chyba odeszły mi wody.

– Żartujesz?

– Nie, ale obciach.

– Stój tu i nie ruszaj się.

Biegnę do orkiestry i wyrywam mikrofon z ręki kudłatego blondyna. W tym momencie pistacjowa suknia krzyczy:

– Mam, mam! Wygraliśmy.

– Brawo!

Drę się jak opętana:

– Wygrywa pani podwójny puchar lodów, a teraz zapraszam wszystkich na dwór, gdzie jest przygotowana niespodzianka.

Kazik tępym wzrokiem patrzy to na mnie, to na Zosię. Wreszcie podchodzi i dostrzega, że coś jest nie tak.

– Jaka niespodzianka? Nic nie przygotowałem.

– A taka, że Zosia rodzi.

– Już? – Niczym osiemnastolatek, który się dowiaduje, że za trzy miesiące zostanie ojcem, robi się błądy, ponury i wystraszony. – Jesteś pewna?

– Skoro odeszły jej wody, to raczej tak.

Weselna ekipa powoli szura w kierunku płaszczy i wylewa się grupkami przed budynek.

Zośka robi krok do przodu i teraz wyraźnie widzimy mokrą plamę rozdeptaną przez białe szpilki. Kazik odzyskuje przytomność umysłu i przejmuje dowodzenie.

– Wszystko jest przygotowane. Nic się nie martwcie.

– Jak to przygotowane? – Nic z tego nie rozumiem. Wrzątek w garach czy ginekolog w pokoju na górze?

– Postanowiliśmy z Zosią, że urodzi tak jak mojej świętej pamięci



żona, w domu.

– Żartujesz?

Patrzę oniemiała na siostrę, która nawet najłżejszy ból leczyła pocałunkami mamy, a później garściami pastylek i maści uśmierzających swędzenie, mrowienie, doznania zapowiadające ból i takie tam.

– Zosia chce rodzić zgodnie z naturą, bez znieczulenia. Jak poczuje ból porodu, będzie miała silniejszą więź z dziećmi.

Dawno nie słyszałam tak piramidalnej bzdury. Zdaje się, że Zosia również nagle przestała w nią wierzyć po pierwszym silnym skurczu, bo teraz, nie zważając na świadków, drze się i przeklina:

– Pierdolę ból rodzenia. Pierdolę naturę. Dajcie mi coś przeciwbólowego.

– Ale Zosieńko...

Kazimierz usiłuje ją pogłaskać i przemówić jak do dziecka, jednak zostaje brutalnie odepchnięty. Wygląda przy tym, jakby miał ostry atak padaczki. Trzęsie się cały, a z ust toczy kolejne fale piany.

– Ty gnoju! Ty mi to zrobiłeś! Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Aaaa!

Jej brzuch wyraźnie się napina i twardnieje, zapowiadając kolejny bolesny skurcz. Zośka zgina się wpół, sapie, a gdy odzyskuje oddech, drze się dalej:

– O ja pierdolę, ale boli! Zawieź mnie do szpitala.

– Teraz?

– Kurwa, a kiedy? Aaaa!

– Dobrze, dobrze...

Kazik zaczyna krążyć po sali niczym jamnik za swoim ogonem, najwyraźniej nie wiedząc, od czego zacząć.

– Olo, wezwij karetkę i taksówkę.

Wkraczam do akcji z najrozsądniejszą propozycją w tej sytuacji. Jak Kazik ma prowadzić samochód, skoro z radości wyłoił pół piwniczki wina.

– Zosia, mam z tobą pojechać?

Nie mam nastroju na odbieranie kolejnego porodu, ale przecież to moja młodsza siostra, więc muszę być po jej stronie.

– Nie, dzięki. On mi to zrobił, to niech teraz patrzy, jak cierpię.

Gnojek jeden. Zabiję, zabiję...

Nim Zośka zdąży kogokolwiek zabić, dopada ją kolejny skurcz, przyginając do podłogi. Siedzimy ją na krześle, wachlujemy i czekamy na karetkę.

– Olo, zamknij drzwi.

– A co z tymi staruszkami na dworze? Pozaziębają się.

Kazik odzyskuje rezon i zaczyna zawiadywać sytuacją.

– Kawalek od domu jest przygotowany wielki stos na jutrzejsze ognisko. Podpalcie go, a w kuchni są kiełbaski. Chcą atrakcji, to będą je mieli.

Nie za bardzo mam ochotę bawić się w ogniomistrza, ale szczęśliwie owo „podpalcie” nie odnosi się do nas, tylko do stajennego, który nie wiadomo skąd pojawił się na sali.

– Znieczulenie, kurwa, dajcie mi znieczulenie.

Biała suknia Zosi jest coraz bardziej poplamiona, jednak nim ktokolwiek wpadnie na pomysł zmienienia jej ciuchów, pojawia się zespół karetki. Patrzą na nas jak na nieodpowiedzialną bandę gówniarzy, a bałagan panujący na sali nam nie pomaga. Kazik, korzystając z zamieszania, idzie zmienić spodnie i po chwili wraca w jasnych dżinsach i koszuli w kratę.

Miny sanitariuszy nie wyrażają nic poza spokojem opartym na procedurze postępowania z pacjentem w dziwnej sytuacji i już po chwili wkurzona i cierpiąca Zośka zostaje wyniesiona na noszach. Oczywiście Kazik nie może jechać w ambulansie, ale światła nadjeżdżającej taksówki koją jego niepokój. Zostajemy sami.

Dziwne uczucie zawodu i zagubienia, bo przecież nie tak miała wyglądać ta noc. Jednocześnie niepokój o Zośkę i przeżycia dnia sprawiają, że czuję się potwornie zmęczona.

– Jezu, co za wieczór.

– Z tobą nie można się nudzić.

– Przestań. Wolałabym być nudna i przewidywalna.

– A ja wolę to, co jest.

Siadam na krześle przy opustoszałym stoliku państwa młodych, dopijam duszkiem drinka, szeroko rozstawiam nogi i nisko spuszczam głowę. Mózg wiruje, pociągając za sobą krzesła, kieliszki i ściany.

Jeszcze chwila, a zemdleję.

– Może pójdą państwo odpocząć? Pan prosił, żeby pokazać przygotowany pokój. Zapraszam na piętro.

Gospoia, ubrana w szeroką granatową sukienkę prawie sięgającą ziemi, wygląda jak z innej epoki, a jej propozycja jest równie kosmiczna jak ona sama.

– Słucham?

– Przygotowałam dla państwa pokój. Pokazać?

– Chętnie.

Olo z łobuzerską miną daje się zaciągnąć po schodach na piętro, a ja człapię tuż za nim. W zasadzie mogę obejrzeć Kaziową propozycję, co nie oznacza, że mam zamiar z niej skorzystać.

Piętro urządzone jest jakby na przekór parterowi. Białe ściany, lniane zasłony i ciepło lamp przenoszą nas wprost z leśniczówki do słonecznej włoskiej willi. Przeżywam lekki szok, bo zamiast wśród topornych łóżek, świeczników i broni na ścianie znajduję się w puchowym świetle poduszek, narzut i dywanów.

Tu jest jeszcze piękniej niż na dole. Ciekawe, kto projektował ten dom, bo urządził go tak, by stał się ucieleśnieniem moich marzeń i wyobrażeń o idealnym miejscu na ziemi, i mogłabym zabić, żeby w nim zamieszkać.

– Proszę.

Kobiecina otwiera drzwi, za którymi na drewnianej bielonej podłodze stoi stylizowana na starą wanna z wygiętymi nóżkami i wysokim podparciem pod plecy. Ściany poddasza wyłożone są bielonym drewnem, co przypomina raczej ścianę stodoły niż grzeczną boazerię, a pod wykuszowym oknem stoją dwa wielkie wykończone wikliną łóżka, z których każde mogłoby uchodzić za małżeńskie łoże. Dywaniki z owczej skóry zapraszają do zdjęcia przyciasnych o tej porze szpilek i położenia się spać.

– Piękne.

– Poprzednia pani to wszystko urządziła. Przynieść państwu coś do picia? Wodę, szampana? Może coś do jedzenia?

– Poproszę wodę, gazowaną i z cytryną.

Patrzę na Ola kwadratowymi oczyma i zastanawiam się, do czego

zmierza. Jeśli myśli, że ma szansę zostać moim nowym chłopakiem, i to w tempie ekspresowym, to ogromnie się myli.

Gospodyni wychodzi, a my lustrujemy się niczym policjant ze złodziejem, zastanawiając się, kto ma przewagę.

– Zwariowałeś?

– Nie rozumiem?

– Po co zamawiałeś wodę?

– Pić mi się chce. – Wzrusza ramionami i najwyraźniej bawi go moja konsternacja.

– To napij się na dole i spadamy stąd.

– Jesteś pewna?

– Niczego nie jestem bardziej pewna niż tego, że nie zamierzam spędzić nocy w twoim towarzystwie, nawet gdybyś miał chrapać na łóżku obok.

– Spodziewałem się tego. Ale co szkodzi spróbować?

– Daj spokój.

– Przecież żartuję. Mam dziewczynę i nie zabiegam o twoje względy. Kumple jesteśmy, pamiętasz?

– Jasne. To dobrze.

Jasne, że pamiętam, iż jesteśmy tylko kumplami, jak również o tym, że nie szukam faceta. Robi mi się jednak jakoś przykro i smutno, gdy myślę, że Olo kogoś ma. Absolutnie nie jest w moim typie, ale jak by na to spojrzeć, to jedna z bardziej życzliwych mi osób, jaką spotkałam ostatnio na swojej drodze. I do tego zupełnie niezainteresowana podrywaniem i moim życiem prywatnym.

– Zbieramy się.

Samochód mamy Bóg wie gdzie w ciemnościach po drugiej stronie posiadłości i bez wsparcia nie jesteśmy w stanie do niego dotrzeć.

Wychodzimy na pusty ganek, delikatnie oświetlony dogasającym ogniskiem, i bezradnie rozglądamy się w poszukiwaniu pomocy.

Okazuje się, że mimo głośnej muzyki dobiegającej przez okna, grup dyskutujących na ganku, odgłosów pijatyki i śmiechów nie jesteśmy jedynymi, którzy szykują się do odwrotu, i czeka na nas zaprzęzona w czarne konie, czarna jak noc bryczka.

Od woźnicy dostajemy po ciężkim kocu w kratkę i gramolimy się

na skórzane, wytarte siedzenia. Konie niecierpliwia się, jakby zwietrzyły watahę wygłodniałych wilków, i wreszcie ruszamy. Tym razem jazda jest o wiele przyjemniejsza. Nie trzęsie nami jak kulkami w maszynie do losowania, za to robi się bardzo zimno. Mimo że jestem owinięta w derkę, czuję, jak gęsia skóra zdradziecko atakuje moje nogi i ręce. Ramiona robią się z zimna jak marmurowe, a palce stóp w cienkich, zakurzonych butach zaraz odpadną.

Noc jak smoła pochłania nas wraz z każdym metrem. Brakuje tylko wycia wilków i pohukiwania sów. Zaczyna mnie ogarniać przyjemny strach, gdy wiem, że nic się nie stanie, a psotna wyobraźnia podsuwa dramatyczne obrazy. Spoglądam w niebo i z zachwytem obserwuję tysiące migających punkcików, z których kilka jaśniejszych zasuwa jak motorówki po wodzie. Kurczę, nawet to zepsuliśmy, instalując satelity.

Wreszcie wyskakują z lasu światła latarni oświetlających parking i nasze samochody. Równie zmarznięty jak ja Olek podtrzymuje mnie, bo cholerne szpilki znowu zapadają się w piach i prawdopodobnie ulegają ostatecznej destrukcji.

Ruszamy z krainy magii w ponurą rzeczywistość.

– Jak wrażenia?

Olo jest zadowolony i rześki jak poranek, mimo że zbliża się trzecia w nocy i pierwsze niecierpliwie ptaszyska zaczynają kłapać dziobami, on energii ma tyle, jakby właśnie wstał z łóżka.

– Śmiesznie. Ale z drugiej strony to chyba mili ludzie, w każdym razie bardzo zgrani. Spodziewałaś się takiego ślubu?

– W życiu. Przede wszystkim nie spodziewałam się, że Zosia wpadnie na pomysł, żeby się ustatkować, a jeszcze bardziej zaskoczył mnie pan młody, jego wiek i majątek. Nie wiem, skąd go wytrzasnęła.

– Trzeba przyznać, że dosyć skutecznie się zakręciła.

– Oj tak. Zosi nie mijają okazje, zawsze zatrzymują się na jej przystanku. Od dziecka wiedziała, czego chce, i nie odpuszczała. Mam tylko nadzieję, że nie robi tego z wyrachowania, bo dla Kazimierza raczej jest wszystkim.

– Zobaczymy. Nie ma co przesądzać.

– Masz rację. Chyba powinnam się cieszyć, że jeden kłopot spadł mi z barków.

Rodzice, gdyby poznali oblubieńca młodszej córki, dobrych kilka lat starszego od nich samych, dostaliby wylewu. W sumie dobrze, że ta niespodzianka ich ominęła, choć szkoda, że nie mogli się zdenerwować, odradzać, tłumaczyć... zwyczajnie być z nami.

Wreszcie docieramy do furtki mojego domu i tu jak zwykle się okazuje, że nie mam klucza. Dzwonię do Ani, która w pierwszej chwili bełkocze coś po angielsku. Wreszcie zaspana wlecze się do domofonu i mnie wpuszcza.

– Olo, bardzo dziękuję i doceniam. Gdybyś kiedyś potrzebował towarzyszkę na imprezę, służę pomocą.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Uciekaj, bo zmarzniesz, pa.

**R**ano budzi mnie ból gardła i sygnał sms-a.

Spotkamy się na kawie?

Najwyraźniej Olaf nie załapał, że nasze weselne wyjście było raczej epizodyczne i nie ma zakodowanej kontynuacji. Trochę mnie to złości, bo jasno wytyczyliśmy granicę: kumple.

Zamiast bawić się w idiotyczne sms-y, trzęsącą się ze złości ręką wybieram jego numer i postanawiam wyjaśnić to od razu.

– Halo.

Zaspany głos Ola wcale mnie nie dziwi. Taka gierka, że niby śpi, a tu sms...

– Cześć.

– Hej, a ty co, nie śpisz już?

– Jak mam spać, skoro przesyłasz mi sms-y?

– Ja?

– Nie ściemniaj, a niby kto? Mówiłam ci, że nie ma opcji spotykania się.

– Oszalałaś? Nie wysyłałem ci żadnego sms-a! Nie jestem zainteresowany.

W zasadzie to uwłaczające, że tak prosto w nos oświadcza, że nie jest mną zainteresowany, ale taki zawarliśmy układ.

– To kto?

– Chryste, a skąd mam wiedzieć? Nie było numeru?

– No właśnie nie.

– To olej to i idź spać.

– Może masz rację?

– Mam. Pa.

Jeśli nie on, to kto?

Już wiem, to pewnie zielarz Henryk, który – mimo że zmieniłam dostawcę – i tak regularnie pojawia się w restauracji z coraz to nowymi ofertami promocyjnymi. Jeszcze trochę, a dojdzie do poziomu dopłaty za to, że może nam przywieźć szczypiorek. Mam ochotę go zbesztać, ale jeśli się mylę, tak jak w przypadku Ola, poza ośmieszeniem się nic nie

zyskam.

Sprawdzam telefon w poszukiwaniu innych wiadomości. Znajduję sms-a od teściowej:

Z ojcem źle, zadzwoń.

I jeszcze dwa wysłane z numerów zastrzeżonych:

Zrobię wszystko, żebyś była moja.

Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

Cholera, czuję, jak niepokój pełźnie powoli i skrycie. Strach zawsze rodzi się niepostrzeżenie i rozsiada niczym król na tronie, lekceważąc rozsądek. Po chwili już tonę w panice. Przypominam sobie maile, które traktowałam jak promocyjne oferty handlowe, a które teraz nie wydają się marketingowym majstersztykiem.

Lubisz kwiaty?

Kochasz czarną kawę i słodką czekoladę?

Pragniesz spokoju?

Kto zagwarantuje ci bezpieczeństwo?

Kto zadba o twój ogród?

Twoje uczucia wymagają zdobywania?

Jestem przerażona. Odpalam komputer i po chwili orientuję się, że wszystkie wiadomości zostały wysłane z tego samego adresu. Numer na początku, wp.pl na końcu.

– Ania, błagam cię, zostaw wszystko i chodź tutaj.

– Coś się stało?

Ania, z niebieską czapeczką z dwoma białymi sznurkami i pomponem w rękę, staje w drzwiach i zdziwiona pyta:

– Ma pani kaca? Źle się pani czuje?

– Jakiego kaca? Zwariowałaś? Właśnie odkryłam, że ktoś przesyła na moją skrzynkę dziwne wiadomości i sms-y.

– Tak?

– Niestety. Zobacz sama.

Zaintrygowana Ania ze spokojem przegląda korespondencję. Wreszcie prostuje się i wydaje najbardziej oczywisty i niepożądany wyrok:

– Ma pani wielbiciela.

– Ale kogo?



– Nie mam pojęcia. Nie łązi ktoś za panią?  
– Nic nie zauważyłam.  
– A jakiś samochód?  
– Czy ja się rozglądam za samochodami? Ledwie poznaję własny na parkingu.

Ania zastanawia się, przetwarza coś i wreszcie prosi, żebym poczekała. Biegnie do swojego pokoju i wraca z trzema kolorowymi kartkami.

– Nic nie mówiłam, bo myślałam, że to do mnie, ale teraz sędzę, że może jednak do pani.

Ręce mi drżą jak w gorączce, a fala ciepła zalewa kark, gdy czytam:

Zrobię wszystko, żebyś była moja.

Zaopiekuję się Tobą i sprawię, że będziesz szczęśliwa.

Trzecia najbardziej wyprowadza mnie z równowagi, bo dowiaduję się, że jestem czymś sensem życia, duszą, oddechem i takie tam.

– Było coś jeszcze?

– Jakies kwiaty i zioła w doniczkach.

– Co z nimi zrobiłaś?

– A co miałam zrobić? Wsadziłam do ogrodu i już. Bazylia nigdy za wiele.

– Gdzie?

– No, w warzywniku za murkiem.

Gnam do ogrodu i staję jak wryta. Nie mam już zielnika, tylko pole ziół, pełne mięty, pietruszki i szczypiorku. Bujna zieleń wylewa się na trawnik, a pełzający obok ślimak najpewniej zaprosił na imprezę pod sałatą kilku kumpli. Wracam biegiem i wpadam na Anię, która boso zmierza w moją stronę.

– Sorry.

– Nic się nie stało. Jezu, mamy całe pole ziół.

– No, wiem. Regularnie je przycinam i zamrażam, więc mamy nie tylko pole, ale i lodówkę pełną zieleniny. Myślałam, że się pani ucieszy.

– Jak to?

– Myślałam, że to pani kupuje te wszystkie doniczki i stawia przy bramie. Więc nic nie mówiłam, tylko sadziłam.

Z jednej strony się boję, z drugiej jestem wściekła. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to sprawka Henia. Wyrzucam z torebki portfel, dwa pęki kluczy, zasmarkane chusteczki i stertę paragonów ze sklepów spożywczych. Zupełnie nie wiem, z jakiego powodu je kolekcjonuję, ale zabierając je, za każdym razem myślę, że od teraz będę odpowiedzialną panią domu, która na ich podstawie będzie kontrolować budżet, a właściwie budżecik rodzinny. Wreszcie, po pokonaniu kosmetyków, dokopuję się do wrzuconej tam odruchowo komórki, która jest... rozładowana.

Podłączam kabel i wpatrzona w ekran czekam, aż rozbłyśnie na niebiesko. Wreszcie. Wybieram numer i z bijącym sercem wsłuchuję się w kolejne piknięcia.

– Halo. Cześć, Nina.

– Cześć, Henryk. – Od razu przystępuję do natarcia, przyszpilając ofiarę gradem pytań: – Czy to ty przysyłasz mi sms-y, maile, listy, ziola? Łazisz za mną? Podglądasz? Czy ty, do cholery jasnej, łazisz za mną?

– Yyy.

– Ty czy nie, odpowiadaj.

– No, może ja.

– Tak czy nie? Nie wiesz, co robisz?

– W zasadzie ja, nie chciałem cię zdenerwować.

– Ale zrobiłeś to!

Wszystko we mnie buzuje. Moja niechęć do niego aż iskrzy, wzniecając chmury palących wyładowań.

– Myślałem, że się ucieszysz...

– No to już wiesz, że się nie cieszę! Przecież mówiłam ci, że nie jestem zainteresowana żadnym związkiem. Pamiętasz?

– Oczywiście. Ale ja jestem wytrwała i poczekam.

– Na nic nie poczekasz, bo nic nie będzie. Zrozumiałeś?

– Tak...

Jego głos jest coraz mniej natarczywy, a ja czuję się, jakbym besztła dzieciaka za to, że nie włożył papci.

– Przestań za mną łązić, bo wezwę policję.

– No to sobie wzywaj.

Nagle z opcji „będę o ciebie walczył” przechodzimy do natarcia

pod hasłem „będę walczył z tobą”.

– Myślisz, że jesteś jedyna?

– Na szczęście nawet jestem tego pewna.

– No właśnie! Nie myśl sobie, że...

– Henryk, ja nic nie myślę. Życzę ci jak najlepiej, ale ze mną nic nie będzie.

– Wiesz, że jestem cierpliwy, ale jeszcze nikt mnie tak nie potraktował. Kwiaty brałaś, zioła sadziłaś, a teraz wielkie halo.

– Ja ich nie brałam!

– No, już ci wierzę. To niby kto? Myślisz, że głupi jestem i nie wiem, co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. Brała je moja opiekunka do dzieci, bo myślała, że są dla niej od jej chłopaka, i sadziła w ogrodzie. Możesz je w każdej chwili odebrać.

– Mam w dupie tymianek i miętę. Wsadź sobie to wszystko, gdzie chcesz. Ale ja tak tego nie zostawię. Słyszysz?

– Mogę ci za nie zapłacić.

– A żebyś wiedziała, że mi zapłacisz, ale nie tak, jak myślisz.

– Henryk, proszę...

Nim wymyślę, o co proszę, jego już nie ma po drugiej stronie. Jak niewiele potrzeba, by z miłego pierdoły zmienić się w żadnego władzy fanatyka.

Wszystko się we mnie trzęsie. Henryk jest jedną z tych osób, które, gdyby funkcjonowały jeszcze gilotyny, pchałyby się pod szafot pierwsze, nie przepuszczając żadnej okazji, by obserwować, jak utacza się cudzej krwi.

Niewiarygodne, kogo możemy spotkać na swojej drodze i czym go wkurzyć. Czuję się jak szarak ścigany przez sforę psów na polowaniu. Jestem wściekła na siebie, swoją beztroskę i naiwność, że otaczają mnie życzliwi, szczerzy ludzie. Z drugiej strony, jak miałabym wyłapać tych ze zrytym beretem?

Idę za ciosem i dzwonię do teściowej. Odbiera po pierwszym sygnale, jakby siedziała przy telefonie.

– Nareszcie! Nie rozumiem, dlaczego nie możesz oddzwonić?

– Najwyraźniej mogę, skoro dzwonię.

– Dopiero teraz.

Oczami wyobraźni widzę, jak teściowa przełyka ślinę, prostując się w zabytkowym fotelu, po tej, no wiesz... ambasadorowej, i pozwala, by gula minęła wystającą chudą grdykę i przesaczyła się do żołądka.

– Co się stało? Co z teściem?

– Strasznie.

– Ale co? Źle się czuje?

– Nie wiem, chyba nie.

– To co jest takiego strasznego?

– Wyobraź sobie, że kiedy do niego pojechałam, nie było go w pokoju.

Tu następuje dramatyczna, konspiracyjna przerwa, która domaga się pytania, tymczasem otrzymuje odpowiedź:

– Przecież nie jest w izolatce, może chodzić, gdzie chce.

– No właśnie.

Znowu wkurzająco długa przerwa, na którą nie mam czasu.

– Co się stało? – pytam niecierpliwie.

– Nie poganiaj mnie tak.

– Nie poganiam, tylko teściowa cedzi słowa, a ja naprawdę mam własne problemy.

– Jakie tam problemy? Problemy to mam ja!

Oczywiście moje trudności są takie malutkie, drobniutkie, takie nic nieznaczące, więc zdecydowanie powinnam pochylić się nad kłopotem starszej pani, która nie może się zdecydować, czy do kawy lepiej dolać śmietanki dwunastoprocentowej czy może jednak osiemnastki.

– A jakie? – Jestem bliska walenia jej po głowie słuchawką.

– Robert ma romans.

– Niemożliwe. Teść?

– Co się tak dziwisz? Kiedyś niejedna za nim latała.

Nie wiem, czy to powód do dumy, więc wolę nie wychylać się z opinią.

– Tak?

– A tak. No, ale teraz to już przesadził. Doszło do tego, że muszę się z nim rozwieść, a ty masz tego prawnika, no, tego, wiesz, którego?

– Wiem. – Ale zbytnio go lubię, by udostępniać jego numer pani

Oli.

– Muszę z nim pilnie porozmawiać.

– Piotr wyjechał i przez najbliższe tygodnie go nie będzie. Ale przecież Wojtek jest prawnikiem.

– Co ty masz z tym Wojtkiem? Nie możesz sobie darować, co? Daj mi ten numer.

– Przecież mówiłam, że Piotr wyjechał.

Mam ochotę powiedzieć, że najlepiej, żeby Wojtka poprosiła o wsparcie albo o numer do jakiegoś jego kumpla, ale świadomość, że w ten sposób tylko przedłużę rozmowę i nic nie uzyskam, skutecznie mnie powstrzymuje.

– Co ty mówisz? Teraz, kiedy jest mi potrzebny?

– Jak pech, to pech. Ale skąd wiadomo, że teść kogoś ma?

– Jak to skąd? Nakryłam ich!

– W łóżku?

– W jakim łóżku? W pijalni.

– W jakiej pijalni?

– Wód oczywiście. Siedział z tą wywłoką, patrzyli sobie w oczy i stukali się dzióbkami.

Nic z tego nie rozumiem. Jakimi dzióbkami? Czy w slangu starszych osób całowanie to stukanie?

– Całowali się?

– Jeszcze gorzej! Kupili sobie takie kubeczki, z rurką do picia z boku, i nimi się stukali! A Robert, Boże kochany, jeszcze ją obejmował. Jak mnie zobaczył, to nawet się nie zawstydził. Nic!

– Może po prostu nie ma nic do ukrycia?

– Akurat. Włosy ufarbował, koszule nowe kupił, twoim zdaniem to jest nic? I podobno jest królem fajfów, żadnej nie przepuści.

– To chyba dobrze, że ma tyle energii?

– Z ciebie to żadna pociecha. Jak mu się tak podoba ta cycata blondyna, to proszę bardzo, niech idzie. Kij mu na drogę.

– Bez przesady...

– Wesoły się taki zrobił, zadowolony, podobno nawet jedzenie mu smakuje.

Na jego miejscu też bym była zadowolona, z nową siłą do życia,

gdybym mogła się od niej wyprowadzić na kilka tygodni.

– A jak chciałam wyciągnąć go na spacer, to powiedział, że jest zmęczony, bo właśnie wrócił z przechadzki z panią Basią. I co ja mam teraz zrobić?

– Nic. Wróci do domu, to mu przejdzie.

– Ale co mu przejdzie, co?

Po cichu myślę, że radość w pierwszej kolejności, a głośno mówię:

– Beztroska.

– O tak. Ja już go zagonię do roboty.

Rzeczywiście, to najlepsze dla rozbrykanego faceta w wieku schyłkowym, który na ostatnich metrach chwytą okazję, by jeszcze raz sprawdzić swoje możliwości – by zamiast miłych chwil dać mu do ręki miotłę.

– Dasz wiarę, że jak przyjechałam, to jedna taka powiedziała, że tu wszyscy są sparowani i skoro spóźniłam się na turnus, to nie powinnam się dziwić, że zostanę sama? Rozumiesz, Robert jest z kimś sparowany!

– Ale seksu chyba nie uprawiają? – Nim pomyślę, zadaję pytanie, które aż zapowietrza panią Olę, i wysłuchuję tyrady o tym, jak to w pewnym wieku nie o seks chodzi.

Nie wiem, czy powinnam jej mówić, że w tym miejscu nad jeziorem, w cieniu lasu, głównie o to chodzi, ale gdy pomyślę, że taka wiadomość mogłaby zaowocować kolejnym zawałem w rodzinie, postanawiam zachować dla siebie refleksje na temat życia seksualnego w podeszłym wieku. Z drugiej strony, myślę, że to najlepszy test dla wszelkiego rodzaju rozruszników i by-passów, jeśli przetrwają próbę ogniową orgazmu.

– Niewiarygodne, co za babska tam wpuszczają. Mnie to skierowania nie dali, a takie nic niewarte to proszę.

Obawiam się, że w krzaczkach i pokojach puszczają się nie tylko panie, panowie równie ochoczo odnajdują przyjemność w tej terapii.

– Musisz tam ze mną pojechać i wszystko zobaczyć. Ktoś musi przemówić mu do rozumu.

Podejrzewam, że w opinii Wojtka moja wyprawa miałaby na celu przemawianie do brylantu i jego platynowej oprawy, dlatego wykręcam się i wycofuję rakiem, tłumacząc się brakiem czasu i tym, że jednak:

– To powinna być męska rozmowa. Może Wojtek porozmawia z ojcem jak facet z facetem.

– Czy ja muszę za każdym razem ci przypominać, że Wojtek jest zapracowany i nie można mu zawracać głowy drobiazgami?

– Jeśli zdrada teścia jest drobiazgiem, to...

– Kto ci powiedział, że on mnie zdradza?

– Teściowa.

– Nie bądź beczelna, ja tylko wyraziłam swoje obawy. Po prostu muszę też wyjechać na wakacje, najlepiej do sanatorium.

– W takim razie źle zrozumiałam.

– Jak zawsze.

– Słucham? – Tym tradycyjnym „jak zawsze” teściowa doprowadza mnie do szału! – Przepraszam, ale nie mogę pomóc. Też jestem zajęta.

– Czym ty możesz być zajęta? Tym, pożałuj Boże, barem? Dziećmi, moimi wnukami, też się jakoś nie zajmujesz, wszystkie komuś oddałaś. Jak nie żłobek, to przedszkole! Wstydu nie masz.

Prawdopodobnie nie, bo gdy odkładam w pół słowa słuchawkę, bez pożegnania, jakoś się nie wstydzę, wręcz odwrotnie, jestem z siebie bardzo dumna, bo po raz pierwszy się na to zdobyłam.

Żałuję tylko, że nie zdążyłam podać jej najlepszego wakacyjnego adresu: trójkąt bermudzki, i spakować różowej walizki z brylantem i innymi dobrami w postaci obrazu z koniem i sygnaturą Kossaka.

Jestem wykończona. Pretensjami zielarza, problemami teściowej, zapracowaniem Wojtka i oczekiwaniem wszystkich, że zawsze podołam.

Zosia urodziła chłopca i dziewczynkę: Kazimierza i Kazimierę. Nie wiem, jak można na starcie tak skrzywdzić dzieci, ale według dumnego taty, który osobiście pochwalił mi się podczas rozmowy przez telefon, są zdrowe, śliczne i nieustannie wrzeszczą.

Pewnie dla rozimprezowanej Zofii to szok i początek nowego życia, ale myślę, że przy Kaziu seniorze i zastępie opiekunek da sobie radę. W sumie cieszę się jej szczęściem, czy cokolwiek tam czuje, bo w ostatniej chwili obroniła się przed całkowitą degrengoladą i ma szansę na normalne, spokojne życie.

Za to ja mój mały wózek pcham w nieco większym stresie

i dyskomforcie, co nie oznacza, że jest mi z tym źle. Życie odzyskało smak w chwili, gdy dzieci zapisałam do sióstr. Jedynym minusem jest to, że mała co rusz siada na kanapie i podśpiewuje – *Jezu, mój Jezu i odpuść nam nasze winy* (co z jej niespełna czteroletniej perspektywy jest całkowicie abstrakcyjne, zwłaszcza że ostatnią „winą”, za którą musiała przeproszać, było pokazanie języka Klarze).

Olo w zasadzie zniknął z mojego życia tak, jak się pojawił. Sporadycznie słyszymy się przez telefon, rozmawiamy o niczym. Z jednej strony doceniam to, z drugiej jest mi przykro, bo w jego towarzystwie czułam się bezpiecznie. Oczywiście ma dziewczynę i swoje sprawy i nie ma powodu, by bardziej interesował się naszym życiem, jednak jego obecność przywołała wspomnienia dawnych imprez z Bartkiem i roześmianą studencką ekipą w tle.

Henryk jest jak zły szeląg. Nasłał na nas wszelkie możliwe kontrole, które co prawda przeszliśmy bez szwanku, jednak zabrały mi sporo czasu i napsuły krwi. W dodatku pozwalał sobie na bezczelny telefon za każdym razem, gdy kontrolerzy przekraczali próg firmy.

– I co? Zadowolona?

Wszystko się we mnie przewraca i czuję, jak grunt usuwa mi się spod nóg. Do czego on jeszcze się posunie? Za wszelką cenę nie chcę zdradzić, ile kosztuje mnie taka rozmowa.

– Bardzo. Nie wiem, o co ci chodzi.

– Nieee wieceesz? – Przeciąga samogłoski, jakby mordoklejka skleiała mu zęby. – Chcesz więcej?

– Czego?

– Kontroli.

– Mam to w tyłku, tylko nie wiem, po co to robisz.

– Pro publico bono!

– Rozumiesz tak trudne słowa? – Nie mogę się oprzeć, by nie uszczypnąć ego gnojka.

– I jeszcze więcej. Sama zobaczysz.

– Wiesz, że to są groźby karalne? I w sumie jesteś już nudny.

– I co z tego?

Pozostał mi tylko blef, więc szarpię się na szczyty aktorstwa i dodaję:



– Ta rozmowa jest nagrywana i jeszcze dziś zgłaszam nękanie na policję.

– Kochanie, nic ci nie zrobiłem, więc i ty nic mi nie zrobisz. Wyśmieją cię. Baw się dobrze, do zobaczenia, pa.

Kurwa, kurwa, kurwa. Co teraz?

Dzwonię do firmy ochroniarskiej i zakładam dodatkowy alarm na wiacie, szopce na narzędzia, wszędzie, gdzie się da. Ostrzegam Anię przed ewentualnymi zapędami kretyna i jadę na najbliższy komisariat policji.

Okazuje się, że niestety Henryk ma rację. Nic na niego nie mam. Nie mam dowodów, że nasyłał na mnie kontrole, w zasadzie jako obywatel miał do tego prawo, a pogrożki nie są do końca pogrożkami.

– Czy mówił, że panią zabije?

– No, nie, tylko że mi jeszcze pokaże.

– Widzi pani, to nie to samo. Jak często wysyła sms-y?

– Od czasu do czasu, maile też.

– To nie ma znamion stalkingu.

– Czyli co, musi wrazić mi nóż w plecy, żebyście się tym zajęli?

– Takie są przepisy.

– Świetnie. Więc nadal mam chodzić opłotkami, zakradać się do własnego domu i mieć oczy dookoła głowy.

– Nic na to nie poradzę. Jeśli problem się nasili, proszę dzwonić.

– Oczywiście. Napiszę wam wiadomość z kostnicy.

Wychodzę wkuta, że straciłam godzinę, pogadałam i nic nie zyskałam. Wysłuchałam za to zeznań faceta, którego nie chciałabym spotkać na ulicy w dzień, a co dopiero w nocy.

– Przecież mówię, panie władzo, że mnie napadli.

Jarzeniówki pogłębiają widoczne dzioby i blizny na czerwonej twarzy, a dzinsy marmurki przybrały dodatkowy deseń marmurkowego brudu. Siedzi pochylony do przodu i w nerwowym tiku co rusz podrzuca głowę, głośno wciągając smarki, które najwyraźniej chcą się wydostać na wolność.

– Ale kto?

– Takie typy – chlip i smark wjeżdża z powrotem do lewej dziurki – w dresach byli.

– I co panu zrobili?

– No jak co? Pobili.

– A za co?

Chlip, smarkowi znowu się nie udało.

– Panie władzo, a czy ja wiem?

– Coś więcej może pan o nich powiedzieć?

Chlip, gwałtowny ruch mankietu ukatrupił pragnącego autonomii smarka, rozmazując go długą świecą smugą na rękawie.

– Na tego dużego wołali Roki.

– Panie, w więzieniu co drugi to Roki. Coś więcej?

– No, niby nie.

Dochodzę do wniosku, że wcześniejsze emerytury dla policjantów są uzasadnione. Przesłuchiwanie tego typu ludzi może nie tylko pozbawić radości życia, ale i odebrać jego wolę na kilka lat.

Na schodach komisariatu, jak się okaże na moje nieszczęście, natykam się na maleńką staruszkę, w długim prawie do kostek cienkim puchowym płaszczu, beżowym berecie, z wielką staromodną torbą w ręce, która za sprawą długiej rączki jest zaproszeniem dla złodziei, by wyrwać ją starszej pani. Swoją drogą nie mogę zrozumieć, dlaczego faceci potrafią upchnąć swój majątek w kieszeni, a my musimy taszczyć ze sobą pół świata.

A co w torebkach noszą staruszki? Obowiązkowa bawełniana chusteczka, portmonetka (nie portfel), książeczka do nabożeństwa i jeden klucz do domu, który zawsze zaplątany jest w fałdy podszewki. Wielkie sztywne torebki z przetartymi paskami nie mieszczą się na maleńkich haczykach w kościelnych ławkach i raz po raz z łomotem spadają w najmniej odpowiednim momencie mszy.

– Proszę pani, przepraszam.

Rozglądam się niepewnie, ale niestety poza mną nie ma innej pani, i choć spieszę się jak konfident do urzędu, zatrzymuję się i podchodzę do kruchej istoty, widząc w niej świętej pamięci babcię.

– Tak, słucham.

– Przepraszam, gdzie tu jest przystanek?

Oddycham z radosną ulgą, bo znam odpowiedź i nasza znajomość nie potrwa długo.

– Tu, zaraz za rogiem. – Wskazuję na parkan komendy i już mam się oddalić, lecz staruszka nie daje za wygraną.

– Ale ja nic nie widzę. To gdzie jest ten przystanek?

– Tu, za rogiem, jak pani wyjdzie przez bramę, trzeba skręcić w lewo, dwadzieścia metrów i jest przystanek.

– Ale ja go nie widzę.

Zaczynam się lekko denerwować, bo czas mnie goni, a tu zero zrozumienia.

– I nie zobaczy pani, bo zasłaniają go krzaki.

– Jakie krzaki? – Babcinka nerwowo kręci się wokół własnej osi i najwyraźniej nie dostrzega wielkiej dziesięciometrowej choinki i grupy jej mniejszych sióstr rosnących jakieś pięć metrów obok.

– Te tutaj.

– A tu? Bo ja tylko zieloną plamę widzę. Tak źle z moimi oczami. Mówię pani.

Chryste. Nie mam pojęcia, jak kobiecina trafiła na komisariat, ale najwyraźniej bez pomocy nie opuści go przez kilka godzin.

– Wystarczy, że dojdzie pani do bramy, i potem w lewo.

– A gdzie ta brama?

Jasny piorun. Przecież tak się nie da.

– Dobrze, nie ma co, zaprowadzę panią na ten przystanek.

– Oj, jaka pani dobra. Takich ludzi to się już nie spotyka. Bo wie pani, ja tak słabo widzę i też źle chodzę.

Biorę ją pod ramię i niemal unoszę w powietrze, wlokąc za sobą. Posuwamy się tip-topami, a w zasadzie szuramy w kierunku przystanku, który, jak się okazuje, po remoncie ulicy przesunięty jest nieco dalej. Szuramy tak i szuramy. Babulinka opowiada, jak to skończyła dziewięćdziesiąt trzy lata, jak bardzo nie słyszy i nie widzi, a ja rozkoszuję się myślami o swoim samarytanizmie i nawet przestaję żałować czasu. Wszystko – w imię pomocy bliźniemu – może poczekać. I wreszcie, gdy już pokonałyśmy przejście dla pieszych, co zajęło prawie dwie zmiany świateł, moja ciekawość dochodzi do głosu i psuje pełną dobroci i uniesienia chwilę.

– A co się stało, że musiała pani iść na komendę?

Jak na magiczny sygnał nogi babci zapierają się o krawężnik,

a ciało sztywnieje. Siłą pociągam ją za sobą, bo zirytowany kierowca dostawczaka zaraz rozjedzie jej laskę, jeśli nie zejdziemy z pasów.

– Wie pani, bo te ludzie teraz to takie dziady. Klasy nie mają.

– Co się stało?

– Takiego, pani kochana, sąsiada prymitywnego mam, że szkoda gadać. Same problemy. Niech pani sobie wyobrazi, że rury nie naprawił, sedesu nie zmienił, i jak korzysta z toalety, to mówię pani, wytrzymać się nie da. Tak śmierdzi. Bydlak jeden.

– Ale po co pani poszła na komendę?

– Jak to po co? Zgłosić! Niech się za dziada wezmą.

Mam ochotę pchnąć ją w najbliższe krzaki i uciec. Nie widzi, nie słyszy, ale węch ma dobry i doskonale wie, gdzie i komu donieść. I pewnie jeszcze Bogu dziękuje, że wprawną ręką prowadził ją po właściwej drodze.

Zostawiam ją na przystanku, przyspieszam kroku i znikam za murkiem, choinką i krzakami, byle tylko o nic więcej mnie nie poprosiła. Niewiarygodne!

*Dostaję lekkiej obsesji, że jestem obserwowana, i zaczyna mnie prześladować dziwny pech, zwłaszcza po tym jak wczoraj złapałam gumę. Musiałam czekać na pomoc drogową, wlokłam się do wulkanizatora, nie zdążyłam odebrać dzieci i znowu musiałam zdać się na wolny czas Magdy. Z opony wyjęto wielki gwóźdź, pooglądano, pomarudzono i skasowano dwie stowy. Właśnie miałam w planach taki wydatek! Cholera.*

Obsesja sprawiła, że w pobliskim sklepie kupiłam dwie kamerki i ubłagałam sprzedawcę o zamontowanie ich na przedniej i tylnej szybie auta. Oczywiście, mimo tłumaczenia i zaprezentowania sześciu przycisków w różnych kolorach przez zaangażowanego w mój zakup młodego człowieka, nadal nie wiem, co wcisnąć w razie wypadku, a rzeczy proste i oczywiste, jak zapewnił sprzedawca, są dla mnie nie lada zagadką.

Magda wpadła na zwariowany pomysł, że wprowadzi się do mnie i we dwie, uzbrojone w kuchenne noże i gaz łzawiący zakupiony w najbliższym markecie, stawimy czoło kretynizmowi Henia. Nie wiem, gdzie miałyby zamieszkać, chyba w wannie, więc szczęśliwie daje się odwieść od tego pomysłu, za to teraz co chwilę wydzwania z pytaniem:

– Wszystko OK?

Zmusiła również Olafa do częstszych telefonów i dziwnych propozycji w stylu zrobienia zakupów, pomocy przy i w domu oraz natarczywych pytań, czy wszystko w porządku. Jego dziewczyna musi być zachwycona.

Niezmiennie odpowiadam obojgu, że wszystko jest pod kontrolą, co najwyraźniej rozczarowuje Magdę, bo aż pali się do działania. Oczywiście jej militarne przygotowanie zostało poprzedzone licznymi wizytami w sklepach odzieżowych i teraz paradytuje po mieście cała w maskującym moro. W sumie dobrze, że porzuciła szalone panterki na rzecz bardziej stonowanych nieregularnych plam, bo przestała wyglądać jak dzidzia piernik, a nabrała klasy i image'u à la Martyna Wojciechowska.

Jej nogi, przyzwyczajone do wysokich szpilek, zmieniły się w dynamiczne sprężyny, a w samochodowym schowku pojawiły się wszelkiego rodzaju surwiwalowe akcesoria. Krzesiwo – na wypadek konieczności rozpalenia ogniska w lesie i to w deszczu – kompas, którego żadna z nas nie umiałaby odczytać, gwizdek sygnałowy, scyzoryk z tysiącem ostrzy, który ma znakomity otwieracz do puszek i jest jedynym przydatnym gadżetem, chociaż podczas składania jednego z nożyków prawie amputowała sobie palec.

Jest urocza w swoim szale zakupów i zaangażowania. Sprawia, że czuję się dla kogoś ważna, i daje mi cudowne poczucie, że mogę na nią liczyć zawsze i wszędzie. Poza tym we własnej opinii niczego nigdy nie spieprzyła, no, może trochę małżeństwo, więc zaraz gwałtownie przechodzi do ataku.

– Pokażemy mu, zobaczysz! Wiesz, gdzie hoduje tę swoją zieleninę? Gdzie mieszka? Pożałuje, że nas wkurzył.

Obawiam się, że jedynym aktem zemsty, na jaki nas stać, jest nasikanie na pietruszkę, lecz podążanie tym tropem może nie jego, ale nas zaprowadzić prosto za kratki. Zamiast zbroić się i obmyślać taktykę wojenną eliminującą wroga siłą, postanawiam się z nim spotkać i spokojnie wyjaśnić owo, nazwijmy to, nieporozumienie.

Umawiam się z Henrykiem na siedemnastą. W razie niepowodzenia misji nie będzie jeszcze ciemno i raczej nie pokusi się o zastrzelenie mnie w jasny dzień, na neutralnym gruncie, czyli w kafejce na Starym Rynku. Oczywiście Magi się uparła, że będzie saczyć kawę przy sąsiednim stoliku, dając mi wsparcie emocjonalne i przychodząc z odsieczą oraz gazem łzawiącym w razie konieczności.

Szamoczę się w garderobie między wieszakami, gdy dzwoni telefon. Przywalony ciuchami i praniem, które właśnie zdjęłam z suszarki, cicho charczy, wydając stłumiony dźwięk. Nerwowo przerzucam stosy ubrań, mieszając te wyprasowane z pogniecionymi, i w końcu przyciskam zieloną słuchawkę.

– Nareszcie.

Głos Olafa działa na mnie kojąco.

– Cześć. Fajnie, że to ty.

– Tak?

– Tak. Mam fatalny dzień, więc dobrze usłyszeć kogoś normalnego.

– A co, spędzasz czas z czubkami?

– Tak prawie, właśnie wybieram się na spotkanie z Henrykiem.

– Ziołomanem?

– Właśnie. Nie wiem, jak to przeżyję. Facet zdaje się nieobliczalny i nachalny.

– Pewnie go zachęciłaś?

Usiłuje mnie rozbawić, jednak nie potrafię wykrzesać z siebie krztyny radości.

– Przestań. Nic nie zrobiłam. Po prostu byłam miła.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie masz świadomości, jak na facetów działa miła wyzwolona kobieta.

– Tylko że ja nie jestem ani wyzwolona, ani zainteresowana.

– Ale my o tym nie wiemy i zaczynamy mieć ochotę.

– Ja jej nie mam i nie szukam przygód. A co, powinnam być ponura, nadęta i nieprzyjemna?

– Może to by było jakieś wyjście?

– Spadaj.

– Iść z tobą?

TAK, TAK, TAK. Wszystko we mnie krzyczy, że to by było cudowne. Czułabym się bezpieczna i ktoś załatwiłby za mnie temat niechcianego związku, ale zdaję sobie sprawę, że w rzeczywistości nic to nie zmieni. Po Henryku numer jeden pojawi się Henryk numer dwa i trzy i będę musiała się nauczyć spławiać ich sama, więc to wyjście powinnam potraktować treningowo.

– Nie, dzięki. Załatwię to. Zresztą Magda będzie w pobliżu.

– Jak uważasz. Gdyby coś się działo, dzwoń. Pamiętasz, jesteśmy kumple!

– Dzięki, pa.

Zastanawiam się, co powinnam włożyć, by nie wyglądać zbyt zachęcająco, ale też nie zgrzebnie. Wybór pada na granatową prostą sukienkę za kolana, z rękawkiem trzy czwarte i niewielkim wycięciem pod szyją. Małe, niemal niewidoczne kolczyki, buty na obcasie i zero innych dodatków. Uważam, że wyglądam skromnie, ale z klasą.

Gdy wchodzę do restauracji Pod Psem – w sumie, biorąc pod uwagę powód naszego spotkania, to idealna nazwa – Magda, cała w zielono-brązowych cętkach i wysokich skórzanych butach, siedzi przysłonięta gazetą przy stoliku w głębi sali i tylko delikatnym skinieniem głowy daje znać, że ma wszystko pod kontrolą. Ze zdziwieniem nie dostrzegam dziury w czytanim przez nią magazynie ani gnata na stoliku.

Siadam i zamawiam herbatę.

Czekam.

Ludzie wchodzą i wychodzą, a jego nadal nie ma. Herbatę dawno wypiliśmy, a natarczywa kelnerka, która usiłuje wcisnąć mi jakieś cholernie kaloryczne ptysie i serniki, doprowadza mnie do irytacji, podkreślając ciężką atmosferę.

Dochodzi siedemnasta piętnaście i właśnie gdy postanawiam wyjść i nigdy więcej się z nim nie kontaktować, Henryk wpada zdyszany z naręczem białych róż.

– Przepraszam, przepraszam, Nineczko, za spóźnienie, ale nigdzie nie mogłem kupić kwiatów tak pięknych jak ty.

Rany Julek! Tylko nie to i nie w ten deseń.

– Słuchaj, przyszłam pogadać, a nie na randkę.

– Oj tam, oj tam.

– Poważnie. Henryk, siadaj i posłuchaj.

Kładzie bukiet na brzegu stolika i ciężko siada. Jego twarz szarzeje i znikają z niej ostatnie promyki optymizmu. Staje się skupiony i czujny jak myszołów na gałęzi, przeczesujący wzrokiem polanę w poszukiwaniu ofiary. Tembr głosu się zmienia i miły Henio zamienia się w szorstkiego Henryka.

– To po co chciałaś się spotkać?

– Słuchaj, zaszło jakieś piramidalne nieporozumienie, być może z mojej winy... wystarczy być miłym dla faceta, by ten wyobrażał sobie Bóg wie co... chyba nieświadomie wysłałam błędne sygnały.

– Nie rozumiem.

– Widzisz, po śmierci Bartka postanowiłam z nikim się nie wiązać.

– Aha. – Na jego twarzy maluje się uśmiech, a zeszywniały kręgosłup flaczeje w poczuciu ulgi. – Przejdzie ci, zobaczysz. A ja



jestem cierpliwy i mogę poczekać.

Do głupka nic nie dociera! Więc usiłuję ulepić jak z plasteliny makietę sytuacji, w której się znaleźliśmy, i tłumaczę jeszcze raz. Powoli i wyraźnie.

– Jesteś fajnym facetem, ale nie w moim typie. Nie czekaj, bo nigdy nie będziemy razem. Przykro mi.

Zdenerwowany Henio rozkłada pawie ogony i prezentuje cały wachlarz negatywnych emocji. Spogląda na mnie czarnymi ze złości oczami, twarz wykrzywia mu grymas i zaczynam się obawiać, że dostanę po łbie tymi cholernymi różami.

– Ty kłamliwa suko. Bawiłaś się mną. I co, zadowolona jesteś? O to ci chodziło?

I pomyśleć, że można związać się z kimś pozornie miłym i sympatycznym, a po chwili obudzić się w łóżku obok potwora.

– Nie w tym rzecz.

– To, kurwa, w czym?

Obawiam się, że nie zrozumie niuansów psychologicznych, które nigdy nie pozwolą nam na założenie szczęśliwej rodziny, a wściekłość zalewająca go coraz większymi falami sprawi, że będzie głuchy na wszelkie argumenty. Sięgam więc po broń ostateczną i głośno oświadczam:

– Zrozumiałam, że wolę kobiety.

– Że co?

– Jestem lesbijką.

Szok nie pozwala mu wydusić słowa, ale szybko przemieszczająca się to w dół, to w górę grdyka wskazuje, że jednak wywarłam na nim wrażenie.

– Nie jesteś żadną lesbijką, jesteś zwykłą kurwą, która bawi się ludźmi!

Wykrzykuje to na całą salę i mimowolnie staje się atrakcją dnia. Życie towarzyskie przy stolikach zamiera, a wszystkie twarze zwracają się w naszą stronę. Nim się orientuję, co Henryk zamierza, pochyła się gwałtownie, całuje mnie brutalnie w usta, po czym cofa się pełen satysfakcji. Zamiast rozkoszy, jaką dają pocałunki, czuję odór czosnku zmieszany ze smrodem tanich papierosów.

– I co teraz, lalka? Dalej myślisz, że jesteś lesbą?

Magi, jak agresywna kotka broniąca swoich młodych, dopada do nas i nim Henryk się obejrzy, celnym kopniakiem miazdzy mu krocze.

– Wypierdalaj, koleś, i nigdy więcej nie zadzieraj z moją dziewczyną.

Nie wiem, co na chamie robi większe wrażenie: kopniak wyciskający łzy z oczu czy Magda czule obejmująca mnie w pasie. Namolna kelnerka ulatnia się na zaplecze, jakby nigdy jej tu nie było, barman skupia się na żółtym strumieniu piwa lejącego się ze złotej laski, a ludzie przy stolikach, węsząc sensację, dyskretnie sięgają po telefony. Pewnie jeszcze dziś wieczorem staniemy się gwiazdami YouTube.

Czas stanął w miejscu i nie chce ruszyć. Niespodziewanie przy stoliku pod oknem odsuwa krzesło rośły tacet w skórzanej kurtce, nabijanej na ramionach ćwiekami, podchodzi do nas i gdy lekko kulę się ze strachu, że wywlecze nas za drzwi, podchodzi do Henryka, który przy nim wydaje się drobnym, chudym alfonsem, i chwytając go za ramię, syczy tak, że słyszą go wszyscy na sali:

– Nie słyszałeś, koleś, o co cię prosiły panie? Wypierdalaj.

Wypycha go za drzwi, mruga do nas i siada obok zachwyconej jego interwencją blondynki, która jak gdyby nigdy nic przeżuwa liście wiosennej sałatki.

– Ale jaja. Nareszcie coś się dzieje. Uwielbiam takie akcje! – Magda jest w swoim żywiole. Znalazła się w centrum zainteresowania.

Pokrywam złość i zażenowanie fałszywym uśmiechem i udaję, że w zasadzie nic się nie stało. Tymczasem cała się trzęsę. Usiłuję wypić zamówioną przez Magdę herbatę, jednak ręce tak mi drżą, że nie potrafię utrzymać w nich filiżanki.

– Koniak dla pań od tego pana.

Kelnerka stawia przed nami dwa pękate kieliszki z odrobiną bursztynowego płynu i wskazuje gestem na faceta, który przyszedł nam w sukurs. W sumie chyba to najlepsza rzecz w dzisiejszym dniu. Podnosimy wysoko kieliszki i odwracając się w jego stronę, wznosimy toast. Uśmiechają się oboje i podnoszą kieliszki z winem w podobnym geście, sprawiając, że wiara w ludzi we mnie nie umiera, lecz kiełkuje radosną wdzięcznością i poczuciem, że jednak otaczają nas życzliwe

dusze.

Przestaję się bać Henryka, myśli o tej małej gnidzie nie zdominowują już mojego dnia. Czuję się wyzwolona, a poczucie bezpieczeństwa ponownie zaczyna mnie otulać.

W maju Klara ma pierwszą komunię, do której przygotowujemy się od kilku miesięcy. Nie rozumiem mechanizmu tych przygotowań i absurdalnych wymagań księży, ale wiem, że musimy przez to przebrnąć kosztem innych zajęć. Biegamy co niedziela do kościoła na mszę, potem siedzimy pół godziny na katechezie z księdzem, który sprawdza obecność, grzmi i sztorcuje dzieci, odbierając uroczystości całą duchową aurę.

Od tygodnia jest jeszcze gorzej i intensywniej niż dotychczas, bo doszły zaliczenia i przepytywania. To nic, że dzieciaki zdają materiał na lekcjach religii w szkole, proboszcz na własne uszy musi się przekonać, że kandydaci są dobrze przygotowani. Owocuje to porannymi bólami brzucha i torturą zbierania się do kościoła. Klara marudzi od przebudzenia. Śpi z katechizmem pod poduszką, bo Ania jej powiedziała, że w ten sposób wiedza szybciej wchodzi do głowy, a rano, myjąc zęby, powtarza przykazania, zupełnie jakby miała zdawać co najmniej maturę albo egzamin na prawo jazdy.

- Musimy dzisiaj iść?
- Oczywiście.
- Ale boli mnie brzuch.
- Chodź, pomasuję.
- To nic nie pomoże.

Sadam małą przed sobą na kanapie i delikatnie, zgodnie z ruchem wskazówek zegara masuję jej brzuszek, a właściwie dołek najeżony kośćmi. Jest chudziutka, choć nie przerażająco, i tym bardziej mi przykro, że jej wątłe ciało narażone jest na bezsensowny stres, który nie dotyka innych dzieci tego samego wyznania, szczęśliwie niemieszających w Polsce.

- Boisz się, co?

Cisza.

– Ja potwornie się bałam przepytywania przez księdza, jak byłam w twoim wieku, ale nie było tak źle. Zresztą, jak nie będziesz czegoś wiedziała, to przecież nic się nie stanie. Wiesz, że ja nie będę zła.

Powtórzymy to i nauczymy się na nowo, OK? Więc przestań się przejmować, damy radę.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak.

– A jak nie zdam i nie pójdę do komunii?

– Nie ma takiej możliwości.

– Ale ksiądz powiedział, że nie dopuści kogoś, kto nie będzie wszystkiego umiał.

– To będziemy się uczyły do skutku, możemy też z księdzem porozmawiać, że się stresujesz, na pewno to zrozumie.

– A będziesz ze mną?

– Jasne. To co, zbieramy się?

Mimo ciepłej wiosny w kościele jest chłodno, a w kaplicy w podziemiach, gdzie dzieci mają pomszalne spotkania, paskudnie zimno. Wkładamy bieliznę narciarską i ciepłe kurtki, jakbyśmy wybierały się na sanki, a nie na spotkanie z kochającym i wyrozumiałym Jezusem, i idziemy poddać się weryfikacji.

Msza, mimo że dla dzieci, ciągnie się w nieskończoność.

Przygrywający na gitarze jegomość zawiadujący dziecięcą scholą fałszuje niemiłosiernie, a dwuwarstwowe kazanie, najpierw skierowane do dzieci, a następnie pouczające rodziców, trwa niemal dwadzieścia pięć minut i konkuruje z równie długimi ogłoszeniami parafialnymi. Swoistym blokiem reklamowym, podczas którego dowiadujemy się, kto odszedł do Pana, jakie gazetki można nabyć u ministrantów przy wyjściu i na jakie artykuły warto zwrócić uwagę oraz, rzecz najważniejsza, gdzie powinniśmy ulokować nasze pięciozłotówki, choć to wstyd nie sięgnąć po banknot. A potrzeb w kościele jest wiele: misje, remont dzwonnicy, Caritas, kolonie dla najmłodszych i bieżące potrzeby świątyni, czytaj: księży. Podejrzewam, że Kościół do dziś nie może odżalować, że zniósł opłatę za odpuszczanie grzechów.

Wraz z innymi nieszczęśnikami przechodzimy do dolnej kaplicy na nauki. Dzieciaki siadają w nawie głównej, a rodzice po bokach. Muszę przyznać, że przy generalskim podejściu księdza sama trochę kulę się w sobie.

– Wstajemy.

Szum podnoszących się ludzi i szurających butów wypełnia przestrzeń.

– Śpiewamy *Panie dobry jak chleb*.

Niemrawa melodia wydobywa się ze ściśniętych gardeł, więc niezadowolony ksiądz ucisza wszystkich i instruuje:

– Nie tak! Radośnie! Jeszcze raz.

*Panie dobry jak chleb, bądź uwięziony do swego kościoła...*

– Stop. Co wy śpiewacie? Jaki uwięziony? Uwielbiony!

Uwielbiony! Proszę jeszcze raz.

Wreszcie udaje się zaśpiewać poprawnie, choć bez radości, więc proboszcz przechodzi do kolejnego punktu programu.

– Siadamy.

I znowu szuranie, z tym że teraz młodzi ludzie, spodziewając się cotygodniowego przepytywania, usiłują wcisnąć się w kołnierze i szale, tak by stać się niewidocznymi.

– Ty. – Znienacka wskazuje na dziewczynkę w czerwonej pikowanej kurtce, która jest bardzo zajęta obgryzaniem końcówek włosów spiętych gumką. – Ile mamy aktów wiary?

– Yyy. – Mała wytrzeszcza oczy i najwyraźniej nie wie, o co ją pytają.

– Wstyd – oznajmia ksiądz. – Kto wie?

Pięć rąk wędruje w górę i po trzech próbach udaje się ustalić, że cztery.

– Ty. – Tym razem pada na łobuza w pierwszym rzędzie, który cały czas skubie pompon, wyciągając coraz dłuższe nitki wełny, i rzuca je na kumpli. – Piąte przykazanie.

– Nie kradnij?

Ksiądz prycha niezadowolony i szukając kolejnej ofiary, wchodzi głębiej między ławki.

– Ty.

– Nie cudzołóż?

– Do jasnej ciasnej, nic nie umiecie. Proszę, wszyscy razem powtarzamy.

Następuje głośna recytacja i ponowny rozkaz:

– Wstajemy. Śpiewamy *Chwałę Ciebie, Panie, chwałę, Ciebie,*

*Panie, i uwielbiam, i uwielbiam.*

Siedzę zatopiona w myślach, traktując ten czas jak możliwość wyciszenia się i przemyślenia pewnych rzeczy. Niestety spotkania z księdzem nie są pretekstem do zajrzenia w głąb duszy i próbą odnalezienia rozwiązań egzystencjalnych i duchowych problemów. Wieczorami zagłębiam się w medytację i mam poczucie, że daje mi sto razy więcej niż spotkanie z generałem przy ołtarzu.

Wracamy do domu zmarznięte, ale zadowolone, że mamy to za sobą. Klarze się udało, bo nie została zapytana, mnie też, bo tak głęboko i intensywnie grzebałam w pełnej śmieci torebce, że nie „zdążyłam” zapisać się na sprzątanie kościoła i terenu doń przylegającego.

Niestety dzisiejsza wizyta w kaplicy oskubała mnie z dwustu siedemdziesięciu złotych, bo tyle wynosi składka na kwiaty, obrazek pamiątkowy, Pismo Święte i, co najważniejsze, prezent dla kościoła – nowy, bogato, ręcznie haftowany ornat w bajońskiej cenie. Nie mam pojęcia, co księża robią w tych ornatach, że tak je niszczą i co roku każda grupa komunijna musi kupić im nowe wdzianko. Może ktoś powinien im zasugerować, że ornaty się pierze. Dotychczas myślałam, że tylko stoją w nim przy ołtarzu, ale może nie o wszystkim wiem. Oczywiście muszę jeszcze kupić albę, świecę i takie tam, co jakoś mija się z darmowym sakramentem. Klara załapała się na pierwszą majową turę, która odbywa się w sobotę, a nie, jak trzy pozostałe, w niedzielę.

W domu jak co niedzielę czeka Ania z obiadem, który jak na porządną mieszczańską rodzinę przystało jemy o trzynastej, by później uśmierzać głód słodkim podwieczorkiem, na co nie mamy czasu w tygodniu.

Antoś jest coraz bardziej samodzielny i od kilku dni zajmuje się zrzucaniem klocków i zabawek ze schodów. Mimo zabezpieczenia potrafi tak wysunąć rączkę, by wyrzucić pocisk w nieświadomą ofiarę.

– Marysia, choć na obiad – wołam ją już trzeci raz. Bez odzewu. Może zasnęła?

Wlokę się po schodach na piętro i kolejno zaglądam do pokoi dzieci. Nigdzie jej nie ma. Zaczynam odczuwać niepokój, ale nachodzę ją w mojej sypialni, jak misternie rysuje olejnymi kredkami kreski i kółka na ścianie.

– Co ty robisz? – krzyczę jej nad głową, aż się wzdryga i podskakuje.

– Rysuję – odpowiada spokojnie, jakby miała przed sobą tumana, który nie widzi, co się dzieje.

– Widzę, ale dlaczego na ścianie, a nie na papierze?

– Bo nie masz obrazu w pokoju.

– I co z tego?

– Siostry mówią, że obrazami chwali się Pana Jezusa, to chciałam Go pochwalić. Nie cieszysz się?

– Jakoś niespecjalnie. Nie mogłaś mnie zapytać?

– Mogłam, ale to miała być niespodzianka.

Super! Cholernych kredek nie daje się niczym zmyć, a do całkowitej ruiny doprowadził ścianę pomysł Klary, która cichaczem chciała Mariannie pomóc i rozmazała je jeszcze bardziej podczas próby zmycia mokrą szmatką nasączoną cifem.

Można oszaleć.

Wreszcie dzień dobiega końca, bez kolejnych nieszczęść i kreatywnych pomysłów. Kociak piszczy w kącie i żadne próby nakarmienia go inaczej niż podawanym strzykawką mlekiem nie kończą się sukcesem. Nie wiem, ile jeszcze tygodni potrzebuje, by wykazać jakieś przejawy samodzielności, ale obie z Anią, ślęcząc nad nim kilka razy dziennie i wkraplając jedzenie w maleńki pyszczek, czujemy się wykończone. W zasadzie jest zabawny w swojej nieporadności i zaskakujący w kolejnych przejawach dorastania, jakie dyktuje mu instynkt. Właśnie maleńką łapką szoruje po kafelkach, usiłując zakopać kałużę sików płynących strużką z kąta, w którym się przyczaił. Tylko czekać, aż zacznie śmierdzieć w całej chacie.

W ogóle kociak jest sprawcą i przyczyną różnych śmiesznych sytuacji. Któregoś dnia jak zwykle niezapowiedziana wpada Magi.

– Cześć, kochana.

– Cześć, co tu robisz?

– Wpadłam zobaczyć nowego domownika.

– Czyli?

– Kociaka rzecz jasna. Jak się nazywa?

– Na razie nijak.



– To błąd, bo ciocia Magda przywiozła prezenty i teraz nie wie dla kogo.

– Buu. Chcesz kawy?

– Kawy, wina, dawaj wszystko.

– Coś ty taka nakręcona?

Magda zdejmuje kurtkę, odwraca się i z głośnym tatom prezentuje nową koszulkę:

*Rozstałam się z facetem – kot miał alergię!*

– Boskie, nie?

– Niezłe. I to cię tak uszczęśliwia?

– No, i mam dla niego jeszcze myszkę. I... patrz.

Wyjmuje z białego papieru drukowanego w kocie łebki coś, co najpewniej jest kolejną koszulką. Rzeczywiście, w jej ręku pojawia się T-shirt z rozmarzonym kotem w aureoli z podpisem catolik. Nie sposób się nie roześmiać!

– Też chcę taki!

– To sobie kup!

To oczywiste, pytanie tylko gdzie.

– Na kici-kici.com, zresztą sama sobie poradź. Jak tylko wygrzebie coś super, to od razu też musisz mieć?

– Oczywiście, jesteś moją trendsetterką!

Zaparzam kawę, nalewam sobie lampkę wina i idę do koszyka po kota, którego oczywiście tam nie ma. Przepatruję wszystkie kąty, wszczynam alarm, wołając Anię i Klarę, przeczesujemy wszystkie pomieszczenia, a malca nadal nie możemy znaleźć. Jestem do tego stopnia zdeterminowana, że wyłączam pralkę i sprawdzam, czy nie zaplątał się w ręczniki... Nic. Wreszcie sukcesywnie przeglądam wszystkie szafy i szuflady. W przedostatniej na mapie poszukiwań znajduję śpiące wśród skarpetek Klary maleństwo. Żadna z nas nie potrafi przypomnieć sobie, kiedy ją otwierała, jednak malec znalazł ten moment i go wykorzystał.

Nie dość, że muszę pilnować stadka dzieci, to jeszcze przyszło mi śledzić malutkiego kociaka!

Magda, fanka wszelkich nowości i gadżetów, kupiła jeszcze dla kociaka w KICI-KICI śliczny puchaty kocyk, na którym na razie nie

spał, bo o miejsce na nim walczą nieustannie Cymbał i Ziuta, a z miseczki osadzonej w ekologicznym drewnianym stojaku zrobił sobie pierwszą minikuwetę.

– Mamo, kot zrobił kupę na schodach!

– I?

– Trzeba ją sprzątnąć!

– I?

– Mam to zrobić?

– Chciałaś mieć kociego dzidziusia, to teraz po nim sprzątaj!

– Ble.

O dziwo, Klara daje sobie radę ze sprząaniem po kociaku i sprawowaniem opieki nad nim, choć niedawno przyłapałam ją na próbie wyniesienia kotka do szkoły w plecaku. Kociak sprawił, że stała się bohaterką w klasie i świetlicową celebrytką. Wszystkie dziewczynki i nieliczni chłopcy nieustannie pytają o puchatego zwierzaczka: co jadł, gdzie był, co zrobił i najważniejsze: czy mogą go zobaczyć. W rezultacie mam poczucie, że w domu pojawiły się drzwi obrotowe, którymi wchodzi jedno dzieciaki, a drugie wychodzą. Koci pielgrzymi przynoszą sterty złotych, szeleszczących papierków, najczęściej po cukierkach, srebrne kulki z folii aluminiowej i nieznanego pochodzenia piórka. Dom ma coraz większe zadatki na lokalny recyklingowy śmietnik, a ja przestaję się w nim czuć swobodnie.

Oczywiście dzieciarnia wypija hektolitry soków i wody, potem biega do toalety i załatwia potrzebę, niekoniecznie trafiając do klozetu. Rzadko kto wpada na pomysł zdjęcia butów, więc podłoga zgrzyta piachem pod podeszwami, a co odważniejsi pytają, czy mogą obejrzeć coś w telewizji, jakby zapominając, że obiektem zainteresowania i pretekstem do wizyty jest kot, a nie telewizor.

Zaczynam żałować, że wyjęłam kota z plecaka. Może zabranie go do szkoły i zaprezentowanie szerokiej publiczności wcale nie było złym pomysłem? Za to Marysia dopytuje nieustannie, czy może mieć papugę, i nie daje się przekonać, że kanarek to taka papuga bez ogona. Jestem ciekawa, o czym zamarzy Antoś – pewnie o waranie albo jakimś innym krokodylu.

**Hura!** Spędzę dwa dni poza domem! Jadę do Torunia na szkolenie do Akademii Kulinarnej Studio A. Pakuję pospiesznie małą walizkę, dużą kosmetyczkę, pięć par butów, bo jak zwykle nie mogę się zdecydować, które okażą się najwygodniejsze, i kładę się spać najwcześniej jak to możliwe.

I oto nastał ten dzień, podczas którego być może stanę się nieco bardziej świadomą właścicielką restauracji, choć zastanawiam się, jak odnajdę się wśród ludzi, którzy naprawdę zajmują się tym zawodowo.

Oczywiście jestem sprytna i nie pcham się w paszczę lwa, wybieram szefa, który wydaje się najbardziej przyjazną osobą mimo zestawu ostrych noży w ręku, i zapisuję się na kurs do Kurta Schellera. Mam nadzieję, że jego siwe wąsy i pies przy nodze są gwarantem fajnej przygody w kuchni, bez wrzasku i musztry.

Co prawda rozpoznaję czubek i trzonek noża, jednak w szatkowaniu i filetowaniu mogę ponieść klęskę. Tak więc jadę z duszą na ramieniu, z fartuszkim zrobionym na szydełku i z kwiatkiem naszytym na kieszonkę.

Sukces! W gąszczu uliczek trafiam do Akademii. Wchodzę i od razu natykam się na szefa w czerwonych spodniach, czarnym berecie z antenką na głowie i pozytywną energią w tle i wiem, że będzie to jeden z fajniejszych dni w życiu.

Hura po raz drugi! Kuchnia zachwyca czystością, prostotą i nowoczesnością, a w dodatku jest wyposażona w szereg piekarników takich samych jak mój domowy, więc może wreszcie po roku od zakupu nauczę się go obsługiwać! Bo do tej pory nie zdołałam przebrnąć przez instrukcję. Mój ulubiony, a w tym miejscu nieco obciachowy fartuszek zostaje ukryty na dnie torebki, przegrywając z czarnym fartuchem – takie wkładają wszyscy.

Aga, pomysłodawczyni i właścicielka studia, wita wszystkich kawą. Podejrzewam, że nie tylko mi ratuje tym życie po długiej podróży. Jest tak na luzie i miło, że przestaję czuć gorący oddech paniki na karku.

Niestety pierwsze zadanie rozkłada mnie na łopatki. Nie dość, że

muszę dotknąć ryby, to jeszcze mam ją wyfiletować. Oślizgłe paskudztwo wysuwa się z rąk i nijak nie ma zamiaru współpracować. Nacinam skórę przy głowie, przeciągam nóż wzdłuż kręgosłupa i mam wrażenie, że ości celowo uciekają spod ostrza i nie chcą się poddać moim manewrom. Ryby byłyby świetną potrawą, gdyby po trafieniu do sieci same się filetowały, a potem mówiły, czy są już wysmażone, i jeszcze nie rozpadały się na patelni. Głupie cholery oczywiście stawiają opór i zamiast pięknych filetów udaje mi się uzyskać dwa cienkie, lekko prześwitujące placki, za to dorzucam do wywaru najdorodniej zaopatrzony w mięso szkielet.

Kurt ma w sobie tyle cierpliwości co rosiczka czekająca na muchę. Mimo że nieudolnie mieszamy jajka z mąką, usiłując zrobić kluski, a zamiast talarków spod naszych noży wychodzą grube plastry ziemniaków, Kurt, podchodząc do każdego, powtarza do znudzenia, co i jak powinno być przygotowane, jak ma smakować, i tuninguje wszystko, co chcemy wyłożyć na talerze. W jeden dzień staje się moim guru sztuki kulinarnej, a w jego obecności czuję się jak w towarzystwie najbardziej życzliwego z wujków.

Po kilku godzinach próbowania, smażenia, gotowania jestem przejedzona, przepełniona i marzę o kieliszku czegoś z procentami, ale potrafię już odróżnić doradę od pstrąga, przygotować suflet i usmażyć idealną kaczkę w sosie karmelowym z kawałkami jabłek.

Układam w głowie nowe menu, w którym po raz pierwszy, poza przereklamowanym łososiem, pojawi się jakaś ryba. Jestem zachwycona, zmęczona i w hotelu padam, nim zdążę pomyśleć, czy łóżko jest wystarczająco wygodne.

Kolejny dzień to powtórka z siekania, obierania i przyprawiania. Jest to o tyle łatwiejsze, że tym razem toczymy walkę z cielakiem w kawałkach i wieprzkiem w postaci polędwicy.

Boże, jaka byłam głupia, że nie od takich spotkań zaczęłam przygodę z knajpą. Czuję, że teraz mam w sobie siłę, by dać radę w kuchni, i po raz pierwszy nie jestem zdana na kucharza, który ledwo skończywszy szkołę, usiłuje mi wmówić, że jest wielkim zawodowcem. Wiem, jak sprawdzić, czy ryba jest świeża, wyluzować kurczaka i ugotować bulion.

Jadę do domu i gubię się w akcji słuchanej książki. Natarczywe myśli przeszkadzają mi skupić się na treści, bo zajmuję się planowaniem.

Mam przed sobą zaledwie godzinę jazdy, co oznacza, że zdążę odebrać dzieci. Dzwonię do Ani i uszczęśliwiam ją tą informacją, tym bardziej że tu niebo się tylko chmurzy, natomiast u nich leje.

Dojeżdżam do szkoły. Klara grzecznie siedzi w świetlicy i szepcze z koleżankami w najdalszym kącie.

– Co się tak namawiacie?

– Nic, tylko tak sobie opowiadamy.

Nie ma szansy na uzyskanie prostej odpowiedzi od dziewięciolatki.

– A o czym?

– O tym, co dostaniemy na komunię.

– I co ustaliłyście?

– Malwina dostanie kucyka! Niesamowite, prawda?

– Pluszowego?

Nie mam pojęcia, jak mieszkając na osiedlu szeregowców, można zainstalować sobie kucyka w ogrodzie.

– Nie, no coś ty! Prawdziwego.

– Jejku, to super.

– No właśnie.

Mam nadzieję, że moje dziecko nie marzy o miniaturowym koniu, który, poza wielkimi aksamitnymi oczami w falbanie długich rzęs, miałby nam stratować ogródek, nawożąc go regularnie grudami kup.

– Czyli co?

– Strasznie fajnie ma.

– Proszę, tylko nie mów, że chciałabyś konika.

– No, chciałabym...

– Nie ma sprawy, kupię ci konia, pod warunkiem że każdego dnia będziesz zbierać łopata kupy w ogrodzie.

Zapada milczenie, które powinno doprowadzić małą do jedyne go słusznego wniosku, bo nie chciałabym spaść ze złotego podium opatrzonego numerem jeden, na którym mogą stać tylko idealne mamy.

– Może jednak nie?

Uff.

– A kupisz mi coś innego?

- Co tylko zechcesz. Masz jakiś pomysł?
- Nie wiem, może telewizor?
- Przecież masz.
- Ale taki większy.
- Jeśli nie masz innych pomysłów...

Błąd. Okazuje się, że Klara ma dziesiątki pomysłów własnych i skopiowanych od koleżanek – od przyjazdu na uroczystość limuzyną, przez komputer, tablet, telefon, po działkę budowlaną – taki drobiazg, obok paru innych, ma otrzymać siedząca z nią w ławce Karolina.

W strugach deszczu docieramy do przedszkola. Synuś jeszcze śpi, więc idę najpierw po Marysię. Zanim mała się pozbiera, Antek pewnie zdąży się przebudzić i nie powita nas popołudniowym wrzaskiem.

– Szczęść Boże.

Siostra Beata, która zajmuje się dzisiaj najmłodszą grupą, patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Szczęść Boże.

– Przyszłam po Mariannę.

Jej oczy stają się jeszcze bardziej okrągłe niż zazwyczaj, spogląda za siebie, jakby sama usiłowała się w czymś utwierdzić, i wreszcie pełnym przekonania głosem mówi:

– Ale Marysia została już odebrana.

Nic z tego nie rozumiem. Jak to została odebrana? Przecież umawiałam się z Anią, że ja odbiorę dzieciarnię. I wzięłaby tylko Marysię, a Antosia nie?

– Nie rozumiem. Umawiałam się z Anią, że ja odbiorę maluchy.

– No, nie wiem. Tu jej nie ma. Co prawda przyszłam przed chwilą, bo siostra Dominika była z dziećmi cały dzień, ale źle się poczuła i ją zastąpiłam.

Czuję niepokój. Mam przeczucie, że stanie się coś złego, i nie mogę opanować lęku, który przyspiesza mi bicie serca. Rozglądam się po pełnej kolorowych zabawek sali z nadzieją, że gdzieś dojrzę jasną, gęstą kitkę Marianny.

Nigdzie jej nie ma.

– Może poszła do toalety?

– Nie, na pewno ją odebrano. Tak powiedziała siostra Dominika.

Jej słowa w zasadzie przestają do mnie docierać. Wkładam rękę do torebki i jestem zaskoczona tym, że nie muszę szukać telefonu, sam wpada mi w dłoń. Wybieram numer Anki.

Zajęte.

Wybieram jeszcze raz i jeszcze. Walę sygnałami w jej aparat coraz rozpaczliwiej, czekając, aż wreszcie się odezwie.

W końcu.

– Ania, odebrałaś Mariannę?

– Ja? Nie. Pani miała ją odebrać.

– Nie ma jej z tobą? – wrzeszczę do telefonu, nie zważając na to, że zaniepokojone maluchy przyglądają mi się ze zdziwieniem.

– Nie. O co chodzi?

– Nie ma jej w przedszkolu!

– Jak to?

– Podobno ktoś ją odebrał!

– Ale dlaczego ja miałabym to robić? Nic nie rozumiem.

– Boże, ja też. Kto mógł ją zabrać?

– No, nie wiem, może pani Ola albo Magda?

– Nic mi nie mówiły.

Rozłączam się bez pożegnania. Ręce tak mi drżą, że mam problem z wybraniem numeru. Nie trafiam w ikonkę „Magda”, wybieram numer poniżej. Rozłączam się i klnę, że tak długo trwa gubienie sygnału. Cholera. Szybciej.

Wreszcie. Wolne. Jedno piknięcie, drugie, trzecie i nic. Cholera, Magda, odbierz! Sześć, siedem i sekretarka.

Kurwa.

Przechodzę po wstrętnej beżowo-szarej wykładzinie na drugi koniec korytarza i powtarzam próbę trafienia w klawiaturę, tym razem licząc, że usłyszę teściową.

Oczywiście odbiera po pierwszym sygnale.

– Nina?

– Jest u teściowej Marysia?

– Nie przywitasz się?

Ja pierdołę, jeszcze mam zaliczać musztrę z dobrego zachowania!

– Dzień dobry, czy jest tam Marysia?

– A dlaczego pytasz?

Oszaleję z tym babskiem, przecież nie z ciekawości! Czy ona nie czuje, że dzieje się coś złego, niezwykłego, przecież nie co dzień, ba, nigdy nie dzwonię z takim pytaniem, w zasadzie z żadnym pytaniem.

Słyszę, że ktoś wbija się w rozmowę. Odsuwam telefon od ucha – Magda. Chryste, muszę skończyć tę idiotyczną wymianę zdań i odebrać.

– Gdzieś zginęła.

– Zgubiłaś dziecko?

– Kurwa, jest czy nie?

– Nie, ale uważam, że powinnaś miarkować...

Klik.

Niech spada. Wciskam guzik z pulsującą zieloną słuchawką.

– Halo.

Magda zdążyła się rozłączyć. Dzwonię do niej jeszcze raz. Zajęte. Cholera. Wybieram znowu, ale jednocześnie dzwoni ona.

– Magda.

– No, hej.

– Jest z tobą Marysia?

– Marysia? Ze mną? Nie. A dlaczego miałyby być?

– Bo nie ma jej w przedszkolu, ktoś ją odebrał!

– Kto?

– Nie wiem!

– Nie panikuj, to musi być jakieś nieporozumienie. Może jest w innej grupie albo poszła do Antosia...

– Myślisz?

– Zobacz...

Rozłączam się, sadzam Klarę na sosnowej ławce pod różańcem zrobionym z bibułowych serduszek przyszpilonych do korkowej tablicy jak Jezus do krzyża.

– Poczekaj tu na mnie i nie ruszaj się.

Biegnę do żłobka. Antoś jeszcze śpi, podobnie jak większość dzieci. Maryski nigdzie nie widzę.

– Jest tu Marysia?

Młoda siostra w habicie w kwiatki i szarym długim fartuszką patrzy na mnie bezmyślnie, a jej twarz nie zdradza żadnych emocji.



- Marysia?
- Siostra Antosia!
- Nie, skąd.
- Nie było jej tutaj?
- Nie. Coś się stało?

Nie mam czasu i ochoty na tłumaczenie. Biegnę z powrotem do siostry Beaty.

- Kto ją odebrał?
- Nie wiem, nie było mnie tu.
- To proszę zawołać siostrę, która była!
- Ale nie mogę zostawić dzieci samych.
- Ja tu zostanę i ich popilnuję, tylko niech siostra już idzie.

Dzieciaki, jakby przeczuwały nadchodzącą burzę, siedzą cicho i zajmują się sobą. Minuty wloką się niemiłosiernie, a sióstr jak nie było, tak nie ma. Wyglądam na korytarz. Klara skubie jedno z czerwonych serduszek. Na mój widok gwałtownie wypuszcza z rąk bibułę i robi minkę jakby nigdy nic, poprawiając się na ławce. Wzruszam ramionami i macham ręką, że jeszcze chwilę to zajmie.

Dzieciaki nadal się bawią, tym razem zbite w mały tłumek wokół drewnianych klocków, i co rusz zerkają niepewnie w moją stronę. Mam nadzieję, że nie zaczną ryczeć, jednak nie potrafię wykrzesać z siebie siły, by do nich zagadać.

Nareszcie. Drzwi prowadzące do zakonu się otwierają i pojawia się w nich, obok siostry Beaty, druga młoda kobieta, która najwyraźniej usiłuje upchnąć pod welonem wysuwające się niesforne kosmyki. Jest obrażona i zła, że ktoś ją wyrwał z pościeli.

- O co chodzi?

Nie pada ani dzień dobry, ani szczęść Boże, a z oczu raczej nie wyczytuję uduchowionego stanu umysłu.

- To ja pytam, o co chodzi! Gdzie jest moje dziecko?
- Zostało odebrane.
- Przez kogo?
- Przez ojca.
- Jakiego ojca? ONA NIE MA OJCA!
- Jak to nie ma, skoro był tu dzisiaj?

- Nie rozumie siostra, co mówię? Jej ojciec nie żyje!
- Jak to nie żyje, skoro tu był?
- Jak wyglądał?
- Zwyczajnie.
- Czyli jak?
- No, nie wiem.

Smarkula nawet nie poczuwa się do odpowiedzialności, o winie nie wspominając. Patrzy na mnie wyzywająco, zupełnie jakby wiedziała o mojej rodzinie więcej niż ja.

- Jak?!
- Jezu, niech pani nie krzyczy!
- A siostra nie wzywa imienia Bożego nadaremno i mi tu z Jezusem nie wyjeżdża, tylko mówi, jak gość wyglądał!
- Średniego wzrostu, raczej chudy.
- Młody?
- Nie wiem.
- Przecież go widziałaś! – Jestem tak wkurwiona, że już jesteśmy na ty.

– Około czterdziestoletni? – mówi niepewnie, szukając pomocy u drugiej siostry.

- Jasny? Ciemny?
- Czapkę miał, to nie widziałam.

Kolejne, co mi przychodzi do głowy, to zapytać, czy pachniał majerankiem i rozmarynem i czy zauważyła ziemię pod paznokciami. Domyślam się, że bydlak Henryk mści się za nasze ostatnie spotkanie.

- A nie był to ojciec innego dziecka?
- Eee, no chyba nie.
- Nie wie siostra, komu wydała dziecko?!
- Jak to nie wiem!

Teraz to ona zaczyna krzyczeć, a wystraszone dzieciaki wrzeszczą wniebogłosy, któreś zaczęło płakać.

- Ojcu wydałam – mówi twardo.
- Trzeba być kompletną kretynką! Jedyne osoby upoważnione do odbioru dzieci są opiekunka Ania, ciotka dzieci i ja! Więc jakim prawem pozwoliła siostra komuś obcemu ją zabrać?!

Myślę, że migrena szybko jej mija wypychana przez niepewność, która zaczyna pukać do tego pustego i wyczerpanego z codziennych kłopotów i spraw mózgu.

– Może to był ojciec innego dziecka? – powtarzam.

– Nie, chyba nie, sama nie wiem.

Nagle okazuje się, że tylko mi przysługuje prawo do krzyku.

Siostry dochodzą do wniosku, że jednak coś jest nie tak.

– Idę do siostry przełożonej.

W zasadzie nie muszę ruszać się z miejsca, bo zwabiona krzykami siostra Rafaela pojawia się za moimi plecami.

– Szczęść Boże, co się stało?

– Szczęść Boże. Nie ma Marysi. – Oskarżycielsko wskazuję palcem na coraz bardziej wystraszoną siostrę. – Siostra komuś ją wydała i sama nie wie komu.

– To prawda?

– W zasadzie i tak, i nie.

– Nie rozumiem.

– Odebrał ją ojciec.

– Marysia nie ma ojca.

– Nie wiedziałam...

Zaczyna się trząść i mam wrażenie, że rozpłacze się jak małe dziecko.

– Jak mogła siostra nie wiedzieć! Wszystko jest w dokumentacji. Chociaż wylegitymowała go siostra?

– No, nie.

Boże, co teraz? Marysia może być wszędzie. Na każdej ulicy miasta, w każdym domu do niej przyklejonym, w każdym mieszkaniu w kamienicach i blokach. Może ktoś ją już wywiózł, a może jest gdzieś prowadzona w las, na ogródki działkowe...

Nogi tak mi się trzęsą, że muszę się oprzeć o ścianę.

– Mamo, mam, co się stało? – Niespodziewanie Klara chwytam mnie za rękę. Zupełnie o niej zapomniałam. – Źle się czujesz?

– Nie, ale ktoś odebrał Marysię i nie wiemy kto.

– Ale znajdzie się?

– Tak, kochanie, oczywiście. – Przytulam ją i poklepuję po

chudych plecach. – Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze.  
Zobaczysz.

Sama nie wierzę w to, co mówię. Nie wiem, co zrobię, jak mała się nie znajdzie. Ponownie wybieram numer Magdy i błagam, żeby przyjechała po dzieci. Póki co zabieram Klarę ze sobą do gabinetu siostry przełożonej i pozwalam, żeby przysłuchiwała się kolejnym telefonom do rodziców z przedszkola.

– Szczęść Boże.

– ....

– Mówi siostra Rafaela. Czy odebrali państwo Marysię Braun?

– ....

– Nie, nie, nic się nie stało, tylko myśleliśmy, że może poszła z Klaudią do państwa się pobawić.

– ....

– Nie, naprawdę nic się nie dzieje. Z Bogiem.

I tak przez kolejnych kilkanaście minut. Zmieniają się tylko imiona dzieci, odpowiedź rodziców jest zawsze taka sama: nie!

Dzwonię do domu z nadzieją, że jakimś cudem Mary się tam teleportowała. Nieznośnie długie trzy sygnały, kolejne dwa i wreszcie słyszę Ankę.

– Halo.

– Jest z tobą Marysia?

– Nie. Jednak coś się stało?

Jej podejrzliwy ton mnie drażni, a odpowiedź, której niestety się spodziewałam, odbiera resztki wiary w cuda.

– Zaginęła.

– Marysia?

– Ktoś odebrał ją z przedszkola, nie wiadomo kto i dlaczego. Masz może jakiś pomysł?

– Chryste, nie.

Niemal widzę, jak wszystko wyolbrzymiająca i przeżywająca Ania błędnie, a strach ją paraliżuje.

– Mam przyjechać?

– Nie, siedź w domu. Gdyby się pojawiła, dasz mi znać.

– Ale ja...

- Ania, zostań w chacie!
- Jest pani pewna?
- Tak. Zadzwoń, jak coś się wyjaśni.

Nareszcie pojawia się Magda. Wpada do gabinetu z rozwianym włosom niczym zła czarownica i niezmiernym widokiem sióstr krzyczy od drzwi:

- Jest?!
- Nie.
- Przecież się nie rozpłynęła.
- Podobno jakiś facet ją odebrał.
- Facet?
- Przedstawił się jako tatuś!
- I co, to wystarczyło, żeby jakaś idiotka wydała mu dziecko?
- Proszę nie obrażać siostry Dominiki.

Magda nie jest osobą, która liczy do dziesięciu, żeby się uspokoić; lont jej gniewu potrafi się zapalić pod wpływem ciężkiego spojrzenia. Na miejscu sióstr raczej bym zwarła pośladki, a nie domagała się uprzejmego wyrażania emocji.

– Obrażam? Ja kogoś obrażam, chyba pani żartuje? Nazywam rzeczy po imieniu, nic więcej. Trzeba być skrzyżowaniem kretyna z idiotą, żeby wydać dzieciaka nieznannej osobie! Co wy sobie wyobrażacie...

- Magda, daj spokój, to w niczym nie pomoże!
- Dzwoniłaś na policję?
- Jeszcze nie.
- To na co czekasz?!

Magda, nie przerywając tyrady, wygrzebuje z torebki telefon i wybiera numer.

- Magda, poczekaj.
- Nie ma na co czekać, halo, policja... chciałabym zgłosić zaginięcie dziecka... gdzie na komendę? No, jeśli nie da rady inaczej, za chwilę będziemy.
- Magda, jest jeszcze kilku rodziców do obdzwonienia.
- A mają siostry monitoring? Chyba przy furcie widziałam kamerę.
- Nie, to tylko atrapa.

– A widziały siostry, dokąd ten koleś poszedł?

– Proszę pani, my tu się nie zajmujemy obserwowaniem ludzi, tylko pilnowaniem i wychowywaniem dzieci! – Siostra Dominika na chwilę odzyskuje rezon, najwyraźniej nie odpowiada jej postawa i sposób bycia Magdy.

– Właśnie widzę!

Zastanawiam się, jakim sposobem mała w ogóle z kimś poszła. Po śmierci Joanny stała się tak nieufna i wycofana, że raczej nie dałaby się zabrać nikomu obcemu. Czy to znaczy, że go znała?

– Jakim cudem poszła z kimś obcym, nie bała się?

– Nie, nie sprawiała takiego wrażenia, dlatego byłam pewna, że to jej ojciec.

– Tak po prostu dała się ubrać i wyszła?

– Tak po prostu.

Oczywiście kolejni rodzice nie zabrali Marysi do swojego domu, siostry nie przyjrzały się rzekomemu ojcu, a ja czuję, jak wszystko we mnie pulsuje. Biegniemy jeszcze raz przeszukać przedszkolne pomieszczenia, zewnętrzny plac zabaw i ogród. Zaglądamy za każdy krzak. Nic. Nic. Nic.

Każda minuta oddala mnie od małej. Spoglądam na jej zupełnie pustą szafkę, w której rano wisiała granatowa kurtka, niemal ją widzę. Czuję się, jakbym została okradziona. Zniknęła cienka błękitna czapeczka, worek na gimnastykę i... papcie. Po co ktoś zabierał papcie?

Oddycham coraz szybciej, a różne wizje przepływają mi przez głowę. Widzę przerażone oczy małej. Niemal fizycznie czuję jej lęk. I choć bardzo nie chcę, obraz jej zaklejonej taśmą buzi albo, dla odmiany, zmaltretowanego ciała w lesie dopada mnie z niezwykłą siłą.

Czuję, jak rozpada się moje własne ciało, umysł się od niego oddziela. Panika i bezradność. Gdzie mam jej szukać? W mieście jest tyle ulic, domów, mieszkań. Może być wszędzie, może być w drodze do innego miasta. Może to ktoś z rodziny Joanny? Dlaczego? Babcia nie kontaktowała się z nami od tygodni, poza tym Aśka nie ma zbyt dużej rodziny, przynajmniej ja jej nie poznałam. Natarczywa myśl, że to jednak Henryk, sprawia, że nie kontrolując emocji, wybieram jego numer i wrzeszczę do słuchawki:

– Gdzie ona jest? Gadaj, gdzie ją zabrałeś?!

– Cześć, jeszcze nie masz dosyć?

Spokój i satysfakcja, która niczym kolec wystaje z mikrofonu, przebija balon moich uczuć. Czuję, jak łzy napływają mi do oczu, i żadna siła nie jest w stanie ich powstrzymać. Jestem absolutnie bezradna. Nie mam pojęcia, co powinno się w takiej sytuacji zrobić. Mała jest gdzieś niedaleko, a ja nie potrafię przebić się myślą i wzrokiem przez ściany, by ją dostrzec.

– Przestań, proszę. – Głośno pociągam nosem i choć za wszelką cenę próbuję ukryć emocje, głos mnie zdradza.

– Teraz będziesz mi tu płakać, mogłaś pomyśleć wcześniej.

– Powiedz mi tylko, czy Marysia jest z tobą.

– Nie mam ci nic do powiedzenia! I nie dzwoń więcej.

Klik.

Jestem jeszcze bardziej samotna i odarta ze wszystkiego, a beżowa wykładzina w maziare przywodzi na myśl jeden wielki zakurzony rzyg.

– I co, jest u niego?

Magda z taką intensywnością wpatruje się w moje oczy, że odwracam wzrok, bo nie jestem w stanie wytrzymać jej spojrzenia. Ostatnie łzy spływają mi po policzkach, bo nagle zdaję sobie sprawę, że muszę działać, nie mogę teraz pozwolić sobie na słabość i że od moich kroków zależy szybkie odnalezienie małej.

– Co teraz? – Nagle do siostry przełożonej dociera powaga sytuacji. Wstaje od biurka i nerwowo zaczyna dreptać między wielkim zielonym fikusem zajmującym połowę pokoju a oknem. – Co teraz?

Jestem na nie tak wściekła, że nie potrafię wykrzesać z siebie odrobiny zrozumienia dla ich życiowej filozofii pobożnego odklejenia od rzeczywistości.

– To ja pytam, co teraz? Co zamierzacie zrobić? Jak chcecie odnaleźć Marysię?! – krzyczę i wymachuję rękoma, nie zważając na to, że ktoś na korytarzu może nas usłyszeć.

Najwyraźniej do sióstr również to dociera, z tą różnicą, że one mają z tym problem.

– Proszę ciszej... Jeszcze ktoś nas usłyszy.

– Słucham? Ciszej? Nie zamierzam być cicho! Nie zamierzam

krzyczeć szeptem! Niech wszyscy wiedzą, co się tu stało.

Nagły przebłysk radosnej koncepcji budzi z letargu dotychczas milczącą siostrę Dominikę.

– Może ksiądz ogłosi z ambony?

Patrzę na nią w osłupieniu.

– Co ogłosi?

– No, że ktoś się pomylił i odebrał nie swoje dziecko z przedszkola.

– Pomylił?! Pomylić to można czapki w szatni, a nie dzieci. Czy siostra naprawdę nic nie rozumie?

Nie dziwota, że takie tępaki garną się do zakonu, w którym ktoś za nie myśli, przewiduje przyszłość, karmi i ubiera. Ignorancja czyni ją życiową kaleką niezdolną do założenia własnej rodziny, a jedynym oblubieńcem, który ze stoickim spokojem może to znieść, jest Jezus.

Magda przejmuje dowodzenie i zaczyna wydawać polecenia:

– Niech siostry się pakują, jedziemy na komisariat.

Na Rafaelę pada cień strachu, ciężko siada za biurkiem, spogląda na nas z dołu, co najwyraźniej po chwili uznaje za złą pozycję, więc ponownie wstaje, krzyżuje ręce w obronnej postawie i oświadcza, że nie widzi takiej potrzeby, czym rozjusza mnie do imentu.

– Nie obchodzą mnie siostry potrzeby i widzenia. Zostaniecie przesłuchane i zrobię wszystko, żeby nastąpiło to jak najszybciej. Jeśli wolicie wizytę policjantów w przedszkolu, to zaraz po nich dzwonię.

Odwracam się na pięcie z zamiarem opuszczenia pokoju, gdy siostra Dominika, dziecko lat nieomal dwudziestu, zaczyna cicho płakać.

– Ja nigdzie nie pojedę, niech im siostra powie! Ja nigdzie nie chcę jechać.

– Oczywiście. Nie możemy jechać, bo ktoś musi się zająć dziećmi.

– Jeśli dobrze zauważyłam, jest was tu cała zgraja, więc niech siostra załatwia zastępstwo i sugerowałabym zagęszczenie ruchów.

– To nie jest takie proste.

– To zależy tylko od siostry. Nina, dzwoń na policję, że mamy podejrzaną.

Tymczasem siostra Dominika chwyta przełożoną za łokieć, usiłując zwrócić na siebie uwagę. Ta, sama przerażona jak chory na



widok śmierci, wzdyga się i nic nie mówiąc, otwiera szafę. Nie wiem, co w niej trzyma, ale mam nadzieję, że płaszcz.

Rzeczywiście, zdejmuje proste czarne palto ze starego drewnianego wieszaka. Robi to powoli i wkłada na siebie dystygowanym ruchem ślimaczej królowej, jakby chciała odsunąć od siebie czas. Zbiera się jak Maria Antonina na szafot.

– Idź do dzieci.

– Jak to, przecież jedzie razem z nami! Dalej, ubieraj się.

– Nie zgadzam się.

– Nie ma siostra nic do gadania, to siostra Dominika wydała dziecko, niech opisz komu i na jakiej podstawie. Przecież i tak nie uniknie przesłuchania, więc im szybciej będzie miała to za sobą, tym lepiej, prawda?

W tym momencie otwierają się sosnowe drzwi, zza których wypada blada, przerażona Ania. Zielona taksówka zaparkowała po drugiej stronie ulicy, tuż przed wjazdem do garażu sąsiada. Zaraz za nią pojawiają się dwie zaniepokojone matki, które zamiast po dzieci udają się prosto do gabinetu siostry przełożonej. W jednej z nich rozpoznaję mamę Krzysia z grupy maluszków. Otwarte drzwi nie są w stanie ukryć stanu alarmowego, co najwyraźniej wzmagą ciekawość obu kobiet. Pewnie plotka zaczyna się rozprzestrzeniać jak wirus wśród przedszkolnej społeczności.

– Szczęść Boże.

Nawet nie wiedzą, jak bardzo to szczęście jest nam potrzebne.

– Szczęść Boże, właśnie wychodzimy.

Siostry, zdopingowane narastającym zainteresowaniem matek, usiłują przemknąć się do drzwi wyjściowych. Jednak zdeterminowane kobiety stają im na drodze i nie pozwalają się wyminąć, domagając się wyjaśnień.

– Co się stało?

– Nic takiego, proszę się nie niepokoić – mówi, siląc się na spokój Rafaela.

Gdyby oburzenie potrafiło się zmaterializować, walnęłoby ją twardą pięścią po głowie.

– Kurwa, jak to nic?! – nie wytrzymuje Magda. – Wydałyście

dziecko jakiemuś facetowi! Marysia zniknęła, a wy macie czelność mówić, że nic się nie stało! Módlcie się, żebyście nie poszły za to siedzieć!

– Boże! Nic nie wiedziałyśmy – wykrzykują matki.

– Zdaje się, że siostry chciałyby utrzymać to w tajemnicy.

– Skandal.

– To mało powiedziane!

– Przecież trzeba powiadomić wszystkich rodziców i opowiedzieć, co się stało. Może ktoś coś widział?

– Mam prośbę, Czy mogłaby się pani tym zająć?

– Oczywiście. Mam pani numer, będę dzwonić, gdyby coś się wyjaśniło.

– Będę zobowiązana. Jedziemy na komendę.

Pamiętam, jak bardzo byłam niechętna zbieraniu kontaktów do rodziców na pierwszym spotkaniu. Obawiałam się telefonów w banalnych sprawach, którymi tak lubią się przejmować młode matki, a które mnie nie zatrzymują w biegu. Teraz doceniam to, że każdy dysponuje kartką ze spisem telefonów. Będzie łatwiej się skontaktować.

Klara, przez cały czas wklejona w moje biodro, na widok Ani zalewa się łzami i biegnie prosto w jej jasną kurtkę, na której zostawia wyraźne ślady łez. Widzę, że Anka sama toczy bój z gulami, które produkuje jej gardło. Obejmuje małą, całuje ją w czubek głowy i po chwili odchodzą razem, żeby ubierać Antosia.

Magdzie idzie dym z nosa i niczym kapo pogania do samochodu nieszczęsne kobiety, którym nagle włączyło się myślenie. Szkoda tylko, że w zupełnie innym obszarze niż można by się spodziewać. Bynajmniej nie zajmuje ich los małej, całkowicie skupiają się na tym, co może je czekać po przesłuchaniu.

– Myśli siostra, że nas aresztują?

Dominice trzęsie się broda jak dzieciakowi w piaskownicy, a naturalna bladość przechodzi w zieleń podbitą sinością.

– Nie, na pewno nie.

– Ale jeżeli...

– Niech siostra się modli, to wszystko będzie dobrze.

– No, ale...

– Siostrzo Dominiko, biskup nie pozwoli na taką niesprawiedliwość.

Nie sądzę, by biskup dysponował świętym oleum, które wróciłyby tym istotom mózgi, ale rzeszą prawników już pewnie tak. Przygryzam dolną wargę i skupiam się na drodze. Gdybym mogła, wlałabym im obu. Za to ateistka Magda, na której habity i krzyże nie robią wrażenia, nie krępuje się i głosi autorską ewangelię:

– Co za idiotki. Nie sądziłam, że modlitwa może aż tak odbierać rozum. Siedzi toto w kościele i zajmuje się tylko sobą. Nie rozumiem...

– Daj spokój, twoje gadanie niczego nie zmieni.

Zakonnice, skulone na tylnej kanapie, przesuwiają w dłoniach koraliki różańca. Nie wiem, w jakiej intencji wznoszą modły, ale dałabym wszystko, żeby Bóg, czy ten ktoś, kto nad nami czuwa, wysłuchał mojego lamentu i oddał mi Marysię.

Jak na złość wpadamy w zwyczajny o tej porze korek. Łamię chyba wszystkie przepisy, wciskając się między samochody, lawirując w wąskich uliczkach i w końcu nawet jadąc pod prąd.

Oczywiście pod komendą nie ma wolnych miejsc, a policyjny parking straszy tabliczkami z obrazkiem odholowywanego samochodu. Jeszcze raz objeżdżam kwartał z nadzieją, że ktoś sobie pojedzie, jednak nie mam szczęścia. Wreszcie podejmuję męską decyzję, z impetem wjeżdżam na parking tuż przed schodami do budynku i zaciągam hamulec. Wsiadamy. To znaczy ja i Magda, bo siostry twardo siedzą i nie kwapią się do wyjścia.

– Dalej, idziemy – poganiam dwie flegmy, które nagle mają po osiemdziesiąt lat.

Nie idą, tylko szurają w kierunku schodów, zgarbione, ze spuszczoneymi głowami, jak dzieciaki przyłapane na paleniu papierosów.

– Tu nie wolno parkować. Proszę odjechać. – Na szczycie schodów pojawia się gruby policjant, który stara się wyglądać groźnie, a prezentuje się żałośnie w zwisających na zadku zbyt małych spodniach.

Siostry z nadzieją w oczach wbijają stopy w chodnik i najwyraźniej mają ochotę zawrócić, natomiast Magda, nie zważając na pokrzykiwania gościa w ciemnym mundurze, wbiega na górę. W obawie, że zakonnice skorzystają z okazji i zwieją, idę za nimi, co chwilę poganiając.

– Tu nie wolno parkować. Dostaną panie mandat – zgrzytliwym głosem policjant usiłuje przywołać do porządku dziwny pochód czterech kobiet, z których dwie sprawiają wrażenie, jakby zostały uprowadzone i były trzymane na muszce pistoletu.

– Niech pan wypisuje mandat, odholuje wóz czy cokolwiek.  
Dziecko zginęło.

Spogląda na nas małymi oczkami ukrytymi za okrągłymi okularami, które nadają jego nalanej twarzy i pozbawionej szyi głowie wygląd cyrkowej foki w okularach namalowanych na skórze. Dodaje sobie ważności, stając za wysokim kontuarem w recepcji, i służbowym tonem zagaja na inną nutę:

- Słucham, co się stało.
- Zaginęło dziecko.
- Zgubiło się?
- Nie, zostało uprowadzone.

Siostra przełożona sztywnieje, prostuje się i patrząc mi prosto w oczy, niespodziewanie dorzuca swoje trzy grosze:

- Odebrane przez ojca.

Twardo stawia swój pogląd na temat zdarzenia, niczym kubek z parującą kawą na blacie biurka, zakładając, że osobie w habicie wierzy się bardziej. Rzeczywiście, oficer z zadowoleniem podchwytuje jej sugestię i obwieszcza:

- Czyli porwanie rodzicielskie. To się często zdarza.
- Żadne porwanie rodzicielskie, Marysia nie ma ojca.
- Każdy ma ojca, proszę pani – poucza mnie z pełnym zadowoleniem wynikającym z pełnionej funkcji i władzy, jaką teoretycznie posiada, wywołując tym nieznaczny uśmiezek na twarzy młodszej zakonnicy.

– A nie mówiłam? – Dominika szturcha łokciem siostrę przełożoną, zupełnie jakby nie czuła powagi sytuacji i ciężaru całego zdarzenia.

- Ojciec Marysi nie żyje.
- Wszystkie tak mówicie. – Oficer niespiesznie chwyta słuchawkę i wystukuje numer. – Proszę usiąść i poczekać.

Brak emocji i ślimacze przesuwanie się po kolejnych punktach

procedury doprowadzają mnie do szafu. Dochodzę do wniosku, że im mniej będę z nim rozmawiać i siać ziarna, które on skrupulatnie będzie zbierać i przetwarzać nielicznymi szarymi komórkami, tym lepiej.

– Jest tam Robert? Zaginięcie dziecka... Tak, czekają. Dobra. – Rzuca słuchawkę, informuje nas, że mamy poczekać na jego kolegę, i już zwraca się do niskiego facecika, który właśnie wpadł przez przeszklone drzwi.

– Szybko, kradną samochód.

Naiwniak myśli, że „szybko” i „kradną” stanowią jakieś wytrychy, które na skrótty przepchną go przez procedury opracowane na tego typu okoliczności.

– Proszę spokojnie powiedzieć, co się stało.

– Panie, jakie spokojnie! Kradną mi samochód, tu za rogiem!

– Jest pan pewien?

– Kurwa, no jestem, wybili szybę!

– Proszę nie obrażać władzy. – I znowu w rękę pojawia się telefoniczna słuchawka, wystukiwany jest numer i tym razem po dłuższej chwili słuchawka wędruje na widełki i kolejny raz gruby paluch wystukuje numer. – Halo... witam... tak... kradzież.

Złodzieje, którzy działają w oparciu o jedną krótką zasadę: szybko, nie tylko zdążą odjechać samochodem, ale jeszcze w dziupli pociąć go na kawałki, zanim ktoś tu zareaguje. Do podobnego wniosku dochodzi niski człowieczek, który ciągnąc za sobą tren przekleństw, wypada z posterunku.

Szklane drzwi w oprawie granatowej ciężkiej ramy otwierają się i podchodzi do nas policjantka wyglądająca na licealistkę. Jestem przerażona. To dziecko ma odnaleźć Marysię? Przecież ona nie wygląda na kogoś, kto wie coś o życiu, zasadkach i śledzeniu. Na plakietce odczytuję jej nazwisko, Pająk, i pierwszą literkę imienia: T. Jakie żeńskie imię zaczyna się na T? Mój umysł usiłuje wyhamować emocje, zatrzymując się na tym głupim T. Tosia? Jest w ogóle takie imię? Może Teresa? Teodozja?

– Zapraszam.

Biegnę za nią korytarzem i krętymi schodami, zastanawiając się nad tym cholernym T. Ze zdziwieniem stwierdzam, że dotrzymanie jej

kroku mnie zmęczyło. Nawet Magi, która na niebotycznie wysokich szpilkach biegnie tuż za mną, się zasapała. Za nami suną siostry.

Dziewczyna otwiera drzwi pokoju, w którym siedzi dwóch policjantów.

– Tekla Pająk.

Najwyraźniej rodzice już od chwili narodzin jej nie lubili.

– Co się stało?

– Siostry oddały dziecko facetowi, który się podał za ojca.

– Powiedział przecież, że jest ojcem. – Dominika nie daje za wygraną i idzie w zaparte, jakby nie docierało do niej, że do jej obowiązków należy sprawdzenie tożsamości osoby, której nie zna.

– Powoli. Czyli to rodzicielskie uprowadzenie.

– Nie.

Nieświadomie podnoszę głos, przyciągając spojrzenia dwóch policjantów siedzących za biurkami. Obaj przysłuchują się rozmowie i lustrują mnie od butów w górę. Czuję się jak na przesłuchaniu i jeszcze chwila, a zacznę się ich bać.

– Przepraszam, ale mam dosyć powtarzania w kółko tego samego. Ojciec Marysi nie żyje, zginął w wypadku, więc nie mógł odebrać jej z przedszkola.

– Czyli to zwykłe uprowadzenie.

– Nie wiem, czym się cechuje zwykłe uprowadzenie, a czym niezwykle, ale moje dziecko zniknęło.

Bardzo pracuję nad tym, by powstrzymać łzy, jednak cholery cisną się do oczu jak mrówki do ogryzka i po chwili mój i tak mocno rozmyty makijaż spływa do końca. Najwyraźniej nie jestem pierwszą, która zalewa się tu strumieniem łez, bo od razu w moich rękach ląduje duże opakowanie chusteczek, wciśnięte przez policjantkę.

– Macie, panie, jakieś dokumenty?

My tak, siostry nie. Policjantka spisuje dane z dowodów, zakonnicę pyta o nazwiska, pesele etc., nadzwyczaj sprawnie wklepując je do komputera. Teraz okazuje się, że Rafaela to zwyczajna Iwona, a Dominika to Sandra, co w moim odczuciu – i w obliczu wspomnień dwóch wyjątkowych koleżanek ze szkoły o tym samym imieniu i na tym samym poziomie umysłowego ograniczenia – tłumaczy jej tępotę.

– Jak do tego doszło?

– Mała była w przedszkolu. Gdy po nią przyjechałam, siostra, która opiekowała się grupą maluchów, poinformowała mnie, że ojciec ją odebrał. Tylko że ona nie ma ojca! – Oskarżycielsko patrzę na zakonnice, które na powrót kulą się ze strachu.

– My nic nie zrobiłyśmy.

– Właśnie! Nic nie zrobiłyście, żeby temu zapobiec.

– Ja naprawdę nie wiedziałam...

Policjanci patrzą na nas w oszołomieniu, a ja czuję, jak narasta we mnie szal i zaczyna wirować niczym trąba powietrzna, nie zważając na miejsce, okoliczności i ludzi. Liczenie do dziesięciu nie pomaga, myślenie o pieprzonej literce T nie działa, mam ochotę dopaść im do gardeł!

– To trzeba się było dowiedzieć!

– Ale ja tu jestem dopiero od kilku dni.

– Co mnie to obchodzi?!

– Drogie panie, proszę się uspokoić. Nerwy tu nic nie wnoszą.

Siedzę na krześle obitym czarnym skajem i usiłuję wziąć się w garść, jednak poza paniką i złością nic nie czuję.

– Skąd ten mężczyzna odebrał dziecko?

– Z przedszkola sióstr przy klasztorze obok kościoła pod wezwaniem Maryi Matki Pięknej Miłości.

– O której?

– Nie wiem, siostra Dominika ją wypuściła.

Dominika przełyka głośno ślinę i szuka ratunku u siostry przełożonej, która zmienia taktykę i zamiast złości promienieje świetlistą życzliwością do świata.

– Oczywiście. To, co się stało, to prawdziwe nieszczęście, ale przecież jesteśmy tu, by pomóc i wyjaśnić. – Teatralnie składa ręce, ukazując przy okazji mały złoty zegarek na wytartym czarnym pasku, i przybiera bogobojny wyraz twarzy. Dostojności jednak ujmuje jej granatowy habit w delikatne białe kwiatki i siostra Dominika, która teraz klepie ją po ramieniu i cieniutkim głosem stwierdza:

– Nic nie powiem bez adwokata.

Policjanci patrzą na nią jak na zjawisko z zupełnie innej, odległej

galaktyki. Naiwne dziecko naoglądało się filmów i teraz usiłuje odgrywać Nicole Kidman.

– Dziecko, nie przesadzaj. – Przełożona patrzy na nią ni to z podziwem, ni to z nadzieją, jednak konsekwentnie gra rolę dobrodziejki. – Nic ci nie grozi, a musimy pomóc w nieszczęściu.

– Do którego same się przyczyniłyście.

Magda nie może opanować złości. Bębni długimi czerwonymi paznokciami w blat biurka, czym doprowadza wszystkich do furii. Najbardziej siostrę przełożoną, którą najwyraźniej wyprowadza to z równowagi.

– Czy może pani przestać?

– Nie.

Moja przyjaciółka chyba nie zamierza odpuszczać i woli dalej grać na nerwach wyciszonej modlitwami kobiety, jednak groźne spojrzenie policjanta siedzącego pod oknem osadza ją niczym rumaka w galopie.

– Więc o której Marysia została odebrana?

– Nie wiem.

– Jak to nie wie siostra? – Policjantka najwyraźniej nie takiej odpowiedzi się spodziewała, bo patrzy na zakonnicę uważnie, bierze z biurka gruby notes, staje nad nią i dobitnym głosem, który nie pasuje do jej młodego wieku i dziecięcego wyglądu, oznajmia: – Nie będziemy się tak bawiły. Od teraz odpowiada pani na każde moje pytanie szybko i szczegółowo. Jeśli faktycznie zaginęło dziecko, nie mamy na co czekać. Zapytam jeszcze raz: o której?

– Nie wiem.

– Ale mniej więcej chyba siostra wie.

– No tak między pierwszą a drugą.

– Bardziej pierwszą czy bardziej drugą?

– No, chyba pierwszą, bo właśnie siadaliśmy do obiadu.

– Który jemy o pierwszej trzydzieści – dodaje usłużnie druga zakonnica.

– Czyli najprawdopodobniej około trzynastej trzydzieści, tak?

– Chyba tak.

– Gdzie spotkała pani tego mężczyznę?

– No jak to gdzie? Przyszedł do sali.



- I co było dalej?
  - Powiedział, że jest ojcem Marysi i przyszedł ją odebrać. No to kazałam małej pożegnać się z innymi dziećmi i ubrać.
  - Jak dziecko zareagowało?
  - Na początku to nie za bardzo chciało iść, ale jak ojciec powiedział, że zawiezie ją do mamy, to jakoś się zebrała w sobie i poszła.
  - Jak wyglądał podejrzany?
  - Ja podejrzana? Ale ja nic nie zrobiłam...
  - Pytam, jak wyglądał podejrzany.
  - Aha. Zwyczajnie.
  - Czyli jak? Wiek, kolor włosów, w co był ubrany.
  - Nie jestem pewna. Ciemne włosy. Ale miał czapkę, taką z małym daszkiem.
  - Wysoki?
  - Nie za bardzo, ale też nie niski, raczej chudy.
  - W co był ubrany?
  - Nie wiem. Nie przyglądałam się.
  - Garnitur?
  - Nie, nie. Raczej dżinsy i koszula, choć sama nie wiem.
  - Przyjechał samochodem?
  - Nie wiem, nie wychodziłam, żeby zobaczyć.
  - Wiek?
  - Średni?
- Czy dla dwudziestolatki wiek średni oscyluje między dwadzieścia pięć a trzydzieści? Nie jestem pewna. Najwyraźniej dla Tekli też brzmi to enigmatycznie, bo tak długo draży temat, że w końcu udaje się ustalić wiek mężczyzny na około trzydzieści pięć lat. Ile lat ma Henryk? Wygląda raczej na czterdzieści, wzrost się zgadza, choć nadal nie chcę wierzyć, żeby był w stanie posunąć się do czegoś takiego.
- Co mówił?
  - Nic. Pytał o małą, potem tłumaczył, że zawiezie ją do mamy.
- Zwyczajnie.
- Nie wydał się siostrze podejrzany?
  - Nie. Mój Boże, nie.

– Czy siostra by go rozpoznała?

– Nie jestem pewna.

Świetnie. Jednym słowem, sporo danych. Wykluczyłyśmy dzieci i kobiety oraz staruszków i mamy grupę kilku milionów mężczyzn. OK, wykluczamy niskich, wysokich, blondynów, rudych i grubych, a to znacznie zawęży krąg podejrzanych, który niestety nadal liczy co najmniej siedem cyfr. Jestem przerażona. Jak mamy znaleźć tego jednego?

– Pani Nino, podejrzewa pani kogoś?

– Nie wiem, nie chcę rzucać oskarżeń.

– Musimy sprawdzić wszystko. Jeśli pani kogoś wskaże, tylko to sprawdzimy. Musimy mieć jakiś punkt zaczepienia. Czy ma pani jakichś wrogów?

Nowy samochód czy dom pewnie nie przysparzały mi przyjaciół, ale żeby ktoś od razu chciał zrobić coś takiego? Wróg? Jeśli ktoś myśli o tym, że bym zniknęła, to Wojtek, no, teściowie też nie pałają do mnie miłością, zwolnieni kucharze? Raczej sami odchodzili, a kelnerki? Nie, niemożliwe.

– Wie pani, nie wszyscy nas lubią, to oczywiste.

Nie mam zamiaru opowiadać przy siostrach o swojej przeszłości, grzeszkach i podejrzeniach.

– Czy możemy porozmawiać bez sióstr?

– Oczywiście. Proszę poczekać na korytarzu. Chwilowo są panie wolne.

– To znaczy, że nic nam nie grozi?

– Nic takiego nie powiedziałam, oczywiście konsekwencje będą, ale to temat wtórny. Proszę poczekać na korytarzu, w razie gdybyśmy mieli dodatkowe pytania.

Siostry ciężko wstają z czarnych krzeseł. Nagle posunęły się w latach, przygarbiły, a powaga sytuacji sprawia, że patrzą na mnie współczująco. Mam wrażenie, że po raz pierwszy dociera do nich, że to nie one są najważniejsze.

– Napije się pani wody?

Dopiero słysząc to pytanie, uświadamiam sobie, jak bardzo zaschło mi w ustach. Oczy pieką mnie od łez, a skóra twarzy jest tak ściągnięta,

jakbym wyszła spod prysznic i zapomniała się nakremować. Nie wiem, jak udaje mi się opanować emocje, ale jestem gotowa do walki, do działania, do zabicia gościa, który zagraża mojemu dziecku. Mam zamiar działać merytorycznie, nie emocjonalnie, krok po kroku zbliżyć się do prawdy. Najgorsze uczucia wypływają ze mnie i rozsiadają się u stóp na wykładzinie.

Marysia jest MOIM dzieckiem. Niezwykle intensywne uczucie matczynej miłości zalewa mnie, budząc groźny pomruk lwicy gotowej do skoku.

– Nie, dziękuję. Chciałabym, żebyśmy jak najszybciej zaczęli działać.

Policjanci, którzy dotychczas przysłuchiwali się rozmowie, odwracają krzesła w naszą stronę i zaczynają zadawać pytania o wszystko. Dosłownie.

– Pani jest matką?

– Tak. Ale biologiczną matką była kobieta, która zmarła kilka miesięcy temu. Jestem w trakcie procesu adopcyjnego, ale mała jest przysposobiona. Mieszka ze mną.

– Ojciec?

– Ojcem był mój mąż. Zginął w wypadku rok temu.

– Nie rozumiem.

Policjantka patrzy na mnie jak na lekko dymiący wulkan, zastanawiając się, jakiego koloru lava może z niego wypłynąć.

– Mąż miał kochankę i z nią dziecko. Zmarł on, potem ona, a dziecko zostało ze mną. Proste.

Nikommu z obecnych nie wydaje się to proste, o czym świadczą ich wytrzeszczone oczy i stukot długopisu o blat biurka.

Strach ma to do siebie, że pojawia się nagle jak nieznana nuta aromatu w egzotycznej potrawie, którą w miarę jedzenia czuć coraz wyraźniej i która w końcu zdominowuje całe danie, tak że nie jesteśmy w stanie przełknąć kolejnego kęsa.

– Jest pani pewna, że on był ojcem biologicznym?

– Tak.

Upijam łyk wody, która nie wie kiedy pojawiła się przede mną, i spoglądam na Magdę, a ona nadzwyczaj spokojnie siedzi na

krześle obok i nie wykrzykuje nic o głupocie, nieodpowiedzialności i takich tam.

– Dlaczego pani sprawuje opiekę nad dzieckiem kochanki?

– Dopiero po śmierci męża dowiedziałam się o jej istnieniu.

Okazało się, że byli z sobą od kilku lat i mają czteroletnią córkę. Potem Joanna zachorowała i w zasadzie nie mając rodziny i nikogo, kto mógłby zająć się jej dzieckiem, mnie o to poprosiła. Wszystko stało się kwestią dogadania się.

– Dlaczego się pani zgodziła?

– Bo było mi żal małej.

– Kochanka męża była zamężna?

– Nie.

– A jej dziadkowie, rodzeństwo?

– Rodzeństwa nie ma, ojciec zmarł krótko po niej, a matka mieszka na drugim końcu Polski.

– Czy ostatnio z kimś się pani kłóciła, miała pani jakiś konflikt, ktoś pani groził?

– Niestety chyba tak.

– To znaczy?

– Pojawił się pewien mężczyzna, który bardzo zabiegał o moje względy, ale ja nie byłam zainteresowana.

– I?

– Zaczął się odgrażać, że jeszcze zobaczę... Po fazie miłości stał się nieco agresywny.

Opowiadałam o niefortunnej znajomości z miłym Heniem, dostawcą pietruszki, który urażony moją odmową zmienił się w szakala gotowego zaatakować o każdej porze. O zajściu w knajpie i ostatniej rozmowie sprzed godziny. Podaję dane, numer telefonu, adres firmy, uświadamiając sobie, jak niewiele wiem o Henryku: gdzie mieszka, nawet nie potrafię przypomnieć sobie jego nazwiska.

– Sprawdzimy go. Ktoś jeszcze?

– Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

– Rodzina?

– To w zasadzie rodzina męża. Nie mamy wzorcowych relacji, może nawet się nie znosimy, myślę tu o szwagrze, ale absolutnie nie

podejrzewam ich o coś takiego.

– W co mała była ubrana?

Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. Muszę zadzwonić do Ani. Sporo czasu i dywagacji później udaje nam się dojść do tego, że miała na sobie granatowe džinsy i białą bluzkę z długim rękawkiem i nadrukiem różowego balonika z małymi cekinami. Białe adidas z różowymi sznurówkami i granatową kurtkę z błękitną czapką.

– Zdjęcia?

– Zdjęcia? Nie mam żadnych zdjęć!

Mój spanikowany umysł przegląda cały dom w poszukiwaniu sztywnych, błyszczących kartoników z nadrukiem małej. Nic takiego nie posiadam! Jak to możliwe?

– Co ty gadasz? Przecież masz pełno w komórce. – Magi przeszukuje już pliki w swoim aparacie i prezentuje serię zdjęć małej bawiącej się w piaskownicy w naszym ogrodzie. W kapelusiku i bez, w sukience i śmiesznej spódniczce z setką falbanek.

Przeglądam swój telefon i przesyłam pliki na maila policjantki. Wreszcie udaje nam się wybrać fotkę, na której mała lekko się uśmiecha i patrzy prosto w obiektyw. Zalewa mnie fala wspomnień i tęsknoty, która zdaje się kłuć każdy mięsień ciała. Marysia na zdjęciach jest jak małe, kruche ciasteczko, które chciałoby się schrupać, a jednocześnie chronić pod najszczelniejszym szklanym kloszem.

Nie pozwalam emocjom zaplatać się w mój umysł i skupiam się na odpowiedziach: tak, nie, tak, nie. Robię taki rachunek sumienia i podsumowanie wszystkich postępów i niuansów myśli, jakiego nie dokonałam nigdy wcześniej. No, może z wyjątkiem pierwszej komunii, ale z perspektywy dziecka grzechy były nieco inne.

Okazuje się też, jak mało wiem o innych rodzicach z naszego przedszkola, nic nie wiem o dalszej rodzinie Joanny, nie potrafię odnieść się do jej przeszłości. Nie umiem policji podsunąć nic, poza Henrykiem, co wydawałoby się sensowne.

– A pani kim jest?

Nagle w centrum zainteresowania pojawia się Magda i jej panterka, w której wygląda jak połączenie symbolu seksu z surwiwalowym wyzwaniem.

- Jestem przyjaciółką Niny i ciotką, no, przyszywaną ciotką małej.
- Co pani dziś robiła?

Magi patrzy na policjantkę oburzona, zupełnie jakby miała zamiar skarcić ją za trzymanie łokci na stole podczas posiłku.

– Jak to co robiłam? Medytowałam. Uprawiałam jogę, a potem oczywiście byłam na zakupach.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Tak. Mój kot. Czy o coś mnie podejrzewacie?

– Nie, ale takie są procedury, musimy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności.

– Rozumiem. – Mina Magdy nie świadczy o jakimkolwiek zrozumieniu, jest natomiast coraz bardziej zirytowana.

– Czyli mówi pani, że tylko kot.

– Jaki kot! Nie mam żadnego kota! Przed domem są kamery, to sobie sprawdźcie, że wychodziłam tylko na zakupy, i zabierzcie się raczej do szukania porywacza!

– Właśnie to robimy.

– Jakoś niemrawo. – Magi wydyma ostrzyknięte wypełniaczem usta i prycha jak rozdrażniona i niezadowolona z wyników polowania tygrysica.

– Czy w przedszkolu jest monitoring?

– Nie. Kamery na zewnątrz to podobno atrapy.

– Fatalnie.

– Co teraz?

– Zdjęcie małej zostało już udostępnione wszystkim jednostkom w kraju, wszyscy jej szukają. Zobacz pani, znajdziemy ją.

– Mam nadzieję, że jak najszybciej. Czy mogę jakoś pomóc?

– Proszę jechać do domu i dać nam znać, jeśli jeszcze coś sobie pani przypomni.

– Nie będę w stanie usiedzieć w domu. Oszaleję. Pojadę się przebrać i zaraz tu wracam.

– Nie jest to konieczne, damy pani znać, gdy się czegoś dowiemy.

– Wolę być tutaj. Mogę?

– Oczywiście, ale będziemy prowadzili działania operacyjne w terenie, więc niewiele będzie się tu działo.

– Sama nie wiem... Wolę jednak być tu, na miejscu.

Uświadamiam sobie, że inaczej niż ubranej w panterkowe spodnie Magdzie, moja zwiewna sukienka i wysokie obcasy nie pomogą mi w swobodnym poruszaniu się podczas poszukiwań małej. Nie pasuję do miejsca i czasu, a strojem i dreptaniem za biegającymi policjantami tylko będę wszystko spowalniać. Naiwnie wyobrażam sobie, jak pędzę za nimi ulicami, tymczasem prawdopodobnie będę siedzieć na tym samym krześle przez kolejne godziny, co nie przybliży mnie do małej.

– Chce pani porozmawiać z naszym psychologiem?

– Nie, nie teraz.

Wychodzimy, odprowadzane do drzwi przez policjantkę.

– Wszystko w porządku? – Magda szturcha mnie torebką, a ja czuję się jak domowy rosół, który zaraz wykipi z garnka.

– Nic nie jest w porządku. Magda, ja już nie mam na to wszystko siły. Dlaczego ja? Ile jeszcze mogę znieść? Co ja takiego zrobiłam, żeby tyle dźwigać? Nie mam siły.

– Masz. Kto, jak nie ty. Damy radę, wszystko będzie dobrze.

– A jak nie?

– Nawet tak nie myśl.

– Tak się boję, że coś jej się stanie. A jeśli ktoś ją zgwałci albo zabije? Przecież to tylko mała dziewczynka.

– Przestań! Nic takiego się nie stanie.

– Ale dlaczego z całej grupy dzieci wybrał akurat ją?

– Nie wiem, tego nie wiem, ale wiem, że dopadniemy gnoja.

Zobacz, policja już działa.

– Widziałaś tego gościa, któremu kradli samochód, więc wiesz, jak działają.

– To zupełnie coś innego.

– Oby.

– Trzeba zawiadomić media.

– A policja tego nie robi?

– Nie wiem, nie zapytałyśmy.

Dzwonię na numer Tekli i dowiaduję się, że już wszystkich powiadomili, w tym telewizję.

– Widzisz? Działają, nie jest tak źle.

Umawiamy się u mnie w domu, ustalając, że po drodze objedziemy okoliczne ulice, w naiwnej nadziei, że może gdzieś zobaczymy Marysię. Taksówka czeka na Magi, jej samochód stoi zaparkowany przed zakonem, a ja wsiadam do wybranej błotem hondy i włączam wyjące radio, które automatycznie wita mnie kakofonią dźwięków i łomotem, i manewrując między policyjnymi wozami, pocę się ze strachu, że któryś zarysuję. Zastanawiam się, dokąd powinnam jechać, i dochodzę do wniosku, że uliczki wokół domu i przedszkola są najbardziej oczywistym terenem do przeszukania.

Powoli zjeżdżam z głównej ulicy w brukowaną osiedlową uliczkę prowadzącą do domu. Zamiast jak zwykle skręcić w lewo, odbijam w prawo i zataczam szeroki łuk wokół wykańczanych szeregowców. Nawet nie wiedziałam, że osiedle po drugiej stronie, z dala od lasu, tak bardzo się rozbudowało. Zamiast pól, których się spodziewałam, wyrastają przede mną szkielety domów, a wokół nich porzucane różne materiały budowlane, od stert piachu poczynając, przez cegły, na porywanych przez wiatr kawałkach styropianu kończąc. Z pewnością tu jej nie znajdę.

Kolejne, dopiero co zamieszkane przez nowych lokatorów ulice, z chaotycznie posadzonymi iglakami i świecące nowymi płytkami podjazdów, nie naprowadzają mnie na najmniejszy ślad małej. Wiem, że policja pierwsze kroki skierowała do firmy Henryka, więc nie mam po co tam jechać. Jeżdżę z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, wkurzając kierowców, którzy usiłują mnie wyprzedzić, i rozglądam się na wszystkie strony.

Dotychczas nie zdawałam sobie sprawy, jak niewielu ludzi chodzi ulicami. W zasadzie osiedle wydaje się zupełnie puste, podobnie jak pobliskie główne ulice. Nieliczni przechodnie, w szarych ubraniach i nastrojach, ze zwieszonymi głowami podążają w nieokreślonych kierunkach.

Wreszcie kolejne skrzyżowania i drogi, których nawet nie znałam, prowadzą mnie na tyły przedszkola. Objeżdżam je powoli i parkuję przed furtką.

Pod budynkiem rodzice stoją w grupkach, cicho rozmawiają i gapią się na mnie. Gdy się zbliżam, rozmowy przechodzą w szepty, by



w końcu zupełnie ucichnąć. Zapada złowieszcza cisza i tylko niesforny wietrzyk, delikatnie potrząsając gałązkami ogrodowych drzew, dowodzi, że świat się nie zatrzymał. Panuje krępujące milczenie.

– Wiadomo coś? – Niepoprawnie szczupła i elegancka mama Oli z grupy Marysi rusza w moją stronę.

– Nie, nic.

Pozostali rodzice, ośmieleni jej pytaniem, otaczają mnie i jeden przez drugiego zadają pytania, na które nie mam ochoty odpowiadać. Pokrótce streszczam, co się stało, chociaż sama nie znam zbyt wielu szczegółów.

– Jeśli ktoś coś widział albo idąc do przedszkola po dziecko, spotkał tego faceta, proszę o telefon.

– Jasne, oczywiście.

Deklaracje obcych ludzi miło mnie zaskakują. Podejrzewam, że sami oddychają z ulgą, że to nie ich dziecko zniknęło i dramat nie dotyczy ich rodziny. Z drugiej strony, pewnie się zastanawiają, co też musiałam przeskrobać, że ktoś aż tak bardzo mnie nienawidzi. Ulga maluje się na ich twarzach, choć usiłują okazać mi współczucie.

– Jak można wydać dziecko obcemu człowiekowi?

Głośny pomruk oburzenia niczym fala na meczu piłkarskim unosi się nad rodzicami i sprawia, że złość i obawa o bezpieczeństwo własnych pociech skupiają się na zakonnicach. Nawet nie jest mi ich żal, bo nie dość, że zachowały się lekkomyślnie, to teraz na dodatek najchętniej wykopałyby głęboki grób, żeby pochować w nim problem. Tłumek ciśnie się wokół korpulentnej kobiety, kojarzę ją z niedzielnych mszy w kościele. Zawsze otoczona gromadką mniejszych i większych dzieci, najgłośniej śpiewa, a teraz z zaangażowaniem rozprawia na temat bezpieczeństwa przedszkolaków.

Korzystając z zamieszania, cicho się wycofuję i jadę do domu. Od Ani wiem, że niestety nic się nie zmieniło. Nikogo nie było i pomijając telefon od jej koleżanki z kursu angielskiego, nikt więcej nie dzwonił.

Nie wiem, co mam ze sobą zrobić. To jak rozwiązywanie gigantycznej zagadki. Z jednej strony ma się pewność, że mała gdzieś tam jest i na mnie czeka, z drugiej – nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.

W domu panuje grobowa atmosfera, mimo że przy kuchennym

stole siedzi zazwyczaj tryskająca zaraźliwym optymizmem Magda. Co prawda powtarza przestraszonej Klarze, że wszystko będzie dobrze, jednak sprawia wrażenie, jakby sama w to nie wierzyła.

– Powiedz, ciociu, że Marysia się znajdzie.

– Oczywiście, że tak.

– Ale jak ktoś mógł ją zabrać?

– Nie wiem, mnie też się to nie mieści w głowie. Może zwyczajnie ktoś chce nam zrobić głupi dowcip.

– To ten ktoś jest bardzo głupi.

– Niestety.

Magda bawi się kubkiem. Przygaszona i smutna. Z pewnością nasza przyjaźń kosztuje ją sporo gwałtownych emocji. Może mogła spotkać na swojej drodze kogoś mniej skomplikowanego, ale ja nie chciałabym się przyjaźnić z nikim innym.

Macha mi ręką na powitanie i wiem, że podobnie jak ja nic nie znalazła, nie wpadła na żaden ślad.

– Idę tylko się przebrać i wracam na komisariat.

– Zjesz coś?

– Nie. Nie mam na nic ochoty.

– Jak dzieci? – zwracam się do Ani, która właśnie pojawia się z zaspanym Antosiem na rękach.

Na mój widok mały radośnie kopie nóżkami i wyciąga rączki. Biorę go i mocno przytulam. Pachnie rumiankowym szamponem, jest cały ciepłutki i mięciutki. Wypchana pamperszem granatowa piżamka odkrywa stópki w białych skarpetkach frotté. Tulę go do siebie z całej siły. Poczucie straty zakrada się i staje gdzieś z tyłu. Usiłuję je przegonić, jednak mam złe przeczucia, choć ich sobie nie życzę. Klara i Ania domagają się najnowszych wieści, które nikogo nie podnoszą na duchu.

Jedynie, co udaje nam się wspólnie ustalić, to że jutro nikt nie wychodzi z domu. Nie ma mowy, żebym zaryzykowała i oddała pod opiekę siostr Antosia. Klara nie usiedzi spokojnie w szkole, więc ta opcja wydaje się najsłuszniejsza.

– Idę się przebrać i jadę.

– Ja też – mówi Magda.

Biegnę na górę, wygrzebuje wrzucone w głąb szafy niegdyś za duże bojówki, które po naciągnięciu na tyłek w wersji optymistycznej okazują się w sam raz, a w realistycznej – piją w pasie. Podwójne zapięcie gwarantuje, że nie pękną przy pierwszym przysiadzie. Tradycyjny awaryjny biały T-shirt i ciepła bluza dopełniają stroju. Dziwnie się czuję w trampkach, ale automatycznie włącza mi się sprężysty krok i czuję się jak komandos wyruszający na akcję.

Zbiegam na dół, jednak w połowie schodów się zatrzymuję i gnam z powrotem do łóżeczka Marysi, w którym grzecznie śpi jej ulubiony pluszak. Chwytam go w biegu, nie pozwalając sobie na chwilę rozklejającej refleksji.

– Gotowa?

– Jasne. Jedziemy.

– Co tam masz?

– Wzięłam dwie bułki, tak na wszelki wypadek. W bagażniku mam wodę.

– Jedziemy dwoma samochodami czy jednym?

– Dwoma, w razie czego będziemy bardziej mobilne.

– Wiesz, może powinnam zabrać jakieś ciasteczka dla małej, pewnie będzie głodna.

Zachowuję się tak, jakbym miała odebrać dziecko z opóźnionego pociągu, a nie odnaleźć je w niewiadomym miejscu. Tak jest lepiej.

Podjeżdżamy pod komendę i ponownie odstawiamy szopkę z parkowaniem, tym razem dwóch aut, i znowu dostajemy burę od dyżurnego policjanta.

– Cholera, to niech je pan odholuje!

– No, w drodze wyjątku możecie je tu zostawić, tylko przeparkujcie tam trochę z boku.

Proszę. Można.

Na komendzie panuje niezmałona cisza i spokój. Spodziewałam się dynamicznego ruchu wskazującego na zaangażowanie organów ścigania w poszukiwania małej dziewczynki, tymczasem wszystko wygląda tak jak kilka godzin temu.

Asertywny policjant trzymający wartę przy telefonie jest mniej niedostępny i nawet nas rozpoznaje. Wdraża procedurę dostarczenia nas

do właściwego pokoju i już po chwili siedzimy przy tym samym stoliku w obecności tych samych dwóch oficerów. Tekla gdzieś zniknęła.

– Coś wiecie?

– Pracujemy.

– A co z Henrykiem?

– Usiłujemy się z nim skontaktować, ale zniknął.

– Co to znaczy?

– Nie odbiera telefonu, nie ma go ani w domu, ani w firmie.

– Czyli to jednak on.

– No, nie przesądzałbym. Sprawdzamy to.

– Przecież musi gdzieś być. Rozmawiałam z nim przez telefon zaraz po tym, jak dotarłam do przedszkola.

– Nic więcej pani nie powiem, musimy jeszcze poczekać.

– A ktoś się zgłosił?

– Były dwa telefony, ale to raczej fałszywe tropy.

Zastanawiam się, czy Henryk kiedykolwiek wspominał mi o swojej matce, rodzinie, kimkolwiek, kto mógłby być punktem zaczepienia. Niestety nikt nie przychodzi mi do głowy. Czuję się bezużyteczna jak przejechana psia kupa.

– A co z rodziną Joanny?

– Też to sprawdzamy. Jak tylko się czegoś dowiemy, zaraz panią poinformujemy. Naprawdę nie ma sensu, żeby pani tu siedziała. Proszę wrócić do domu i spróbować się przespać.

– Nie ma mowy.

Za wszelką cenę chcę być jak najbliżej źródła informacji, co prawdopodobnie jest kompletnie nieuzasadnione, bo telefony mogą się odezwać z zupełnie innego końca miasta czy kraju. Magda wymienia za moimi plecami porozumiewawcze spojrzenia z policjantem, które jednak mi nie umykają, i czuję się przez nich rozgrywana. Czyżby Magi nie była po mojej stronie? To idiotyczne podejrzenie i przyznaję sama przed sobą, że ogarnia mnie paranoja.

– Wiesz, może to dobry pomysł. Jedźmy do domu, obdzwonimy znajomych, zorganizujemy przyjaciół, porozsyłamy zdjęcia Marysi.

– W zasadzie... sama nie wiem, może masz rację.

Ja, która ledwo odnajduję enter na klawiaturze komputera, mam

stworzyć ogłoszenie o zaginięciu córki i w dodatku je rozesłać. I na tej płaszczyźnie czuję się przegrana.

Szczęśliwie Ania, której udało się wcześniej położyć Antosia, a Klarę zalogować przed ekranem telewizora, po którym biegają jakieś niekształtne postaci z kreskówek, zabiera się sprawnie do pracy i już po chwili nasz apel pojawia się w sieci i jest udostępniany przez znajomych. Nasz dramat zatacza coraz szersze kręgi i niczym macki ławicy meduz płacze się z historiami innych ludzi, którzy odpowiadają na nasze wezwanie. Niestety są to tylko słowa wsparcia – nic konkretnego.

Telefon mimo późnej pory dzwoni co chwilę, a ja po kilku zajmujących tylko czas rozmowach nie jestem w stanie dalej odpowiadać na pytania, co się stało i czy już coś wiadomo. Doceniam wsparcie, jednak przerasta mnie prowadzenie takich rozmów.

Noc jest koszmarem. Wegetujemy z Magdą na kanapach, w pełnym rynsztunku, gotowe w każdej chwili wybiec z domu. Najłżejszy szmer i odgłos zrywa nas na równe nogi, a każdy telefon przyprawia o atak paniki. Czas jakby przestał istnieć. Ludzie, nie zważając na porę, nadal dzwonią. Najchętniej wyłączyłabym komórkę, ale czekam na telefon z policji, więc nie mogę tego zrobić. Nie jestem w stanie jeść, pić, przestałam nawet odczuwać potrzebę korzystania z toalety. Nie czuję zmęczenia, jestem tak psychicznie wydrenowana z jakichkolwiek odczuć, że życie mi obojętnieje.

Po północy z letargu przy ekranach laptopów wyrywa nas dzwonek do drzwi. O tej porze może dzwonić tylko śmierć. Czuję, jak krew spływa mi do pięt, a twarz sinieje. Z Magdą i Anią dzieje się to samo. Żadna z nas się nie porusza.

Stoimy jak zaczarowane, trzy glorie wpatrzone w drzwi. Dzwonek natarczywie mnie przywołuje. Idę na sztywnych nogach, spodziewając się najgorszego. Powoli przekręcam klucz, naciskam zimną klamkę i nie mam odwagi pociągnąć drzwi do siebie. Pod czyimś naciskiem drewniana płaszczyzna wciska się w korytarz, a przede mną stoi poblądły Olaf.

Stres, który dawno wspiał się na K2, zdobył wszystkie inne ośmiotysięczniki i już unosił się ponad nimi, teraz gwałtownie opada, co sprawia, że nogi się pode mną uginają, pociągając ciało na ścianę.

- Olaf?
- Cześć, słyszałem, co się stało.

Ubrany w szare dresowe spodnie, białą koszulę i rozpinaną kolorową bluzę wygląda jak skrzyżowanie trenera personalnego z księgowym. W takim wydaniu jeszcze go nie widziałam.

– Właśnie wchodziłem na siłkę, gdy zobaczyłem komunikat w wiadomościach. Wiesz coś więcej?

- Nie. Wchodź, jest ze mną Magda.
- Sorry, nie wiedziałem. Nie będę przeszkadzać?
- Nie, oczywiście, że nie.

Nie mam siły, żeby proponować coś do picia. Opadamy na fotele i po raz kolejny opowiadam historię dnia. Olo jest poruszony, a w miarę opowieści jego męskie ego czuje potrzebę coraz większego angażowania się w sprawę, włączając jednocześnie opcję agresywnego mściciela, który „pokaże temu gnojowi”.

W sumie cieszę się z jego obecności, bo w przeciwieństwie do nas jest jedyną osobą, która myśli konstruktywnie. Oczywiście nic z tego myślenia nie wynika, jednak Olo porusza obszary, o których dotychczas nie pomyślałyśmy. My podejrzewamy każdego, on usiłuje wykluczyć większość.

- A ten Henryk? Myślisz, że to on?
- Sama nie wiem. Ostatnio się odgrażał.
- Nina, dlaczego nic nie powiedziałaś?!
- A co niby miałam ci powiedzieć? Że jakiś koleś się zabujał i na siłę chce ze mną założyć rodzinę? Masz swoją Ewkę.
- To nie ma znaczenia, jesteśmy kumplami i Bart by oczekiwał, że ci pomogę. Zresztą ostatnio bardziej jestem sam niż z kimś, więc czasu mam sporo. Mówiłem ci, że masz dzwonić. W zasadzie właśnie się rozstaliśmy.

- Kurczę, przykro mi.
- Niepotrzebnie. Chyba nawet mi ulżyło.

Nerwowo wodzi palcem wskazującym po obiciu fotela, w tę i z powrotem. Nie patrzy na mnie, tylko wpatruje się w ciemniejszy ślad, który pojawia się na materiale. Obudzony kociak myśli, że nareszcie w porze nocnej pojawił się ktoś chętny do zabawy, i radośnie usiłuje

wdrapać się na oparcie, przy okazji zahaczając pazurkami o buty i dres Olafa.

Gdy niespodziewanie około drugiej głośnym brzęczeniem odzywa się leżąca na szafce w kuchni komórka, wszyscy podskakujemy ze strachu. Odklejam się od laptopa, opieram o skraj ławy i w ciemnościach zmierzam do zimnego niebieskiego światła, przy okazji nadeptuję na ogon Ziuty, która z głośnym piskiem ucieka na piętro.

– Słucham.

– Dobry wieczór pani Nino, Tekla z tej strony.

– Znaleźliście ją?

– Jeszcze nie, ale czy może pani przyjechać?

– Coś się stało?

– Namierzyliśmy wskazanego przez panią Henryka.

– I co, ma małą?

– Nie.

– Jak to?

– Ma mocne alibi.

– To może zlecił komuś porwanie Marysi?

– Sprawdzamy to, ale raczej nie. Proszę przyjechać.

Oddycham. Zmuszam płuca, by nabrały powietrza i powoli je wypuściły, żeby zrobiły to jeszcze raz i kolejny. Ciało odmawia mi posłuszeństwa, a głowę ściska obręcz. Czuję tak absolutną pustkę, że nic nie widzę. Unoszę się ponad swoim ciałem, a kuchnia przestaje istnieć. Wezwanie do przyjazdu oznacza coś złego. Nie informuje się pacjenta o nowotworze podczas rozmowy telefonicznej. Zaprasza się go na rozmowę w cztery oczy.

Na sztywnych nogach idę do salonu, gdzie czekają niespokojni Magda, Ania i Olaf. Wpatrują się we mnie z taką intensywnością, że zaczynam wierzyć, że są w stanie odczytać moje myśli.

– Co się stało? – Ania o nanosekundę wyprzedza Magdę.

– Dzwonili, że to chyba jednak nie Henryk.

– Jak to? Więc kto?

– Właśnie w tym problem, że nie wiedzą.

– I co teraz?

– Mamy jechać na komisariat.

– Jezu.

Ania wydaje jęk, który każdy nosi w sobie, lecz usiłuje go zamaskować uspokajaniem pozostałych. W końcu dochodzimy do porozumienia. Ania z Magdą zostają w mieszkaniu, ja z Olem jadę na komisariat.

Olaf chce prowadzić, ja nie lubię jednak jeździć na miejscu pasażera, a poza tym trzymanie kierownicy i skupianie się na ciemnej, oświetlonej nielicznymi latarniami drodze sprawia, że ogniskuję myśli na czymś innym.

Nim dojeżdżamy do końca uliczki, przy której mieszkam, odzywa się telefon. Odbieram, wciskając przycisk po lewej stronie kierownicy, i słyszę wkurzony głos Henryka.

– Ty naprawdę jesteś popierdolona, żeby na mnie, na mnie policję nasyłać!

– Henryk...

Zanim zdołam pozbierać myśli i poukładać słowa, Olaf prostuje się gwałtownie i spokojnym, acz dobitnym głosem wbija się w rozmowę:

– Słuchaj, koleś, i notuj! To jest twój ostatni telefon do Niny. Nigdy więcej do niej nie zadzwonisz, nigdy więcej o niej nie pomyślisz! Rozumiesz? A teraz się odpierdol i to w trybie natychmiastowym. – Pochyliła się w moją stronę i wciskając guzik bluetootha, zrywa połączenie, a ja mam nadzieję, że odcina Henryka z mojego świata na zawsze. – No to chyba po temacie.

– Dzięki. Mam nadzieję, że osadziłeś tego rumaka. Ma tupet, nie uważasz?

Przez chwilę koncentruję się na strumieniu złości, któremu pozwalam gwałtownie wypłynąć, i przy okazji wygaduję przeróżne rzeczy, a „dupek” i „debil” to w tym pieszczotliwe określenia. Trochę mi wstyd, bo niestety Olo zapoznaje się dość wnikliwie z moją retoryką.

O tej porze parking przed komisariatem jest ciemny i pusty, dzięki czemu po raz pierwszy parkuję tu zgodnie z zasadami i nie wita mnie wkurzony funkcjonariusz na szczycie schodów.

Wchodzimy, a raczej biegniemy do budynku. Dopadamy recepcji i udaje mi się wysapać:

– Oficer Tekla Pająk prosiła o spotkanie.



Dyżurny na nocnej zmianie wydaje się zdecydowanie bardziej ogarnięty i zaangażowany od tego, który pełnił dyżur w ciągu dnia, a ja nie wiem, czy to zapowiedź katastrofalnej wiadomości, czy może wręcz przeciwnie. Osobiście prowadzi nas do drzwi i przekazuje w ręce młodzika, który – przejęty rolą, w sztywnym i oficjalnym stylu zapewne zgodnym z najmniej istotnym punktem procedury – holuje nas ledwie oświetlonym korytarzem do dobrze mi znanego pokoju.

W ostrym świetle jarzeniówek nad stolikiem pochylają się Tekla i trzech funkcjonariuszy, których nie kojarzę z wcześniejszych wizyt. Bez pukania i zapowiedzi zostajemy wepchnięci do środka, a żółtodziób w mundurku bardziej przypominającym komunijne wdzianko niż policyjny uniform się wycofuje.

– O, jest pani.

Nie jestem pewna nastroju Tekli, ale tak czy inaczej policjantka podchodzi do mnie z autentyczną życzliwością, zabarwioną współczuciem.

– Dobrze, że pani przyjechała.

– Tak? – Nie wiem, w jakiej roli zamierzają mnie obsadzić, wiem natomiast, że żadnej innej, poza szczęśliwą matką, nie jestem gotowa zagrać. – Co się dzieje?

– Proszę usiąść. A pan kim jest? – zwraca się do Olafa takim tonem, jakby miała go wziąć w krzyżowy ogień pytań.

Olo najwyraźniej wyczuwa jej niechęć i skłonność do przesłuchiwania, bo usztywnia się bardziej niż zazwyczaj, choć wydaje mi się to wręcz niemożliwe.

– Przyjaciel rodziny.

– Pani partner? – Tekla nie owija w bawełnę i strzela prosto w tarczę.

– Nie, skąd, to przyjaciel męża i oczywiście całej rodziny.

– Rozumiem.

Podczas gdy ona rozumie, Olo sprawia wrażenie, jakby właśnie nie rozumiał. W sumie przykro mi, że na myśl o partnerowaniu mojej osobie robi się aż tak ponury i wycofuje się dwa kroki.

– Dobrze, że państwo przyjechali.

– Ale co się stało? – Panika dosiada mnie niczym kowboj dzikiego

mustanga i usiłuje nade mną zapanować.

– Sprawdziliśmy tego całego Henryka i wydaje się czysty.

– Niemożliwe.

– A jednak. W chwili zniknięcia Marysi był w drodze do Holandii po odbiór jakiejś dostawy.

– Ale mógł to komuś zlecić! Albo zabrać małą ze sobą i gdzieś porzucić.

Jestem oburzona. To oczywiste, że jeśli nie działał osobiście, musiał kogoś w to wciągnąć. Wielokrotnie się odgrażał. Przecież straszył, że jeszcze popamiętam.

– Teoretycznie tak. Ale to mało prawdopodobne.

– Ale sprawdzacie taką okoliczność? Obserwujecie go? – Prawie chwytam ją za ramiona i potrząsam. W ostatniej chwili się opanowuję i przestaję krzyczeć, choć mam ochotę pouczać ich w każdej kwestii. Poza tym nie rozumiem tego ich pieprzonego spokoju. Normalnego głosu. Powolnych ruchów. Zachowują się, jakby chodziło o złodziejską dziuplę i fanty, a nie małą dziewczynkę!

– Tak, oczywiście, mamy też nagranie z monitoringu.

Nic nie rozumiem. Jakiego monitoringu? Siostry się zarzekały, że kamera to tylko atrapa. Ktoś coś widział? Jest jednak świadek?

– Jak to?

– Naprzeciwko przedszkola jest bankomat.

– No, jest. – Nadal nie rozumiem, do czego zmierzamy, ale mam zamiar się dowiedzieć, dlatego nadstawiam uszu i wsłuchuję się w to, co mają mi do powiedzenia.

– I ma wmontowaną kamerę, poza tym jest kamera na budynku.

– I coś się nagrało?

– Nie do końca. Ale... widać samochód i osobę, która z niego wysiada. Widać też, że Marysia z nią wsiada i odjeżdża.

– O mój Boże!

– Proszę posłuchać, udało się odczytać numery rejestracyjne.

– Pewnie kradziony! – Prawie krzyczę, zupełnie jakbym miała im za złe, że nie rozumieją najprostszych kwestii.

– I tak, i nie. Wóz wydaje się w porządku i należy do męża Joanny.

Co? Czyjego męża? Joanny? Przecież ona nie miała żadnego męża.

– Nie rozumiem.

– Nie wiedziała pani, że Joanna, matka Marianny, była zamężna?

– Nie, to niemożliwe. To jakaś pomyłka.

Nie wierzę w to, co słyszę. To musi być jakaś piramidalna bzdura. Ani Aśka, ani jej ciotka czy matka, żadna się nie zająknęła, że w życiu Joanny mógł być ktoś jeszcze. Na pogrzebie też nie zauważyłam nikogo obcego. O co tu chodzi? Ktoś chce mnie w coś wmanewrować? Boże, a jeśli będę musiała oddać małą? Czy to oznacza, że wniosłam się na wyżyny, żeby kolejny raz spaść na samo dno?

– Nie. Wszystko wskazuje na to, że to jego samochód.

– Nie, ja nie o tym. Jesteście pewni, że Joanna miała męża?

– Tak, i to od siedmiu lat.

– Nie.

– Pobrali się w marcu dwa tysiące dziewiątego roku.

– Ale się rozwiedli?

– Nie.

– Jak to nie? Ona nigdy nie wspominała o mężu.

Cholera, nic z tego nie rozumiem. Przecież wyraźnie mówiła, że mała nie ma nikogo, żadnej rodziny. Zapomniała, że ma męża? Niemożliwe. Cwaniara przemilczała jego istnienie, ciekawe tylko dlaczego.

– Co nie znaczy, że go nie miała.

Wpatruję się w Teklę jak w niemiecki cud gospodarczy i nic nie pojmuję. Ani mechanizmu, ani technik, ani tego, co słyszę.

– Kto to jest?

– Maciej Cyprowski, kojarzy pani?

– Nie, nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

– Trzydzieści dziewięć lat, karany za kradzieże, do dziś mieszka w rodzinnej miejscowości matki Marysi. Ma kontakt z jej rodziną.

Jestem oburzona i dotknięta do żywego. Nikt nigdy o kimś takim nie wspominał. Zatem celowo najważniejsza rzecz została zatajona i JA jestem ostatnią osobą, która uzyskuje dostęp do prawdy.

– I co, myślicie, że to on?

– Niewykluczone. Właśnie to sprawdzamy.

– Jest na wolności?

– No właśnie w tym problem. Miesiąc temu wyszedł po pięcioletniej odsiadce. Pojawił się w domu i zniknął.

– Ale to jakaś bzdura. Co on mógłby mieć do małej?

– Tego nie wiemy. Może rości sobie do niej prawa, może chce się zemścić. Chcemy, żeby obejrzała pani nagranie z kamery bankomatu.

Oczywiście nie mam nic przeciwko obejrzeniu operacyjnego filmu, tylko nie wiem, co miałyby to wniesć do sprawy. Olo podchodzi do monitora komputera stojącego na najbliższym biurku, pochyla się i z powodu ciasnoty mnie potrąca. Tracę równowagę, lecz on w ostatniej chwili mnie podpira i mocno chwyta w pasie, dzięki czemu co prawda się nie przewracam, ale jednocześnie pod wpływem jego dotyku sztywnieję. Robi mi się ciepło, ale wiem, że nie jest to najlepszy moment na osobiste refleksje. Ukradkiem spoglądam na Olafa, jednak on zdaje się nie dostrzegać konsternacji wypisanej na mojej twarzy.

– Poznaje pani tego człowieka?

Pochyliłam się nad monitorem i wpatruję w szarobure piksele, które nieporadnie składają się w przypominający człowieka kształt. Musiałabym być jasnowidzem, żeby odgadnąć płeć plamy, o rozpoznaniu twarzy nie mówiąc.

– Przecież tu nic nie widać!

A jednak się mylę. Obok dużej plamy pojawia się mniejsza. Zbliżam twarz jeszcze bardziej, tak że niemal wciskam nos w wyświetlany obraz. Po ruchach, gestach i mikropostaci poznaję Marysię.

– To ona! Naprawdę! To ona! – Nerwowo stukam paznokciem w ekran, jakbym miała nadzieję, że mała usłyszy i się odwróci. Zamiast tego Marysia sadowi się na tylnym siedzeniu auta i najwyraźniej daje przypiąć pasem bezpieczeństwa. – Zróbcie coś! Przecież to ona!

Niespodziewanie Olo ściska mnie mocniej, przyciąga do siebie, a ja odruchowo opieram głowę na jego ramieniu i kryję twarz w pachnącej wodą po goleniu koszuli. Cieszę się, że w tej chwili nie jestem sama. Mimo że Olaf widział małą tylko przelotnie, gdy jakiś czas temu podrzucił mnie do domu, wydaje się bardzo poruszony. W oczywisty sposób okazuje mi wsparcie, ale jest w nim jakiś inny niepokój, którego nie jestem w stanie zidentyfikować.

– Spokojnie, pani Nino, sprawdziliśmy podejrzanego. Czy wiedziała pani, że wynajął mieszkanie nieopodal pani domu?

– Nie, skąd! Przecież nawet nie wiedziałam o jego istnieniu.

– Racja.

Do furii doprowadza mnie spokój funkcjonariuszy, nawet jeśli jest wypracowany latami doświadczeń i procedurami. Nie dociera do mojej świadomości, że nie tylko tych kilka osób poszukuje mojego dziecka, lecz pracuje nad tym cały sztab ludzi.

– Co teraz? Wiecie, jak wygląda?

– Mamy zdjęcie, już udostępniliśmy je wszystkim patrolom. Szukamy. Proszę wierzyć, że robimy wszystko, żeby odnaleźć małą.

– Nie wydaje mi się. Powinniście...

– Nina, przestań.

Olaf włącza się do rozmowy, a ja mam poczucie, że nawet on jest przeciwko mnie. Zaczyna mnie wkurzać. Poradziłabym sobie sama. Nie wiem, po co przyjechał, jeśli nie jest po mojej stronie. Narasta we mnie złość, podsycana bezradnością. Nie potrafię się opanować. Odsuwam się od niego i najdobitniej jak potrafię krzyczę:

– Nie, to wy przestańcie! Zwłaszcza ty. – Celuję w niego palcem. – A jeśli on coś jej zrobi? To tylko mała dziewczynka, nie rozumiesz tego?

– Rozumiem, ale...

– Właśnie chyba nie rozumiesz.

Jestem przerażona, wściekła i bliska paniki. Świat bez tej małej istoty wydaje się taki pusty i bezsensowny.

Siedzimy na komisariacie przez kolejne godziny, jednak poza błędnymi tropami nie posuwamy się naprzód. Po kolejnym telefonie z informacją, że w miejscu, w którym mógł przebywać podejrzan, jednak go nie ma, przestają panować nad szlochem. Łzy wylewają się ze mnie strumieniami, z oczu, z nosa, którego nie sposób wytrzeć, bo produkuje tyle śluzu, że nie nadąża wsiąkać w kolejne chusteczki, moczą ręce i bluzkę. Mają słony smak i są dosłownie wszędzie. Nie przypuszczałam, że organizm jest w stanie wyprodukować tyle wilgoci.

Uśmiechnięte oczy Maryški wwiercają się we mnie z ekranów telewizora i komputerów. Teoretycznie wszyscy w miastach i wsiach, nawet bezdomni na dworcach mogą ją gdzieś dostrzec, z drugiej jednak

strony – tak łatwo ukryć dziecko w jakimś domu czy na tylnym siedzeniu samochodu.

Ania wydzwania co pół godziny, nie przyjmując do wiadomości, że jak tylko będę coś wiedziała, zaraz ją poinformuję. Ostatni raz odzywa się około czwartej, a potem następuje przerwa. Mam nadzieję, że poszły z Magdą spać.

Komisariat nie jest najprzytulniejszym miejscem, jednak świeżo wyremontowane pokoje przestały kojarzyć się z całą i jaskrawym światłem skierowanym w oczy, a policjanci mimo moich napadów agresji starają się okazać mi empatię. Ale i tak co rusz pytają, czy nie wolałabym jechać do domu.

Oczywiście, podobnie jak Ania, nie daję wiary, że natychmiast mnie powiadomią, i z uporem siedzę na coraz twardszym krześle. Olo, choć pada ze zmęczenia, nie chce słyszeć o zostawieniu mnie samej.

Rano rzeczy się nie zmieniają. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Jestem wyczerpana i wiem, że nic tu po mnie. Wracam do domu.

W mieszkaniu panuje półmrok. Poranne światło przenika przez do połowy opuszczone rolety, tnąc przestrzeń świetlistymi szkieleciami. Cisza daje nikłą nadzieję na to, że uda mi się choć na chwilę przyłożyć głowę do poduszki.

– Zostaniesz?

Olo stoi w korytarzu niepewny, czy powinien wejść, czy może jednak wrócić do siebie.

– Nie wiem, nie będę ci przeszkadzał?

– Nie, no coś ty. Wsparcie się przyda. I tak przy okazji: przepraszam za te wszystkie wrzaski, nie powinnam tak krzyczeć.

– Daj spokój, rozumiem, co przeżywasz. A ja naprawdę chcę ci pomóc.

– Wiem, ale straciłam panowanie nad sobą. Zresztą mam wyrzuty sumienia, że tak bardzo angażuję cię w moje sprawy.

– Przestań. Przecież po to ma się przyjaciół.

No, jakoś nie jestem tego pewna. Przekonałam się, jak delikatne nitki łączyły mnie z ludźmi, którzy wydawali mi się kimś więcej niż tylko znajomymi. Po śmierci Bartka to grono się przerzedziło, przesiało i skurczyło do tego stopnia, że tylko z dwiema parami utrzymuję jako

taki kontakt, a jedyną wierną towarzyszką jest mi Magi. Nie żeby mi kogoś brakowało, niemniej niesmak pozostał.

Tym razem jest nieco inaczej, bo ciekawość popycha ludzi do kontaktu. Większość prosi, żebym zadzwoniła, jak już będę coś wiedziała, zupełnie jakbym miała czas, by zamknąć się w telefonicznym kręgu plotek. Kilka osób usiłowało mnie pouczyć, że po takim przedszkolu raczej mogłam się tego spodziewać, a kuzynka Bartka nawet miała czelność wspomnieć, że odpowiedzialne matki siedzą z dziećmi w domu, a nie tak jak ja... W sumie do końca nie wiem, co konkretnie miała na myśli, bo rzuciłam słuchawką.

– Napijesz się kawy?

– Nie, nie mam siły. Kimnę się na chwilę. Może później.

– Nie wiem, gdzie mógłbyś się położyć. Może...

– Bez przesady, kanapa mi wystarczy. Masz jakiś koc?

– Leży tam.

Nim zdążę zaprotestować, zdejmuje buty i kładzie się na lewym boku, nasuwa na głowę kaptur dresowej bluzy i przykrywa się miękkim kocem w brązową kratkę. Odpada. Mam zamiar zrobić to samo.

Zostawiam buty na pierwszym stopniu i zakradam się na piętro, tak by nikogo nie obudzić. Z sypialni zniknęło łóżeczko Antosia, za to pojawiła się Magda, skulona pod kołdrą w moim łóżku. Siadam z drugiej strony materaca. Niemal niewyczuwalny ruch jednak ją budzi, Magi gwałtownie siada i patrzy na mnie wyczekująco.

– Coś wiesz?

– Nie, nic.

– Nadal szukają tego gościa?

– No, niestety. Zniknął.

– Przecież się nie rozplynął.

– Niby nie, ale zniknął. Wiesz, im więcej czasu mija, tym coraz gorsze mam przeczucia.

– Przestań, nawet tak nie myśl.

– Wiem, ale nie potrafię uspokoić wyobraźni. Poza tym nadal nie mogę uwierzyć, że Joanna miała męża.

– Nie domyślałaś się?

– Nie, no coś ty? Zupełnie. Byłam kilka razy u niej w mieszkaniu,

oglądałam zdjęcia, razem pakowałyśmy jakieś rzeczy, pamiątki dla Marysi, ale nic nie wyglądało podejrzanie.

– Kurczę. Ciekawe. Nie sądzisz, że to jednak bardzo dziwne?

– Stale się nad tym zastanawiam. Może ją skrzywdził i usiłowała wymazać z pamięci rozdział z nim w roli głównej.

– No, OK. Ale skoro miałaś być jej opoką i ratunkiem, a jednocześnie osobą, która przekaże Marysi jej świat, to nie uważasz, że jednak powinna coś na ten temat powiedzieć?

– Też mi się tak wydaje. Zresztą sama nie wiem.

– Może jak go złapią, to on coś wyjaśni.

– Raczej bym na to nie liczyła.

– Słuchaj, a jeśli oni mają razem dziecko?

Kurde, co ona wygaduje? Jakie dziecko? Nie, to się wydaje mało prawdopodobne, choć z drugiej strony, nie wiem, czy jeszcze coś byłoby w stanie mnie zaskoczyć.

– Magda, przestań. Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Jadłaś coś? Piłaś?

– Nie, nie mam ochoty.

– Ale musisz coś w siebie wcisnąć. Musisz mieć siłę...

– Daj spokój. Nic nie przełknę, może później.

– Połóż się, ja będę czuwać.

Zachowujemy się jak Indianie na prerii, stojący na warcie przy skórzonym tipi i wypatrujący ataku białych twarzy. Z tą różnicą, że to my mamy zaatakować, tylko jeszcze nie wiadomo kogo i gdzie.

Zapadam w letarg. Słyszę każdy szmer, a przez głowę przelatują mi serie koszmarnych obrazów. Nie wypoczywam, tylko męczę się bardziej niż na jawie. Nie potrafię odsunąć od siebie wyrzutów sumienia, złych, koszmarnych przeczuć i całego tego strachu, który drenuje umysł.

Nagle podrywa mnie dźwięk telefonu stacjonarnego, który szaleje na okiennym parapecie. Rzucam okiem na zegarek. Ósma trzy. Wyskakuję z pościeli i uderzając się boleśnie o ramę łóżka, dopadam do czarnej słuchawki.

– Halo!

Po drugiej stronie słyszę cichy zgrzyt i flegmatyczny głos nieznośnie cedzący słowa przebija się przez ciszę.



– Haaloo! Tuu Katarzyna Pulik, dzwonię do pani...

Tu następuje kolejny zgrzyt, tak więc nie identyfikuję instytucji i z zapartym tchem słucham dalej.

– Czyy roozmawwiam z osobą deecyzyjną?

Kurwa, co się dzieje? Niech wreszcie wygęga, po co dzwoni.

– O co chodzi?

– Chciałam przedstawiic paani nową ofertę na abonament teelefoniczny...

Nie wierzę. Idiotka przyszła na siódmą do pracy i ma czelność budzić innych swoimi debilnymi telefonami. Wchodzi mi tak głęboko na szypę, że eksploduję.

– Nie interesują mnie wasze oferty! Jeśli jeszcze raz ktoś do mnie zadzwoni, zgłoszę to jako nękanie. Rozumie pani?

Nie wiem, czy zrozumiała, bo rzucam słuchawką i wlokę się do łóżka. Serce wali jak oszalałe i sporo czasu zajmuje mi uspokojenie jego rytmu. Do sypialni wpada Magi.

– Coś się stało?

– Nie, jacyś debile z telemarketingu.

– Ale się wystraszyłam.

– Zwłaszcza że dzwonią o tej porze. Spróbuję jeszcze na chwilę się położyć.

– Jasne.

Magda wychodzi i cicho przymyka drzwi, a ja kulam się po łóżku. Wreszcie zmęczenie wygrywa i przestaję słyszeć odgłosy płynące z wnętrza domu. Z daleka docierają strzępy rozmowy, ale przestaję rejestrować, kto z kim i na jaki temat dyskutuje.

Spokojnie, powoli wkładam zakupy do bagażnika. Parking pod marketem jest tylko w niewielkiej części zajęty. Nagle słyszę, a raczej czuję za sobą ruch.

Dopada mnie wielki, gruby facet w brudnym ubraniu robotnika drogowego. Czarne oczy spoglądają na mnie spod zrośniętych krzaczastych brwi. Spalona słońcem skóra, pocięta głębokimi bruzdami, marszczy się w grymasie złości. Chwyta mnie za ramiona i potrząsa tak mocno, że jego żółty kask się przekrzywia i boleśnie uderza mnie w czoło, z którego powoli zaczyna kapać krew. Wyraźnie czuję jej

słodkawy zapach i odruchowo przymykam oko. Chcę krzyknąć, ale głos więźnie mi w gardle. Chcę wołać o pomoc, ale nie mogę, mam świadomość, że zaraz umrę, zaraz wszystko się skończy. Nie chcę odchodzić, nie chcę umierać, kto zajmie się dziećmi?

Potrząsa mną coraz silniej, głowa coraz mocniej kiwa się do przodu i do tyłu. Nina, woła mnie po imieniu i szarpie jeszcze mocniej.

– Nina, obudź się wreszcie.

Otwieram oczy. Jestem spocona, wystraszona, a poduszka jest mokra od łez. Patrzę w twarz, jeszcze nie wiem czyją, ale powoli rozpoznaję ciemne oczy Magdy. Siadam gwałtownie, a rzeczywistość wali mnie po łbie i trzeźwieję.

– Magda, co się stało?

– Dzwonili z policji.

– I co? No, mów!

– Chyba ich znaleźli.

– Jezu. Naprawdę?

– To znaczy nie do końca, ale namierzyli samochód.

– Gdzie?

– Na autostradzie, jedzie w kierunku granicy.

– Nie, to niemożliwe, jakiej granicy?

– Niemieckiej. Nie martw się, zatrzymają ich, zobaczysz.

– Która godzina?

– Trzynasta dziesięć.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?!

– Po co? Nic się nie działo.

Przesuwam ręką po sztywnym, ścierpniętym karku, włosy opadają mi na czoło, a w ustach zaschło. Z tylnej kieszeni wydaję czarną gumkę, pochylam się, spuszczam głowę na wysokość kolan i spinam potargane włosy w ciasny kok. Gdy gwałtownie się prostuję, świat zaczyna wirować mi przed oczami i w obawie, że się przewrócę, chwytam za oparcie łóżka.

– Źle się czujesz?

– Nie, wszystko OK, jestem potwornie zmęczona.

– Chcesz coś do picia, jedzenia?

– Nie, jedziemy.

Zbiegam na parter, gdzie w blokach startowych czeka Olaf, zwarty i gotowy do działania. Mimo dobrych wieści twarz ma ściągniętą i nie widać na niej najmniejszych śladów ulgi. Zaczynam się bać. Czy wie o czymś jeszcze? Coś przegapiłam?

– Jesteś, jedziemy.

– Jadę z wami. – Magda biegnie do jadalni po kurtkę, którą rzuciła na krzesło, a teraz leży na podłodze. Leniwa i wiecznie zaspana Ziuta zrobiła sobie z niej legowisko i teraz przeciąga się z rozkoszą, zdziwiona, że ktoś ją budzi.

– Słuchaj, może jednak byś została w domu? Wiesz, Ania i Klara potrzebują wsparcia kogoś rozsądnego.

– No, nie wiem. Wolałabym jechać z wami...

– Magi, proszę.

– OK, ale nie jestem tym zachwycona. – Rzuca kurtkę na stół i na poły obrażona siada ciężko na krześle. – Mam nadzieję, że ją przywieziecie całą i zdrową. Uważajcie na siebie.

– Jasne, ty też.

Chwytam stojącą na blacie butelkę wody mineralnej i wybiegam za Olem. Samochód stoi na podjeździe i o dziwo tym razem nie musimy szukać kluczyków, bo ostatnio prowadził Olo i w jakiś dziwny, męski sposób pamiętał, gdzie je odłożył.

– Odpocząłeś?

– Trochę, ale trudno w takich emocjach znaleźć choć chwilę luzu.

– No, żebyś wiedział, co mi się śniło.

– Chyba nie chcę wiedzieć. Pomyśl, że zbliżamy się już do końca.

Włączamy radio z jakąś skrzeczącą muzyką, wysłuchujemy wiadomości, a w nich informacji o zaginięciu dziecka. Mojego dziecka! Wcale nie chciałam, żeby moja rodzina stała się przedmiotem publicznego zainteresowania, a jednak niestety po raz drugi właśnie tak się dzieje.

Docieramy na komisariat w chwili, gdy Tekla i jej kumple z pokoju wychodzą przed budynek, kierując się w stronę parkingu. Ich sprężysty krok i zdecydowane ruchy podnoszą mnie na duchu. Wyglądają jak szwadron śmierci, który nie cofnie się przed niczym, za to zdobędzie wszystko.

- Co się dzieje? Dokąd jedziecie?
- Chyba go mamy.
- Co z małą? Nic jej nie jest?
- Tego niestety nie wiemy, ale proszę być dobrej myśli.
- Mogę jechać z wami?

– Raczej nie ma takiej możliwości, ale jeśli macie samochód, możecie jechać za nami. Zresztą nie ma czasu na dyskusje, wsiadajmy. Za chwilę do pani zadzwonię i wszystko wyjaśnię. Proszę dać mi sekundę.

- W porządku.

Nie wiem, dokąd zmierzamy, ale dziarsko podążamy za radiowozem. Mijamy rogatki miasta i wyjeżdżamy na autostradę. Gnamy przed siebie i dziękuję opatrności, że wczoraj zatankowałam do pełna i nie musimy zatrzymywać się na stacji. Mijają minuty, a moja komórka nieznośnie milczy.

- Kurde, zadzwonią czy nie?
- Spokojnie. Najwyraźniej jeszcze coś wyjaśniają.

Łykam każdą pozytywną myśl jak głodna foka śledzia i trzymam się jej kurczowo. Świadomość, że za chwilę wszystko się okaże, trzyma mnie przy życiu i nie pozwala się rozkleić. Niestety radiowóz na sygnale oddala się coraz bardziej i mimo że staramy się nie stracić go z oczu i wbrew ograniczeniom gnamy za nim, odjeżdża coraz dalej.

Nareszcie. Dźwięk telefonu wbija się w szum opon na asfalcie i chociaż na to czekałam, teraz podskakuję przestraszona.

- Halo.
- Pani Nino, jedziemy w kierunku granicy. Trzy patrole ścigają sprawcę, nic więcej nie wiemy, ale zaraz wszystko się wyjaśni.
- Jest z nim mała?
- Nie wiemy, ale to ustalamy.
- Boże, żeby tylko się nie rozbili.
- Też się tego obawiamy, dlatego musimy przeprowadzić akcję bardzo rozważnie. Nie chcemy wykonywać gwałtownych ruchów.

Wreszcie, po pozornie nieznośnie długim czasie, docieramy do rozświetlonego policyjnymi światłami pobocza. Roi się na nim od ludzi, którzy powoli wypełniają swoje obowiązki, spisują, mierzą, oglądają.

W centrum uwagi jest wielkie czarne bmw z przyciemnianymi szybami i szerokimi laczkami, wbite w niewielką brzozę, która na skutek uderzenia złamała się i głęboko wbiła w maskę, rozbijając szybę. Sflaczałe poduszki powietrzne smutno zwisają, dowodząc siły uderzenia. Wszystkie drzwi i bagażnik są otwarte, a obok stoi czarna postać ze skutymi z tyłu rękoma.

Olaf parkuje za radiowozem. Jednocześnie wysiadamy i biegniemy w kierunku centrum zamieszania.

– Proszę się odsunąć.

Niespodziewanie zagradza nam drogę rosły policjant i nie pozwala przemieścić się choćby o centymetr do przodu. Przez chwilę nie wiem, co robić, ale już po chwili włącza się instynkt i drę się najgłośniej jak tylko potrafię:

– Tekla!

Zdziwiona policjantka odwraca się i z głośnym sapnięciem idzie w naszą stronę.

– Przepuść ich, to rodzice.

Zdziwiony Olaf patrzy na mnie, ja na niego, ale jakoś nie przychodzi nam na myśl wyjaśnianie zawiłości genealogicznych, zresztą narasta we mnie obawa, że jak dowiedzą się prawdy, nie przepuszczą go dalej.

Podchodzimy do rozbitego samochodu. Rozglądam się w poszukiwaniu małej i, w miarę jak jej nie widzę – coraz bardziej nie widzę! – zaczyna rosnać we mnie panika.

– Gdzie jest moje dziecko? Gdzie Marysia?

Policjanci patrzą na mnie ze współczuciem, zupełnie jakby spotkali istotę zbiegłą z psychiatryka, która nie może się odnaleźć.

– No gdzie ona jest?! – drę się jak opętana, a wszystko w środku rozpada się na kawałki. Gdzie ona jest? Dlaczego jej tu nie ma? Co z nią zrobił?

Obcy facet w ciemnym ubraniu przygląda mi się uważnie spod zmrużonych powiek. Kwadratowe ramiona, kwadratowa szczęka i nienawistne, wykrzywione usta, nasuwające na myśl wściekłego psa, co rusz obnażającego zęby.

– Co z nią zrobiłeś? Co zrobiłeś z moim dzieckiem?

Czarna postać hardo podnosi głowę w jeszcze czarniejszym kapturze. Szorstki długi zarost, małe ciemne oczy i śniada cera przywodzą mi na myśl Araba znanego z listów gończych. Gdyby zmienić kaptur na turban, można by go wziąć za terrorystę. Zresztą jest tak zdesperowany, że gdyby nie aresztowanie, byłby zdolny do wszystkiego, a do rzucenia się na mnie z pewnością.

– Twoje dziecko? – Patrzy na mnie z bolesną ironią, tak że bezwiednie zastanawiam się, po czyjej stronie jest prawda. – Jak śmiesz kraść moje dziecko?! To moja córka i Joanny, i tylko ja mam do niej prawo. Rozumiesz?

Robi krok w moją stronę. Dwóch policjantów usiłuje go powstrzymać, on jednak szarpie się i usiłuje wyswobodzić. Zaczynam się bać, i to bardzo. Nie ma nic gorszego od człowieka, który nie ma nic do stracenia. Wreszcie policjanci używają siły i zatrzymują go w pół kroku. Mocno go trzymając i nie pozwalając na najmniejszy ruch, odciągają go do większego radiowozu, gdzie zostaje dodatkowo przykuty do jakiegoś metalowego elementu.

– Nie ruszaj się. Masz siedzieć albo skujemy cię mocniej, rozumiesz?

Wysoki policjant o chudej szyi z nienaturalnie wystającą grdyką wrzeszczy mu prosto do ucha. Sugerują, że zrobią z niego precla, jednak nie wydaje się, by robiło to na nim jakieś wrażenie. Za to ja na wszelki wypadek kulę się w sobie. Mężczyzna patrzy na mnie wyzywająco i z taką nienawiścią, że w jego źrenicach dostrzegam dwa ostre, skrzyżowane długie noże.

– Nie rozumiesz, suko? To moje dziecko! Tylko ja mam do niego prawo!

Rozpacz ma różne oblicza. Właśnie wyczerpał się we mnie lęk, teraz ogarnia mnie wściekłość, furia pompuje mięśnie i jestem gotowa rzucić się i wydrapać mu te wredne czarne ślepie. Jestem gotowa zatłuc go gołymi rękoma. Gość najwyraźniej nie wie, że zadarcie z rozwścieczoną matką jest jak flirt pijaka z wąską krawędzią mostu.

– Co ty, kurwa, wygadujesz! Co ty pierdolisz? – Robię kilka kroków i podchodzę na tyle blisko, że czuję kwaśny zapach jego potu zmieszany ze smrodem tanich papierosów. Olo chwyta mnie za pasek

spodni i, podobnie jak Tekla, nie pozwala podejść bliżej. Ja jednak jestem jak w transie i wyrzyguję z siebie kolejne wściekłe słowa: – Co ty odpierdalasz?

Mam wrażenie, że Ahmed, Mahmed czy jak mu tam... jednak mimowolnie skupił na mnie uwagę.

– Co ja odpierdalałam? To moja córka, szmato!

– Kurwa, co ty wiesz?! Nic nie wiesz! To dziecko Joanny i mojego męża, rozumiesz? Mam na to dowody! BADANIA!

Śniada twarz przestaje być śniada, lekko blednie, oczy świecą niczego nierozumiejącą pustką i koleś najwyraźniej kończy flirt z rozumem.

– To nieprawda!

– Prawda! Cała prawda! Twoja żona miała faceta na boku, a ty, ogierze, się nawet nie zorientowałeś!

Najwyraźniej uderzam w najczulszy punkt, bo koleś się szamocze i gdyby nie policjanci, najpewniej by mnie znokautował, a następnie poszatkował. Syczy, tocząc pianę z ust:

– Ty suko!

– Ja? Ja nie miałam z tym nic wspólnego!

– Zabiję go!

– On nie żyje, czubku! Gdzie jest mała?

Odwraca się do mnie bokiem i uznaje rozmowę za zakończoną. Policjant z radiowozu, za którym jechaliśmy, powtarza mu moje słowa i dodaje, że jeśli się przyzna i powie, gdzie jest Marysia, czeka go mniejszy wymiar kary.

Nie robi to na nim wrażenia. Jedyne, co udaje się osiągnąć policjantom, to soczyste splunięcie porywacza na wydeptane chwasty pobocza. Jest niezły. Plwocina szybuje przez całą szerokość samochodu i ląduje jakiś metr od niego na wiotkiej kępie trawy. Obawiam się, że to ostatnia rzecz, jaka wyszła z jego ust tego dnia – nic nie powie.

Tekla usiłuje mnie odciągnąć, tłumacząc jak dzieciakowi:

– Proszę się uspokoić...

– Jak mam być spokojna? Gdzie Marysia?

– Wiem, rozumiem, ale wrzaskiem nic nie zyskamy.

– Gdzie jest mała?

Jestem załamana. Być tak blisko i tak daleko zarazem to największa tortura. Mógł zostawić małą w lesie, mógł ją zabić, wyrzucić z samochodu... mógł zrobić wszystko, a ja nie mogę zrobić nic.

Funkcjonariusze ładują go do radiowozu, z głośnym trzaskiem zasuwają drzwi i odjeżdżają na sygnale. Nawet mnie nie obchodzi dokąd i po co. Zastanawiam się tylko, kto zabronił stosować tortury. Podejrzewam, że pod groźbą obcięcia palca, ręki, nosa byłby jednak bardziej skory do rozmowy i w krótkim czasie by wyśpiewał, gdzie jest dziecko, a tak? Zostajemy z niczym. Mimo złapania sprawcy nie posunęliśmy się do przodu o krok. Co z tego, że się przyznał? Niewielka to pociecha.

Kucam, łzy bezradności napływają mi do oczu, chowam twarz w dłoniach i głośno, głęboko oddychając, nie pozwalam im się wydostać.

Olaf klepie mnie po plecach, siłą podnosi. Zajęta swoimi emocjami nie zauważam poruszenia wśród policjantów. Wreszcie dociera do mnie, że kolega Tekli coś mówi, jednak w tym rwetesie nic nie słyszę. Zamykam na kilka sekund oczy, po chwili je otwieram i skupiam wzrok na jego ustach.

– Słyszysz pani?

– Przepraszam, może pan powtórzyć?

– Mamy zgłoszenie, że na stacji benzynowej w toalecie ktoś znalazł dziecko. To może być Marysia.

– Co?

– Jedziemy.

Chodzi o stację, którą minęliśmy jakieś trzydzieści kilometrów wcześniej, więc musimy dotrzeć do najbliższego zjazdu, zawrócić i ponownie wbić się na pas prowadzący w kierunku granicy. Szczęśliwie możemy zawrócić już po dwóch kilometrach i teraz w policyjnej kolumnie gnamy w przeciwnym kierunku.

Kilometry ciągną się w nieskończoność, a czas wlecze niemilosiernie. Poruszony Olaf usiłuje mnie podtrzymać na duchu, jednak skupiona na własnych myślach zupełnie nie słyszę, co mówi.

Na stacji panuje koszarne zamieszanie. Samochody stojące pod dystrybutorami zostały uwięzione przez blokujący wyjazd radiowóz,



a kierowcy, którzy chcą zatankować, są odsyłani na kolejną stację. Kilku desperatów, którzy dotarli tu na oparach paliwa, stoi teraz w korku przed wjazdem. Zdezorientowani, niespokojni ludzie, których nikt nie poinformował o przyczynie chaosu, stoją w małych grupkach i zaciekle dyskutują. Obok zaniepokojonych klientów krąży ochrona stacji, policjanci i obsługa w czerwonych uniformach.

Parkujemy tuż za radiowozem Tekli i pospiesznie wysiadamy. Odruchowo zaczynam za nią biec, ścigając się z jej wysportowanym ciałem. Adrenalina dodaje mi siły, wyrównując nasze szanse, co sprawia, że niespodziewanie się zderzamy w powoli rozsuwających się automatycznych drzwiach.

– Już dobrze, jesteśmy na miejscu.

Pocieszająco poklepuje mnie po plecach, gdy nieporadnie usiłuję się pozbierać z czarnej, szorstkiej wycieraczki. Po raz pierwszy zaczynam jej wierzyć. Wpadamy na zaplecze, gdzie jest pełno ludzi, jednak Marysi nie widzę. Nie ma jej!

– Marysia! – Rozglądam się w panice, jak tonący w poszukiwaniu kawałka drewna, i głośno wołam.

Odpowiada tylko cisza. Ludzie stojący obok patrzą na mnie jak na wariatkę i nikt nie kwapi się, żeby cokolwiek wyjaśnić.

Toczę oszalałym wzrokiem po obecnych i nic nie rozumiem. Czy to oznacza, że znaleźli ją martwą? Trzęsę się jak w gorączce. Równie spanikowany Olaf, wyczuwając targające mną emocje, kładzie mi rękę na ramieniu i mocno ściska. Cała moja krucha nadzieja rozpada się na drobniutkie kawałeczki.

– Ciii.

Wyrywam mu się.

– Co z nią? Do cholery, powiedzcie mi wreszcie, gdzie ona jest!

Afera i zamieszanie, których jestem autorką, robi potężne wrażenie, bo wszyscy zamierają i wpatrują się we mnie osłupiali; wyglądają, jakby się zastanawiali, z jakiej planety przybyłam. Wreszcie policjantka, z blond włosami spiętymi w gruby kucyk, z przekrzywioną kaburą i nieprzystającym do okoliczności spokojem i zdziwieniem mówi:

– Mała? Poszła zrobić siusiu, o, już wraca.

Odwracam się na pięcie i patrzę wprost na Marysię, a w zasadzie nie Marysię, lecz prowadzoną za rączkę dziewczynkę, która co prawda przypomina moje dziecko, ale jej kitki zniknęły zastąpione krótkimi czarnymi kędziorami. Ma na sobie jakieś kolorowe tandetne ciuchy i koszarne buty świecące przy każdym kroku dyskoteką lampek. Serce mi podpowiada, że to moje dziecko, jednak rozum się buntuje.

– Mama!

Małe stworzenie rzuca mi się w objęcia i tuli całym ciałkiem tak, że przysiadam na pupie. Siedzę na zimnych jasnych kaflach i przytulam ją całą sobą. Gejzer nowej fali miłości zalewa nas obie, uświadamiając nam, że jesteśmy dla siebie najważniejszymi istotami na ziemi.

Musimy robić wrażenie, bo nawet twarda Tekla odwraca się i coś majstruje w okolicach oczu. Olaf niby trzyma fason, ale broda trzęsie mu się jak u dzieciaka, któremu zabrano lizaka.

– A więc to jest ta mała dama. – Podchodzi do nas, przykuca i przygląda się Maryśce, która jest równie mocno nim zaintrygowana. Lustrują się przez chwilę, po czym Olaf głaszcze ją po głowie. – Cześć, Marysiu, jestem Olaf, kolega Niny.

Przestraszona mała kurczowo chwyta mnie za szyję i odruchowo się cofa, coraz mocniej wciskając dupkę na moje kolana.

– Nie bój się, to mój przyjaciel. Olaf, to Marysia, o której ci opowiadałam. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnicie.

– Jasne, już jesteśmy kumplami! Prawda?

Czochra czarne włosy dziewczynki i cofa się o kilka kroków, by mała odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Jednak moje wysiłki i starania Olafa nie oswajają Marianny z nieznanym mężczyzną, który budzi jej obawy samą swoją obecnością.

Świat przestaje istnieć, policjanci znikają i niespodziewanie czuję, że jestem zmęczona jak koń po westernie, marzę tylko o tym, by wreszcie wrócić do cichego, bezpiecznego domu, zabezpieczonego zamkami i alarmem. Kruche, irracjonalne wrażenie bezpieczeństwa fundowane przez miks techniki z informatyką nie jest w stanie mnie ochronić, a jednak daje poczucie azylu, w którym mogę się zanurzyć.

Przed naszym odjazdem okazuje się, po przejrzeniu monitoringu, że fałszywy ojciec miał współniczkę. Tlenioną blondynę z czarnym

odrostem i włosami skręconymi w niestaranne fale, która wygląda na niemiecką fryzjerkę, z dużym biustem, jeszcze większą złotą biżuterią na każdym palcu i najkrótszą dekatyzowaną dzinsową spódnicą, jaką kiedykolwiek widziałam.

Wpatruję się w obraz tak, jakbym chciała nauczyć się go na pamięć. Każdej zmarszczki, gestu, mimiki. Szacuję ją jak wilk zająca i z jednej strony mam ochotę rzucić się za nią w pościg, z drugiej – zaczynam odczuwać strach. Dopóki nie znajdzie się w rękach policji, będę ją widzieć na każdym rogu, w sklepie, zaułku. Będę miała poczucie, że czai się gdzieś blisko i obserwuje.

Uświadamiam sobie, jak bardzo byłam przez tych dwoje ludzi podglądana, jak synchronizowali swoje zegarki z zegarem moich obowiązków i spraw. Musieli za mną jeździć, ukrywać się w pobliżu, a ja nic nie zauważyłam, nawet nie miałam cienia podejrzeń, że ktoś tak się mną interesuje! Złodzieje najcenniejszej rzeczy, a w zasadzie istoty, jaką posiadam, wiedzieli o mnie więcej niż ja sama, a ja wcale nie podejrzewałam ich istnienia.

Skubiąc krzywo przystrzyżone kruczoczarne włosy małej, które nadają jej wygląd japońskiej lalki rodem z ponurego horroru, z przerażeniem uzmysławiam sobie, jak dobrze mieli obmyślony plan, również ten awaryjny. Jak starannie zaplanowali każdy ruch i jak niewiele zabrakło, by go zrealizować. Zaledwie kilka kilometrów do przekroczenia granicy i zniknięcia na dobre. Włączenie rządów, procedur czy organów ścigania innych państw w poszukiwanie małej z pewnością nastęrczałoby wiele formalnych trudności i skomplikowało wszystko jeszcze bardziej. I choć jej buzia pojawiłaby się na wszelkich podłączonych do prądu monitorach, nie gwarantowałoby to sukcesu.

Marysia nie chce opuścić moich ramion, domaga się noszenia. Mocno trzyma mnie za szyję, a ja czuję się taka szczęśliwa. Stale szepcze mi coś do ucha, wyznaje miłość po sto razy i zadaje te same pytania:

- Mamo, nie zostawisz mnie?
- Nie, skarbie, nie zostawię, będziemy razem.
- Kocham cię, wiesz?
- Wiem, ja ciebie też.

– Ta pani mówiła, że jest moją prawdziwą mamą, ale ja jej nie uwierzyłam.

– Mądra dziewczynka.

Całuję małą w czubek głowy, który stracił swój rumiankowy aromat na rzecz chemicznej nuty zupełnie niepasującej do małego dziecka. Marysia ma nie tylko czarne włosy, ale również skórę głowy w kolorze asfaltu i brwi, które nadają jej groźny i niepokojący, wręcz upiorny wygląd, podkreślając jasność cery.

Każdy do kogoś dzwoni. Ja do Ani i Magdy, Olaf nie wiem do kogo, Tekla składa raport przełożonym. Panuje poruszenie i choć część policjantów wznawia pościg za kobietą, większość cieszy się jak taksówkarz na sylwestra, uznając niebezpieczeństwo za zażegnane.

Obsługa stacji za wszelką cenę usiłuje napoić nas kawą, a małą nakarmić niezliczoną ilością słodczy. Starszego jegomościa piastującego stanowisko kierownika rozpiera taka duma, jakby sam na własnych rękach wyniósł nieprzytomne dziecko z płonącego wieżowca.

To chwila idealna, kiedy człowiek rozumie, czym jest szczęście, a ulga ogarnia całe ciało, umysł i sprawia, że trawa jest bardziej zielona, ptaki radośniejsze, a kontury drzew jakby bardziej wyraźne. Cieszę się nią i wdycham do ostatniego pęcherzyka w płucach, bo mam świadomość, jak bardzo jest ulotna i że zaraz, przytłoczona codziennymi obowiązkami, o niej zapomnę.

Mijają godziny, na dworze robi się chłodniej, a ponury dzień ustępuje ciemności nocy. Stacja tonie w jasnym świetle lamp, jednak czerń horyzontu przypomina o niebezpieczeństwie, które gdzieś tam się czai w postaci porywaczki.

Około dwudziestej drugiej wychodzimy w eskorcie policji. Olaf z powolną gracją i zgodnie z obowiązującymi przepisami kodeksu drogowego wiezie nas do domu, pozwalając wyprzedzać się wszystkim samochodom zmierzającym w tę samą stronę. Marysia w foteliku, przypięta szarymi, wypełnionymi miękką gąbką pasami, zasypia z ulubioną, zabraną z łóżka maskotką, a my milczymy wpatrzeni w światła aut przed nami. Każdy przetrawia wydarzenia ostatnich dni i własne obawy, bojąc się nimi podzielić.

Robię sobie wyrzuty, przy czym bezwiednie głośno je

wypowiadam:

– To wszystko moja wina.

– Niby co?

– Za bardzo chciałam ułatwić sobie życie. Nie powinnam zapisywać małej do przedszkola, a Antosia do żłobka.

– Oszalałaś? Przecież tysiące rodziców tak robi, to raczej normalne.

– No tak, ale zobacz, co się stało.

– Gość wyszedł z paki, był nagrзany na małą jak łysy na grzebień, więc tak czy inaczej usiłowałby ją zwinąć. Uważasz, że byłoby lepiej, gdyby zaatakował was w domu?

– Nikt nie oddałby mu Marysi!

Co on gada? Czy nie rozumie, że inaczej bym ją chroniła?

– Tak, akurat. A gdyby przyszli z bronią? Mogliby was zastrzelić. Albo w nocy? W piżamach i zaspani raczej nie wykazujemy się walecznością. Mógł cię napaść na spacerze. Albo Ankę. Jest nieobliczalny.

Choć bardzo niechętnie, to jednak przyznaję, że wszystko mogło tak się potoczyć.

– Może masz rację.

– Oczywiście, że mam. Na desperatów i wariatów, nie mówiąc już o psycholach, nie ma skutecznej metody, więc nie rób sobie wyrzutów.

Głośno wzdycham i pogrążam się w ponurych myślach.

– Ale dlaczego znowu ja?

– Tego akurat nie wiem. Przestań się zadręczać, tylko ciesz się z finału.

– No jeszcze nie, przecież ta baba gdzieś krąży.

– Ale raczej boi się o własny tyłek, a nie opracowuje nowy plan.

Pomyśl lepiej, jak jutro utulisz małą.

– Może masz rację.

Umysł przeskakuje z opcji „poczucie winy” na „co Marianna lubi najbardziej i co mogę jej jutro ugotować”. Z pewnością musi być głodna po tym wszystkim. Może rosół albo lepiej zupa pomidorowa? A na drugie danie? Naleśniki?

– Co tak zamilkłaś?

- Zastanawiam się, co mam jej jutro przygotować do jedzenia.
- No, proszę! W sumie też coś bym zjadł.

Po raz pierwszy tego dnia czuję głód. Chce mi się pić, spać, wszystko naraz i wiem, że jak dotrę do domu, na przekór potrzebom ciała nie będę mogła ani zasnąć, ani tym bardziej jeść.

Mija nas gnający w przeciwną stronę radiowóz na sygnale, a mnie przechodzą ciarki. Odruchowo się oglądam, ale poza ciemnością nie dostrzegam niczego niepokojącego. Podejrzewam, że do końca życia właśnie tak będę reagowała na niebieskie pulsujące światło, w ogóle każde pulsujące światło.

– Wszystko OK? – Olo rzuca mi szybkie spojrzenie, by po chwili ponownie skupić się na drodze.

– Sama nie wiem. I tak, i nie. A ty jak?

– W zasadzie dobrze, choć nadal nie mogę uwierzyć, że przydarzyło nam się coś takiego. Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w patologicznych rodzinach albo przy jakichś mafijnych porachunkach.

Bardziej niż na patologicznych rodzinach i porachunkach skupiam się na użytej przez niego liczbie mnogiej. Bo przecież to mnie spotkało, jego tylko trochę zahaczyło. Nie sądziłam, że się tak utożsamia z moim życiem.

– Jestem mistrzynią przyciągania głupich sytuacji, dziwnych ludzi i nieszczęść.

– Nie mów tak.

– A sam tego nie widzisz?

– Może trochę masz pecha.

– Taaa, a Hitler trochę nie lubił Żydów.

– Nie przesadzaj. Masz świetne dzieci, dom, pracę.

– Bla, bla, bla. Wszyscy mi to powtarzają, a ja miałam więcej: dzieci, rodzinę, o nic nie musiałam się martwić i w dodatku byłam na tyle głupia, żeby czuć się szczęśliwa. Dlaczego nikt nie widzi drugiej strony tego wszystkiego?

– A teraz?

– Co teraz?

– Jesteś szczęśliwa?

– Teraz są tylko dzieci i pieniądze, dzięki którym możemy przetrwać. Poza tym nawet nie wiesz, jak bardzo zaczęłam się bać.

– Bać? Czego?

– Chociażby tego, że znowu ktoś się przyczai i będzie usiłował mi coś odebrać. Podejrzewam, że skończę w psychiatryku, lecząc ostrą paranoję. Boję się, że coś może mi się przytrafić i dzieciaki zostaną same, boję się facetów, że znowu mnie oszukają, boję się, że Ania odejdzie i zostanę z tym wszystkim sama, boję się psów spuszczonej ze smyczy, wreszcie boję się pretensji teściów, bo coraz mniej mam ochotę wiecznie się tłumaczyć, boję się, że nie dam rady. Chcesz jeszcze?

– Nie, wystarczy.

Olaf znowu na mnie zerka, po czym wybucha śmiechem. Jestem oburzona. Wyznam mu swoje największe lęki i obawy, a on ma ubaw?!

– No, miło z twojej strony. Już nic ci nie powiem. – Udaję, że się obrażam, a zwyczajnie jest mi przykro.

– Nie, sorki. Po prostu mnie oszołomiłaś, zwłaszcza tymi psami. Czy ty, kobieto, czegoś się nie boisz?

W zasadzie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Czy odpowiedź, że nie boję się śmierci, jest właściwa? Obawiam się, że nie, więc wzruszam tylko ramionami i z zaciętą miną postanawiam milczeć do końca podróży.

Dzieje się coś niedobrego, co na zawsze może zmienić nasz układ, bo nagle cisza zaczyna mi ciążyć. Spoglądam na Olafa i mam wrażenie, że chyba nie tylko mi, bo on również co rusz poprawia się na fotelu kierowcy. Obawiam się, że ta znajomość nie przetrwałaby najmniejszej kłótni.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało, to ja przepraszam, że tak wypaliłam, ale czasami mam naprawdę dosyć.

– Nie myślałaś, żeby się z kimś związać? Zawsze byłoby ci łatwiej.

Milknę na chwilę wpatrzona w ciemne kontury lasu na horyzoncie.

– I jeszcze się boję, że zepsuje mi się samochód w środku nocy w lesie, a komórka nie będzie miała zasięgu. Wyobrażasz sobie, że o tych wszystkich lękach mówię jakiemuś facetowi i go nie płoszę? Przecież to jak sygnał ostrzegawczy, żeby brać nogi za pas.

– Bo ja wiem.

– Daj spokój. Chciałbyś być z kimś, kto na starcie wita cię litanią żalów, pretensji, oczekiwań i otwarcie mówi, że sto rzeczy jest ważniejszych od ciebie?

– Chyba nie.

– I sam udzieliłeś sobie odpowiedzi. Zresztą nie chodzi o tę drugą stronę, tylko o mnie. Nie jestem zainteresowana związkami.

Jedziemy w milczeniu, a mój umysł, zamiast odpocząć, produkuje najdziwniejsze wizje i obrazy. Jednak to nie pytanie Olafa skłania mnie do rozmyślań, raczej skupiam się na obawie przed wysłaniem dzieci dokądkolwiek, pozostania samotnie w domu i zostawienia pustej chaty na wypadek wyjazdu całej rodziny. Nakręcam się na tyle skutecznie, że gdy parkujemy na podjeździe, radość ze znalezienia małej zamienia się w paniczny strach przed ciemnością nocy.

– Wszystko OK? – Najwyraźniej Olo wyczuwa napięcie, które mną owładnęło, bo przygląda mi się wnikliwie i dopytuje dalej: – Coś się stało?

– Nie, w zasadzie nic, tylko dopadł mnie idiotyczny strach. Wiesz, nie złapali tej kobiety i tak sobie pomyślałam, czy nie będzie chciała spróbować jeszcze raz.

– Spróbować czego?

– Porwać małą.

– Nie, z pewnością nie. Już ci mówiłem. Teraz musi chronić własny tyłek, więc będzie usiłowała się ukryć, nie wróci po dzieciaka.

– Tak myślisz?

– Jestem pewien.

– No, nie wiem, tak czy inaczej nie zasnę.

Olaf patrzy na mnie jakoś tak inaczej. Podchodzi, obejmuje mnie na niedźwiadka i klepie po plecach. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję się tak, jakby ktoś zdejmował ze mnie ciężar odpowiedzialności, no, przynajmniej jego część.

– Wejdiesz?

– Jasne. Mam nadzieję, że dasz mi coś do jedzenia, bo umieram z głodu. Następnym razem na taką wyprawę musimy zabrać kanapki.

– Przecież mieliśmy bułki, zupełnie zapomniałam!



Otwieram tylne drzwi od strony śpiącej Marysi. Mała jest tak skonana, że nawet się nie porusza, gdy sięgam po pieczywo, które spadło z siedzenia i teraz leży na welurowej wycieraczce samochodu. Delikatnie wypinam małą z pasów, lecz w chwili, gdy chcę ją chwycić, Olo odsuwa mnie zdecydowanym ruchem i wysupłuje śpiocha z fotelika. Przytula do klatki piersiowej, tak że główka Marysi wpasowuje się w zagłębienie szyi, i wnosi po schodach.

Nim zdążę wyciągnąć klucze, drzwi się otwierają. Magda i Anka wybiegają nam naprzeciw, ale po kilku krokach stają jak wmurowane. Okrągłymi oczami spoglądają na czarną poszarpaną czuprynę i jeszcze czarniejsze, upiorne brwi.

– Co to jest? – Magda szeptem zadaje pytanie, na które tak naprawdę nikt nie zna odpowiedzi.

– Zmyłka, kamuflaż... nazwij to, jak chcesz.

– Jezu, ale to chyba zejdzie?

– Kiedyś pewnie tak. Teraz musimy się przyzwycząić do tego paskudztwa.

– No, ja chyba nie dam rady, to będzie nam tylko przypominać, co się stało. Masz jakieś chustki, czapki, cokolwiek?

– Halo, ciesz się małą, a nie gadaj o fryzurze. Jesteśmy wykończeni.

Olaf zanosí małą do jej łóžeczka. Marysia tylko głośnym westchnieniem udowadnia, że żyje, natomiast żaden ruch, zapalone światło czy jęk Klary na widok jej czarnych włosów nie robią na niej najmniejszego wrażenia.

– Mamo, czy te włosy to już takie zostaną? Będzie miała takie czarne na zawsze? – Klara najwyraźniej jest przestraszona, a widok siostry uzmysławia jej, w jakich poważnych tarapatach mała się znalazła.

– Nie, no coś ty? To tylko farba. Zmyje się.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. A nawet jeśli nie, to włosy rosną, więc te czarne się obetnie.

– To dobrze, bo wyglądają okropnie.

Klara drepcze za mną do kuchni, za nią wlecze się Ania, a sprężysty krok Olafa zamyka pochód.

– To co? Po sprawie? To ja już lecę.

Olo jak zwykle optymizmem usiłuje odgonić ponure myśli, jednak tym razem jest mało przekonujący nawet dla siebie. Zdradza go czujne spojrzenie rozbieganych oczu i to, że nie może ustać w miejscu.

– Przecież chciałeś coś zjeść.

– Skoro tak mówisz...

Mam wrażenie, że tylko czekał na zaproszenie, bo ciężko opada na kuchenne krzesło, opiera łokcie na blacie stołu, przesuwa słomianą podkładkę i głośno wzdycha.

– A ty co?

– Nic, tak sobie czekam na jedzenie.

– Halo, to nie knajpa... nóż do chleba jest w górnej szufladzie, a chleb w tamtej szafce. – Macham ręką w kierunku okna.

– Rany, co to ja mąż jestem czy gość?

Patrzę na niego z politowaniem, sięgając po sporą patelnię z dolnej szuflady.

– Przygrzać ci? – Wymachuję groźnie kuchennym sprzętem. – Bierz się do roboty, nie marudź. Chcesz jeść, to sobie zrób. Dziad jeden – mruczę pod nosem, nie mając ochoty na obsługiwanie kogokolwiek w jakimkolwiek zakresie, tym bardziej w obszarze prania skarpet, bielizny i sprzątania bałaganu, jaki wnosi ze sobą do domu mężczyzna.

– Mówił ci ktoś, że jesteś zołza?

– Wszyscy, więc przestało to na mnie robić wrażenie. Jak się nie podoba, to wiesz co...

– OK, OK.

Fala ulgi przechodzi w niesamowite zmęczenie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jaka jestem wykończona. Otwieramy czerwone wino i po pierwszej małej lampce mam taki odlot, że dojście do sypialni będzie graniczyć z cudem. Bynajmniej nie za sprawą alkoholu, tylko osłabienia tym wszystkim, co się wydarzyło.

Okna trzeszczą, wciskane przez wiatr do wnętrza domu, a drzewa zaczynają swój upiorny taniec. Las szumi jak wezbrane, pełne złości morze i coś miarowo wali w tarasową okiennicę. Wstrząsa mną strach i odruchowo najpierw krzyczę, a potem pytam:

- Słyszałeś?
- Twój krzyk? Tak.
- Głupi jesteś! Stukanie za oknem!
- Daj spokój, to tylko wiatr.
- A jeśli nie?
- No to niby kto?
- Tleniona Niemka?
- Chyba jej duch.

Siedzimy nadal w kuchni i choć odczuwamy pewne zaniepokojenie – to znaczy ja panikuję, on zachowuje pozory spokoju, co średnio plasuje nas w kategorii solidnej obawy – nie mamy ochoty się ruszyć. Ja zwyczajnie mam cykora, natomiast zachowanie Ola raczej sugeruje totalne lenistwo. Wreszcie małym szantażem, że nie dostanie jajecznicy, zmuszam go do wyjścia do ogrodu i okrążenia domu.

Olo wysuwa się na zewnątrz z taką niechęcią i powolnością, że mały kociak korzysta z okazji i czmycha między jego nogami. Super. Oczywiście to jego pierwsze od czasu zamieszkania z nami wyjście poza dom, więc rzuca się w gęstwinę krzaków niesiony obawą przed nieznanym.

Klara, która usłyszała nasze krzyki, teraz szłocha w korytarzu, że jej ukochane zwierzątko dało dyla i na pewno się nie znajdzie, więc ona w związku z tym się zabije i jak mogliśmy do tego dopuścić.

Zapalam zewnętrzne lampy, które dają tyle światła co migotliwy płomień świecy na wietrze, i zaczynamy beznadziejnie nawoływać stworzenie, które nawet w domu na to nie reaguje. W efekcie od godziny z latarkami w dłoniach, przemarznięci i przemoczeni, kręcimy się po ogrodzie. Najwyraźniej nasze zachowanie wzbudziło niepokój sąsiadki, pani ordynatorowej, bo właśnie podjeżdża wezwany przez nią samochód agencji ochrony i zostaje poddana procedurze weryfikacji.

- Pani hasło?

Nie mam pojęcia, jakie ustaliłam hasło. Coś mi się kojarzy, że to nazwa jakiegoś państwa, ale czy europejskiego – tego już nie wiem. Nie odnajdując w pamięci właściwego tropu, strzelam:

- Francja?
- Słucham?

Patrzy na mnie otępiały i nie rozumie.

– No, hasło: Francja. Nie, może Belgia?

– Nie... Zgaduje pani dalej?

– Panie, nie wiem, jakie mam hasło, a w dodatku zwiął nam kociak i go szukamy. Może nam pan nie przeszkadzać?

– No, jednak muszę. Proszę zadzwonić do centrali i to im, a nie mnie, podać hasło, bo inaczej mamy obowiązek zawiadomić policję o włamaniu.

Jasny gwint. Jeszcze to mi potrzebne.

– OK, to niech pan tu stoi, a ja idę po telefon. – Wręczam latarkę zdziwionemu klonowi Rambo, z tą różnicą, że ten jest niższy, ma mniejszą muskulaturę i mniej spektakularny mundurek. – Niech pan w tym czasie spróbuje poszukać kota.

Wpadam do domu, w którym najpierw nie mogę znaleźć torebki, a gdy wreszcie namierzam ją na kanapie w salonie, to okazuje się, że nie ma w niej telefonu, którego – mimo wydzwaniania przez Anię – nie mogę zlokalizować. W końcu przypominam sobie, że nie zabrałam go z samochodu. Otwieram drzwi garażu, ciągnę za klamkę auta, które okazuje się zamknięte, więc teraz szukam kluczyków. Sprawdzam kuchnię, salon, garderobę i doznaję olśnienia, że widziałam je w torebce. Wreszcie udaje mi się dodzwonić do centrali, odwołać patrol i wyjść na deszcz.

– Macie go?

– Nie.

Ochroniarz oddaje mi latarkę i gdy ją sobie przekazujemy, światło omiata drzewo na podjeździe z kociakiem siedzącym w drewnianym karmniku dla ptaków, na najniższej gałęzi magnolii. Wystraszone zwierzątko kuli się i usiłuje schować pod minidaszkiem. Olaf delikatnie je wyjmuje, choć w kociej wersji wydarzeń zostaje to zinterpretowane jako atak, bo maluch nie tylko fuka, ale boleśnie gryzie go w rękę.

– Cholera jasna. Co ty masz za zwierzaki?

– Takie, jakie się przyplączą. Nie narzekaj, tylko bierz małego i wchodź do chaty, bo przemokłam do suchej nitki.

Zwijamy się wraz z nieszczęsnym kociakiem i oddajemy Klarze coś, co do niedawna było włochatą kulką, a teraz jest karykaturą kota; ze

sterczącymi kośćmi i burymi zlepkami sierści stworzenie przypomina wiekowego szczura.

– Wytrzymaj go i wysusz, no i może wreszcie pójdziecie razem spać.  
OK?

– Tak, tak, tak.

– A tak przy okazji, trzeba wymyślić mu jakieś imię, bo „kociak” jest raczej mało ambitne i wyróżniające, nie sądzisz?

Na szczęście tak sądzi i znika na piętrze z obietnicą wymyślenia czegoś godnego małego stworzenia. Ania idzie do siebie, a Magda niespokojnie krząta się po kuchni.

– Nina, nie obraż się, ale jestem tak wykończona, że muszę się porządnie wyspać, przebrać... a skoro wszystko jest pod kontrolą, to pojedę do siebie. Co ty na to? Dasz sobie radę? – Rozkłada przed nami talerze i po chwili już jej nie ma.

Grzebię niemrawo widelcem w jajecznicy, która robi się coraz zimniejsza i bardziej niesmaczna. Olo za to pochłania z apetytem jajka, chleb, wszystko, co postawiła na stole Magda, jakby nie jadł od miesięcy. Wreszcie odkłada sztućce i patrzy mi prosto w oczy.

Nie wytrzymuję ciężaru spojrzenia, więc pod pretekstem zebrania naczyń odwracam się i zaczynam krzątać po kuchni, upychając w zmywarce brudne naczynia, a resztki jedzenia w lodówce.

Szum deszczu zagłusza myśli. Mimo zamkniętych okien i spuszczonej rolet wiatr usiłuje wdrzeć się do domu. Orkiestra jęków ocierających się o siebie gałęzi i trzeszczącej konstrukcji dachu wywołuje ciarki na plecach, które teraz niczym dobrze zorganizowany szwadron maszerują wzdłuż kręgosłupa.

– Co za pogoda. Jakby piekło się budziło.

– Mów mi tak jeszcze, a nie zmrużę oka.

– Przecież żartowałem.

– Spoko, jestem tak podszyta strachem, że kilka upiorów nie robi na mnie wrażenia. – Naprawdę nie czuję się zbyt pewnie.

– Chcesz, żebym został?

– W zasadzie...

– Słuchaj, przekimam się na kanapie, a ty będziesz mogła spokojnie się wyspać.

– Nie, dam sobie radę – mówię niepewnie, sama w to nie wierząc.  
– Decyduj.  
– No, może faktycznie, gdybyś mógł zostać... kanapa w salonie się rozkłada.

Widzę w jego oczach ulgę, bo najwyraźniej perspektywa spania na dwuosobowej sofie nie była spełnieniem jego marzeń.

Rozkładamy przypominającą tapczan kanapę, która z jękiem zawiasów wreszcie obnaża wielkość materaca w pełnej krasie. Zostawiam pościel, poszewki, ręcznik i znikam w łazience na górze. Biorę gorący prysznic, balsamuję ciało i nareszcie mogę się wsunąć w pościel.

Przedtem jednak kucam przy łóżeczku małej i głaszczę ją po krzywo przyciętych włosach. Marianna przewraca się na brzusek i teraz dla odmiany delikatnie masuję plecki, które pod moją ręką unoszą się i opadają. W obawie, że ją przebudzę, wycofuję się na flanki własnej poduszki. Jestem wyczerpana.

**Budzi nas jeden z tych przyjemnych, rześkich wiosennych poranków niosących nadzieję na ciepły dzień. Po krótkiej nocnej ulewie przesiąknięta ziemia wydziela wszelkie aromaty dostępne naturze, a las sączy do ogrodu zapach świerków i żywicy.**

Marysia w nocy najwyraźniej przetupała do mojego łóżka, bo teraz, wciśnięta między wielkie, puszyste poduszki, spokojnie śpi. Głaszczę ją po głowie i wtedy szeroko otwiera zdziwione oczy.

– Mama. – Ulga emanuje z każdej litery tego słowa.

– Cześć, kochanie. Wypałaś się?

– Yhm.

Zaczynamy codzienny rytuał poranka, z tą różnicą, że zamiast mycia zębów i buzi wsadzam małą do wanny i usiłuję zmyć wszelkie szare plamy, ze szczególnym uwzględnieniem włosów i brwi. Jest brudna jak nieboskie stworzenie. Efekt osiągam raczej mizerny, jednak mam pewność, że rytualnie zmyłam z Marysi całe zło, którego doznała przez ostatnie dni.

Olo wesoło zabawia krzątającą się przy przygotowywaniu śniadania Anię, szczęśliwy, że nie miała odwagi ani pomysłu, jak zagonić go do roboty.

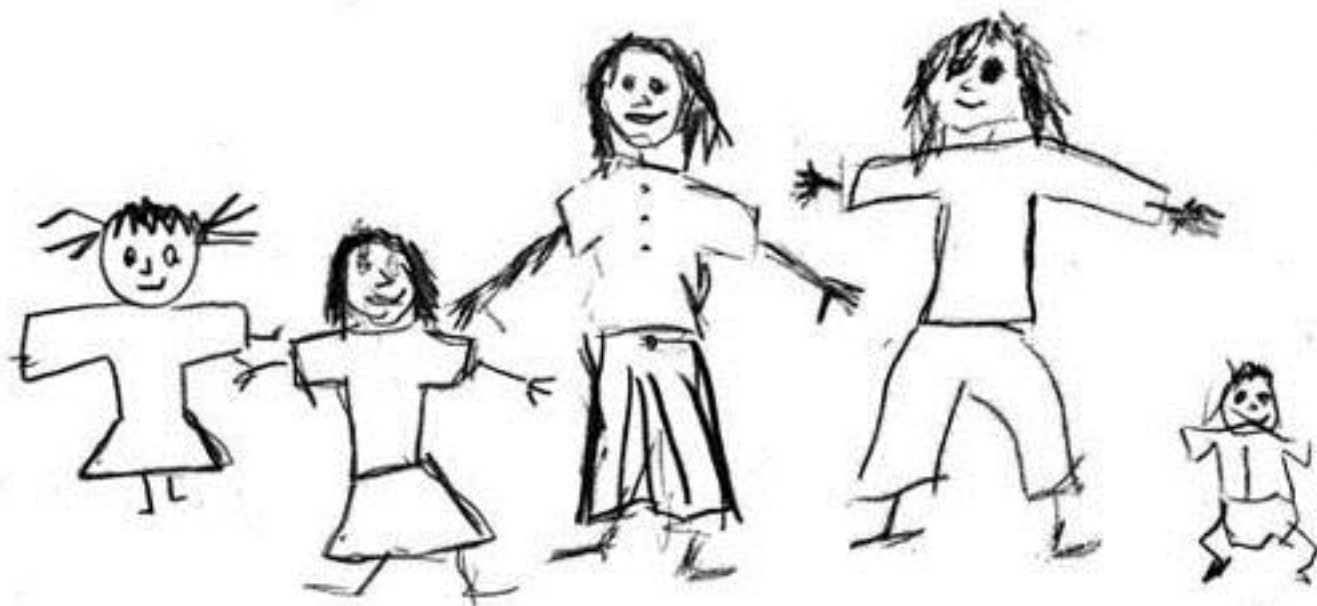
– Cześć.

– No proszę! Ile to się śpi. – Olo zadowolony z siebie, śniadania na stole i tego, że może mi dociąć, sięga po kolejną filiżankę czarnej kawy.

– Tyle, ile się ma ochotę.

Nagle uświadamiam sobie, że potrafię się znowu śmiać, znaleźć w sobie ironię i złośliwość. Strzelam go ze ścierki po głowie i siadam przy talerzu z jeszcze ciepłymi, domowymi bułkami. Wyjmuję z lodówki, obwieszanej rysunkami Klary przedstawiającymi naszą szczęśliwą i nareszcie w całości rodzinę w wersji domowej, ogrodowej i zawieszoną w powietrzu, kartonik z sokiem pomarańczowym. Nalewam do wysokiej szklanki, przekrawam maślaną bułeczkę i smaruję grubą warstwą masła, dżemu truskawkowego i podaję Mariannie. Sama delectuję się orkiszową bułką z masłem i plastrem pomidora, którego

zapach przenosi mnie do domu babci, azylu bezpieczeństwa, gdzie nawet nie myślałam, że mogę mieć jakiś problem, o jego posiadaniu nie wspominając.



Jest dobrze. Domowo. Bezpiecznie? Tego jeszcze nie jestem pewna. Boję się uznać, że znowu jest w porządku. Ale nareszcie jestem pewna, że wiem, kim jestem, kim nie będę i kim nie muszę być. To mój czas i moje miejsce.

Nagle przypominam sobie, że dziś Klara ma pierwszą spowiedź.

– Klara! – wołam w kierunku schodów. – Zapomniałam, że o trzynastej masz spowiedź. Przygotowałaś się?

Mała powoli złazi rozczochrana, w wymiętej piżamie, i nie wygląda na kogoś, kto jest gotowy na cokolwiek.

– Muszę iść?

– No raczej.

– Ale...

– Nie ma ale.

– Ja chyba nic nie pamiętam.



– Chodź, jeszcze raz zrobimy rachunek sumienia i przećwiczmy regułę.

Zaganim ją do łazienki, zmuszam do włożenia sukienki i czarnych rajstop, zamykam drzwi do jej pokoju i siadam przy biurku.

– To co, powtarzamy?

Powoli, mozolnie brniemy przez rachunek sumienia, regułę, którą wypowiada się, klękając w konfesjonale, przypominamy, kiedy się siada, wstaje i tak dalej.

Klara wpada na pomysł spisania grzechów na kartce, ale w obawie, że może je zgubić, a potem ktoś je znajdzie i wyśmiej, pod nosem powtarza litanie zaczynającą się od: okłamałam mamę, plułam na Maćka, nie zrobiłam...

W kolejce do konfesjonału zajmujemy dwudzieste siódme miejsce i obawiam się, że nie tylko nie zdążymy na obiad, ale może być cienko z kolacją. Tymczasem, ku zaskoczeniu rodziców, dzieciaki dosyć rażno przesuwały się w ogonku w kierunku księdza, a odchodząc po spowiedzi, każde z nich podchodzi do zwisającej z drzwiczek stuły i ją całuje. Mam nadzieję, że moja córka nie wpadnie na pomysł dotykania ustami pełnego bakterii i grzybów, wycelowanego przez wielopokoleniowe tłumy kawałka materiału. Nie wiem, jak przy dzisiejszym poziomie świadomości medycznej i higienicznej można kultywować średniowieczne tradycje.

Całą operacją dyryguje katechetka, kobieta w wieku nieokreślonym, na oko między trzydziestą a sześćdziesiątą wiosną. Istota tonąca w beżach i szarościach, zbyt dużej spódnicy, która nieustannie wędruje wokół talii, tak że co rusz błyszczący zamek zmienia położenie, pojawiając się to na biodrze, to z przodu, i wymaga nerwowego poprawiania. Stroju dopełnia ciemnoszara kurtka, która wygląda jak plandeka z rękawami, i równie szare włosy, upstrzone siwymi kosmykami.

Mimo że usiłuje zapanować nad sytuacją i zmusić dzieciarnię do zachowania spokoju i nierozmawiania, wydaje się zagubiona jak Żyd w meczecie. Chodzi od jednego konfesjonału do drugiego, zgarnia maluchy po odpukanym w drewno rozgrzeszeniu i popycha w kierunku kaplicy. Po chwili zmienia zdanie, nakazując jednak modlitwę przed

głównym ołtarzem i usiłując segregować dzieci według płci i wzrostu. Chłopcom bawiącym się czapkami odbiera je, odkłada na ławki, potem niespiesznie przeszukuje ich stosiki, by wydać właściwe nakrycie głowy wychodzącemu z kościoła dziecku. Doprowadza do szału rodziców, którzy najpewniej po przekleństwach wykwitających w głowach będą musieli spowiadać się ponownie.

Sama, korzystając z okazji, po miesiącach zwątpienia idę do spowiedzi. Powodowana tym, żeby młodej na uroczystości nie było przykro, że matka nie rzuca się w kierunku kielicha białych hostii. Wszystko jednak się we mnie buntuje i nie mogę pogodzić się z brakiem możliwości skorzystania ze spowiedzi powszechnej, jak się to dzieje w innych, nieco bardziej cywilizowanych państwach.

Nareszcie przychodzi pora na Klarę. Ukradkiem robię jej zdjęcie, a potem obserwuję, jak klęka, pochyla głowę w kierunku drewnianej kratki, przez którą widzę zarys postaci księdza, pochyla się nad stulą, udaje, że ją całuje, unosząc do ust – moja krew! – i odchodzi w kierunku kaplicy Trójcy Świętej. Najwyraźniej zmyła zajęta szukaniem szalika katechetkę, bo przez nikogo nie niepokojona opada na klęcznik. Modli się żarliwie, zapamiętała i w nieskończoność, z pokornie złożonymi dłońmi. Nareszcie wstaje, rozgląda się niewidzącym wzrokiem, usiłując wysupłać mnie z tłumu rodziców, i w końcu możemy ruszyć do domu.

Gdy wyjeżdżamy z parkingu, dzwoni teściowa.

– Halo.

– Nina?

Nie wiem, kogo się spodziewała, lecz gdy optymistycznie myślę, że pomyliła numer, ona zasada się na mnie mocą wszystkich zasuszonych czterdziestu dziewięciu kilogramów.

– Tak, słucham.

– To ja słucham! Co masz mi do powiedzenia?

– A w jakiej sprawie?

– Jak to w jakiej! W sprawie mojej wnuczki.

– Przecież wczoraj rozmawiałyśmy, wydaje mi się, że wszystko opowiedziałam.

Naprawdę nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Przypominam ci, że jestem jej babcią.

– Tak? – Nadal nie wiem, do czego zmierza.

– No właśnie. Rozmawiałam w naszym gronie i uznałam, że nie jesteś odpowiedzialna i jednak nie powinnaś się nią zajmować.

– Słucham?

– Co, nie słyszysz? Nie powinnaś zajmować się Marysią. Ona potrzebuje troski, poczucia bezpieczeństwa, a co ty możesz jej zapewnić?

– No, to jest szczyt. Wszystko! I jeśli sobie przypominam, teściowa jakoś nie kwapiła się do sprawowania opieki.

– Nie pozwalaj sobie. To, że jestem starsza, nie znaczy, że nie potrafię się zająć dzieckiem. Przypominam, że wychowałam dwoje.

– Proponuję, by dla odmiany zajęła się teściowa sobą.

– Bezczelna jesteś.

– Może. Coś jeszcze?

– Oczywiście. Powiedz mi, jak można było oddać dzieci do żłobka czy takiego przedszkola.

– Przecież była teściowa zachwycona przedszkolem prowadzonym przez siostry.

– Nie przypominam sobie.

– Szkoda.

Nakręcona jak sprężyna pani Ola całkowicie traci kontakt z rzeczywistością i wykrzykuje kolejne kwestie:

– Rozmawiałam z Wojtkiem i nie myśl sobie, że tak to zostawimy! Oddasz wszystkie dzieci i już nigdy nie narazisz nikogo na niebezpieczeństwo, poza tym...

Nie słucham dalej, bo wściekła się rozłączam. Jest intelektualnie i emocjonalnie tak mało pogłębiona, że nie jestem w stanie wysłuchiwać jej tyrady. Jest największą, najwybitniejszą oportunistką, jaką znam. Gładko zmienia poglądy, opinie i obiekty uczuć. Od zachwyty i wdzięczności za to, że zajęłam się Marysią, przeszła w grząski obszar mściwej nienawiści. Zapominam, że Klara siedzi za mną, i wrzeszczę:

– Kurwa!!!

– Mamo, musisz znowu iść do spowiedzi.

Gwałtownie przypominam sobie o jej istnieniu.

– Słucham?

– No, powiedziałaś brzydkie słowo, więc musisz się wypowiadać. Cholera, nie mogę mówić przy niej „brzydkich słów”, przynajmniej do dnia komunii. Gdyby wiedziała, co jeszcze powiedziałam w myślach, pewnie sama ze strachu pobiegłaby do konfesjonału.

Za sprawą telefonu starszej pani dzień stał się dniem jak co dzień, a uczucie ulgi przetykanej euforią uleciało.

W domu dla odmiany panuje cisza i spokój. Marianna i Antoś śpią, a Olaf zmył się zaraz po śniadaniu. Miałabym ochotę cieszyć się odzyskanym dzieckiem i życiem, a jednak z tyłu głowy czai się obawa.

Chciałabym iść na spacer z wózkiem, ale boję się sama wyjść z domu, a towarzystwo Ani nie daje mi wystarczającego poczucia bezpieczeństwa, żeby cieszyć się urokami wiosny. Mam ochotę na małe szaleństwo w galerii, ale gdzie będę nosić nowe ciuchy? Przecież z każdej szafy wylewają się ich całe oceany. Z drugiej strony, nie ma nic miłszego jak posiedzieć w domu ze wszystkimi.

Snuję się, potykając się o myśli i obawy. Z euforii wpadam w panikę i odwrotnie. Do tego Ziuta ukarała mnie o wschodzie słońca godzinną arią miauczenia w różnych tonacjach i barwach, połączonego z drapaniem w drzwi, gdy odkryła pustą miskę na podłodze w kuchni, bo zapomniałam kupić saszetkę mokrej karmy z tuńczykiem, codziennej porcji śniadaniowej. Nie dała się ugłaskać kocimi ciasteczkami ani kiełbaskami, z szaleństwem w oczach chodziła za mną, trącając łapką po nogach. Teraz odczuwam konsekwencje przedwczesnej pobudki.

Tuż po obiedzie dzwoni Olaf.

– Co robisz? Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Snuję się po domu i nie wiem, co ze sobą począć, ale tak poza tym jest OK. A co u ciebie?

– Nic mądrego. Skończyłem wcześniej pracę i zastanawiałem się, co słyhać u małej.

Robi mi się miło i przyjemnie, a rozkoszne ciepło rozsiada się wygodnie w żołądku. To, że ktoś o mnie pomyślał, to już naprawdę coś, a jeśli tym kimś jest facet, to może jeszcze nie jestem do końca przezroczyista. Nie szukam nikogo, a jednak myśl o Olafie budzi motyle w brzuchu. Dziwne.

– Zastanawiałem się, czy nie wybrałabyś się na spacer po lesie.  
– Wiesz, nawet o tym myślałam, ale boję się sama tam zapuszczać.  
– To pójdziemy razem. Zabierzemy dzieciaki i pooddychamy świeżym powietrzem.

– Super.

– OK, daj mi chwilę.

Rozłącza się, a ja gnam do garderoby, żeby domowe ciuchy porzucić na rzecz jakichś spodni. Przymierzam jedną, drugą, trzecią parę dżinsów i za cholerę nie mogę się w żadne wbić. Spanikowana toczę wzrokiem po półkach pełnych ciuchów i wreszcie w akcie desperacji wkładam znieawidzone czarne rajstopy, których gumka co rusz zjeżdża z brzucha i zmusza mnie do przedszkolnych zachowań polegających na mniej lub bardziej dyskretnym podciąganiu rajtek. Do tego szara luźna sukienka, delikatny makijaż i jestem gotowa.

Łapię się na tym, że jestem podkrecona jak nastolatka przed pierwszą randką. Dziwne i niespodziewane. Okazuje się, że niepewność wzajemnych sympatii i oczekiwań owocuje przyjemnym uczuciem podekscytowania.

Idziemy przez chłodny las, pełen pomruków zwierząt, a właściwie brzęczenia owadów. Klara wesoło podskakuje, spięte w długą kitę włosy fruwały na wszystkie strony. Trochę zdziwiona radością siostry Marysia nie pozwala się odczepić ani od ramy wózka, ani od mojej nogi. Nieświadomy wycieczki Antoś tuż po trzaśnięciu furtką zasnął i teraz poza silniejszym zaciskaniem powiek, gdy mijamy świetlisty przesmyk między drzewami, nie daje znaków życia. Brakuje tylko małego psiaka na końcu czerwonej smyczy, który dopełniłby sielankowego obrazka.

Olaf człapie obok w traperskich butach, sportowo-wspinaczkowym wynalazku, w którym powinien zdobywać raczej Himalaje, a nie nasz lokalny pagórek, z którego nie da się nawet zjeżdżać na sankach.

Początkowo usiłował wyrwać mi wózek, ale gdy Antoś gwałtownie otworzył oczy, podskakując na pierwszym napotkanym konarze, oddał go spanikowany, odsuwając się na bezpieczną odległość, to znaczy chowając na wąskiej ścieżce tuż za moimi plecami. Zresztą nawet mnie to ucieszyło, bo lubię pchać wózek, który nie tylko daje wygodne podparcie, taki balkonik dla mam, ale staje się również buforem

bezpieczeństwa przed niechcianymi czy zbyt bliskimi kontaktami.

Marysia drepcze, trzymając z boku rączkę, i gdyby mogła, pewnie wskoczyłaby Antosiewi pod niebieski kocyk. Widać, że mała, zwłaszcza teraz, po uprowadzeniu, jeszcze bardziej poszukuje czułości i kontaktu.

Olo wydaje się onieśmielony otaczającym mnie światem dzieci i ich potrzeb. Dzieciaki biegają, popiskują, robią sporo hałasu i odzywają się w najmniej oczekiwanych momentach.

– Często tu chodzisz?

– Czasami.

– Sama? Nie boisz się?

– Oczywiście, że nie sama. Z Anką. Krótco przed zniknięciem Marysi miałam pomysł na samodzielne wycieczki...

– Nawet nie kończ...

– No, pewnie by się działo. Wiesz, co jest najgorsze? Że cała ta sytuacja odebrała mi poczucie bezpieczeństwa, uświadomiła jeszcze dobitniej, czym jest strata, samotność, i sprawiła, że zaczęłam się wszystkiego bać. Zupełnie nie tak jak wtedy, gdy zabrakło Bartka i Jaśka. Wtedy bałam się przyszłości, teraz boję się tego, co czai się za rogiem.

– Wypadałoby powiedzieć, że przesadzasz, ale nie powiem. Choć nie mam dzieci, doskonale zrozumiałem, czym jest obawa o najbliższych. – Kopie wilgotną szyszkę, która leży na ścieżce pewnie od późnej jesieni, tak że rozpada się na dwie nierówne części i rozsypuje nasiona przypominające jętki. – Wstyd się przyznać, ale trochę zmieniłem pogląd na świat. Wiesz, chyba nawet jestem gotowy założyć rodzinę.

Cie pioruna, ale odkrycie! Dlaczego faceci muszą przeżywać to tak metafizycznie, na poziomie wyraźnej cezury i kropki?

– Dlaczego wstyd?

– Facet powinien być odważny, obnażać kły, pokazując ósemki, na każde najmniejsze niebezpieczeństwo, a ze mną tak się nie dzieje. Myślę o kapciach i kanapie.

– Nie przesadzaj.

– A jaki był Bartosz?

– Przez wszystkie te lata wydawało się, że daje mi ogromne

poczucie bezpieczeństwa i komfortu, wyłączając pole zagospodarowane, a w zasadzie zaorane przez teściów.

– Fajnie.

– I tak, i nie. Bo potem, gdy się okazało, że żył w dwóch równoległych światach... odebrał mi wszystko. Stabilizację, przewidywalność, przyszłość, marzenia, plany... – Podnoszę przednie koła wózka, by sforsować leżącą na ścieżce grubą brzozową gałąź, jednocześnie chwytając Marysię za rękę. Usiłuję manewrować między pułapkami lasu a jej traumą. – Marysia, daj, proszę, rączkę Olafowi, bo nie mogę przejechać.

Mała spogląda niepewnie na wysokiego mężczyznę, którego najwyraźniej nie kojarzy z akcji na stacji benzynowej. Nieznacznie się cofa i usiłuje ukryć za postawioną budką wózka. Olo, na którego Marysia chyba nabyła alergii, pochyla się nad nią i wyciąga rękę.

– No chodź, królowno, przecież jesteśmy kumplami. Pamiętasz?

Pamięć zawodzi dziewczynkę, bo rozszerzone procesem myślenia oczy nawet nie mrugną. Olaf wykonuje jeszcze jeden krok do przodu i mała nareszcie daje się dotknąć. Jestem z niej bardzo dumna. Do zapomnienia ostatnich dni przed nami długa, wyboista droga, najeżona wizytami u psychologów i nocnymi koszmarami, ale zrobiłyśmy pierwszy krok.

W sumie wyglądamy jak rodzina.

Budzi się we mnie przekonanie, że w konstelacji z tatą dorasta się inaczej i fajnie by było, gdyby było to dane również tym dzieciom. Jednak pozostaje to w całkowitej sprzeczności z moją wizją faceta w domu – a w zasadzie jej brakiem. Mniej byłabym zadziwiona widokiem przelatującego nad głową Sokoła Millennium niż męskimi skarpetami w sypialni.

– Zawsze chciałaś mieszkać w lesie?

– Wręcz przeciwnie. Nigdy. Bałam się tych wszystkich pajaków, lisów i morderców, którzy mogliby się z niego wynurzyć.

– To dlaczego się tu znalazłaś?

– To miejsce oferowało najlepszą proporcję ceny do wielkości mieszkania, ogrodu i odległości od knajpy, a z lasem postanowiłam się jakoś oswajać. A ty gdzie mieszkasz?

- Właściwie wszędzie i nigdzie. Co rusz wynajmuję jakieś mieszkanie, w zależności od tego, na jaką placówkę wyśle mnie firma.
- I gdzie planuje teraz?
- Mam nadzieję, że nigdzie.
- W zasadzie nawet nie wiem, czym się zajmujesz.
- Niczym ciekawym. Księgowość, planowanie, marketing, takie tam.
- Nudziarstwo.
- Nawet nie wiesz jakie.

Spacerujemy po lesie niezbyt długo, bo do pierwszych dużych, choć rzadkich kropli deszczu, na które dzieciaki reagują jak na siódmą plagę egipską zwiastującą łomot gradu po głowach.

Śmiejemy się z Olafem z ich dynamizmu i energii, jaką w nich budzi sama myśl o porzuceniu świeżego powietrza na rzecz podłączenia się do Wi-Fi. Dawniej dzieci się nudziły, gdy padał deszcz, dziś najlepiej się bawią, gdy na dworze plucha.

- Wstąpisz na herbatę?
- Bardzo chętnie bym wszedł, ale umówiłem się w nowej siłowni, tej w centrum, z trenerem. Marcin go polecał, więc mam zamiar się przekonać, co potrafi. Innym razem, OK?

Nie mam bladego pojęcia, kim jest Marcin, wiem tylko, że dziwnie mi się robi w żołądku. Zupełnie jakbym zamiast wymarzonego prezentu pod choinką znalazła już dawno przeczytaną książkę. Łapię się na tym, że gdy Olaf znika, zaczyna mi brakować jego poczucia humoru. Mimo pełnej chaty i spraw do załatwienia robi się dziwnie nudno.

Olo poszedł, dzieci się zmyły do iPodów i komputerów, Ania zajęła się Antosiem, to znaczy Antoś zajął się Anią, domagając się uwagi i oglądania kolejnej książeczki.

Wieczór, za sprawą ponurej aury, deszczu i spadającego na łeb na szyję ciśnienia, nadchodzi pospiesznie, wlokąc za sobą zmęczenie. Dzieciaki, oszołomione dawką świeżego powietrza, same pchają się do łóżek, z wyjątkiem Klary, która właśnie sobie przypominała, że na jutro ma nauczyć się na pamięć straszego wiersza, a ten oczywiście mam gdzieś znaleźć.

- Ale co to ma być za wiersz?



- No, nie wiem, pani powiedziała, że straszny.
- Podała autora, tytuł, cokolwiek?
- Nie, powiedziała, że mamy sami poszukać. No, wiesz, taki wiersz, że jak go czytasz, to się boisz.

Cóż, doskonała lektura o dwudziestej dla dziewczynki o tak wybujałej wyobraźni jak Klara. Zapewne skończy się to nocnymi wrzaskami, ale co robić. Siadam ciężko przy biurku i wpisuję w wyszukiwarkę *straszny wiersz*. Pojawia się sporo wyników, niestety powtarza się jakiś idiotyzm o Juleczku, któremu z powodu ssania kciuka krawiec obciął paluszki, albo innych torturach dla odmiany spowodowanych łakomstwem albo... niejedzeniem. Wszystkie są równie idiotyczne i staroświeckie.

- Klara, skąd mam ci wytrzasnąć taki wiersz?
- No, nie wiem, a wy nie mieliście tego w szkole?

Dzieciakom się wydaje, że powinniśmy pamiętać wszystko od samego przedszkola, i w oczywisty sposób zakładają, że to żaden kłopot, bo trzepiemy wierszami, wiedzą i mądrością z rękawa.

- To było sto lat temu, myślisz, że pamiętam?
- To może napiszemy?

Oczywiście nic prostszego jak napisać wiersz o strachu. Zła warczę na nią i wysyłam do wanny, a sama siadam z kartką i ołówkiem i smaruję gęste rymy częstochowskie, byleby tylko odbębnić zadanie:

### ***Noc u Kuby***

*Noc zapada, idzie ciemność,*

*za nią wlecze się bezwzględność.*

*Strachy łążą już po domu,*

*nie odpuszczą dziś nikomu.*

*Jeden wlażł do szafy Kuby*

*i planuje dlań trzy zguby.*

*Drugi schował się pod łóżkiem,*

*szczypie malca tuż nad brzuszkiem.*

*Trzeci biega po dywanie,*

*huczy strasznie opętanie.*

*Czwarty bardzo nienażarty*

*gryzie szkolne ważne karty.*

*Piąty, ten zawzięty,*

*gryzie Kubie obie pięty.*

*Szósty siedzi mu na klacie*

*i wciąż dusi go uparcie.*

*Siódmy, mały, nos zatyka,*

*kopie i udaje byka.*

*Ósmy cwaniak się już cieszy,*

*bo koszmarów użył mieczy.*

*Dziewiąty wlecze za sobą potwory*

*i podłącza do łóżka resory.*

*Wszystko skacze, wszystko jęczy,*

*Kuba wierci się i charczy.*

*Piekiel drzwi się otwierają,*

*małe dzieci zapraszają.*

*I gdy pierwszy ogień pali,*

*nagle światło się zapala,*

*a w drzwiach stoi dzielna mama.*

*Przegoniła wszystkie strachy –*

*i już piekiel problem błahy.*

Szybka kolacja, książka do poduszki i jeszcze szybsze zaśnięcie to idealny scenariusz na wieczór. Niestety nie dzisiejszy!

Klara siedzi przy kuchennym stole, czyta wiersz raz, drugi, trzeci i wreszcie, przeciągając sylaby, zadaje jedno z pytań z gatunku filozoficznych albo – jak kto woli – egzystencjalnych, na które nie zawsze znajduje się właściwe odpowiedzi.

– Mamooo, czy to normalne, że latem ma się więcej piegów?

– Tak, słońce całuje skórę w piegowe kropki, a dlaczego pytasz?

– No bo mam piegi, zobacz. – Wyciąga szyję i prezentuje okrągłą buzię całą w uroczych cętkach. Wygląda słodko i dziecinnie, a wiosna przy okazji udowadnia, że stać ją na wiele. – A wiesz, że mam nawet pieprzyk?

Powinnam poczuć się zaalarmowana, jednak podskakująca na jednej nodze radosna myśl, że zaraz będę mogła się wsunąć w świeżo wykrochmaloną pościel, usypia czujność.

– Coś ty, gdzie?

Znam dokładnie mapę ciała córki i doskonale wiem, że ma tylko dwa pieprzyki: jeden na prawej łopatce, drugi poniżej lewego kolana, po

zewewnętrznej stronie. Podejrzewam, że, tak jak u Jaśka, kolejne zasiedlą jej plecy, tymczasem mała podnosi koszulkę pizamy i pokazuje blady, wystający brzusek.

– O, tu.

– Pokaż. – Przyglądam się małej kropce tuż przy pępku i coś mi się nie zgadza. Kropka faktycznie jest nowa, wcześniej jej tu nie było, nieco wystaje i może nie wyglądałaby podejrzanie, gdyby nie to, że ma nogi! – Rany, Klara! Masz kleszcza!

– Co mam?

– Kleszcza.

– Co to jest?!

Ponieważ ja krzyczę, ona wchodzi na tę samą nutę. Krzyczy, jest bliska płaczu i spanikowana.

– Robal, który przyczepił ci się do skóry.

– Aaa! Weź go! Zdejmij go ze mnie!

– Niestety nie mogę, to paskudztwo wbiło się mocno w ciało i jak zacznę ciągnąć, to mogę kleszcza urwać, tak że zostanie tylko głowa. Jest nosicielem groźnych chorób i trzeba go tak usunąć, żeby go nie uszkodzić, a potem jeszcze zbadać.

– Zbadać?

– Tak.

– To zawieziesz mnie do weterynarza?

– Nie, no coś ty? Do normalnego lekarza, który kleszcza przekaże do laboratorium.

– Ale ja nie chcę do lekarza!

– Nie mamy wyjścia.

– A będzie bolało?

– Ciebie nie, kleszcza pewnie tak.

– Ale nie będzie zastrzyku? – pyta na przemian to blada, to zielona, zupełnie rozbudzona i jękliwa. Zmęczenie całkowicie ją opuściło, ustępując miejsca panice.

– Oczywiście, że nie. Zbieraj się.

– No, dobra.

W try miga wkładamy szare dresy. Wyglądamy jak zawodnik z trenerem sponsorowani przez ten sam kram na pobliskim bazarze. Po

chwili docieramy na izbę przyjęć szpitala pediatrycznego.

- Co się stało?
- Córka złapała kleszcza.
- Raczej kleszcz złapał ją. Kiedy to się stało?
- Najprawdopodobniej dziś po południu.
- Czy próbowała pani sama go usunąć?
- Nie.
- To bardzo dobrze. Zaraz małą obejrzy lekarz.

Okazuje się, że usunięcie kleszcza nie jest wcale takie proste. Nie dość, że jest mały, to jeszcze usadowił się w fatalnym, trudno dostępnym miejscu. Wreszcie młody, przystojny lekarz odnosi sukces i pasożyt łąduje w szklanej fiolce, która zostaje odesłana do laboratorium.

Czekamy niespokojnie na wyniki, zabawiając się telefonicznym światem internetu i gier. Jest późno, szpitalne korytarze są prawie puste. Panuje cisza, niezmacony spokój i nieznośny smród środka do dezynfekcji. Godzina wlecze się niemiłosiernie, dołącza do niej kolejne dwadzieścia osiem minut i wreszcie otrzymujemy wyniki.

Kleszcz nie był nosicielem boreliozy! Hura!

Gdybym wiedziała, że relaksacyjny spacer zakończy się nocną wizytą w szpitalu, uznałabym, że jednak zdrowiej jest posiedzieć w salonie na wygodnej kanapie.

Docieramy do domu zmęczone, spragnione, musimy kolejny raz wejść pod prysznic, żeby zmyć szpitalne opary, i zasypiamy. Po radości spaceru i endorfinach wywołanych pierwszym haustem wiosny nie pozostał najmniejszy ślad.

Obiecuję sobie, że następnym razem zamiast szalików zawieszę na szyjach dzieci psie obroże odstrasżające pchły i kleszcze.

*Praca, dom, dzieci pochłaniają kolejne dni przetykane telefonami i sporadycznymi wizytami Olafa. Wreszcie po ośmiu dniach poszukiwań policja odnalazła blondynę podejrzaną o współudział w uprowadzeniu Marysi i jej również postawiła zarzuty. Oboje porywacze siedzą w areszcie.*

*Przez cały ten czas myślałam, że jak tylko ich przyskrzynię, odzyskam spokój, ale tak się nie dzieje. Włączyło mi się myślenie, że jeśli nie oni, to może ktoś inny będzie próbował zrobić to samo.*

*Jakby tego było mało, wczoraj zadzwoniła Zośka. Niechętnie odebrałam telefon i zaszywając się w sypialni, odbyłam jedną z rozmów życia.*

- Słuchaj, czy to normalne, że dzieci tyle jedzą?
- Tyle to znaczy ile?
- Nie wiem, nic nie robię, tylko je karmię. Zwariować można.
- Nie martw się, to normalne. – W duchu wcale jej jednak nie pocieszam, tylko sączę słodką satysfakcję, że oto nareszcie się dowiaduje, jakie jest życie.
- Przecież ja na nic nie mam czasu.
- Może zatrudnij nianię.
- A myślisz, że nie mam?
- No to w czym problem?
- We wszystkim. Jak nie jedzą, to robią kupę albo ulewają.
- To też normalne.
- Ale kiedy to się skończy?
- Jak się wyprowadzą z domu.
- Jak się mają wyprowadzić? Co ty bredzisz?
- Jak będą miały dwadzieścia kilka lat, to się wyprowadzą. Taka kolej rzeczy.
- Przestań. Nie po to dzwonię. Chciałam zapytać, czy nie zostałąbyś matką chrzestną.

*Nie wiem, czy to tylko pytanie, czy może jednak zaproszenie, jednak oczami wyobraźni widzę przede wszystkim półkę z tymi*

wszelkimi poważnymi prezentami na jeszcze poważniejsze okoliczności: roczek, komunია, osiemnastka, ślub, i nie wiem, czy to udźwignę finansowo i psychicznie. W panice się zastanawiam, czy można odmówić, bo że nie wypada, wiem bez większego zastanawiania.

– Halo, jesteś tam?

Może udać, że się rozłączyłam? Wyłączyć telefon i przemyśleć?

– Tak, jestem.

– Słyszałaś?

– Niby tak, to bardzo miłe, tylko że, Zośka, nie mamy ze sobą kontaktu, więc nie wiem, czy ktoś inny nie zasługuje bardziej na ten zaszczyt.

– Mówiłam Kazikowi, że to pomysł do dupy. A swoją drogą, ty zawsze musisz mi odmawiać wszystkiego...

– Nie odmawiam, tylko tak się głośno zastanawiam. Jeśli uważasz, że będę dobrą matką chrzestną, to oczywiście dziękuję i chętnie potrzynam któreś z bliźniąt nad chrzcielnicą.

– OK, dam ci znać, kiedy to będzie. Cześć.

I tyle. Nawet nie zapytała, co u mnie. Ciekawe, czy oglądała wiadomości i czy jej mózg stanął na wysokości zadania i skojarzył, że chodzi o moje dziecko? Mamy tylko siebie, ale z takim podejściem żadna z nas właściwie nie ma nikogo.

Magda, po tym jak pożegnała z przytupem ostatniego toy boya, do tego stopnia zaangażowała się w zajęcia jogi, medytację i zdrowe odżywianie, że postanowiła otworzyć centrum pozytywnego myślenia połączone ze sklepem ze zdrową żywnością. Kupiła lokal, remontuje go i urządza, konsultując ze mną prawie każdy architektoniczny i dekoratorski ruch.

– Jak sądzisz, który odcień błękitu ma lepszą aurę: lady blue, sky blue czy lazurowe mgnienie?

Nie mam pojęcia, jak wyglądają te kolory, ale lazur kojarzy mi się z morzem, wypoczynkiem i bez troską, więc wybieram ten ostatni.

– A nie sądzisz, że może jednak nie korespondować z kością słoniową drzwi?

W pierwszej chwili chcę się zdziwić, ale po chwili dociera do mnie, że to kolejna farba, więc oczywiście zaprzeczam, rozwodząc się

nad bielami i błękitami. Odradzam złoto i srebro, sugeruję skupienie się na naturalnym drewnie i to tyle w temacie egzystencjalnych rozmów, które kończą się wzajemnymi zapewnieniami, że u nas wszystko dobrze i po staremu.

Bardzo jej kibicuję, choć brakuje mi naszych codziennych spotkań, a rozmowy telefoniczne wydają się niewystarczające. W dodatku mama Ani zachorowała i jutro młoda jedzie do niej na nie wiadomo jak długo. Tydzień, dwa, mam nadzieję, że nie dłużej. Nie wiem, co zrobię z dziećmi, bo oddanie ich do jakiegoś przedszkola czy szukanie nowej opiekunki nie wchodzi w rachubę.

Siedzę w domu, wpadam do knajpy od czasu do czasu. Marta została menedżerem i teraz cały biznes jest na jej głowie. Połechtana stanowiskiem i kroczącą za nim pensją – wypadkową obrotu i jej zaangażowania – sprawiła, że knajpa przynosi większe dochody niż dotychczas.

Zaginięcie Marysi odczarowało moje relacje z personelem. Nagle poza wyzyskiwaczką, która bazuje na ich ciężkiej pracy i pocie, a daje z siebie tak niewiele, przecież lokal, produkty i wszelkie opłaty to drobiazg, dostrzegli we mnie kogoś, kto ma równie duże problemy jak oni.

Gotuję obiad. Przygotowuję średnio doprawioną zupę, ziemniaki, kurczaka i małe marchewki. Zadowolony Antoś bawi się na podłodze pierwszymi klockami duplo, za wszelką cenę usiłując włożyć je do buzi. Gabaryty zabawek pozwalają najwyżej je polizać, jednak mały wydaje się zachwycony tymi pierwszymi doznaniem. Klara jest w szkole, więc Marysia skrupulatnie korzysta z możliwości dorwania się do jej filmoteki i teraz katuje dom kolejną opowieścią o wróżkach Barbie.

Natarczywy dzwonek telefonu przecina sielankę tym boleśniej, że dzwoni... teść.

– Nina?

Nie wiem, dlaczego teściowie zamiast „dzień dobry” za każdym razem pytają, czy to ja, zupełnie jakby spodziewali się kogoś innego.

– Tak, witam.

– Dzień dobry. Słuchaj, rozmawiałem z matką i chciałem się z tobą spotkać.



– A w jakiej sprawie?

– Nie chcę mówić przez telefon. Znajdziesz czas?

– Tak, oczywiście. – Co mam powiedzieć? Że nie jestem gotowa na serię kolejnych pretensji, soczystych kazań i pogróżek? Potakuję więc z wyuczoną grzecznością pozbawioną cienia entuzjazmu.

– To może wpadnę za godzinę?

Rozglądam się bezradnie po bałaganie w kuchni. Obierki w misce na blacie, sterta brudnych naczyń czekających, aż zmywarka wypluje pierwszą porcję garów, butelki po mleku Antosia i niezliczona ilość kubeczków, szklanek, talerzyków, które najwyraźniej od kilku dni dziewczyny kisiły w swoich pokojach. Stwierdzam jednak, że opinia teściów jest moim najmniejszym zmartwieniem, i kontynuuję zmagania z obiadem, nie rzucając się w panice do sprzątnięcia. Nim dochodzę do etapu zabielenia zupy gęstą śmietaną, odzywa się dzwonek u drzwi. Cholera. Przecież minęło jakieś pięć minut, a nie godzina.

Wściekła naciskam guzik domofonu, nie fatygując się, żeby unieść przyczepioną powyżej ulotkę z reklamą pizzerii i spojrzeć kto to. Zakładam, że u teścia czas płynie inaczej niż u mnie.

– Halo! – wołam, jakbym tym krótkim słowem mogła ugryźć.

– Cześć, kumpelo, to ja.

Zdziwiona unoszę ulotkę i z małego ekranika spoglądają na mnie oczy Olafa. Jest w dziwnej, żeby nie powiedzieć – idiotycznej czapeczce, która trzyma się na czubku głowy jak zielona łupina na kasztanie.

Wpuszczam go i wykorzystuję dziesięć sekund, jakie zajmie mu dotarcie do drzwi, na próbę ogarnięcia dresu, w który się wystroiłam. Jego jasna szarość i gramatura materiału niezwykle zgrabnie podkreślają rozmiary tyłka i mimo próby podciągnięcia nogawek do kolan nadal nie chcą one zamaskować grubych ud. W zasadzie nie wiem, dlaczego nagle staje się to powodem mojego dyskomfortu, przecież jesteśmy kumplami i nie muszę się starać, jakbym szła na randkę albo spotykała się z kandydatem na męża. Jednak coś sprawia, że chcę wypaść przed nim jak najlepiej.

– Hejka. Co ty taka spięta?

– Spięta? Nie, dlaczego?

- Takie odniosłem wrażenie.
- Nie, czekam na teścia i myślałam, że to może on.
- Ach, to tłumaczy wszystko.

W swoim dziwnym wdzianku wchodzi prosto do kuchni. Wygląda kretyńsko w spodenkach do połowy łydek, które najpewniej leżały na jednej półce z damskimi rajstopami, obcisłej, chyba lateksowej koszulce i czarnej końcówce prezerwatywy na głowie.

- A ty co się tak wystroiłeś?
- Zacząłem biegać. Przygotowuję się do triathlonu.
- Co, kryzysik wieku średniego?
- Jaki tam kryzys! Zwyczajnie trzeba dbać o formę.
- O tak! – mówię ironicznie i nurkuję w przepastnej lodówce, która jak nikt dba o mnie, oferując szynki, kielbaski, jogurciki i zapchaną po brzegi szufladę z różnokolorowymi warzywami. – Zjesz coś?
- A co masz?
- Wszystko. No, prawie. A na co masz ochotę?
- Zrobiłabyś tosty, wiesz, takie najzwyklejsze: chleb, żółty ser, może pomidor?
- Jasne, ale co na to twoja forma?
- Nie przesadzaj, spalę to. Zresztą cały tydzień jem tylko sałatę i chyba mam dosyć. Na widok ogórka dostaję wysypki.
- To po co się tak poświęcasz?
- Mój trener personalny nie pozwala mi jeść nic innego, dokłada do tego tylko kurczaka i jakieś odżywki.
- Nie przesadzasz przypadkiem?
- Niby w czym?
- No, wiesz, nie jesteśmy młodzikami, nie jestem przekonana do tak radykalnych diet dla stetrycziałych ponadczterdziestoletnich organizmów.
- Kochana, trzeba o sobie dbać. Nie możemy odpuszczać!
- No pewnie, wczoraj też zabrałam się do ćwiczeń.
- Proszę, proszę. A co trenowałaś?
- Od razu trenowałaś. Zwyczajnie postanowiłam poćwiczyć z Chodakowską.
- I co, są zakwasy?

– Nie, skąd.

– To niezła jesteś.

– Oczywiście. Wskoczyłam w spodnie, koszulkę, nawet buty, zrobiłam kawę i w przekonaniu, że trzeba mieć świadomość, w co się człowiek pakuje, obejrzałam nagranie. W sumie zapowiada się niezłe, nawet mi się podobało.

– Nie wpadłaś na to, że trzeba ćwiczyć, a nie oglądać?

– Jasne, że wpadłam, masz mnie za głupią? Zapomniałam, że najpierw muszę znaleźć na strychu matę.

– Boże.

– Najważniejsze, że zrobiłam pierwszy krok!

– I jeszcze jesteś z siebie dumna?!

– Oczywiście. Początki są najtrudniejsze, a ja mam je już za sobą!

Oparty pośladkami o kuchenny blat, wyciąga przed siebie nogi i nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że przygląda mi się z ironią.

– Napijesz się czegoś? Co prawda nie doszłam do tego etapu, by mieć coś izotonicznego, ale woda, herbata... jak najbardziej są.

– Dzięki, mam coś swojego w butli. – Klepie się po nerce, a ja dopiero teraz dostrzegam, że na plecach koszulki wszyte są dwie kieszenie, z których wystają dwa plastikowe bidony.

– A krzesło też masz?

– Nie bądź złośliwa!

– Nie śmiałybym! Moje są najzwyklejsze, z IKE-i, a może są takie, na których mięśnie inaczej się regenerują.

– Żmija. Wy, baby, nigdy nie odpuszczacie.

– Pamiętasz? Kumple jesteśmy, więc kto, jak nie ja, może po tobie pojeździć.

– A tak, właśnie. Wpadłem, bo chciałem cię prosić o radę.

Rosnę. Puchnę z dumy. Czuję się ważna, potrzebna, ba, nawet mądra! Moje ponadczterdziestoletnie doświadczenie nareszcie się komuś przyda!

– Tak, a w jakiej kwestii? Prania, gotowania, doboru koszuli?

– Nie. Wiesz, kilka dni temu poznałem fajną dziewczynę, tylko że jest dużo młodsza i zastanawiałem się, gdzie ją zaprosić. Niespecjalnie znam knajpy w mieście...

Powietrze ulatuje ze mnie jak z różowego balonika nagle pozbawionego wstążeczki. Czuję się jak sflaczała gumka, która śmiga między sufitem a ścianami, boleśnie się obijając o twarde powierzchnie. Niestety najwyraźniej widać po mnie konsternację, bo Olaf dopytuje:

– Wszystko OK?

– Tak, oczywiście. Jak najbardziej. Tylko trochę mnie zatkało, że wpadłeś na pomysł, aby akurat mnie pytać o knajpę. Jestem ostatnią osobą, która uprawia weekendowy knajping.

– No, niby tak, ale nie chcę jej spłoszyć zbyt elegancką restauracją.

– To weź ją do McDonalda albo Pizza Hut – warczę nagle zła i trzaskam patelnią po kuchence. Nabieram masło łyżką i walę nią o brzeg gara, jak tylko dzwonnik potrafi napieprzać spiżowym sercem w kielich dzwonu. Masło, zanim zdoła się roztopić na gorącej powierzchni patelni, topi się pod moim spojrzeniem.

– Pizza Hut! Brzmi świetnie. Widzisz, jaka jesteś pomocna! Wręcz genialna!

Niestety nie aż tak, żeby to mnie zaprosić na kawę. Pomocna tobym była, gdybym kazała mu sprawdzić, czy małolata ma dowód, i uprzedziła, że uprawianie seksu z nieletnią w naszym kraju jest karalne.

– A co u ciebie?

– Dobrze. Dziękuję.

– Marysi udało się oderwać od spódnicy?

– Trochę tak, chociaż stale pyta, czy naprawdę ta pani i ten pan są w więzieniu.

– Biedna mała.

– Niestety.

– Słuchaj, będę uciekał, bo teraz pracuję na tempie.

– Nie widzę związku. Czyli co?

– No, wiesz, Karolinka mówi, że tętno i tempo powinny się zgrać.

Zupełnie przestaje mnie interesować zagadnienie szybkości przepompowywania krwi przez organizm, a skupiam się na autorce złotej myśli. Łudzę się jeszcze, że to może jednak trener personalny, a nie małaletnia towarzysząca, ale niestety szybko się okazuje, że Olaf bardziej się liczy ze zdaniem dziecka niż z doświadczoną kobietą w moim ciele. Nie mam wątpliwości, że Karolina narzuci raczej szybkie

tempo znajomości, a sflaczały organizm Ola może mieć problem z wydolnością.

Mój kumpel wychodzi, a ja miotam się po domu. Przecież jesteśmy tylko kumplami, więc o co chodzi, że nagle taki układ przestaje mi odpowiadać? Ze zdziwieniem odkrywam, że chodzi o... Olafa. Jestem zwyczajnie zazdrosna! Nie rozpoznaję ani siebie, ani swoich emocji. Dawno zapomniałam, jak to jest. Dopada mnie jakaś schizofrenia. W dodatku pojawia się samochód teścia z jakąś kobietą na przednim siedzeniu i starszym jegomościem z tyłu.

Cholera.

Zupełnie o nich zapomniałam. W sumie o nim, bo obecnością – jeśli się nie mylę – Basi, sanatoryjnej przyjaciółki, jestem zaskoczona, nie mówiąc o tej trzeciej osobie. Nim wygramolą się z auta i sforsują furtkę, otwieram drzwi i staję w progu.

Pani Basia, ubrana w granatową garsonkę i białą bluzkę w drobne niebieskie groszki, rumieni się i cofa o krok, jak zawstydzona nastolatka na widok prezerwatywy.

– Cześć, Nina. – Teść zachowuje się, jakby dopiero co mnie zauważył. Wypada to sztucznie i nienaturalnie, jednak nikt z nas nie zwraca na to zbytnej uwagi, zaintrygowany celem spotkania.

– Witam. Zapraszam.

– Pamiętasz moją przyjaciółkę Basię? Poznałyście się, gdy odwiedziłaś mnie w sanatorium.

– Tak, oczywiście.

Co prawda nie były to odwiedziny, raczej transport na miejsce schadzek i romansów, ale dyskretnie milczę, czekając na rozwój wypadków. Tuż za nimi człapie starszy pan, wyraźnie utykający na lewą nogę, mały i zasuszony. Jedyne, co jest w nim wielkie, to okulary. Kwadratowe szkła w przytłaczająco czarnej oprawie.

– Basiu, pamiętasz Ninę?

– Tak, bardzo mi miło, pani Nino. Śliczny dom. – Spogląda z nieukrywanym zachwytem na białą elewację i kielkujący ogród.

Nie wiem, co w niej jest takiego, ale bije od niej życzliwość i szczerłość.

– Dziękuję. Zapraszam.

– Pozwól, proszę. Przedstawiam ci Stefana, brata Barbary.

– Prem pani, bardzo mi ten tego miło. Stefan jestem. – Całuje mnie z galanterią w rękę, składając się jak scyzoryk ku ziemi, tak że budzi się we mnie obawa, iż ciężkie okulary przeważą i pociągną go w dół, na bruk. Wreszcie, ze zgrzytem kolejnych kręgów, prostuje się i drepcze za nami do mieszkania. – Prem pani, ja tylko sobie pozwolę tu posiedzieć ten tego w kącie, bo, prem pani, ja tylko przyjechałem w kwestii formalnej.

Nie wiem, co się dzieje, ale skoro potrzebny nam świadek i pojawia się „kwestia formalna”, to jedyne, co mi przychodzi na myśl, to albo ślub – co jest raczej niemożliwe, bo z panem Stefanem dopiero się poznaliśmy – a jeśli nie ślub, to testament i dziedziczenie. Ale co miałabym po nich odziedziczyć? Chyba tylko parę genów w dzieciach, nic więcej.

– Zrobię herbatę. – Idę do kuchni, z nadzieją, że uda mi się zebrać myśli, jednak oni drepczą za mną i obserwują jak złodzieja w markecie. Czuję ich spojrzenia na plecach i zupełnie nie potrafię przewidzieć, w jakiej sprawie został zorganizowany ten mityng.

– Prem pani, ja nie będę ten tego przeszkadzać i zasiędnę tu z boku. – Pan Stefan przesuwa językiem sztuczną szczękę i opada na krzesło.

Nie oponuję, nadal nie pojmując, o czym będziemy rozmawiać. Stawiam cztery białe filiżanki na brązowych wiklinowych podkładkach i nalewam bursztynowy, parujący płyn.

– Cytrynę? – Podaję pani Basi mały talerzyk z krążkami owocu.

– Nie, dziękuję.

Teść kręci się i wierci, co rusz poklepując koleżankę po dłoni z plamami wątrobowymi. Zachowują się jak dzieciaki przyłapano na pierwszym pocałunku. Unosi gorące naczynie, powoli zbliża do ust i gwałtownie odstawia na spodek, nie upijając nawet łyka. Domyślam się, że to w obawie przed oparzeniem, choć równie dobrze może być spowodowane podenerwowaniem.

– Chcieliśmy z tobą porozmawiać.

– Tak? – Domyślam się, że zaraz dostanę ochrzan, tylko jeszcze nie wiem w jakim temacie. Jeśli kolejny raz mam wysłuchać tyrady na temat

przedszkola, sióstr i nieodpowiedzialności matki spowodowanej chęcią zysku z pracy zawodowej, to nie zdzierzę.

– Widzisz, jest taka sprawa.

– Tak?

Teść, w miarę jak cedzi słowa, coraz bardziej się wierci, a pani Basia, choć wydawało się to niemożliwe, robi się coraz bardziej czerwona, łącznie ze skórą głowy. W życiu czegoś takiego nie widziałam.

– Bo widzisz, postanowiłem...

I już by się wydawało, że zmierzamy prostą drogą, ba, nawet autostradą, która obiecuje rozwinięcie prędkości, do meritum, gdy przerywa ten, którego teoretycznie tu nie ma.

– Prem pani, przepraszam ten tego, ale czy ma pani cukier?

– Tak, stoi przed panem.

– Ten tego, nie widziałem.

Teść piorunuje go wzrokiem, nabiera powietrza i strzela jak woźnica z bicza.

– Postanowiliśmy z Basią być razem.

– Słucham?

– No, postanowiliśmy, że razem zamieszkamy.

– Ale w jakim sensie?

– No, normalnym.

– A teściowa?

– Rozstajemy się.

– Słucham?!

– Odchodzę. Mam dosyć, a Basieńka zawsze była miłością mojego życia.

Proszę, o czym to można sobie przypomnieć w drugim życiu po zawale.

– Ach, rozumiem. – Nic nie rozumiem, ale właściwie cóż tu jest do rozumienia.

– Chcieliśmy, żebyś dowiedziała się bezpośrednio od nas.

– Jest teść pewien?

– Jak niczego w życiu.

– W takim razie gratulacje.

– Prem pani, przepraszam ten tego, a gdzie jest, jak by to powiedzieć ten tego, toaleta?

Jeszcze raz powie prem pani, a eksploduję. Do tego czyści okulary moją dopiero co wypraną, wykrochmaloną i wyprasowaną zasłoną, zostawiając na materiale sztywne blizny zagniotów.

– Drzwi po prawej stronie – instruuję starszego pana, który porusza się tak ślamazarnie, że zaczynam się obawiać, czy zdoła dotrzeć z potrzebą do klozetu.

Głośno się załatwia i jest to jedyny dźwięk przerywający krępującą ciszę. Milczy teść, pani Basia i tym bardziej ja. Po serii szurań i szamotania starszy pan wyłania się z łazienki i oświadcza:

– Prem pani, ja tylko w kwestii formalnej, chciałem zwrócić uwagę, że skończył się papier toaletowy.

Pod pretekstem uzupełnienia braków w jednym z najważniejszych pomieszczeń w domu udaję się do spiżarni, w której przechowuję również środki czystości, ręczniki papierowe itd. Opieram się o ścianę i głośno dyszę. Ale numer. Ciekawe, kiedy pojawi się pani Ola i jak z jej perspektywy będzie wyglądało ich rozstanie.

Gdy wychodzę, okazuje się, że na tyle długo zamarudziłam, iż trójka gości zdążyła w pośpiechu dopić herbatę i teraz czeka w korytarzu, żeby się pożegnać. Ściskamy sobie ręce. Oni w aurze ulgi, ja w oparach obaw dotyczących wizyty drugiej strony konfliktu.

Opadam na fotel w salonie, pełna podziwu dla takich życiowych kroków, na które mnie pewnie byłoby trudno się zdobyć, zwłaszcza w tym wieku i z taką sarmacką mentalnością. Najwyraźniej podczas operacji musieli przetoczyć teściowi krew od kogoś z jajami.

Jednocześnie dopada mnie rozpacz, że pani Basia po siedemdziesiątce jest w stanie znaleźć sobie faceta, a ja nawet w oczach Olafa nie wydaję się dostatecznie interesująca. Łapię się na tym, że coraz częściej o nim myślę. Bez sensu. Zastanawiam się też, jak rozstanie zniesie i zinterpretuje teściowa i co to dla mnie oznacza – jeśli cokolwiek.

Nie muszę długo czekać, by zweryfikować poglądy i uczucia teściowej na temat ich związku małżeńskiego. Kolejny dzień wraz ze wschodem słońca i lekką wiosenną mgiełką przynosi odpowiedź na moje



nocne dywagacje.

Tuż po odwiezieniu Klary do szkoły, nim zamknę bramę garażową, na podjeździe parkuje taksówka, a z niej wysiada w upiornie czerwonej sukience teściowa. Lady in red. Czerwona kiecka, czerwone buty, torebka, usta, róż na policzkach i... czarne podniebienie. Wygląda jak żywa kula ognia, który strawi wszystko, co napotka na drodze. Kolejny raz mnie zaskakuje, bo spodziewałam się raczej załamanej starszej pani, bez makijażu, w żałobnej czerni, tymczasem stoi przede mną wojowniczką.

– Jesteś.

– Dzień dobry. Zapraszam.

– Nie przekroczę twojego progu.

– Słucham?

– Nieźle to wymyśliłaś.

– Niby co?

– Pchnęłaś Roberta do sanatorium. Zachęcałaś. A tak cię prosiłam, żebyś odpuściła.

– Przecież nikogo nie namawiałam.

– Jak to nie? Tłumaczyłam ci i prosiłam, żebyś go odwiodła od wyjazdu, ale ty nie... wiedziałaś lepiej. No i proszę, ciesz się sukcesem. Znalazł jakąś niby dawną miłość. Wyrzuciłam go z domu. Jesteś zadowolona?

Wpatruję się w wykrzywione złością usta i dwa górne zęby zabarwione czerwoną szminką. Mam ochotę do niej strzelić, podejść bliżej, przeładować broń, poprawić i zdmuchnąć dymek wydobywający się z lufy. Jednak stoję jak sparaliżowana, nie potrafiąc obronić się przed atakiem. Zresztą nie mam okazji, bo pani Ola zabiera wszystkie swoje odcienie czerwieni i lokuje je na tylnym siedzeniu czekającej taksówki, która z gracją wytacza się na ulicę. Znikają, a ja nie jestem pewna, czy to się wydarzyło naprawdę, czy miałam omamy.

Wchodzę do domu. Dzieciaki śpią. Usiłuję zebrać myśli. Nie mogę zrozumieć, dlaczego teściowi zabrało tyle lat porzucenie tej koszmarniej, zadufanej w sobie kobiety.

Robię kawę, siadam na kanapie i włączam *Dzień dobry TVN*, ale nie potrafię skupić wzroku na migotliwych obrazach przesuwających się

przed moimi oczami. Mam dosyć obarczania mnie wszystkimi nieszczęściami tego świata i wmawiania, że jestem wszystkiemu winna, ba, że podżegam innych do niewłaściwych wyborów i działań. Czuję się taka samotna. Jest mi źle ze sobą i robię najgorszą z możliwych rzeczy: zastanawiam się, czy może jednak inni mają rację i dostrzegają we mnie zło, na które ja sama pozostaję ślepa i głucha.

Dzień jest nijaki, noc nieprzespana. Automatyzacja ruchów, wykonywanych obowiązków i tęsknota za normalnością. Nie potrafię otrząsnąć się z natarczywej myśli, że na dłuższą metę nie da się tak funkcjonować.

Mija tydzień bez wieści od Olafa, szczęśliwie bez kontaktu z teściami, za to z telefonami marudnej siostry relacjonującej kolejne biegunki, kolki i płacz dzieci. Okazało się, że jej życie nie do końca jest takie, jak sobie wyobrażała, bo Kazimierz przykręcił dotychczas szeroki i wartki strumień pieniędzy, uznając, że miejsce matki jest przy dzieciach, a nie w butikach pobliskiego centrum handlowego. Co prawda zatrudnił opiekunkę, ale od Zośki oczekuje, że będzie przy maluchach non stop.

– Wyobrażasz sobie, że nawet nie mogę wyjść do kosmetyczki?

– O!

– No tak. Ona musi przychodzić do mnie! Dasz wiarę! I co z tego, że Kazik kupił nawet specjalny fotel, skoro ja wolę iść do gabinetu.

– No, rzeczywiście fatalnie.

Zośka, nie rejestrując ironii, galopuje dalej:

– I fryzjerka. Też przychodzi do domu. To takie upokarzające.

Chciałam zaprosić koleżanki, ale po tym jak ostatnio się spotkałyśmy, mogę zapraszać tylko po jednej.

– A co się stało?

– Jak to co? Nic. Zwyczajnie. Śmiałyśmy się, wypiliśmy trochę wina, potem przymierzałyśmy ciuchy, a Kazik zrobił mi aferę, że zapomniałam o nakarmieniu dzieci. Wielkie mi halo. Niania dała im po butelce i nie było sprawy.

– Aha.

– Czuję się taka zniewolona, zamknięta w domu, jak karmiąca krowa, którą inni interesują się tylko w aspekcie wydajności wymion.

– No, ale...

– Słuchaj, muszę kończyć. Kazik mnie woła, znowu przywiózł jakieś meble dla dzieci.

Boże, jakie dołujące życie ma ta Zosia, i te jej okropne problemy... Dwa zgrzytające światy: jeden pełen opiekuńczości i czułości, drugi – egoizmu i lenistwa.

Wiele bym dała, żeby mieć problem z czyjąś nadopiekuńczością, za to, żeby ktoś się o mnie troszczył, próbował uchronić przed złem, spełniał marzenia...

W piątkowy wieczór oddycham z ulgą. Wróciła Ania. Odzyskuję nieco więcej wolności i miałabym ochotę skakać ze szczęścia. Tak bardzo się bałam, że jej mama zaniemogła poważniej, że Anka może nie wróci.

Dzieciaki oszalały z radości, tym bardziej że zostały zasypane domowymi ciasteczkami i karmelkami. Ja świętuję jej powrót w zgoła inny sposób. Pełną wody i piany wanną, ze słuchawkami na uszach i z peelingiem w dłoni. Aromat brzoskwiń unosi się w całej łazience, zanurza w wodzie i frunie ku sufitowi w mydlanych bańkach. Czuję się odprężona i zrelaksowana do tego stopnia, że oczy same mi się zamykają, a sen głaszcze po policzku. Unoszę powieki z przerażeniem i uświadamiam sobie, jak niewiele brakowało, żebym zasnęła na dobre i, nie daj Boże, się utopiła.

Z trudem wyłażę z wody, wycieram ciało szorstkim ręcznikiem i wmasowuję grubą warstwę kremu. Wciągam dres z coraz bardziej rozrastającej się kolekcji wygodnych ubrań, czytaj: rzeczy nienadających się na publiczną prezentację. Kiedyś było nie do pomyślenia, bym narzuciła na siebie coś takiego, teraz stało się to rutyną, co powinno mnie niepokoić. Czuję, że tymi ubraniami kastruję się z resztek kobiecości i jeszcze chwila, a nawet wysokie obcasy nie uratują takiej stylizacji.

Sięgam po maseczkę i w tym momencie dostrzegam dwa nieodebrane połączenia od Olafa. Nim nałożę algową maź na twarz, wybieram jego numer i zastygam w oczekiwaniu. Jeden sygnał, dwa, pięć i gdy już mam się rozłączyć, słyszę, jak wysapuje:

– Cześć.

Jezu Chryste, czy przeszkodziłam mu w uprawianiu seksu? Na samą myśl robi mi się niedobrze.

– Przeszkadzam?

– Nie, to znaczy trochę. – I znowu głośny jęk. – Poczekaj chwilę.

Nigdzie się nie wybieram i czas mnie nie goni, więc spokojnie czekam, siedząc na wannie i niestety produkując obrazy pomiętej pościeli na łóżku i kulających się nagich ciał.

– Halo, jesteś?

– Tak.

– Sorry, jestem na siłowni.

Czuję ulgę, jak żona, której mąż wyznał, że nie ma romansu, że to tylko nic nieznacząca sekretarka.

– Nadal pracujesz nad formą?

– Jasne. A tobie jak idzie? Ćwiczysz?

– Trochę.

Nie czuję potrzeby zwierzania się, że kolejnym krokiem do ładnej figury było znalezienie różowej maty, że jakoś nic więcej się nie wydarzyło.

– To świetnie. Słuchaj, może miałybyś ochotę na kino?

– Nie, raczej nie. – Co miałabym z nimi robić w kinie? Nie potrzebują przyzwoitki.

– To może wpadłbym do ciebie.

– Z Karoliną?

– Nie żartuj. To już przeszłość. Facet musi się czasami sponiewierać i ja chyba się poniewierałem w tym układzie. Jednak dzisiejsza młodzież jest dziwna.

Mam ochotę skakać ze szczęścia. Swoją drogą raczej nie jest specjalnie bystry, skoro tyle czasu zajęło mu dojście do tak oczywistych wniosków.

– Kiedy chcesz przyjechać?

– Myślałem, że może wezmę prysznic i podjadę zaraz po treningu.

– Spoko.

Nic nie jest spoko. Stoję wysmarowana kremami, w dresie, z kokonem z ręcznika na włosach, i wyglądam okropnie. Zrzucam dres i zaczynam walkę z szafą. Wreszcie się poddaję i z powrotem wkładam

te same dresowe spodnie i biały T-shirt. Przeglądam się w lustrze i jestem zadowolona, bo nie wygląda to na większe starania niż zazwyczaj, za to prezentuje się na luzie i domowo.

Zamiast maseczki na twarzy łąduje cienka warstwa fluidu, a na coraz dłuższych, za sprawą używanej od trzech tygodni odżywki, rzęsach – gruba warstwa czarnego tuszu. Gdy spryskuję się perfumami, przez okno dostrzegam czarny samochód Olafa.

Zbiegam na dół i tuż po dzwonku otwieram drzwi.

– Cześć.

Serce mi bije, jakbym umówiła się z Olafem na randkę i nie była pewna, czy przyjdzie. Zachowuję się jak podłotek, a dawno zapomniane uczucie szarpie żołądkiem.

– Cześć, wchodź, proszę.

Olo, w dresie podobnym do mojego, przekracza próg i radośnie całuje mnie w policzek.

– I co tam słyszeć?

– Wszystko dobrze.

Idzie za mną do kuchni i siada na moim ulubionym krześle pod oknem. To strategiczne miejsce, z którego widać z jednej strony salon, a z drugiej ulicę i podjazd przed domem. Czuję, że zaburzył w ten sposób moją przestrzeń, i zastanawiam się, które z pozostałych pięciu miejsc powinnam zająć.

– Herbata?

– Nie, raczej coś zimnego.

– Sok, wino, woda?

– Woda i wino.

– No to musisz otworzyć.

Podaję mu butelkę i korkociąg, a sama wydaję dwa wysokie kieliszki z szafki nad zlewem. Nalewam do szklanki wodę, dodaję kilka kropli cytryny i stawiam przed Olafem. W tym czasie purpurowy płyn z przyjemnym bulgotem wypełnia kieliszki.

– Jak leci? Wydajesz się jakaś radosna.

– Ania wróciła i czuję, że odzyskuję równowagę.

– To super.

– A co u ciebie?

– Nic. Rozstałem się z Karoliną. Jezu, co za kretynka. Nie wiem, co w niej widziałem. Szczytem było, jak mi powiedziała, że tak bardzo mnie lubi, bo przypominam jej ojca. Czujesz to?

– No. Z tego, co mówiłeś, faktycznie mogłeś być nie dość, że ojcem, to do tego wcale nie najmłodszym.

– Tak, oczywiście... dziadkiem.

– A co cię w niej tak urzekło?

– Zgrabna dupcia, ładna buzia. Może moje ego chciało się trochę wykazać.

Myślę o mojej figurze i twarzy z coraz wyraźniejszymi zmarszczkami. Nie są to wesołe rozważania, bo prowadzą na ścieżkę, która uświadamia mi, jak bardzo nie leżę w obszarze jego zainteresowań.

– No to się wykazało.

– Tak, ale jednak w życiu nie o to chodzi.

– A według ciebie o co?

– Bo ja wiem? Musisz mieć wspólne tematy, nie spinać się ciągle i nie spędzać każdej wolnej chwili w podejrzanym klubach.

– No proszę, to możesz teraz oprowadzać po mieście.

– Daj spokój, porażka. Zmieńmy temat. Jak dzieciaki?

– Dobrze, choć Marysia nadal wszystkiego się boi.

– Jest tak ładnie i ciepło. Może się przejdziemy?

– OK.

Zostawiamy dzieciaki z Anią, a sami powoli drepczemy w stronę pobliskiej leśnej ścieżki. Liście na drzewach robią się coraz większe, bardziej zielone i coraz radośniejsze. Mech jest soczysty, a ptaki pitolą i trelują jak oszalałe. Idziemy w milczeniu, głęboko wciągając i wypuszczając powietrze. Płuca wentylują się aż do bólu i dziwnego pieczenia. Niewiarygodne, jak rzadko oddychamy pełną piersią.

– Las jest magiczny. – Wbrew sobie wypowiadam na głos myśli zaszyte z tyłu głowy.

– Ma coś w sobie, zwłaszcza gdy jest palącym się w kominku polanem.

– Właśnie, może wieczorem rozpalę w kominku.

– To przyniosę ci drewno.

Jestem w szoku, że wyprzedza mnie o myśl. Bartkowi się to nie

zdarzało i przywykłam do tego, że tylko kobiety są w stanie planować i przewidywać kolejny krok.

– Świetnie, dzięki.

– Zastanawiałaś się kiedyś, czy jeszcze się z kimś zwiążesz?

– I tak, i nie. Nie wyobrażam sobie, by jakiś obcy dziad pętał mi się po domu. Staram się przyzwyczaić do myśli, że dobrze jest, jak jest. – Przecież nie mogę mu powiedzieć, że liczę na męskie ramię, na którym będę mogła się uwiesić.

– No, ja próbowałem wielokrotnie, ale to były porażki.

– Może nie szukałeś w odpowiedniej grupie docelowej.

– A niby w jakiej miałem szukać?

– Nie wiem. Nie proponuję ci męskiego grona...

– Zwariowałaś?

– No właśnie mówię, że nie proponuję! A w pracy?

– Przestań.

– Co jest nie tak z tamtymi kobietami?

– Praca, praca, kariera. O niczym innym nie można z nimi pogadać.

Niespodziewanie, za sprawą powalonego drzewa, ścieżka robi się za wąska i żeby się na niej zmieścić, zbliżamy się do siebie, niebezpiecznie przekraczając komfortową, bezpieczną odległość. Wierzchem dłoni niechcący muskam jego rękę i gwałtownie się cofam, udając, że nic się nie stało. Tymczasem on nie dość, że się nie wycofuje, to jeszcze chwytą moją dłoń i zaciska na niej palce.

Ogarnia mnie miłe, przyjemne, bezpieczne ciepło, a dotychczas śpiące motyle wykonują serię salt w żołądku. Co to znaczy?

– Wiesz, ty jesteś inna.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że jestem pozbawioną ambicji kurą domową, to sobie daruj.

– To też.

– Dzięki.

Usiłuję wyrwać rękę, jednak nie pozwala mi wysunąć ze swojej dłoni choćby palca. Przystajemy i w tym momencie Olo przyciąga mnie do siebie, pochyla się, a jego błyszczące oczy przypominają łobuziaka, który planuje kolejną psotę. I faktycznie psoci.

Pochyla się jeszcze bardziej i nagle czuję na wargach jego usta. Są

słodkie, ciepłe, pachną winem. Obejmuje mnie jeszcze mocniej, a ja poddaję się jego uściskowi i oddaję pocałunek.

– Kocham cię – niespodziewanie wpadają mi do ucha te dwa rodzące najwięcej optymizmu i szczęścia słowa.

Może powinnam powiedzieć, że ja jego też, ale po pierwsze, jeszcze nie jestem pewna, po drugie, złamałabym postanowienie, że nigdy więcej facet nie pojawi się w moim życiu, po trzecie, pomyślałby, że jestem łatwa, po czwarte, to chyba nie wypada, po piąte, to rodzi zobowiązanie, po szóste, może dałabym mu złudną nadzieję na coś więcej, po siódme, za dużo myślę i... wreszcie wykrztuszam:

– A ja lubię spędzać z tobą czas.

Odsuwa mnie na długość ramienia i cały w jednym wielkim uśmiechu przygląda się mojej rozpromienionej, zarumienionej twarzy. Powtarza jeszcze raz, że mnie kocha, i obejmując w talii, ponownie całuje.

Frunę nad mchem porastającym ścieżkę. Przepelnia mnie jasne światło, które rozjaśnia całe ciało i jasną luną zalewa wszystko wokół. Drzewa są bardziej brązowe, a ptaki z jeszcze większym zapalem ćwierkają w gałęziach. Świat eksploduje optymizmem, dobrocią i szczęściem.

– Wracamy?

– Yhm.

Zawracamy. Olaf nadal obejmuje mnie w pasie, ale po chwili za sprawą różnicy wzrostu gubimy rytm, więc po prostu splatamy dłonie, a on kciukiem głaszcze mnie po palcu wskazującym. Zapomniałam, jakie to przyjemne uczucie i ile wyzwala emocji.

Przed domem odsuwamy się od siebie, by nie budzić niepotrzebnej ekscytacji u dzieci. Opinie sąsiadów mam gdzieś. Ania nadal siedzi z dzieciarnią w pokoju Klary i analizując dochodzące z góry odgłosy, nie mam wątpliwości, że Barbie jest poddawana kolejnej próbie przez złą czarownicę.

Siadamy na kanapie w salonie i sączymy kolejną lampkę wina. Olo obejmuje mnie i przytula do siebie, raz po raz całując to w szyję, to za uchem, to w usta. Jest błogo, nastoletnio i niewinnie, a jednocześnie wszystkie uczucia związane z niepewnością, co się wydarzy za chwilę,



jutro, za tydzień, wracają z całą mocą i tym razem nie dominuje w nich strach.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy jestem szczęśliwa. Zakochałam się, choć nie taki miałam plan.

## Podziękowania

*Jak* zwykle dziękuję wydawcom, Grażynie i Tomkowi, za zaufanie i życzliwą współpracę. Moim ulubionym redaktorkom, Agnieszce i Małgosi, że dały się przekonać do stylu, dynamizatorów językowych i za pomoc we wszystkim :) Grażynie za techniczne wsparcie i Irkowi za starania, by książki zawsze były na księgarskich półkach; Bogdanowi i Danieli za wsparcie promocyjne.

Przyjaciołom, rodzicom, Tomkowi i znajomym za zapal w podsuwaniu pomysłów i inspiracji. Szczególnie Uli i Kasi za chwile wytchnienia przy kawie; Mietkowi za hektolitry wina; Basi, która zagrzewała mnie do pracy i nie zawracała d... telefonami, gdy pisałam (prosiłaś, żebym tak to ujęła, więc voilà); Ance za codzienne spotkania; Kasi i Agnieszce za niezwykły, pełen wróżb i dziwnych pomysłów wyjazd do Kazimierza; zwariowanej Marzenie za niespożyty optymizm; Nataszy, Agnes, Edycie, Małgosi, Dorocie, Jagnie, Kasi, Ance i całej babskiej paczce za kibicowanie i wsparcie.

Kurtowi Schellerowi za to, że wprowadził mnie w świat niezwykłych aromatów i smaków. Agnieszce ze Studia Kulinarne w Toruniu za niezapomniane kulinarne doznania i wieczory w towarzystwie cudownych ludzi.

Dr. hab. n. med. Krzysztofowi Błaszykowi za to, że nareszcie wiem, czym jest choroba wieńcowa i jakie są jej skutki; panu Marcinowi Fiedlerowi za konsultacje dotyczące pracy policji.

A przede wszystkim dziękuję mężowi i synom za przetrwanie tygodni chaosu w domu, mojej duchowej nieobecności i bujanie w świecie fantazji. Dziękuję, że jesteście, bo dzięki wam wiem, czym jest szczęście.

Dziękuję również wszystkim czytelnikom za to, że zechcieli sięgnąć po książkę, szczególnie tym, którzy na FB dopingowali mnie do pracy i zmusili do chwilowego porzucenia bloga na rzecz powieści. Kochani, bez was nie byłoby Niny.

Text copyright © by Nina Majewska-Brown 2016

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

### Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Piotr Majewski

### Fotografie na okładce

Z archiwum prywatnego Autorki (1, 2, 3, 5, 6, 7, 8)

© Addictivestock / Fotollia (4)

### Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

*Jak się nie zakochać*, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-733-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

